

ŚWIATOWY BESTSELLER

W ciemnym

ktoś ma wziąć ślub

mrocznym

kogoś czeka śmierć

lesie
ruth ware

Prószyński i S-ka

**w
ciemnym
mrocznym
lesie
ruth ware**

Przełożyła
Ewa Kleszcz

Prószyński i S-ka

Dla Kate; dla pozostałych trzech piątych.

Z miłością.

W ciemnym, mrocznym lesie był sobie ciemny, mroczny dom;

A w ciemnym, mrocznym domu był sobie ciemny, mroczny pokój;

A w ciemnym, mrocznym pokoju był sobie ciemny, mroczny kredens;

A w ciemnym, mrocznym kredensie był sobie... kościotrup!

(tradycyjna wyliczanka na Halloween)

Biegnę.

Biegnę przez las zalany księżycową poświatą. Gałęzie czepiają się mojego ubrania, stopy grzęzną w paprociach uginających się pod ciężarem śniegu.

Kolce jeżyn kaleczą moje dłonie. Oddech niemal rozsadza mi gardło. Czuję ból. Wszystko mnie boli.

Ale nie mogę się zatrzymać. Biegnę dalej. Uda mi się.

Zawsze, gdy biegam, w myślach powtarzam jakąś mantrę. Skupiam się na czasie, który chcę osiągnąć, albo na frustracjach, których próbuję się pozbyć, miarowo uderzając stopami o asfalt.

Jednak tym razem w głowie huczy mi tylko jedno słowo, jedna myśl.

James. James. James.

Muszę tam dotrzeć. Muszę dotrzeć do jezdni, zanim...

I wreszcie ją widzę – czarny asfaltowy wąż zalany blaskiem księżycy – i słyszę ryk zbliżającego się auta. Białe linie wymalowane na drodze lśnią tak ostro, że aż bolą mnie oczy. Czarne pnie drzew przypominają rozcięcia na tle światła.

Czy jest już za późno?

Zmuszam się do pokonania ostatnich trzydziestu metrów, potykam się o obalone pnie, serce bije mi jak oszalałe.

James.

A jednak się spóźniłam... Samochód jest za blisko, nie zatrzymam go.

Wybiegam na asfalt z rozpostartymi ramionami.

– Stój!

Czuję ból. Wszystko mnie boli. Światło mnie razi, ból rozsadza czaszkę. Moje dłonie lepią się od krwi, w nozdrzach czuję jej metaliczny zapach.

– Leonora? – Niewyraźny głos przedziera się przez mgłę cierpienia. Próbuję pokręcić głową, usta odmawiają mi posłuszeństwa. – Leonora, jesteś bezpieczna, jesteś w szpitalu. Zabieramy cię na tomografię. – To kobieta. Mówi głośno i wyraźnie. Jej głos sprawia mi ból. – Czy mamy kogoś powiadomić? – Znowu próbuję pokręcić głową. – Nie ruszaj – poucza mnie. – Masz uraz głowy.

– Nora... – szepczę.

– Chcesz, żebyśmy zadzwonili do Nory? Kim jest Nora?

– Ja... ja się tak nazywam.

– W porządku, Nora. Spróbuj się odprężyć. To nie będzie bolało.

Ale boli. Wszystko mnie boli.

Co się wydarzyło?

Co ja zrobiłam?

Gdy tylko się obudziłam, wiedziałam, że to idealny dzień na przebieżkę po parku – moją najdłuższą trasą, liczącą łącznie niemal dziewięć mil. Jesienne słońce sączyło się przez rattanowe żaluzje i prześlizgiwało po pościeli, a ja wdychałam zapach deszczu, który spadł w nocy, i patrzyłam na brązowiejące krawędzie liści platana rosnącego przed moim budynkiem. Zamknęłam oczy i przeciągnęłam się, nasłuchując jęków systemu grzewczego i stłumionego szumu samochodów. Czułam każdy mięsień. Upajałam się nadchodzącym dniem.

Każdy poranek zaczynam w taki sam sposób. Może dlatego, że mieszkam sama – człowiek jest w stanie wyrobić w sobie pewne przyzwyczajenia, nikt mu nie przeszkadza, współlokatorzy nie wypijają resztek mleka, kot nie wykasłuje kulek sierści na dywan. Możesz być pewien, że to, co zostawiłeś w kuchennej szafce poprzedniego wieczoru, będzie w niej, gdy się obudzisz. Masz kontrolę.

A może ma to związek z faktem, że pracuję w domu. Gdy nie trzeba harować od dziewiątej do piątej, dni bardzo łatwo tracą kształt, zaczynają się ze sobą zlewać. Nagle orientujesz się, że jest piąta po południu, ty wciąż siedzisz w szlafroku, a jedyna osoba, którą widziałeś od rana, to mleczarz. Są takie dni, gdy ludzki głos dociera do mnie wyłącznie z radia i wiecie co? Całkiem to lubię. To dobre życie dla pisarza, pod wieloma względami – spędzam mnóstwo czasu sam na sam z własnymi myślami, z postaciami, które tworzę. W ciszy stają się bardzo realne. Jednak taki tryb życia niekoniecznie jest najzdrowszy, dlatego ustalenie codziennej rutyny okazuje się bardzo ważne. Daje punkt zaczepienia, pozwala odróżnić zwykłe dni tygodnia od weekendów.

Oto jak zaczynam swój dzień.

Dokładnie o wpół do siódmej uruchamia się system grzewczy i budzi mnie wycie bojlera. Zerkam na komórkę – tylko po to, żeby sprawdzić, czy w nocy nie nastąpił koniec świata – a potem leżę, wsłuchując się w trzaski i skrzypienie kaloryfera.

O siódmej włączam radio – już ustawione na program 4 i audycję *Today Programme* – i wyciągam rękę, żeby uruchomić ekspres do kawy, napelnięny poprzedniego wieczoru kawą marki Carte Noire, wsypaną do idealnie zagiętego papierowego filtra. Niewielkie rozmiary mojego mieszkania mają swoje zalety. Mogę sięgnąć zarówno do lodówki, jak i do ekspresu bez wstawiania z łóżka.

Gdy wiadomości dobiegają końca, kawa jest już gotowa, a ja powoli wygrzebuje się spod ciepłej kołdry i wypijam ją z odrobiną mleka. Do tego zjadam tost z dżemem malinowym Bonne Maman (bez masła – nie chodzi o dietę, po prostu nie lubię połączenia masła i dżemu).

Później wszystko zależy od pogody. Jeśli pada albo nie mam ochoty na bieganie, biorę prysznic, sprawdzam pocztę i siadam do pracy.

Ale dzisiejszy dzień był tak piękny, że aż mnie korciło, aby wyjść, poczuć wiatr na twarzy i mokre liście pod podeszwami adidasów.

Nałożyłam T-shirt, legginsy i skarpetki, wcisnęłam stopy w buty czekające w pobliżu drzwi. Pokonałam trzy piętra dzielące mnie od wyjścia na ulicę i wybiegłam w świat.

*

Kiedy wróciłam, byłam zgrzana i spocona, a nogi miałam jak z waty. Długo stałam pod prysznicem, myśląc o tym, co mam tego dnia do zrobienia. Lodówka świeciła pustkami, więc musiałam zamówić zakupy przez Internet. Musiałam też przejrzeć zredagowaną wersję swojej książki – obiecałam redaktorce, że odeślę jej uwagi w tym tygodniu, a jeszcze nawet nie zaczęłam. No i powinnam wreszcie przeczytać e-maile, które wpadły do mojej skrzynki przez formularz kontaktowy zamieszczony na stronie internetowej, czego nie robiłam od wieków, bo wciąż odkładałam to na później. Oczywiście większość z nich okaże się spamem – najwyraźniej żadna metoda weryfikacji nie potrafi powstrzymać botów. Ale zdarzają się też ważne wiadomości, jak prośba o napisanie blurba czy o egzemplarz książki do recenzji. A czasami... czasami bywają e-maile od czytelników. Generalnie ludzie piszą, żeby powiedzieć, jak bardzo podobała im się książka, chociaż trafiło mi się też kilka wiadomości informujących mnie o tym, jak straszna jestem osobą. Ale nawet jeśli czytelnicy są mili, wciąż czuję się skrępowana, gdy widzę, jak reagują na moje prywatne myśli. Zupełnie jakbym czytała czyjaś opinię na temat mojego pamiętnika. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek się do tego przyzwyczaję – może dlatego zawsze muszę się przygotowywać psychicznie do lektury takich wiadomości.

Ubrałam się, włączyłam laptopa i powoli zaczęłam przeglądać pocztę, na bieżąco kasując zbędne e-maile. Viagra. Zapewnienie, że „zadowolę swoją kobietę”. Rosyjskie ślicznotki.

A potem...

Do: Melanie Cho; kate.derby.02@DPW.gsi.gov.uk; T Deauxma; Kimayo, Liz; info@LNShaw.co.uk; Maria Tatibouet; Iris P Westaway; Kate Owens; smurphy@shoutlinemedia.com; Nina da Souza; French, Chris

Od: Florence Clay

Temat: WIECZÓR PANIENSKI CLARE!!!

Clare? Nie znałam żadnej Clare poza...

Serce zaczęło mi szybciej bić. Ale to nie mogło chodzić o nią. Nie widziałam jej od dziesięciu lat.

Mój palec zawisł irracjonalnie nad przyciskiem „Usuń”. A potem kliknęłam i otworzyłam wiadomość.

CZEŚĆ WSZYSTKIM!!!

Do tych z was, którzy mnie nie znają: nazywam się Flo i jestem najlepszą przyjaciółką Clare ze studiów. Jestem też – uwaga, uwaga – jej druhną! Zatem zgodnie z tradycją będę organizowała jej WIECZÓR PANIENSKI!!!

Pogadałam z Clare i – jak pewnie się domyślicie – nie życzy sobie żadnych gumowych penisów ani boa z różowych piór. Urządzimy więc coś bardziej wyrafinowanego – weekendowy wyjazd do hrabstwa Northumberland, niedaleko jej starych studenckich śmieci – chociaż myślę, że może uda nam się przemycić kilka niegrzecznych zabaw!!!

Clare zdecydowała się na weekend 14–16 listopada. Wiem, że damę wam znać zupełnie na OSTATNIA chwilę, ale niestety nie miałyśmy zbyt wielkiego wyboru ze względu na obowiązki zawodowe, Boże Narodzenie i tak dalej. Proszę was o bezzwłoczne potwierdzenie obecności.

Uściski i buziaczki – mam nadzieję, że już wkrótce spotkam starych i nowych przyjaciół Clare!!!!

Flo xxx

Siedziałam ze ściągniętymi brwiami i nerwowo zerkałam na ekran, obgryzając skórkę wokół paznokcia i próbując zrozumieć, o co chodzi.

Potem spojrzałam na listę adresatów. Rozpoznałam jedno nazwisko: Nina da Souza.

Cóż, to wyjaśniało sprawę. Nie mogło chodzić o nikogo innego, jak tylko o Clare Cavendish. Wydawało mi się, że studiowała w Durham, a może w Newcastle, co odpowiadałoby okolicom hrabstwa Northumberland.

Ale dlaczego? Dlaczego Clare Cavendish zaprosiła mnie na swój wieczór paniński?

Czy to mogła być pomyłka? Może ta cała Flo po prostu przejrzała książkę adresową Clare i wysłała e-maila do wszystkich, których tam znalazła?

Ale to tylko dwanaście osób... To znaczy, że moja obecność na tej liście raczej nie jest przypadkowa. Prawda?

Siedziałam, gapiąc się na ekran, jakby piksele mogły dostarczyć odpowiedzi na przyprawiające o mdłości pytania, które kłębiły mi się w głowie. Żałowałam, że nie wykasowałam wiadomości bez czytania.

Nie mogłam dłużej usiedzieć w miejscu. Wstałam i podeszłam do drzwi, po czym wróciłam i przystanąłam obok biurka, z niepokojem patrząc na laptopa.

Clare Cavendish. Dlaczego ja? Dlaczego teraz?

Przecież nie mogłam o to zapytać jej druhny.

Tylko jedna osoba mogła coś wiedzieć.

Usiadłam i szybko wystukałam e-maila, zanim zdążyłam zmienić zdanie.

Do: Nina da Souza

Od: Nora Shaw

Temat: Wieczór paniński???

Najdroższa N,

mam nadzieję, że masz się dobrze. Muszę przyznać, że byłam nieco zaskoczona,

gdy zobaczyłam nas na liście osób zaproszonych na wieczór paniński Clare. Wybierasz się? xx

Przez kilka następnych dni próbowałam o tym nie myśleć. Rzuciłam się w wir pracy, zagłębiłam w zawilosci pytań i sugestii redaktorki, jednak wiadomość od Florence wciąż mnie rozpraszała. Była jak ranka na czubku języka, która zaczyna szczypać, gdy najmniej się tego spodziewasz, albo zadarty paznokieć, którego nie możesz przestać skubać. E-mail był spychany na coraz niższe pozycje w mojej skrzynce odbiorczej, jednak cały czas czułam jego obecność, a flaga sygnalizująca, że pozostawiłam go bez odpowiedzi, przypominała milczący wyrzut. Zawarte w nim pytania nie dawały mi spokoju, gdy próbowałam się zajmować swoimi sprawami.

Odpowiedz, błagałam Ninę w myślach, gdy biegałam po parku, gotowałam kolację czy po prostu patrzyłam przed siebie niewidzącym wzrokiem. Zastanawiałam się, czy do niej nie zadzwonić, ale sama nie wiedziałam, co chciałabym usłyszeć.

Aż wreszcie, kilka dni później, gdy przy śniadaniu bezmyślnie przeglądałam Twittera, na ekranie komórki pojawiła się ikonka sygnalizująca nową wiadomość.

Wiadomość od Niny.

Wzięłam łyk kawy, odetchnęłam głęboko i otworzyłam e-maila.

Od: Nina da Souza

Do: Nora Shaw

Temat: Odpowiedź: Wieczór paniński???

Kobieto! Kopę lat. Dopiero teraz odebrałam twojego e-maila – miałam nocki w szpitalu. Chryste, szczerze mówiąc, to jest ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Zaproszenie na ślub dostałam już jakiś czas temu, ale miałam nadzieję, że uda mi się wymigać od wieczoru panińskiego. A ty się wybierasz? Może zawrzemy pakt? Ja pojedę, jeśli ty pojedziesz?

Nx

Piłam kawę, spoglądając na ekran i trzymając palec nad przyciskiem „Odpowiedz”, ale nie byłam w stanie kliknąć. Miałam nadzieję, że Nina mimochodem udzieli mi odpowiedzi na co najmniej kilka pytań kłębiących się w mojej głowie w ostatnich dniach. Kiedy ślub? Dlaczego Clare zaprosiła mnie na wieczór paniński, ale nie na wesele? Za kogo wychodzi za mąż?

Hej, a wiesz może... zaczęłam, po czym skasowałam tekst. Nie. Nie mogłam zapytać wprost. To byłoby równoznaczne z przyznaniem się, że nie mam bladego pojęcia, co się dzieje. Zawsze byłam zbyt dumna, aby ujawniać swoją ignorancję. Nie cierpię tracić kontroli w żadnej sytuacji.

Próbowałam zepchnąć to pytanie na samo dno umysłu, gdy brałam prysznic i ubierałam się. Ale kiedy włączyłam komputer, znalazłam w skrzynce odbiorczej jeszcze

dwie nieprzeczytane wiadomości.

Pierwszą była pełna żalu odpowiedź odmowna od jednej z przyjaciółek Clare, która powoływała się na rodzinną imprezę urodzinową.

Drugą – kolejna wiadomość od Flo. Tym razem z włączoną opcją potwierdzenia przeczytania e-maila.

Do: info@LNShaw.co.uk

Od: Florence Clay

Temat: Re: WIECZÓR PANIENSKI CLARE!!!

Droga Lee,

wybacz, że cię popędzam, ale zastanawiam się, czy dostałaś moją poprzednią wiadomość. Wiem, że minęło trochę czasu, od kiedy ostatnio widziałaś się z Clare, ale ona ma ogromną nadzieję, że będziesz w stanie przyjechać. Często o tobie mówi i wiem, że źle się czuje z tym, że straciłyście kontakt po ukończeniu szkoły. Nie wiem, co się między wami wydarzyło, ale byłaby naprawdę zachwycona, gdybyś tam była – zgodzisz się? Dzięki temu jej weekend będzie naprawdę idealny.

Flo xxx

Powinam poczuć się mile połączona faktem, że Clare tak bardzo chce mnie zobaczyć, a Flo zadała sobie tyle trudu, żeby mnie odnaleźć. Jednak ta wiadomość wcale mi nie schlebiła. Poczulałam się urażona faktem, że Flo mi się naprzykrza, a uruchomioną opcję potwierdzenia przeczytania e-maila odebrałam jako naruszenie mojej prywatności. Miałam poczucie, że jestem szpiegowana.

Zamknęłam skrzynkę i otworzyłam dokument, nad którym akurat pracowałam, ale chociaż postanowiłam stłumić wszelkie myśli na temat wieczoru panińskiego, słowa Flo prześladowały mnie, unosząc się w powietrzu niczym echo. *Nie wiem, co się między wami wydarzyło.* Brzmiała jak marudzące dziecko. Nie, pomyślałam gorzko. Nie wiesz. Więc przestań wściubiać nos w moją przeszłość.

Przysięgam sobie, że nigdy nie wrócę.

Znajomość z Niną to co innego – Nina mieszkała teraz w Londynie i od czasu do czasu wpadałyśmy na siebie w okolicach Hackney. Była teraz w równym stopniu częścią mojego londyńskiego życia, jak tego, które spędziłam w Reading.

Ale Clare... Clare zdecydowanie należała do przeszłości – a ja chciałam, żeby tam pozostała.

A jednak jakaś część mnie – mała dokuczliwa część, która przyprawiała mnie o wyrzuty sumienia – pragnęła czegoś innego.

Clare była moją przyjaciółką. Moją najlepszą przyjaciółką przez długi czas. Tymczasem ja uciekłam, nie oglądając się za siebie. Nie zostawiłam jej nawet numeru telefonu. Jak to o mnie świadczyło?

Zerwałam się nerwowo z krzesła i z braku czegoś lepszego do roboty poszłam zaparzyć kolejną filiżankę kawy. Stałam nad syczącym, bulgoczącym ekspresem, gryząc

skórkę wokół paznokcia i myśląc o dziesięciu latach, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania. Wróciłam z kawą do biurka, ale nie zabrałam się do pracy. Zamiast tego otworzyłam przeglądarkę i wstukałam „Clare Cavendish Facebook”.

Okazało się, że na Facebooku jest wiele osób o takim nazwisku. Zanim znalazłam tę właściwą, kawa zdążyła mi wystygnać. Na zdjęciu profilowym widniała fotka pary przebranej w kostiumy z serialu *Doctor Who*. Trudno było rozpoznać Clare w potarganej rudej peruce, ale coś w sposobie, w jaki się śmiała, odrzucając głowę do tyłu, kazało mi się zatrzymać przy jej zdjęciu, gdy przeglądałam niekończącą się listę. Mężczyzna był przebrany za Matta Smitha, miał opadające na bok włosy, okulary w rogowej oprawie i muchę. Kliknęłam na fotografię, żeby ją powiększyć, a potem długo się gapiłam na tę twarz, próbując rozróżnić rysy pod burzą rudych włosów. Ale im dłużej patrzyłam, tym bardziej byłam przekonana, że to Clare. Mężczyzny nie rozpoznawałam, tego byłam pewna.

Kliknęłam w zakładkę „Informacje”. W części „Wspólni znajomi” zobaczyłam „Nina da Souza”. A zatem to była Clare. Pod nagłówkiem „Rodzina i związki” widniała informacja „W związku z Williamem Pilgrimem”. To nazwisko przykuło moją uwagę. W jakiś nieuchwytny sposób wydawało mi się znajome. Ktoś ze szkoły? Ale jedynym Williamem na naszym roku był Will Miles. Pilgrim... Nie pamiętałam nikogo, kogo by tak nazywano. Kliknęłam na jego profil, jednak wyświetliło się tylko anonimowe zdjęcie przedstawiające napełniony do połowy kufel piwa.

Wróciłam do profilu Clare. Gdy tak patrzyłam na jej zdjęcie, próbując podjąć decyzję, słowa Flo odbijały się echem w mojej głowie: *Ona ma ogromną nadzieję, że będziesz w stanie przyjechać. Często o tobie mówi.*

Poczułam ucisk w sercu. Może to było poczucie winy.

Wtedy wyjechałam, nie oglądając się za siebie. Byłam w szoku. Nogi uginały się pode mną i przez długi czas skupiałam się wyłącznie na tym, by iść dalej, by stawiać jedną stopę przed drugą, by odciąć się od przeszłości.

To był instynkt samozachowawczy: tylko tyle potrafiłam z siebie wykrzesać. Nie pozwalałam sobie myśleć o tym, co za sobą zostawiłam.

Teraz Clare zalotnie zerknęła na mnie spod rudej peruki, a mnie się wydawało, że widzę w jej oczach coś błagalnego, jakiś wyrzut.

Zaczęłam wspominać. Clare potrafiła sprawić, że człowiek czuł się jak milion dolarów, tylko dlatego że to jego wybrała z tłumu. Przypomniałam sobie jej niski, gardłowy śmiech, karteczki, które przesyłała mi na lekcjach, jej szelmowskie poczucie humoru.

Przypominałam sobie, jak po raz pierwszy nocowałam poza domem. Miałam wtedy może sześć lat. Leżałam na posłaniu na podłodze w sypialni Clare i wsłuchiwałam się w jej uspiony oddech. Przyśnił mi się koszmar i zmoczyłam prześcieradło, a Clare... Clare przytuliła mnie i dała mi do potrzymania swojego misia, podczas gdy sama zakradła się do szafki po nową pościel, a poplamioną ukryła w koszu na brudną bieliznę. W pewnym momencie usłyszałam głos jej matki, niski i zaspany. Pytała, co się stało, a Clare odpowiedziała prędko: „Przewróciłam szklankę z mlekiem, mamusi. Zmoczyłam całe łóżko Lee”.

Na chwilę cofnęłam się o dwadzieścia lat. Znowu byłam tą małą, przerażoną dziewczynką. Poczułam zapach jej sypialni, nasze nieświeże nocne oddechy, słodycz perełek do kąpieli w szklanym słoiku stojącym na parapecie, woń świeżo upranej pościeli.

– Nie powiesz nikomu? – wyszeptalam, gdy prześcielałyśmy łóżko, a ja chowałam do plecaka mokre spodnie od piżamy.

Pokręciła głową.

– Pewnie, że nie.

I nigdy nie powiedziała.

Siedziałam pogrążona we wspomnieniach, gdy rozległo się ciche piknięcie, sygnalizujące nadejście nowego e-maila. Tym razem od Niny.

No to jaki mamy plan? Flo dopytuje. Zawieramy pakt? Nx

Wstałam i podeszłam do drzwi. Czułam mrowienie w palcach na myśl o tym, jak głupie było to, co zamierzałam zrobić. Po czym wróciłam do biurka i zanim zdążyłam zmienić zdanie, wystukałam:

OK. Umowa stoi. xx

Odpowiedź Niny przyszła jakąś godzinę później.

Wow! Nie zrozum mnie źle, ale muszę przyznać, że jestem zaskoczona. To znaczy pozytywnie. Zatem umowa stoi. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy wystawić mnie do wiatru. Pamiętaj, jestem lekarką. Znam co najmniej 3 sposoby na zabicie cię bez pozostawienia śladów. Nx

Odetchnęłam głęboko, odszukałam pierwszy e-mail od Flo i zaczęłam pisać:

Droga Florence (Flo?),

z przyjemnością przyjadę. Podziękuj, proszę, Clare za to, że o mnie pomyślała. Bardzo się cieszę, że spotkam się z wami wszystkimi w Northumberland i dowiem się, co u niej słychać.

Pozdrawiam ciepło,

Nora (choć Clare zna mnie pod imieniem Lee).

PS W przyszłości lepiej używaj tego adresu mailowego. Tego drugiego nie sprawdzam tak regularnie.

Wkrótce runęła lawina pełnych żalu odpowiedzi odmownych. Wszyscy wyjaśniali, że zaproszenie przyszło za późno. *Wyjeżdżam w ten weekend... Tak mi przykro, muszę pracować... Rodzinne nabożeństwo żałobne...* (Nina: *Pogrzeb czeka następną osobę, która nadużyje przycisku „Odpowiedz wszystkim”*). *Obawiam się, że będę wtedy nurkować w Kornwalii!* (Nina: *Nurkować? W listopadzie? Nie mogła wymyślić lepszej wymówki? Rany, gdybym wiedziała, że poprzeczka jest zawieszona tak nisko, powiedziałabym, że utknęłam w kopalni w Chile czy coś*).

W końcu lista się wyklarowała. Clare, Flo, Melanie, Tom (reakcja Niny: ???), Nina i ja.

Sześć osób. Niewiele jak na kogoś tak popularnego, jak Clare. A w każdym razie tak popularnego, jak była Clare w czasach szkolnych. Ale zaproszenie rzeczywiście przyszło na ostatnią chwilę.

Czy to dlatego mnie zaprosiła? Żeby uzupełnić braki, bo wiedziała, że z trudem uda jej się zebrać przyzwoitą grupę? Ale nie, to nie było w stylu Clare, a w każdym razie nie w stylu tej Clare, którą kiedyś znałam. Tamta Clare zaprosiłaby dokładnie te osoby, które chciała zobaczyć, i zrobiłaby z całej imprezy tak ekskluzywne wydarzenie, że pozwoliłaby na przybycie tylko garstce wybrańców.

Odsunęłam wspomnienia na bok, przykrywając je kocem rutyny, jednak wciąż wyczierały na powierzchnię – w trakcie przebieżki, w środku nocy, zawsze wtedy, gdy najmniej się ich spodziewałam.

Dlaczego, Clare? Dlaczego teraz?

Listopad nadszedł zatrważająco szybko. Robiłam, co mogłam, żeby nie myśleć o tej sprawie i skupić się na pracy, jednak w miarę, jak zbliżał się termin wyjazdu na weekend, stawało się to coraz trudniejsze. Pokonywałam dłuższe trasy, żeby bardziej się zmęczyć i z łatwością zasnąć, ale gdy tylko przykładalam głowę do poduszki, zaczynały w niej rozbrzmiewać szept. Dziesięć lat. Po tym wszystkim, co się wydarzyło. Czy popełniałam ogromny błąd?

Wycofałam się, gdyby nie Nina. I tak oto, gdy nadszedł zimny, gorzki poranek 14 listopada, wysiadłam z pociągu w Newcastle z walizką w dłoni i Niną u boku. Palila papierosa, którego sama sobie skręciła, i zrzędziła na Anglię, podczas gdy ja kupowałam kawę w kiosku na peronie. To był jej trzeci wieczór paniński w tym roku (mach), na ostatni wydała prawie pięćset funciaków (mach), a ten będzie ją kosztował koło tysiąca, jeśli weźmie się pod uwagę jeszcze ślub (mach). Serio, wolałaby im wypisać czek, zamiast marnować urlop. Zadeptując niedopałek, poprosiła, żebym raz jeszcze przypomniła jej, dlaczego nie mogła zabrać ze sobą Jess.

– Bo to wieczór paniński – powiedziałam. Zgarnęłam kawę i podażyłam za Niną w stronę parkingu. – O to właśnie chodzi, żeby zostawić drugie połowy w domu. Inaczej równie dobrze można by przyprowadzić pieprzonego pana młodego i mieć to wszystko z głowy.

Nie przeklinam za często, chyba że w jej towarzystwie. Zupełnie jakby ta wulgarna część mnie czekała ukryta, aż Nina w jakiś sposób ją wyzwoli, wypuści na wolność.

– Nadal nie masz prawa jazdy? – zapytała, gdy kładłyśmy bagaże na tylne siedzenie wynajętego forda.

Wzruszyłam ramionami.

– To jedna z wielu podstawowych umiejętności życiowych, których nigdy nie udało mi się opanować. Przykro mi.

– Mnie nie przepraszaj. – Usiadła za kierownicą, zatrzasnęła drzwiczki i wsunęła kluczyk do stacyjki. – Nie znoszę, kiedy ktoś inny siedzi za kierownicą. Prowadzenie samochodu jest jak karaoke. Ty śpiewasz doskonale, ale popisy innych są po prostu żenujące albo zatrważające.

– Cóż... chodzi o to, że... kiedy się mieszka w Londynie, samochód jest raczej luksusem niż koniecznością. Nie sądzisz?

– Przydaje się, żeby odwiedzić rodziców.

– Hm. – Wyjrzałam przez okno, podczas gdy Nina wcisnęła sprzęgło. Podskoczyłyśmy parę razy, zanim zapanowała nad autem. – Dotarcie do Australii w volvo to byłby niezły wyczyn. – Boże, zapomniałam, że twoja mama wyemigrowała! Z... Jak on ma na imię? Twój ojczym?

– Philip – powiedziałam. Dlaczego zawsze czuję się jak nadąsana nastolatka, kiedy wymawiam jego imię? Przecież to imię jak każde inne.

Nina obrzuciła mnie baczny spojrzeniem, po czym kiwnęła głową na nawigację satelitarną.

– Uruchom to, dobrze? I wklep kod pocztowy, który podała nam Flo. To nasza

jedyna nadzieja na wydostanie się w jednym kawałku z centrum Newcastle.

Westerhope, Throckley, Stanegate, Haltwhistle, Wark... Znaki drogowe przemykały za oknem niczym linijki wiersza, droga rozwijała się przed nami jak stalowoszara wstążka rzucona na niskie wzgórza i wrzosowiska wystrzyżone przez owce. Połączone zachmurzonego nieba nad naszymi głowami była ogromna, a małe kamienne budyneczki, które mijałyśmy od czasu do czasu, tłoczyły się w grupach w zagłębieniach krajobrazu, jakby ze strachu, że zostaną zauważone. Nie musiałam pilnować mapy, a czytanie w trakcie jazdy zawsze przyprawia mnie o mdłości, więc zamknęłam oczy, odcinając się od Niny i dźwięków płynących z radia. Zostałam sama z pytaniami, które wciąż nie dawały mi spokoju.

Dlaczego ja, Clare? Dlaczego teraz?

Czy chodziło po prostu o to, że wychodziła za mąż i chciała odnowić starą przyjaźń? A jeśli tak, to dlaczego nie zaprosiła mnie na ślub? Najwyraźniej zaprosiła Ninę, więc to nie była ceremonia tylko dla rodziny ani nic w tym stylu.

Wyobraziłam sobie Clare, jak potrząsa głową, upominając mnie, żebym była cierpliwa, żebym poczekała. Clare zawsze lubiła sekrety. Jej ulubioną rozrywką było odkrywanie czegoś na temat danej osoby, a potem napomykanie jej o tym. Nie rozgłaszała tego, tylko rzucała zawołane aluzje, rozumiane tylko przez nią i tę osobę. Aluzje, które dawały ci znać, że ona wie.

Zatrzymałyśmy się w Hexham na lunch i przerwę na papierosa dla Niny, a potem pojechaliśmy dalej, w kierunku Kielder Forest, wiejskimi drogami pod ogromnym niebem. Z czasem droga zaczęła się zwężać, a drzewa przybliżyć. Najpierw zajęły wąskie pasmo torfu wzdłuż trasy, potem stanęły na poboczu niczym strażnicy, powstrzymywane tylko przez wątki kamienny murek bez zaprawy.

Gdy wjechałyśmy do lasu, nawigacja satelitarna zaczęła szwankować, aż w końcu padła na amen.

– Czekaj. – Zaczęłam szperać w torebce. – Wydrukowałam wskazówki, które wysłała nam Flo.

– No proszę, proszę, ale z ciebie harcerka roku – skomentowała Nina, ale usłyszałam ulgę w jej głosie. – A czemu nie skorzystamy z iPhone'a?

– Oto czemu. – Pokazałam jej telefon, na którym bez powodzenia próbowałam załadować Google Maps. – Jest nieprzewidywalny.

Popatrzyłam na wydruki. *Szklany dom*, brzmiał nagłówek, *Stanebridge Road*. – Okej, zaraz trzeba będzie skręcić w prawo. Lada chwila... – powiedziałam, gdy na pełnym gazie minęłyśmy właściwy zjazd. – To był właśnie ten zjazd. Przegapiłyśmy go – zauważyłam najdelikatniej, jak potrafiłam.

– Świetna z ciebie pilotka, do cholery!

– Co?

– Powinnaś powiedzieć mi o zjeździe, zanim do niego dotrzemy, wiesz? – Zaczęła

naśladować mechaniczny głos nawigacji satelitarnej: – Skręć w lewo za – pięćdziesiąt – metrów. Skręć w lewo za – trzydzieści – metrów. Zawróć, gdy będzie to bezpieczne. Minęłaś swój zjazd.

– No więc zawróć, gdy będzie to bezpieczne, paniusiu. Minęłaś swój zjazd.

– Pieprzyć bezpieczeństwo! – Nina wdusiła hamulec i z wściekłością zawróciła na trzy, tuż przed następnym zakrętem leśnej drogi.

Zamknęłam oczy.

– Co mówiłaś o karaoke?

– Och, przecież i tak jesteśmy na zadupiu. Nikt tędy nie jeździ.

– Poza resztą osób zaproszonych na ten wieczór paniński.

Ostrożnie uniosłam powieki i zobaczyłam, że zawróciliśmy i pędzimy w przeciwnym kierunku.

– Okej, to tutaj. Na mapie wygląda jak ścieżka dla pieszych, ale to właśnie ją oznaczyła Flo.

– To jest ścieżka dla pieszych!

Nina zakręciła kierownicą i wpadliśmy na ścieżkę przez lukę w drzewach. Malutki samochód zaczął szarpać i podskakiwać na zrytym koleinami błotnistym dukcie.

– Wydaje mi się, że oficjalny termin to „droga gruntowa” – wysapałam urywanym głosem, podczas gdy Nina wyminęła ogromny, wypełniony błotem rów przypominający wodopój dla hipopotamów, po czym pokonała kolejny zakręt. – Czy to jest ich podjazd? Musi mieć z pół mili.

Spojrzałam na ostatni wydruk, mapę w takiej skali, że przypominała zdjęcie lotnicze. Nie widziałam w okolicy innych domów.

– Jeśli to jest ich droga dojazdowa – oświadczyła Nina, zacinając się, podczas gdy samochód podskoczył na następnej koleinie – to powinni lepiej o nią dbać, do cholery. Jeśli połamię zawieszenie w wynajętym aucie, pozwę kogoś do sądu. Nie obchodzi mnie kogo, ale niech mnie diabli, jeśli sama za to zapłacę.

Na szczęście po pokonaniu kolejnego zakrętu dotarliśmy na miejsce. Nina przejechała przez wąską bramę, zaparkowała i zgasiła silnik. Wysiadaliśmy, gapiąc się na dom.

Sama nie wiem, czego się spodziewałam, ale z pewnością nie tego. Może jakiejś chaty krytej strzechą, z belkowaniem i niskimi sufitami. Tymczasem na leśnej polanie stała niezwykła budowla ze szkła i stali. Wyglądała, jakby jakieś dziecko znużone zabawą minimalistycznymi klockami rzuciło je niedbale na ziemię. Tak kompletnie nie pasowała do otoczenia, że stanęliśmy jak wryte, z otwartymi ustami.

Otworzyły się drzwi i gdy zobaczyłam błysk jasnych blond włosów, wpadłam w kompletną panikę. To był błąd. Nie powinnam tu przyjeżdżać. Ale było już za późno, żeby się wycofać.

W drzwiach stała Clare.

Tylko że... była jakaś... inna.

Przecież minęło dziesięć lat, upomniałam się. Ludzie się zmieniają, przybierają na

wadze. Człowiek w wieku lat dwudziestu sześciu kompletnie się różni od swojego szesnastoletniego ja – powinnam o tym wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny.

Ale Clare... Wyglądała, jakby coś w niej pękło, jakby zgasło w niej jakieś światło.

Potem się odezwała i iluzja prysła. Ten głos nie należał do Clare. Był zbyt głęboki. Clare przemawiała głosem wysokim, dziewczęcym i bardzo, bardzo wytwornym.

– Cześć!!! – zawołała dziewczyna tonem zdradzającym trzy wykrzykniki i jeszcze zanim zdążyła się znowu odezwać, wiedziałam, z kim mamy do czynienia. – Jestem Flo!

Wiecie, jak to jest, gdy widzicie brata czy siostrę kogoś sławnego i macie wrażenie, że patrzycie na odbicie tej sławnej osoby w krzywym zwierciadle? Lustro zniekształca na tyle subtelnie, że trudno stwierdzić, na czym polega różnica, wiadomo tylko, że ta różnica istnieje. Jakby esencja tego człowieka została utracona. Przypomina to fałszywą nutę w piosence.

Tak właśnie wyglądała dziewczyna stojąca w drzwiach.

– O mój Boże! Jak dobrze was widzieć! Ty musisz być... – Przeniosła wzrok ze mnie na Ninę i wybrała łatwiejszą opcję. Nina ma metr osiemdziesiąt wzrostu i jest Brazylijką. To znaczy jej ojciec pochodzi z Brazylii, mama jest z Dalston. Nina urodziła się w Reading, ma profil jastrzębia i włosy Evy Longorii. – Nina, zgadza się?

– Owszem – Nina wyciągnęła dłoń na powitanie. – A ty jesteś Flo?

– Yeah!

Nina obrzuciła mnie takim spojrzeniem, jakby chciała mnie sprowokować do śmiechu. Nie sądziłam, że ludzie naprawdę używają tego słowa, a jeśli nawet, to byłam przekonana, że zostaje ono z nich wytluczone w szkole albo wyśmiane na studiach. Kto wie, może Flo była twardą sztuką.

Dziewczyna entuzjastycznie potrząsnęła dłonią Niny, po czym zwróciła się do mnie z promiennym uśmiechem: – W takim razie ty jesteś... Lee, prawda?

– Nora – powiedziałam odruchowo.

– Nora? – Ściągnęła brwi, zdezorientowana.

– Mam na imię Leonora – wyjaśniłam. – W szkole nazywano mnie Lee, ale teraz wolę imię Nora. Wspominałam o tym w e-mailu.

Zawsze nienawidziłam zdrobnienia Lee. To męskie imię, imię, które zachęca do dokuczania i złośliwych rymowanek. Lee już nie istniała. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

– Och, jasne! Mam kuzynkę o imieniu Leonora! Nazywamy ją Leo.

Powstrzymałam wzdrygnięcie. Nie Leo. Nigdy Leo. Tylko jedna osoba tak mnie nazywała.

Milczenie między nami zaczęło się przeciągać, aż w końcu Flo przerwała je nieco zbyt głośnym śmiechem.

– Ha! Dobra. Okej. Cóż, będziemy się świetnie bawić! Clare jeszcze tu nie ma. Jako jej druhna uznałam, że powinnam przybyć pierwsza!

– No więc jakie okropne tortury dla nas przygotowałaś? – zapytała Nina, przeciągając walizkę przez próg. – Boa z piór? Czekoladowe penisy? Ostrzegam cię, że mam na nie alergię, dostanę wstrząsu anafilaktycznego. Nie zmuszaj mnie do wyciągania mojego EpiPena.

Flo zaśmiała się nerwowo. Zerknęła na mnie, a potem z powrotem na Ninę, próbując ocenić, czy żartuje. Komuś, kto jej nie zna, czasem trudno jest odgadnąć jej intencje. Nina odwzajemniła spojrzenie Flo z całkowitą powagą. Widziałam, że zastanawia się, czy dalej się z nią droczyć.

– Ten dom jest, hm... uroczy – wtrąciłam, próbując temu zapobiec, chociaż szczerze mówiąc, nie tego słowa szukałam. Dom, choć otoczony lasem, wydawał się boleśnie obnażony. Szklana fasada ukazywała jego wnętrze oczom całej doliny.

– Prawda? – rozpromieniła się Flo, z ulgą powracając do bezpiecznego tematu. – To letnia siedziba mojej ciotki. W zimie nie przyjeżdża tu za często, bo dom leży na od-ludziu. Salon jest tutaj...

Poprowadziła nas przez wysoki, rozbrzmiewający echem hall do długiego, niskiego pomieszczenia, którego cała jedna ściana była przeszklona i wychodziła na las. Salon wydawał się dziwnie nagi. Poczułam, jakbyśmy znajdowały się na scenie, odgrywały swoje role na oczach widowni kryjącej się wśród drzew. Zadrżałam i stanęłam tyłem do okna. Rozejrzałam się po pokoju. Choć stały w nim długie miękkie sofy, wydawał się osobliwie pusty. Dopiero po chwili zrozumiałam dlaczego. Nie chodziło tylko o minimalistyczny wystrój – trzy doniczki na kominku i jeden obraz Marka Rothko na ścianie – ale o fakt, że w całym pomieszczeniu nie było ani jednej książki. To miejsce nie przypominało domku letniskowego – wszędzie, gdziekolwiek zatrzymałam się na wakacje, widywałam półki pełne czytanych tomów Dana Browna i Agathy Christie – lecz raczej dom pokazowy.

– Linia naziemna jest tutaj. – Flo wskazała stary telefon z tarczą i słuchawką na spiralnym kablu, dziwnie zagubiony w tym modernistycznym otoczeniu. – Trudno złapać tu zasięg, więc nie wahajcie się z niego korzystać.

Ale ja nie patrzyłam na telefon. Nad surowym, nowoczesnym kominkiem wisiało coś, co wydawało się jeszcze bardziej nie na miejscu: wypolerowana strzelba, zatknięta na drewnianych kołkach. Wyglądała, jakby została tu przeniesiona z wiejskiego pubu. Czy była prawdziwa?

Zmusiłam się, by oderwać od niej wzrok, gdy zdałam sobie sprawę, że Flo dalej do nas mówi:

– ...a na górze są sypialnie. Pomóc wam z tymi walizkami?

– Nie, dam radę – powiedziałam w tym samym momencie, gdy Nina wypaliła:

– Cóż, skoro proponujesz...

Flo wyglądała na zaskoczoną, ale dzielnie złapała ogromną walizkę na kółkach należącą do Niny i zaczęła ją wciągać po kręconych schodach z matowego szkła.

– Tak jak mówiłam – wysapała, gdy wspinałyśmy się na górę – są tu cztery sypialnie. Pomyślałam, że ja i Clare zajmiemy jedną, wy drugą, Tom oczywiście będzie musiał mieć własną.

– Oczywiście – powtórzyła Nina, zachowując kamienny wyraz twarzy.

Ja jednak byłam zbyt zajęta trawieniem wiadomości, że będę dzielić sypialnię z Niną. Miałam nadzieję na własny kawałek przestrzeni, miejsce, w którym będę mogła się ukryć.

– No i zostaje jeszcze Mels, Melanie... Wiecie, ona nie ma nikogo do pary. Ale ma

sześciomiesięczne dziecko, więc pomyślałam, że z nas wszystkich najbardziej zasługuje na własny pokój.

– Co? Ale chyba nie przywozi tego dziecka tutaj? – Nina wyglądała na autentycznie zaniepokojoną.

Flo ryknęła śmiechem przypominającym klakson samochodu. Zdusiła go z zażenowaniem, zasłaniając usta dłonią.

– Nie! Ale wiecie, pewnie będzie potrzebowała porządnego snu bardziej niż reszta z nas.

– Och, okej. – Nina zajrzała do jednego z pomieszczeń. – W takim razie która sypialnia jest nasza?

– Te dwie na końcu są największe. Ty i Lee możecie zająć tę po prawej, jeśli chcecie, ma dwa łóżka. W tej drugiej jest podwójne łoże z baldachimem, ale ja nie mam nic przeciwko temu, żeby spać w nim z Clare. – Zatrzymała się na podeście, oddychając ciężko. Wskazała na drzwi z jasnego drewna po prawej stronie. – Proszę.

W środku stały dwa schludne białe łóżka i niska to-aletka – wszystko anonimowe jak w pokoju hotelowym – a naprzeciwko łóżek kolejna upiorna tafla szkła, wychodząca na północ, na sosnowy las. Tutaj trudniej było zrozumieć przeszkloną ścianę. Za domem wznosiło się wzgórze, więc nie było tu tak spektakularnego widoku jak z frontu. Efekt był raczej klaustrofobiczny – mur zieleni, coraz ciemniejszy w zapadającym zmierzchu. Popatrzyłam na ciężkie kremowe zasłony i zwalczyłam ochotę, żeby natychmiast je zaciągnąć.

Flo z hukiem upuściła walizkę Niny na podłogę. Odwróciłam się, a ona uśmiechnęła się do mnie szeroko. Uśmiech sprawił, że nagle wydała się niemal tak ładna, jak Clare.

– Jakieś pytania?

– Owszem – powiedziała Nina. – Nie masz nic przeciwko, żebym tu paliła?

Mina Flo zrzędnęła.

– Obawiam się, że moja ciotka nie życzy sobie palenia w domu. Ale macie balkon. – Przez chwilę mocowała się z drzwiami balkonowymi, zanim udało jej się je rozsunąć. – Możesz palić tutaj, jeśli chcesz.

– Super – ucieszyła się Nina. – Dzięki.

Flo stoczyła kolejną walkę z drzwiami, tym razem po to, żeby je zamknąć. Potem wyprostowała się, z twarzą zarumienioną od wysiłku, i otarła dłonie o uda. – Dobra! Cóż, pozwolę wam się rozpakować. Zobaczymy się na dole, yeah?

– Yeah! – odpowiedziała Nina entuzjastycznie, a ja spróbowałam zamaskować jej szyderstwo, wołając „Dzięki!” niepotrzebnie głośno, przez co zabrzmiało to dziwnie agresywnie.

– Eee, tak! Okej! – skwitowała Flo niepewnie, po czym wycofała się z pokoju i zniknęła w korytarzu.

– Nina... – powiedziałam ostrzegawczo, podczas gdy ona podeszła do okna, by spojrzeć na las.

– No co? – rzuciła przez ramię. Po czym dodała: – Zatem ów „Tom” najwyraźniej jest rodzaju męskiego, sądząc po tym, z jaką determinacją Flo stara się odizolować jego

szalejące chromosomy Y od naszych delikatnych kobiecych części.

Wbrew sobie prychnęłam śmiechem. Tak to już jest z Niną. Człowiek wybaczają jej rzeczy, które innym nie uszłyby na sucho.

– Pewnie jest gejem, nie sądzisz? – zauważyłam. – Inaczej chyba nie zostałby zaproszony na wieczór panieński.

– Hm, wyobraź sobie, że homoseksualizm nie wywołuje zmiany płci. Tak mi się przynajmniej wydaje. Czeka... – Zerknęła w swój dekolt. – Tak, wszystko w porządku. Cycki na miejscu, rozmiar się zgadza.

– Nie to miałam na myśli i dobrze o tym wiesz – rzuciłam własną walizkę na łóżko, po czym przypomniałam sobie, że mam w niej kosmetyczkę, i otworzyłam ją bardziej delikatnie. Na wierzchu leżały moje adidasy. Postawiłam je równo przy drzwiach. Dodający otuchy symbol „wyjścia awaryjnego”.

– Wieczory panieńskie częściowo polegają na docenianiu męskiego ciała. Właśnie to łączy kobiety i gejów.

– Chryste, dopiero teraz mi to mówisz? To doskonała wymówka. Czy następnym razem, gdy zostanę zaproszona na wieczór panieński, mogłabyś użyć opcji „odpowiedz wszystkim” i napisać: *Przykro mi, Nina nie będzie mogła się pojawić, bo nie docenia męskiego ciała?*

– Och, na litość boską! Powiedziałam, że częściowo na tym polegają.

– W porządku. – Nina odwróciła się z powrotem do okna. Pnie drzew przypominały ciemne smugi w zielonym zmierzchu. – Już przywykłam do tego, że jestem wyrzucana poza nawias heteronormatywnego społeczeństwa – oświadczyła łamiącym się głosem.

– Odpieprz się – rzuciłam zrzędlawie, a ona spojrzała na mnie z uśmiechem.

– A tak w ogóle, to co my tu robimy? – Podeszła do swojego łóżka i padła na plecy. Dwoma wykopami w powietrze zrzuciła ze stóp buty. – Nie wiem jak ty, ale ja nie widziałam Clare od jakichś trzech lat.

Nie odezwałam się. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Po co tu przyjechałam? Dlaczego Clare mnie zaprosiła?

– Nina... – zająknęłam się. Miałam gulę w gardle. Czułam, jak mój puls przyspiesza. – Nina, za kogo...?

Ale zanim zdążyłam dokończyć, usłyszałyśmy dudnienie dochodzące z hallu.

Ktoś dobijał się do drzwi.

Nagle przestałam być pewna, czy jestem gotowa poznać odpowiedzi na swoje pytania.

Nina i ja popatrzyłyśmy po sobie. Serce waliło mi w rytm kołatki do drzwi, ale próbowałam zachować pokerową twarz.

Dziesięć lat. Czy się zmieniła? Czy ja się zmieniłam?

Przełknęłam ślinę.

W wysokim hallu rozległ się dźwięk kroków Flo, potem odgłos metalu trącego o metal, gdy otwierała ciężkie drzwi, a następnie szmer głosów, gdy nowo przybyła osoba, kimkolwiek była, weszła do środka.

Nasłuchiwałam uważnie. To nie był głos Clare. Przez śmiech Flo dotarł do mnie ton, który brzmiał wyraźnie... męsko?

Nina przekręciła się na bok i podparła na łokciu.

– No, no, no... Wygląda na to, że przybył Tom w pełni wyposażony w chromosomy Y.

– Nina...

– No co? Będiesz tak na mnie patrzeć, czy może zejdziemy na dół i poznamy jedyne kogucika w kurniku?

– Nina! Nie rób tego...

– Czego mam nie robić? – Wstała z łóżka.

– Nie rób nam obciachu. Nie zawstydzaj go.

Ale ona już zniknęła, bosą, sprężystym krokiem pokonując szklane schody. Z dołu dobiegł mnie jej głos:

– Cześć, chyba się nie znamy...

Chyba się nie znamy. Cóż, w takim razie to z pewnością nie była Clare. Odetchnęłam głęboko, po czym zeszałam za Niną do hallu.

Najpierw zobaczyłam ich z góry. Przy drzwiach stała dziewczyna o lśniących czarnych włosach upiętych w kok na karku – przypuszczalnie Melanie. Uśmiechała się i potakiwała, słuchając Flo, ale przy tym z roztargnieniem stuknęła w ekran swojego smartfona. Obok stał jakiś koleś o gładkich kasztanowych włosach, z walizką Burberry w dłoni. Miał na sobie nienagannie białą koszulę, która musiała zostać profesjonalnie wyprana – żadnemu normalnemu człowiekowi nie udałooby się zaprasować takich kantów na rękawach – oraz szare wełniane spodnie, ewidentnie od Paula Smitha. Zerknął w górę, gdy usłyszał moje kroki na schodach, i uśmiechnął się.

– Cześć, jestem Tom.

– Cześć, jestem Nora. – Zmusiłam się, by pokonać kilka ostatnich schodków, i wyciągnęłam do niego dłoń. Jego twarz wydawała mi się niewiarygodnie znajoma. Zastanawiałam się, skąd mogę go znać, ale bezskutecznie, więc zwróciłam się do ciemnowłosej dziewczyny: – A ty musisz być... Melanie?

– Hm, tak, cześć. – Uniosła na moment wzrok i obdarzyła mnie podenerwowanym uśmiechem. – Przepraszam, ale... zostawiłam moje sześciomiesięczne dziecko w domu z mężem. Po raz pierwszy. Naprawdę chciałabym zadzwonić i sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku. Nie ma tu zasięgu?

– Nie bardzo – powiedziała Flo przepaszająco. Twarz miała zarumienioną, nie

byłam pewna, czy z nerwów, czy z podekscytowania. – Przykro mi. Czasami można złapać zasięg w ogrodzie, na wzniesieniu, albo z balkonu, w zależności od tego, w jakiej jesteś sieci. Ale w salonie jest telefon stacjonarny. Chodź, zaprowadzę cię.

Poszła przodem, a ja zwróciłam się z powrotem do Toma. Wciąż nie opuszczało mnie to osobliwe wrażenie, że gdzieś już go widziałam.

– A więc skąd znasz Clare?

– Och, wiesz, jak to jest w branży teatralnej. Wszyscy znają wszystkich! Ale oficjalnie poznaliśmy się przez mojego męża. Jest reżyserem.

Nina stojąca za plecami Toma mrugnęła do mnie teatralnie. Z wściekłością zmarszczyłam brwi, po czym szybko przybrałam inny wyraz twarzy, bo Tom spojrzał na mnie z konsternacją.

– Przepraszamy, mów dalej – wtrąciła Nina poważnym tonem.

– Poznałem Clare na zbiórce funduszy na rzecz Royal Theatre Company. Bruce coś tam reżyserował, a my zaczęliśmy rozmawiać o pracy.

– Jesteś aktorem? – zapytała Nina.

– Nie, dramaturgiem.

To zawsze dziwne uczucie, gdy spotyka się innego pisarza. Łączy nas koleżeństwo, niemal masońska więź. Zastanawiałam się, czy hydraulicy czują to samo, gdy poznają innych hydraulików, albo czy księgowi pozdrawiają się tajnymi kiwnięciami głowy. A może to wydaje mi się dziwne, bo pisarze rzadko spotykają innych pisarzy; większość zawodowego życia spędzamy w samotności.

– Nora jest pisarką – zagaiła Nina. Zmierzyła nas wzrokiem, jakby wypuszczała na ring dwóch bokserów wagi koguciej.

– Naprawdę? – Tom spojrzał na mnie, jakby dopiero mnie zobaczył. – Co piszesz?

Nienawidzę tego pytania. Nigdy nie nauczyłam się swobodnie rozmawiać o swoim pisarstwie, nigdy nie pozbyłam się tego uczucia, że ludzie kartkują moje prywatne myśli.

– Hm... powieści – odparłam ogólnikowo. Tak naprawdę to powieści kryminalne, ale gdy tylko się do tego przyznasz, ludzie zaczynają ci podsuwać pomysły na fabułę i motywy morderstwa.

– Serio? Pod jakim nazwiskiem?

Uprzejmy sposób na zapytanie „Czy jesteś znana?”. Większość ludzi ujmuje to mniej taktownie.

– L.N. Shaw. „N” nic nie znaczy. Nie mam drugiego imienia. Wstawiam „N”, bo L. Shaw brzmiało za krótko, L.N. płynniej się wymawia, jeśli wiesz, co mam na myśli. A więc piszesz sztuki?

– Owszem. Chociaż zazdroszczę powieściopisarzom. Możecie wszystko kontrolować. Nie musicie się użerać z aktorami masakrującymi wasze najlepsze wersy. – Błysnął uśmiechem, pokazując nienaturalnie białe zęby. Zastanawiałam się, czy ma porcelanowe licówki.

– Ale to musi być miłe pracować z ludźmi? – pozwoliłam sobie zauważyć. – To znaczy dzielić się odpowiedzialnością. Sztuka teatralna to wielkie przedsięwzięcie, prawda?

– Tak, chyba tak. Trzeba się dzielić chwałą, ale z drugiej strony, jeśli gówn

wpadnie w wentylator, ochlapie wszystkich równomiernie.

Miałam coś dodać, gdy w salonie rozległ się brzęk słuchawki odkładanej przez Melanie. Tom odwrócił się w tamtym kierunku. Coś w skrzywieniu jego głowy czy w wyrazie twarzy sprawiło, że uświadomiłam sobie, gdzie go widziałam.

To zdjęcie. Zdjęcie profilowe Clare na Facebooku. To był on. A zatem mężczyzna na fotografii nie był jej narzeczonym.

Wciąż trawiłam to odkrycie, gdy uśmiechnięta Melanie wróciła z salonu.

– Uff, dodzwoniłam się do Billa. Wszystko w porządku. Przepraszam, że byłam taka roztargniona. Od porodu jeszcze ani razu nie nocowałam poza domem i to trochę ryzykowne przedsięwzięcie. Nie żeby Bill nie dał sobie rady. Jestem pewna, że sobie poradzi, ale... Och, nieważne, powinnam przestać paplać. Ty jesteś Nora, zgadza się?

– Idźcie do salonu! – zawołała Flo z kuchni. – Robię herbatę.

Posłusznie wmaszerowaliśmy do salonu. Obserwowałam Toma i Melanie. Byłam ciekawa, jak zareagują na ogromną przeszkloną ścianę.

– Imponujący widok, nieprawdaż? – rzucił Tom.

– Owszem. – Wpatrywałam się w las. Pograżone w cieniach drzewa wyglądały, jakby zrobiły zbiorowy krok naprzód w kierunku domu i pochyliły się, żeby zasłonić niebo. – Ale sprawia, że człowiek czuje się w jakiś sposób obnażony, prawda? To pewnie przez brak zasłon.

– To trochę tak jak wtedy, gdy w toalecie zawinie ci się tył spódnicy i zostanie zatknięty za majtki! – palnęła nieoczekiwanie Melanie, a potem się zaśmiała.

– Podoba mi się – stwierdził Tom. – Przypomina scenę.

– A my jesteśmy widownią? – zapytała Melanie. – Jeśli tak, to ta sztuka wydaje mi się nudnawa. Aktorstwo jest dość drewniane! – Wskazała na drzewa na wypadek, gdybyśmy nie zrozumieli żartu. – Łapiecie? Drzewa, drewniane...

– Łapiemy – ucięła Nina kwaśno. – Ale wydaje mi się, że Timowi chodziło o coś innego, prawda?

– Mam na imię Tom – poprawił ją z cieniem irytacji. – Ale rzeczywiście miałem na myśli odwrotną sytuację. To my jesteśmy aktorami – odwrócił się w kierunku szklanej ściany. – Widownia... widownia jest tam.

Jego słowa sprawiły, że zadrżałam. Może to przez te pnie drzew, które w zapadającym zmierzchu rzeczywiście przypominały milczących obserwatorów. A może przez chłód, który Tom i Melanie wnieśli ze sobą, wchodząc do domu. Gdy opuszczaliśmy Londyn, pogoda wydawała się jesienna; teraz, tak daleko na północy, miało się wrażenie, jakby z dnia na dzień nadeszła zima. Nie tylko dlatego, że gęste gałęzie sosen odcinały dopływ światła, a zimne, rześkie powietrze niesło obietnicę mrozu. Nadciągała noc, a dom coraz bardziej przypominał szklaną klatkę. Buchał światłem niczym latarnia; wyobraziłam sobie tysiące drżących ciem krążących wokół niego, przyciąganych jego nieubłaganym blaskiem i ginących w zderzeniu z zimnym, niegościnnym szkłem.

– Zimno mi – powiedziałam, żeby zmienić temat.

– Mnie też. – Nina potarła ramiona. – Myślicie, że uda nam się uruchomić ten kominek? Jest na gaz?

Melanie uklękła przed kominkiem i przez chwilę walczyła z drzwiczkami. W końcu odskoczyły.

– Na drewno. Mam w domu podobny. Flo – krzyknęła w stronę kuchni – możemy napalić w kominku?

– Tak! – dobiegł nas głos Flo. – Podpałka jest na gzymsie. W doniczce. Zaraz wam pomogę, jeśli sobie nie poradzicie.

Tom podszedł do kominka i zaczął zaglądać do minimalistycznych doniczek. Nagle zamarł w bezruchu. Jego wzrok przykuł ten sam przedmiot, który sprawił, że wcześniej sama stanęłam jak wryta.

– Chryste, nie słyszeli tu o strzelbie Czechowa? – rzucił.

Flo stanęła w drzwiach, z tacą wspartą o biodro.

– Nie martw się, jest naładowana ślepakami. Ciotka trzyma ją, żeby odstraszać króliki. Zżerają jej cebulki i rozgrzebują rabaty. Strzela do nich z balkonu.

– To nieco... teksaskie zachowanie, czyż nie? – zauważył Tom. Pospieszył, żeby zabrać tacę od Flo. – Nie żebym nie lubił farmerskich klimatów, ale trzymanie jej tutaj, w zasięgu wzroku... To nieco niepokojący widok dla tych z nas, którzy nie mewają morderczych myśli.

– Wiem, o czym mówisz – zapewniła Flo. – Chyba powinna sobie sprawić jakąś witrynę na broń. Ale strzelba należała do mojego dziadka, więc to swego rodzaju rodowa pamiątka. A latem warzywny zagonek znajduje się tuż za tymi drzwiami, więc ciotka lubi mieć ją pod ręką. To bardziej praktyczne.

Gdy Melanie napaliła w kominku, Flo podała podwieczorek i rozmowa zeszła na inne tematy: koszty wynajęcia samochodu, wysokość czynszu, czy lepiej najpierw nalewać do filiżanki mleko czy herbatę...

Milczałam, wciąż pogrążona w myślach.

– Herbaty? – Nie zareagowałam. Podskoczyłam, dopiero gdy Flo poklepała mnie po ramieniu. – Herbaty, Lee?

– Nora – poprawiłam ją. Zmusiłam się do uśmiechu. – Ja... przepraszam. Masz może kawę? Powinnam uprzedzić, że nie przepadam za herbatą.

Flo straciła rezon.

– Tak mi przykro, powinnam była... Nie, nie mamy kawy. A teraz jest już za późno, żeby gdzieś ją kupić; najbliższa wioską leży czterdzieści minut drogi stąd i sklep będzie zamknięty. Przepraszam, robiłam zakupy z myślą o Clare, a ona uwielbia herbatę... Nie przyszło mi do głowy...

– Nic się nie stało – przerwałam jej z uśmiechem. – Serio. – Wzięłam od niej filiżankę i upiłam łyk. Herbata była bardzo gorąca i smakowała zupełnie jak... herbata, czyli odrażająco. Jak gorące mleko połączone z płynem do barwienia sosów.

– Clare wkrótce powinna się pojawić. – Flo spojrzała na zegarek. – Mam wam powiedzieć, co zaplanowałam na ten wieczór, żebyśmy wszyscy wiedzieli, czego się spodziewać?

Kiedy zgodnie pokiwaliśmy głowami, Flo wyciągnęła listę. Raczej wyczułam, niż usłyszałam głębokie westchnienie Niny.

– A więc Clare powinna przybyć o szóstej. Pomyślałam, że zaczniemy od drinków.

Mam w lodówce trochę bąbelków, kupiłam składniki na mohito, margaritę i inne takie. Pomyślałam też, że nie będziemy zawracać sobie głowy klasyczną kolacją przy stole. – Nina zmarkotniała. – Kupiłam mrożone pizze i dipy, możemy ustawić wszystko tu, na stoliku kawowym, i zjadać. Pomyślałam też, że pogramy w jakieś gry, dzięki którym można się lepiej poznać. Oczywiście wszyscy znamy Clare, ale większość z nas chyba nie zna siebie nawzajem... Zgadza się? Właściwie to może powinniśmy szybko się ze sobą zapoznać, jeszcze zanim ona tu dotrze?

Popatrzyliśmy po sobie, zastanawiając się, kto zbierze się na odwagę i zacznie. Po raz pierwszy spróbowałam dopasować Toma, Melanie i Flo do życia Clare, którą znałam. Nie było to łatwe.

Jej znajomość z Tomem była zrozumiała. Przy jego kosztownych ciuchach i przynależności do branży teatralnej nietrudno było stwierdzić, co ich łączy. Clare zawsze uwielbiała dobrze wyglądających ludzi, zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Była dumna z atrakcyjnych przyjaciół, a w jej zachwycie nie było cienia wyrachowania. Sama była na tyle piękna, by nie zagrażało jej piękno innych. Uwielbiała też pomagać ludziom w wydobywaniu z nich tego, co najlepsze, nawet w przypadku mniej obiecujących kandydatów, takich jak ja. Pamiętam, jak przed jakimś wielkim wyjściem ciągała mnie po sklepach, przykładając sukienki do mojej chudej, pozbawionej biustu figury, i oceniała, ściągając usta, dopóki nie znalazła takiej, która była dla mnie idealna. Miała oko do tych spraw. To ona powiedziała mi, że powinnam ściąć włosy. Nie posłuchałam jej wtedy. Teraz, dziesięć lat później, noszę je krótko obcięte i wiem, że miała rację.

Melanie i Flo stanowiły większą zagadkę. Coś, co Melanie napisała w jednym z pierwszych e-maili, sprawiło, że odniosłam wrażenie, iż pracuje jako prawniczka, a może księgowa. I faktycznie – jej sposób bycia zdradzał, że lepiej czułaby się w dobrze skrojonym kostiumie. Miała drogie buty i torebkę, ale nosiła dżinsy, które Clare dziesięć lat temu nazwałaby „maminymi” – w pospolitym niebieskim kolorze, niekorzystnie wrzynające się w talię.

Z kolei dżinsy Flo były zdecydowanie designerskie, ale wyraźnie źle się w nich czuła. Cały jej strój wyglądał, jakby zdjęła go z witryny sklepu All Saints, bez wzięcia pod uwagę, czy pasuje do jej figury i podkreśla jej walory. Gdy tak patrzyłam, jak dziewczyna co chwilę ze skrzepowaniem obciąga top, próbując zakryć pulchne wybrzuszenie gromadzące się nad paskiem spodni, pomyślałam, że takie ciuchy mogłaby nosić Clare, ale tylko ktoś okrutny zaproponowałby ich włożenie Flo.

Obie dziewczyny dziwnie kontrastowały z Tomem. Trudno mi było sobie wyobrazić Clare, jaką znałam, w towarzystwie którejkolwiek z nich. Czy były tu, bo po prostu przyjaźniły się z nią na studiach i pozostały w kontakcie? Znałam tego typu przyjaźnie – człowiek zawiera je na początku jakiegoś życiowego etapu, a potem, w miarę upływu czasu, zdaje sobie sprawę, że nie ma z tymi osobami nic wspólnego, poza faktem studiowania na tej samej uczelni. Jednak wciąż wysyła im kartki urodzinowe i lajkuje ich zdjęcia na Facebooku. Jednak z drugiej strony minęło dziesięć lat, od kiedy to ja przyjaźniłam się z Clare. Może nowa Clare trzymała się z takimi osobami, jak Melanie i Flo?

Rozejrzałam się i zauważyłam, że zgromadzeni robią to samo, co ja: oceniają tych,

których nie znają, i z pewnością próbują ich dopasować do swojego wyobrażenia na temat Clare. Przyłapałam Toma na tym, że gapi się na mnie z nieskrywaną ciekawością, graniczącą niemal z wrogością. Spuściłam wzrok na podłogę. Milczenie przedłużało się, aż stało się naprawdę krępujące.

– To może ja zacznę – powiedziała w końcu Melanie. Odgarnęła włosy z twarzy i zaczęła się bawić małym srebrnym krzyżykiem na łańcuszku zawieszonym na szyi, takim, jaki dostaje się w prezencie na chrzciny. – Nazywam się Melanie Cho, cóż, właściwie Melanie Blaine-Cho, ale to trochę przydługa wersja, a zachowałam własne nazwisko ze względu na pracę. Na uniwerku mieszkaliśmy z Flo i Clare w tym samym akademiku, ale przed rozpoczęciem studiów zrobiłam sobie dwa lata wolnego, więc jestem trochę starsza od reszty z was... Chociaż nie wiem, jak jest z tobą, Tom? Mam dwadzieścia osiem lat.

– Ja dwadzieścia siedem – powiedział Tom.

– A więc jestem grupową babcią. Właśnie urodziłam dziecko, cóż, to znaczy sześć miesięcy temu. Karmię piersią, więc proszę, wybaczcie, jeśli w popłochu wybiegnę z pokoju z gigantycznymi mokrymi plamami na cyckach.

– Będiesz odciążać i wylewać pokarm? – zapytała Flo ze współczuciem. Ponad jej ramieniem zobaczyłam, jak Nina robi zeza i udaje, że próbuje się udusić. Odwróciłam wzrok, nie chciałam dać się w to wciągnąć.

– Tak. Na początku myślałam o tym, żeby spróbować jakoś przechować mleko, ale stwierdziłam, że prawdopodobnie i tak będę piła. Hm... co jeszcze? Mieszkam w Sheffield. Pracuję jako prawnik, ale teraz jestem na urlopie macierzyńskim. Mój mąż opiekuje się dziś Benem. Ben to nasze dziecko. Jest... och, cóż, nie będę was zanudzać. Jest po prostu uroczy. – Uśmiech rozjaśnił jej wcześniej zaniepokojoną twarz, a w policzkach pojawiły się dwa głębokie dołeczki. Poczulałam ukłucie w sercu. Nie wynikało z niezaspokojonego instynktu macierzyńskiego – absolutnie nie miałam ochoty zachodzić w ciążę. Po prostu zazdrościłam jej tego pełnego, nieskomplikowanego szczęścia.

– No dalej, pokaż nam fotkę – zachęcił ją Tom.

Melanie znowu uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła telefon.

– Cóż, skoro nalegasz. Popatrzcie, tak wyglądał, kiedy się urodził...

Zobaczyłam zdjęcie Melanie w szpitalu, z pobladłą, ziemistą twarzą i włosami w strąkach, uśmiechającej się ze zmęczeniem do białego zawiniątka leżącego w jej ramionach.

Musiałam odwrócić wzrok.

– A to on, jak się uśmiecha. To nie był jego pierwszy uśmiech, tego nie udało mi się zarejestrować, ale Bill był akurat w Dubaju, więc zrobiłam fotkę następnego i wysłałam mu. A tak wygląda teraz. Nie widać wyraźnie twarzy, bo włożył sobie na głowę swoją ulubioną miseczkę, słodziak.

Na tym zdjęciu dziecko wyglądało zupełnie inaczej niż na pierwszym, gdzie patrzyło w obiektyw rozgniewanym, niebieskoczarnym spojrzeniem. Tutaj zmieniło się w pucołowatą kruszynę, śmiejącą się i gaworzącą. Miało na głowie pomarańczową plastikową miskę, a po jego policzkach spływała jakaś zielona breja.

– Jaki słodki! – zachwyciła się Flo. – Wygląda zupełnie jak Bill, prawda?

– O mój Boże! – Tom wyglądał na rozbawionego, ale też przerażonego. – Witamy w świecie rodziców. Ubrania nadające się tylko do pralni chemicznej proszę zostawić na progu.

Melanie schowała telefon, wciąż z uśmiechem na ustach.

– Trochę tak to wygląda. Ale to niesamowite, jak szybko człowiek się do tego przyzwyczaja. Teraz wydaje mi się zupełnie normalne, że przed wyjściem z domu sprawdzam, czy nie zostały mi we włosach grudki owsianki. Ale nie mówmy już o nim. I tak już za nim tęsknię, nie chcę tego pogarszać. Może Nina przejmie pałeczkę? – zwróciła się do Niny, która przycupnęła obok kominka, obejmując kolana rękami. – Pamiętam, że spotkałyśmy się raz w Durham, prawda? Czy coś mi się pomyliło?

– Nie, masz rację, byłam tam kiedyś, chyba w drodze na spotkanie z kolegą w Newcastle – odparła Nina. – Raczej nie widziałam tam Flo, ale my faktycznie wpadłyśmy na siebie w barze. Dobrze pamiętam? – Melanie pokiwała głową. – No więc mam na imię Nina, chodziłam do szkoły z Clare i Norą. Jestem lekarką... cóż, właściwie to szkoleję się na chirurga. Właśnie spędziłam trzy miesiące poza krajem z Lekarzami bez Granic i dowiedziałam się więcej o ranach postrzałowych, niż chciałabym wiedzieć... Wbrew temu, co próbują wam wmówić tabloidy, w Hackney nie mamy z nimi do czynienia zbyt często. – Potarła twarz i po raz pierwszy, od kiedy opuściłyśmy Londyn, zobaczyłam, że jej fasada zaczyna pękać. Wiedziałam, że pobyt w Kolumbii odcisnął na niej piętno, ale od jej powrotu widziałyśmy się tylko dwa razy i nie chciała o tym mówić; żartowała tylko trochę na temat jedzenia. W jej twarzy zobaczyłam, jak musi wyglądać praca polegająca na łątaniu ludzi... czasami nieudanym. – W każdym razie... – Zmusiła się do uśmiechu. – Tim, Timmy, Timbo... strzelaj, chłopcze.

– Tak... – zaczął Tom, krzywiąc się. – Cóż, chyba przede wszystkim powinnyście wiedzieć, że mam na imię Tom. Tom Deauxma. Jak już wspomniałem, jestem dramaturgiem. Niezbyt znanym, ale napisałem sporo alternatywnych sztuk i zdobyłem kilka nagród. Moim mężem jest reżyser teatralny Bruce Westerly. Może o nim słyszałyście? – Zamilkł na moment. Nina potrząsnęła głową. Tom powiódł wzrokiem po naszych twarzach, aż w końcu z nadzieją popatrzył na mnie. Niechętnie zaprzeczyłam. Miałam wyrzuty sumienia, ale kłamstwo by mi nie pomogło. Tom stłumił westchnienie. – Och, cóż, ludzie spoza branży chyba nie zwracają uwagi na reżyserów. To właśnie stąd znam Clare – dzięki jej pracy dla Royal Theatre Company. Bruce często z nimi współpracuje. I oczywiście wyreżyserował *Koriolana*.

– Oczywiście – wtrąciła Flo, poważnie kiwając głową.

Chcąc zatuszować wcześniejszą porażkę, również pokiwałam głową, może odrobinę zbyt entuzjastycznie. Nina ziewnęła i wstała, bez słowa opuszczając pokój.

– Mieszkamy w Camden... – ciągnął Tom. – Mamy psa o imieniu Spartacus, w skrócie Sparky. Rasy labradoodle. Ma dwa lata. Jest absolutnie rozkoszny, ale nie jest to idealny pies dla pary pracoholików, którzy często podróżują. Na szczęście mamy świetnego wyprowadzacza. Jestem wegetarianinem... Co jeszcze? O rety, jak to o mnie świadczy? Nie minęły dwie minuty, a mnie już się skończyły interesujące informacje na mój temat. Och... Na łopatkę mam tatuaż w kształcie serca. To chyba wszystko. A ty,

Nora?

Poczułam, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu się czerwienię. Dłoń, w której trzymałam filiżankę, zadrżała i wylałam sobie trochę herbaty na kolano. Osuszyłam płamę rąbkiem szaliczka, po czym podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Nina wślizgnęła się z powrotem do salonu ze swoim kapciuchem i właśnie skręcała papierosa, przyglądając mi się spokojnie tymi swoimi wielkimi ciemnymi oczami.

Musiałam się zmusić, żeby otworzyć usta.

– Nie ma o czym opowiadać. Ja, hm... poznałam Clare w szkole, tak jak Nina.

My...

Nie rozmawialiśmy od dziesięciu lat.

Nie wiem, dlaczego tu jestem.

Nie wiem, dlaczego tu jestem.

Przełknęłam z trudem.

– Chyba trochę urwał nam się kontakt. – Czułam, jak płoną mi policzki. Kominek zaczął porządnie grzać. Uniosłam rękę, żeby zatknąć włosy za uszy. Zapomniałam, że je ścierałam, więc moje palce tylko musnęły krótkie pasma. Skórę miałam ciepłą i wilgotną. – Hm, jestem pisarką. Studiowałam na UCL, po studiach zaczęłam pracę w redakcji czasopisma, ale kiepsko mi szło, choć pewnie sama byłam sobie winna. Poświęcałam każdą wolną chwilę na pisanie własnej powieści, zamiast przeprowadzać research i nawiązywać kontakty. W każdym razie sprzedawałam swoją pierwszą książkę, gdy miałam dwadzieścia dwa lata, i od tamtego czasu pracuję jako pełnoetatowa pisarka.

– I utrzymujesz się wyłącznie z pisania książek? – Tom uniósł brew. – Podziwiam.

– Cóż, nie wyłącznie. Prowadzę kilka kursów online tu i tam, pisuję artykuły i inne takie. No i trochę mi się poszczęściło... – „Poszczęściło”? Miałam ochotę ugryźć się w język. – Cóż, może nie poszczęściło, to nie jest odpowiednie słowo, ale gdy byłam nastolatką, zmarł mój dziadek i odziedziczyłam po nim trochę pieniędzy. Akurat tyle, by wystarczyło na zakup kawalerki w Hackney. Jest maleńka, ledwo mieszczę się tam ze swoim laptopem, ale przynajmniej nie muszę płacić za wynajem.

– Moim zdaniem to bardzo miłe, że dalej się przyjaźnicie – zauważył Tom. – To znaczy ty, Clare i Nina. Ja nie utrzymuję kontaktu już chyba z nikim ze szkoły. Z większością tych ludzi po prostu nic mnie nie łączy. To nie był dla mnie najprzyjemniejszy okres. – Popatrzył na mnie bacznie, a ja poczułam, że znowu się czerwienię. Po raz kolejny bez powodzenia próbowałam zatknąć włosy za ucho. Czy tylko mi się wydawało, czy w jego spojrzeniu było coś lekko złośliwego? Czyżby coś wiedział?

Przez chwilę walczyłam ze sobą, żeby jakoś to skomentować, ale nie byłam pewna, co mogłabym powiedzieć, żeby nie skłamać otwarcie. Z każdą sekundą milczenie stawało się coraz bardziej krępujące i znowu uderzyła mnie sztuczność tej sytuacji. Co ja tu, do cholery, robię? Dziesięć lat. Dziesięć lat!

– Myślę, że czasy szkolne były katogą dla każdego – rzuciła w końcu Nina, przerywając ciszę. – Dla mnie na pewno.

Spojrzałam na nią z wdzięcznością, a ona puściła do mnie oko.

– Zatem na czym polega wasz sekret? – zapytał Tom. – Sekret waszej długotrwałej przyjaźni? Jak zdołałyście ją podtrzymać przez wszystkie te lata?

Popatrzyłam na niego raz jeszcze, tym razem ostro. Dlaczego, do licha, tak się upierał przy tym temacie? Ale nie mogłam nic zrobić, bo wyszłabym na wariatkę.

– Nie wiem – odparłam, starając się zachować miły ton głosu, ale czułam, że mój uśmiech jest sztuczny. Miałam tylko nadzieję, że nikt tego nie zauważy. – To chyba kwestia szczęścia.

– A masz drugą połówkę? – zapytała Melanie.

– Nie. Jestem sama. Nie mam nawet psa rasy labradoodle. – To miało brzmieć żartobliwie i zgromadzeni posłusznie się zaśmiali, chociaż bez przekonania. W ich śmiechu usłyszałam nutkę litości. – Flo? – rzuciłam szybko, żeby skierować uwagę na kogoś innego.

Flo uśmiechnęła się promiennie.

– Cóż, ja poznałam Clare na uniwersytecie. Obie studiowałyśmy historię sztuki i przydzielono nas do tego samego akademika. Weszłam do świetlicy, a ona siedziała tam, oglądając *East Enders* i żując włosy... Wiecie, jak ona to zabawnie robi, okręca sobie pasmo włosów wokół palca i pogryza. To takie słodkie. – Próbowałam sobie przypomnieć, czy Clare kiedykolwiek robiła coś takiego. Brzmiało to raczej obrzydliwie. W mojej głowie pojawiło się wyblakłe wspomnienie Clare siedzącej w kawiarence obok szkoły, owijającej warkocz wokół palca. Może rzeczywiście miała taki nawyk. – Miała na sobie tę niebieską sukienkę, myślę, że wciąż ją nosi. Nie mogę uwierzyć, że nadal się w nią mieści! Ja od czasu studiów przytyłam co najmniej sześć kilo! W każdym razie podeszłam, żeby się przywitać, a ona powiedziała: „Och, podoba mi się twoja apaszka” – i od tamtej pory byliśmy najlepszymi psiapsiółkami. Ja po prostu... Ona jest po prostu wspaniała, wiecie? Była dla mnie taką inspiracją, tak mnie wspierała. Niewiele jest osób, które... – Flo przełknęła i umilkła, szukając odpowiednich słów. Ze zdumieniem zauważyłam, że jej oczy napełniły się łzami. – Cóż, nieważne. Ona jest moją opoką i zrobiłabym dla niej wszystko. Wszystko – podkreśliła. – Chcę, żeby to był najlepszy wieczór paniński wszech czasów, wiecie? Chcę, żeby był idealny. To tak wiele dla mnie znaczy. To ostatnia rzecz, jaką mogę dla niej zrobić, wiecie?

Miała łzy w oczach, a intensywność emocji pobrzmiewających w jej głosie była wręcz przerażająca. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że nie tylko ja jestem zbита z tropu. Tom wyglądał na zszokowanego, a Nina uniosła brwi tak wysoko, że zniknęły pod jej grzywką. Tylko Melanie nie reagowała, jakby uważała zachowanie Flo za zupełnie normalne.

– Ona wychodzi za mąż, nie idzie do więzienia – zauważyła sucho Nina, ale Flo albo nie usłyszała jej słów, albo postanowiła je zignorować.

Zakasała i otarła oczy.

– Przepraszam. Och, Boże! Patrzcie tylko, jaka ze mnie sentymentalna krowa!

– A, hm, czym się zajmujesz? – zapytał Tom uprzejmie. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że Flo mówiła wyłącznie o Clare, a nie powiedziała ani słowa o sobie.

– Och... – Flo wlepiła wzrok w ziemię. – Cóż, wiecie... Trochę tym, trochę tamtym. Ja... ja zrobiłam sobie przerwę po studiach. Nie byłam w najlepszym stanie. Clare była dla mnie niesamowita. Kiedy ja... Cóż, nieważne. Sęk w tym, że ona jest... ona jest po prostu najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć, serio. Boże,

patrzcie na mnie! – Wydmuchwała nos i wstała. – Czy ktoś ma jeszcze ochotę na herbatę?

Wszyscy zgodnie potrząsnęliśmy głowami, a Flo zabrała tacę i poszła do kuchni. Melanie wyciągnęła telefon i znowu zaczęła sprawdzać, czy ma zasięg.

– Cóż, to było dziwne – stwierdziła Nina.

– Co takiego? – Melanie uniosła wzrok.

– Flo i ten jej, cytuję: „idealny wieczór panieński” – wyjaśniła Nina. – Nie wydaje ci się, że ona reaguje nieco zbyt... emocjonalnie?

– Och... – Melanie zerknęła w stronę kuchni, po czym zniżyła głos: – Słuchajcie, nie wiem, czy powinnam o tym wspominać, ale chyba nie ma sensu owijać w bawełnę. Na trzecim roku Flo przeszła załamanie nerwowe. Nie jestem pewna, co się wydarzyło, ale tuż przed egzaminami końcowymi rzuciła studia i z tego, co wiem, nigdy ich nie ukończyła. Jest odrobinę przewrażliwiona, gdy wspomina ten okres, rozumiecie. Nie lubi o tym rozmawiać.

– Hm, okej. – Nina kiwnęła głową, ale ja wiedziałam, o czym myśli. Niechęć do opowiadania o tym, co się stało po studiach, była najmniej niepokojącym aspektem zachowania Flo. To cała reszta wytrąciła nas z równowagi.

Chcę spać, ale świecą mi latarką w oczy. Badają mnie, prześwietlają, pobierają odciski palców, zdejmują ze mnie ubrania sztywne od krwi. Co się wydarzyło? Co takiego zrobiłam?

Wiozą mnie długimi korytarzami, w których na noc przygaszono światła. Mijamy oddziały pełne śpiących pacjentów. Niektórzy budzą się, ale na mój widok odwracają głowy z litością lub może przerażeniem. Ich zszokowane miny odzwierciedlają mój stan.

Lekarze zadają mi pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć, mówią mi rzeczy, których nie potrafię zapamiętać.

W końcu, otumanioną środkami znieczulającymi i zamroczoną, podłączają mnie do urządzenia monitorującego i pozostawiają samej sobie.

A jednak nie jestem całkowicie sama.

Z trudem przewracam się na bok i przez szybę w drzwiach, wykonaną ze zbrojonego szkła, widzę policjantkę siedzącą cierpliwie na stołku.

Pilnują mnie. Ale nie wiem dlaczego.

Leżę tak, wpatrując się w tył głowy policjantki. Tak bardzo chciałabym do niej wyjść i zacząć zadawać pytania, jednak brakuje mi odwagi. Po części dlatego, że nogi mam jak z waty i nie wiem, czy doszłabym do drzwi, ale przede wszystkim ponieważ nie jestem pewna, czy potrafiłabym znieść odpowiedzi.

Mam wrażenie, że leżę tak godzinami, wsłuchując się w szum urządzeń i klikanie automatycznej strzykawki dozującej morfinę. Ból w głowie i nogach staje się coraz bardziej tępy i odległy. W końcu zasypiam.

Śnię o krwi. Leje się, gromadzi w kałużach i przenika przez moje ubranie. Klęczę w kałuży krwi, próbuję ją powstrzymać, ale nie mogę. Przesiąka przez moją piżamę. Rozlewa się po drewnianej bielonej podłodze...

Wtedy się budzę.

Przez chwilę leżę w bezruchu, a moje serce wali jak oszalałe, podczas gdy wzrok przyzwyczajają się do półmroku panującego w pokoju. Umieram z pragnienia, a jednocześnie boli mnie przepełniony pęcherz.

Na szafce, tuż przy mojej głowie stoi plastikowy kubeczek. Z ogromnym wysiłkiem wyciągam dłoń, zahaczam jeden drżący palec o jego brzeg, po czym przyciągam do siebie. Woda smakuje plastikiem, ale mój Boże, jeszcze nigdy picie wody nie było tak przyjemne. Opróżniam kubeczek do dna i pozwalam, żeby moja głowa opadła z powrotem na poduszkę. Wstrząs sprawia, że gwiazdy stają mi przed oczami.

Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że spod pościeli wystają przewody łączące mnie z jakimś urządzeniem. Jego migoczący monitor wypełnia pomieszczenie zielonymi cieniami. Jeden z przewodów mam podłączony do palca lewej dłoni. Kiedy ją unoszę, ze zdumieniem zauważam, że jest podrapana i zakrwawiona, a paznokcie – i tak już poobgryzane – są połamane.

Pamiętam... pamiętam samochód... Pamiętam stłuczoną szybę... Spadł mi jeden

but...

Próbuję potrząść jedną stopą o drugą. W jednej czuję ból, druga jest omotana bandażami. Czuję, jak jakaś chirurgiczna taśma naciąga się na mojej goleni.

Dopiero gdy przypadkiem dotykam dłonią prawego ramienia, krzywię się i spoglądam w dół.

Spod szpitalnej koszuli wyłania się ogromny siniec. Strząsam materiał z ramienia i widzę wielką fioletową plamę rozchodzącą się od ciemnego, opuchniętego centrum tuż nad pachą. Co mogło spowodować taki dziwny, jednostronny siniec? Czuję, jakby wspomnienie unosiło się tuż poza opuszkami moich palców, ale wciąż uparcie pozostawało poza ich zasięgiem.

Czy miałam wypadek? Samochodowy? Czy zostałam... czy zostałam zaatakowana?

Z wysiłkiem wkładam dłoń pod kołdrę i przesuwam nią po brzuchu, piersiach, bokach. Ramiona mam pocięte, ale reszta ciała wydaje się w porządku. Docieram do ud. Między nogami wyczuwam jakiś gruby przedmiot przypominający pieluchę. Ale żadnego bólu. Żadnych cięć. Żadnych sińców na wewnętrznej stronie ud. Cokolwiek się wydarzyło, to nie było to.

Zamykam oczy. Jestem zmęczona. Zmęczona próbami przypomnienia sobie, co się stało, zmęczona strachem. Dozownik strzykawki klika i terkocze i nagle wszystko traci znaczenie.

Gdy odpływam w sen, pod powiekami pojawia się obraz strzelby wiszącej na ścianie.

I nagle przychodzi świadomość.

Ten siniec powstał wskutek odrzutu broni. W którymś momencie, całkiem niedawno, musiałam strzelić z tej strzelby.

Flo? – Zajrzałam do kuchni i zobaczyłam, że Flo ładuje filiżanki do zmywarki. – Nie powinnaś robić wszystkiego sama. Mogę jakoś pomóc?

– Nie! Nie wyglupiaj się. Już skończyłam. – Zatrzasnęła drzwiczki. – Co tam? Mogę ci jakoś pomóc? Jeszcze raz przepraszam za tę kawę.

– Co? Och, nie, naprawdę, nic się nie stało. Słuchaj, mówiłaś, że o której Clare powinna tu dotrzeć?

– Około szóstej. Tak myślę. – Spojrzała na zegar wiszący w kuchni. – Więc mamy jeszcze półtorej godzinki do zabicia.

– Okej. Cóż, zastanawiałam się... Myślisz, że zdążę trochę pobiegać?

– Pobiegać? – Wyglądała na zaskoczoną. – Chyba tak... ale robi się ciemno.

– Nie oddalę się. Chodzi po prostu o to, że... – urwałam z zakłopotaniem. Nie potrafiłam jej tego wytłumaczyć. Samej sobie nie umiałam wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo chcę się stąd wydostać, dlaczego muszę stąd uciec.

W domu biegam niemal codziennie, wybierając jedną z czterech różnych tras – przez Victoria Park przy ładnej pogodzie albo wzdłuż ulic, gdy jest mokro lub ciemno. Daję sobie ze dwa dni odpoczynku w tygodniu – podobno to konieczne, żeby mięśnie mogły się zregenerować – ale prędzej czy później narasta we mnie potrzeba biegania, której nie potrafię się oprzeć. Jeśli robię sobie za długą przerwę, dostaję... nie wiem, jak to nazwać... klaustrofobii. Wczoraj nie biegałam, bo byłam zbyt zajęta pakowaniem i dopinaniem wszystkiego na ostatni guzik, a teraz czułam, że po prostu muszę wyjść na zewnątrz. Nie chodziło o same ćwiczenia fizyczne – bieganie na siłowni na ruchomej bieżni mi nie pomagało. Chodziło o to, żeby znaleźć się na dworze, nie być zamkniętą w czterech ścianach, móc uciec.

– Chyba zdążysz – powiedziała Flo, zerkając przez okno na zapadający zmierzch.

– Ale lepiej się pospiesz. W tych okolicach, gdy się ściemnia, robi się naprawdę ciemno.

– Będę się streszczać. Jest tu jakaś trasa, którą powinnam wybrać?

– Myślę, że najlepiej trzymać się leśnej ścieżki biegnącej ze wzgórza. Czekaaj, chodź do salonu.

Poprowadziła mnie do ogromnej szklanej tafli i wskazała ocienioną lukę w fasadzie drzew.

– Widzisz? Tam jest ścieżka. Prowadzi przez las do głównej drogi. Będzie twardsza i mniej błotnista niż ta, którą przyjechałyście. Znacznie łatwiej będzie ci po niej biegać. Pobiegnij nią, aż dotrzesz do asfaltu, ale wtedy na twoim miejscu skręciłabym w prawo, pobiegła wzdłuż głównej drogi i wróciła podjazdem – będzie już za ciemno, żeby biec przez las. Leśna ścieżka nie jest ogrodzona i mogłabyś zabłądzić. Poczekaj...

Wróciła do kuchni, przetrzasnęła szufladę i wyciągnęła coś, co wyglądało jak pogniecione szelki.

– Weź to. To latarka czołowa.

Podziękowałam jej i popędziłam do pokoju, żeby przebrać się w strój do biegania.

Nina leżała na łóżku, wpatrując się w sufit i słuchając czegoś na swoim iPhone.

– Ta Flo to niezła szajbuska, prawda? – zagaiła rozmowę, ściągając słuchawki.

– Czy to określenie medyczne, doktor da Souza? – dogryzłam jej, ściągając dzinsy i wkładając termoaktywne legginsy i koszulkę. – Widziałas gdzieś moje buty do biegania? Zostawiłam je przy drzwiach.

– Rzuciłam je pod łóżko. A skoro mowa o wariatkach, czy ty idziesz biegać?

– Tak. – Schyliłam się, żeby zajrzeć pod łóżko. Buty leżały za daleko, żebym mogła swobodnie po nie sięgnąć. Dzięki, Nina. Uklękałam, żeby je wyłowić. – A co? – zapytałam głosem stłumionym przez narzutę.

– Niech no pomyślę... – Nina zaczęła wyliczać, prostując kolejne palce: – Jest ciemno, nie znasz okolicy, na dole jest darmowe wino i jedzenie... Och, czy już wspomniałam, że na zewnątrz jest, kurwa, ciemno jak w dupie?

– Nie przesadzaj. – Zerknęłam przez okno, wiążąc sznurowadła. Było dość ciemno, ale nie całkowicie. Słońce już zaszło, jednak niebo było czyste i wciąż rozświetlone rozproszoną perłowoszarą łuną na zachodzie, a okrągły biały księżyc wznosił się nad drzewami na wschodzie. – I mamy dziś pełnię, więc nie będzie aż tak ciemno.

– Och, czyżby, panno Leonoro „mieszkałam w Londynie przez ostatnie osiem lat i przez cały ten czas nie odeszłam dalej niż na pięćdziesiąt jardów od ulicznej latarni” Shaw?

– Owszem. – Skończyłam wiązać buty i wyprostowałam się. – Nie denerwuj mnie, Nina. Muszę się stąd wydostać, inaczej naprawdę zwariuję.

– Aż tak ci tu źle?

– Nie – skłamałam. Było mi źle. Nie potrafiłam wyjaśnić dlaczego. Nie mogłam powiedzieć Ninie, jak się czułam, gdy tam, na dole, obcy ludzie grzebali w mojej przeszłości. Jakby rozdrapywali na wpół zasklepioną ranę. Popeliłam błąd, przyjeżdżając tutaj. Teraz to wiedziałam. Ale utknęłam w tym miejscu i będę musiała zostać, dopóki Nina nie postanowi, że wracamy. – Wszystko w porządku. Po prostu chcę wyjść na zewnątrz. Teraz. Do zobaczenia za godzinę.

Ruszyłam w dół schodami, słysząc za plecami jej kpiarski śmiech. Zatrząskiwalam za sobą drzwi, gdy zawołała:

– Możesz pobiegać, ale nie uciekniesz!

Gdy w końcu znalazłam się na zewnątrz, nabrałam w płuca czystego, rześkiego powietrza i zaczęłam się rozgrzewać. Rozciągnęłam nogi i ręce, opierając się o ścianę garażu i spoglądając w las. Bliskie klaustrofobii poczucie zagrożenia, które odczuwałam, ustąpiło. Czy to była wina tych przeszklonych ścian? Świadomości, że każdy może się zacząć i nas obserwować, a my nie będziemy mieli o tym pojęcia? A może to przez tę dziwną anonimowość pomieszczeń, które przypominały szpitalne poczekalnie albo pokoje, w których przeprowadza się eksperymenty społeczne?

Na zewnątrz wrażenie, że jestem obserwowana, zniknęło.

Zaczęłam biec.

To było łatwe. Żadnych pytań, żadnych przesłuchań, tylko ostre, słodkie powietrze i ciche uderzenia moich stóp o ścieżkę pokrytą sosnowymi igłami. W ostatnich dniach spadło sporo deszczu, ale na miękkiej, przepuszczalnej glebie ścieżki woda nie

gromadziła się tak łatwo, jak na zbitej, porytej koleinami powierzchni drogi dojazdowej. Było tu niewiele kałuż czy grząskich odcinków. Kilka mil suchego, sprężystego podłoża. Pod podeszwami czułam całe zasypane igieł opadłych z setek drzew.

W mojej rodzinie nie ma innych biegaczy – w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo – ale moja babcia uwielbiała chodzić. Opowiadała, że kiedy była mała i zezłościła się na przyjaciółkę, wypisywała jej imię na podeszwach kredą i chodziła, dopóki się nie starło. Mówiła, że jej uraza słabła wraz ze znikającym imieniem.

Ja nie robię czegoś takiego. Ale w myślach zawsze powtarzam jakąś mantrę i biegam tak długo, dopóki nie zagłuszy jej dudnienie mojego serca i stóp.

Tego wieczoru – chociaż nie czułam wobec niej gniewu, a w każdym razie już go nie czułam – moje serce biło w rytm imienia Clare.

Clare, Clare, Clare.

Zanurzałam się coraz głębiej w las, w gęstniejącą ciemność, w ciche dźwięki nadchodzącej nocy. Widziałam pikujące nietoperze, słyszałam odgłosy zwierząt opuszczających kryjówki. W którymś momencie drogę przebiegł mi lis, po czym zatrzymał się z arogancją i powiódł łbem o wąskim pysku za moim zapachem, gdy mijałam go z tupotem.

To było łatwe. Nurkowałam w dół wzgórza. Nie bałam się, pomimo ciemności. Otaczające mnie drzewa nie były milczącymi obserwatorami, czającymi się za taflą szkła, lecz przyjaznymi bytami, które witały mnie w lesie i rozstępowały się przede mną, podczas gdy ja pędziłam ścieżką prawie bez zadyszki.

To odcinek pod górę będzie dla mnie wyzwaniem. Bieg powrotny po zrytym koleinami, błotnistym podjeździe. Wiedziałam, że muszę tam dotrzeć, zanim zrobi się za ciemno i przestanę widzieć dziury, więc jeszcze bardziej przyspieszyłam. Nie biegłam na czas, nie miałam żadnego celu do osiągnięcia. Nie wiedziałam nawet, jaki dystans muszę pokonać. Ale miałam świadomość, do czego są zdolne moje nogi, więc utrzymywałam długi, luźny krok. Przeskoczyłam powalony pień, na moment zamykając oczy – szaleństwo w tym półmroku – i niemal mogłam sobie wyobrazić, że lecę i nigdy już nie dotknę ziemi.

*

W końcu zobaczyłam przed sobą główną drogę, bladoszary wąż sunący w pogłębiających się cieniach. Gdy wypadłam z lasu, rozległo się ciche pohukiwanie sowy. Zgodnie ze wskazówkami Flo skręciłam w prawo i pobiegłam asfaltem. Wkrótce usłyszałam za plecami nadjeżdżający samochód, więc zatrzymałam się i zesłam na pobocze. Nie miałam ochoty skończyć życia pod jego kołami.

Ryk samochodu był coraz bliżej, brutalnie głośny w wieczornej ciszy. Silnik wył jak piła spalinowa. Oślepił mnie blask przednich reflektorów, po czym auto zniknęło w ciemnościach, błyskając rubinowymi ślepiami tylnych świateł.

Stałam przez chwilę, mrugając w nadziei, że mój wzrok z powrotem przyzwyczai się do mroku, jednak wydawał się nieskończenie bardziej czarny niż jeszcze kilka chwil temu. Nagle zaczęłam się bać, że wpadnę do rowu lub potknę się o gałąź. Wymacałam w kieszeni latarkę czołową Flo i nałożyłam ją. Nie pasowała. Była na tyle ciasna, by

zapięcie uciskało mi głowę, a jednocześnie na tyle luźna, że bałam się, iż spadnie mi podczas biegu. Ale przynajmniej widziałam krąg asfaltu przed sobą. Światło odbijało się od białych znaków wymalowanych na poboczu.

Wyrwa po prawej wskazała mi miejsce, w którym zaczynała się droga dojazdowa. Zwolniłam i skręcałam.

Byłam wdzięczna Flo za to, że dała mi tę latarkę. Nie mogłam dłużej biec, zwolniłam do ostrożnego truchtu, szukając drogi między błotnistymi kałużami i unikając dziur, na których mogłabym złamać kostkę. Mimo to moje adidas szybko pokryły się błotem. Przy każdym kroku miałam wrażenie, że na każdym bucie ciągnę cegłę. Czyszczenie ich po powrocie będzie prawdziwą frajdą.

Próbowałam sobie przypomnieć, jaka odległość dzieliła dom od głównej drogi. Pół mili? Trochę żałowałam, że nie wróciłam przez las, bez względu na słabą widoczność, ale w końcu, daleko przed sobą, zobaczyłam blask domu, szklane ściany wypełnione złotym światłem.

Błoto zasysało mi buty, jakby chciało zatrzymać mnie tutaj, w ciemnościach. Zacisnęłam zęby i zmusiłam zmęczone nogi, by poruszały się odrobinę szybciej.

Byłam może w połowie trasy, gdy za plecami usłyszałam samochód zwalniający na głównej drodze.

Nie miałam zegarka, a telefon zostawiłam w domu, ale chyba nie było jeszcze szóstej? To niemożliwe, żebym biegała przez godzinę.

A jednak wyraźnie słyszałam odgłos silnika na jałowym biegu, gdy auto skręcało, a potem zgrzyt i warkot, gdy zaczęło brnąć pod górę, podskakując na wybojach.

Gdy się zbliżyło, przylgnęłam do krzaków porastających pobocze i stałam tak, osłaniając oczy przed blaskiem, w nadziei, że nie ochlapie mnie za bardzo błotem, jednak ku mojemu zaskoczeniu wóz się zatrzymał. Biała mgiełka spalin unosiła się w powietrzu na tle księżyca. Usłyszałam elektryczny szmer opuszczanej szyby i wycie Beyoncé, szybko stłumione, gdy ktoś ściszył głośność.

Zrobiłam krok do przodu. Serce znowu zaczęło mi walić, jakbym biegała znacznie szybciej niż w rzeczywistości. Latarka czołowa była skierowana w ziemię, a ja nie umiałam jej unieść, więc ściągnęłam całe ustrojstwo z głowy i poświeciłam do wnętrza samochodu, na bladą twarz dziewczyny siedzącej za kółkiem.

Ale nie musiałam tego robić.

I tak wiedziałam, kto to jest.

Clare.

– Lee? – rzuciła z niedowierzaniem. Świeciłam jej prosto w oczy, więc zamrugła i zasłoniła je przed promieniem latarki. – Mój Boże, to naprawdę ty? Ja nie... Co ty tu robisz?

Przez moment nie rozumiałam, o co jej chodzi. Czyżby doszło do jakiegoś straszliwego nieporozumienia? Czy to możliwe, że wcale mnie nie zaprosiła? Że to wszystko tylko głupi pomysł Flo?

– To... ja jestem... t-twój wieczór paniński – wyjąkałam. – Czy ty mnie nie...?

– To wiem, głuptasie! – zaśmiała się. Jej oddech eksplodował nerwową bielą w zimnym powietrzu. – Chodzi mi o to, co robisz tutaj? Przygotowujesz się do ekspedycji polarnej czy co?

– Biegam sobie – wyjaśniłam, starając się, żeby to zabrzmiało nonszalancko. – Nie jest aż t-tak zimno. Tylko trochę rześko. – Ale teraz, gdy przestałam się ruszać, rzeczywiście zrobiło mi się zimno. Zepsułam efekt ostatnich słów, trzęsąc się gwałtownie.

– Wsiadaj, podwiozę cię do domu – pochyliła się i otworzyła drzwi od strony pasażera.

– Ja... moje adidas. Są w dość obrzydliwym stanie...

– Nie martw się. To wynajęty samochód. No już, wsiadaj, zanim obie tu zamarzniemy!

Okrążyłam auto i wsiadłam. Czułam, jak ciepło przenika przez moje przepecone, wychłodzone termoaktywne ciuchy. Błoto chlupotało mi w butach, przyprawiając mnie o dreszcze.

Clare wrzuciła bieg i jednym przyciskiem uciszyła piosenkę *Single Ladies*. Nagła cisza wydała się ogłuszająca.

– A więc... – Spojrzała na mnie z ukosa, równie piękna jak zawsze. Byłam szalona, myśląc, że mogła się zmienić przez te dziesięć lat. Była piękna do szpiku kości. Nawet w przyćmionym świetle samochodowych kontrolki, opatulona w starą bluzę z kapturem i gigantyczny komin, wyglądała olśniewająco. Włosy zebrała na czubku głowy w cudownie potargany koczek, luźne pasma opadały jej na ramiona. Paznokcie miała pomalowane szkarłatnym lakierem, który odprysnął w paru miejscach – nikt nie mógłby jej oskarżyć o to, że stara się za bardzo. Była po prostu doskonała.

– A więc... – powtórzyłam za nią. Przy Clare zawsze czułam się jak uboga krewna. Zdałam sobie sprawę, że czas niczego nie zmienił.

– Kopę lat... – Potrząsnęła głową, stukając opuszkami palców w kierownicę. – Ale Boże, to znaczy... naprawdę dobrze cię widzieć, Lee. Wiesz?

Nie odezwałam się.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że już nie jestem tą samą osobą. Że teraz jestem Norą, a nie Lee.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że to nie z jej winy zerwałam z nią kontakt. Że chodziło o mnie. Tylko że... to nie była do końca prawda.

Ale przede wszystkim chciałam ją zapytać, dlaczego tu jestem.

Jednak nie zrobiłam tego. Nic nie powiedziałam. Po prostu siedziałam w tym samochodzie, gapiąc się przed siebie.

– Naprawdę dobrze cię widzieć – powtórzyła. – A więc jesteś teraz pisarką, zgadza się?

– Tak – potwierdziłam. – Tak, jestem autorką kryminałów. – Słowa zabrzmiały dziwnie i fałszywie w moich ustach, jakbym kłamała lub mówiła o kimś innym, może o dalekim kuzynie.

– Słyszałam. Widziałam artykuł o tobie w gazecie. Jestem taka... naprawdę się cieszę. To wspaniałe, wiesz? Powinnaś być z siebie bardzo dumna.

Wzruszyłam ramionami.

– To tylko praca – rzuciłam sztywno, z goryczą. Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Wiem, że jestem szczęściarą. Ciężko pracowałam, żeby to osiągnąć. Powinnam być z siebie dumna. Jestem z siebie dumna.

– A co ty robisz? – wydusiłam w końcu.

– Pracuję w PR. Dla Royal Theatre Company. – PR. Mogłam się tego spodziewać. Uśmiechnęłam się, tym razem szczerze. Clare zawsze potrafiła odwrócić kota ogonem, nawet w wieku dwunastu lat. Nawet w wieku pięciu lat. – Jestem... jestem bardzo szczęśliwa – powiedziała cicho. – I słuchaj, przykro mi, że straciłyśmy kontakt. Teraz, gdy cię widzę... przeżyłyśmy trochę dobrych chwil, prawda? – Zerknęła na mnie w upiornie zielonym świetle płynącym z deski rozdzielczej. – Pamiętasz pierwszego szluga, którego razem wypaliłyśmy? – roześmiała się. – Pierwszy pocałunek... pierwszy joint... pierwszy raz, kiedy zakradłyśmy się na film dozwolony od lat osiemnastu...

– I pierwszy raz, kiedy zostałyśmy wyrzucone z kina – zripostowałam i pożałowałam, że zabrzmiało to tak złośliwie. Dlaczego? Dlaczego traktowałam ją z taką niechęcią?

Ale Clare znów się zaśmiała.

– Ha, to dopiero było upokorzenie! Myślałyśmy, że jesteśmy takie sprytne. Kazałyśmy Rickowi kupić bilety i zakradłyśmy się do ubikacji. Nie sądziłam, że sprawdzają bilety również przy wejściu na salę.

– Rick! Kompletnie o nim zapomniałam. Co on teraz porabia?

– Bóg jeden wie! Pewnie siedzi w więzieniu. Za seks z nieletnimi, jeśli na świecie jest jakaś sprawiedliwość.

Clare spotykała się z Rickiem przez rok. Miałyśmy wtedy po czternaście czy piętnaście lat, a on był dwudziestodwulatkiem z przetłuszczonymi, długimi włosami. Miał złotego zęba i jeździł na motocyklu. Nigdy go nie lubiłam. Nawet wtedy wydawało mi się to dziwne i obrzydliwe, że Clare chciała sypiać z kolesiem w tym wieku, chociaż faktycznie mógł chodzić do klubów i kupować nam alkohol.

– Ble, to był taki oblech – powiedziałam bez zastanowienia. Ugryzłam się w język, ale Clare oczywiście się zaśmiała.

– Absolutnie! Nie mogę uwierzyć, że wtedy tego nie widziałam. Myślałam, że jestem taka wyrafinowana, bo uprawiam seks ze starszym facetem! Teraz mam wrażenie, jakby... to graniczyło niemal z pedofilią – prychnęła i krzyknęła gwałtownie, gdy samochód nieoczekiwanie podskoczył na wyboju. – Ups! Przepraszam.

Przez chwilę milczałyśmy, podczas gdy Clare pokonywała ostatnią, najbardziej zrytą koleinami część podjazdu. W końcu dotarłyśmy na żwirowy parking przed domem i zaparkowałyśmy dokładnie między wypożyczonym samochodem Niny a land roverem Flo.

Clare zgasila silnik. Przez chwile siedzielyśmy w ciemnościach, patrząc na dom, na uczestników zabawy poruszających się niczym aktorzy na scenie, tak jak powiedział Tom. Flo uwijała się w kuchni jak mróweczka. Melanie siedziała w salonie, zgarbiona nad telefonem, Tom leżał rozciągnięty na sofie dokładnie naprzeciwko szklanej ściany, przerzucając kartki jakiegoś magazynu. Nigdzie nie widziałam Niny – pewnie stała na balkonie i paliła papierosa.

Dlaczego tu jestem? – pomyślałam znowu, tym razem z udręką. Po co tu przyjechałam?

– Lee... – zaczęła Clare w tej samej chwili, kiedy ja powiedziałam:

– Słuchaj...

Patrzyła na mnie. Jej twarz oświetlał złoty blask sączący się z domu.

– Mów – powiedziała.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, ty pierwsza.

– Nie, ty, serio. To nie było nic ważnego.

Poczułam ucisk w sercu i nagle straciłam odwagę, by zadać pytanie, które miałam na końcu języka. Zamiast tego wydusiłam z siebie:

– Już nie jestem Lee. Mam na imię Nora.

– Co takiego?

– Moje imię. Nie używam już zdrobnienia „Lee”. Nigdy go nie lubiłam.

– Och – milczała, jakby trawiła tę informację. – Okej. A zatem teraz jesteś Nora, tak?

– Tak.

– Cóż, postaram się zapamiętać. Chociaż to będzie trudne. Znam cię jako Lee od... ile to już minęło? Dwadzieścia jeden lat?

Ale ty mnie nigdy nie znałaś, pomyślałam mimowolnie, a potem ściągnęłam brwi. Oczywiście, że Clare mnie znała. Znała mnie od piątego roku życia. Właśnie na tym polegał problem. Znała mnie za dobrze. Przejrzała tę mizerną fasadę dorosłości i dostrzegła przerażone dziecko, które wciąż we mnie tkwiło.

– Dlaczego, Clare? – zapytałam nagle.

Podniosła na mnie wzrok. Jej blada twarz była pozbawiona wyrazu.

– Dlaczego co?

– Dlaczego tu jestem?

– Och, Boże... – Popatrzyła na swoje dłonie. – Wiedziałam, że o to zapytasz. Podejrzewam, że nie uwierzyłabyś mi, gdybym powiedziała, że to ze względu na stare czasy i tak dalej?

Potrząsnęłam głową.

– To nie o to chodzi, prawda? Miałaś dziesięć lat, żeby się do mnie odezwać, gdybyś chciała. Dlaczego teraz?

– Bo... – odetchnęła głęboko i ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że się denerwuje. Trudno było mi to zrozumieć. Zawsze była całkowicie opanowana, nawet w wieku pięciu lat potrafiła sprawić, że najbardziej surowy nauczyciel rozplątywał się nad nią w zachwycie lub tracił rezon, w zależności od tego, w jaki sposób na niego spojrzała.

W pewnym sensie to chyba dlatego byłyśmy przyjaciółkami. Ona miała to, czego ja pragnęłam: cały ten wszechogarniający spokój i opanowanie. Nawet stojąc w jej cieniu, czułam się silniejsza. Ale tamte czasy dawno już minęły. – Bo... – powtórzyła i wykręciła palce. Pokryte czerwonym lakierem paznokcie zaśniły krwiście w świetle padającym z domu. – Bo pomyślałam, że zasługujesz na to, żeby wiedzieć. Zasługujesz na to, żebym to ja ci powiedziała. Twarzą w twarz. Obiecałam... obiecałam sobie, że powiem ci to osobiście.

– Co takiego? – Pochyliłam się ku niej. Nie byłam zaniepokojona, tylko zdezorientowana. Zapomniałam o ubłoconych, przemoczonych butach i odorze potu bijącym od mojego ubrania. Zapomniałam o wszystkim, całkowicie skupiając się na zmartwionej twarzy Clare. Malowały się na niej nerwowość i bezbronność, jakich nigdy u niej nie widziałam.

– Chodzi o ślub – powiedziała. Znowu spuściła wzrok na swoje dłonie. – Chodzi o to... za kogo wychodzę za mąż.

– Za kogo? – zapytałam. A potem, żeby ją rozśmieszyć i rozładować napięcie, dodałam: – No chyba nie za Ricka? Zawsze wiedziałam...

– Nie – przerwała i wreszcie popatrzyła mi w oczy. W jej spojrzeniu nie było ani cienia uśmiechu, była tylko swego rodzaju żelazna determinacja. Jakby miała zrobić coś nieprzyjemnego, ale absolutnie koniecznego. – Wychodzę za Jamesa.

Przez chwilę gapiłam się na nią, próbując sobie wmówić, że się przesłyszałam.

– Co?

– To... to James. Wychodzę za Jamesa.

Nic nie powiedziałam. Siedziałam, wlepiając wzrok w drzewa stojące na straży domu, a krew szumiała mi w uszach. Narastał we mnie krzyk, jednak go stłumiłam.

James?

Clare i James?

– To dlatego cię zaprosiłam – mówiła teraz szybko, jakby wiedziała, że nie mamy zbyt wiele czasu, że w każdej chwili mogę uciec z tego samochodu. – Nie chciałam... pomyślałam, że nie powinnam zapraszać cię na ślub. Pomyślałam, że to będzie dla ciebie zbyt trudne. Ale nie mogłam znieść myśli, że dowiesz się od kogoś innego.

– Ale... to kim do cholery jest William Pilgrim? – wyrzuciłam z siebie te słowa niczym oskarżenie. Clare przez chwilę patrzyła na mnie nierozumiejącym wzrokiem. Gdy w końcu dotarło do niej, o co pytam, wyraz jej twarzy się zmienił. W tej samej chwili ja pojęłam, gdzie wcześniej słyszałam to imię, i zdałam sobie sprawę z tego, jaka byłam głupia. Billy Pilgrim. *Rzeźnia numer pięć*. Ulubiona książka Jamesa. – To jego pseudonim na Facebooku – wyszeptalam. – Pewnie nie chciał, żeby fani zaglądali na jego prywatne konto. To dlatego nie ma zdjęcia profilowego, prawda?

Clare żałośnie pokiwała głową.

– Nie miałam zamiaru wprowadzić cię w błąd – powiedziała błagalnie. Sięgnęła ciepłą dłońią po moją odrętwiałą, ochlapaną błotem rękę. – A James uważał, że powinnaś się dowiedzieć, zanim...

– Zaraz, zaraz. – Gwałtownie wyrwałam dłoń z jej uścisku. – Rozmawiałaś o tym z nim?

Pokiwała głową i ukryła twarz w dłoniach.

– Lee... tak mi... – urwała i odetchnęła głęboko. Wyglądało na to, że zbiera myśli, próbuje ustalić, co jeszcze mi powiedzieć. Gdy znowu się odezwała, w jej głosie pobrzmiwał cień bezczelności. To była dawna Clare, ta, którą pamiętałam, ta, która atakowała, która prędzej zginęłaby w walce, niż ugięła się pod naporem oskarżeń. – Słuchaj, nie będę przepraszać. Żadne z nas nie zrobiło nic złego. Ale proszę... dasz nam swoje błogosławieństwo?

– Skoro nie zrobiłaś nic złego – powiedziałam twardym głosem – to po co go potrzebujesz?

– Bo byłaś moją przyjaciółką! Moją najlepszą przyjaciółką!

Byłaś.

Obie zarejestrowaliśmy czas przeszły. Zobaczyłam własną reakcję odbitą w twarzy Clare.

Zagryzłam wargę, tak żeby bolało, miażdżąc miękką skórę między zębami.

Macie moje błogosławieństwo. Powiedz to. Powiedz!

– Ja...

Przerwał nam odgłos dochodzący z domu. Drzwi się otworzyły i zobaczyłam Flo,

jak stoi w prostokącie światła i spogląda w ciemność, osłaniając oczy. Wspięła się na palce i prawie się przewróciła, gdy wyciągała szyję, żeby nas dojrzeć. Otaczała ją atmosfera ledwie tłumionego podekscytowania, zachowywała się jak dziecko przed przyjęciem urodzinowym, które w każdej chwili może dostać ataku hysterii.

– Halo?? – zawołała. – Clare? To ty?

Clare wypuściła powietrze z płuc i otworzyła drzwi samochodu.

– Flopsie! – Głos jej drżał, ale niemal niezauważalnie. Nie po raz pierwszy pomyślałam, jak świetną jest aktorką. Nic dziwnego, że skończyła w teatrze. Jedynym zaskoczeniem było to, że sama nie występowała na scenie.

– Clare-Bear! – pisnęła Flo i zbiegła po schodkach na żwir. – O mój Boże, to ty! Usłyszałam hałas i pomyślałam... Ale potem nikt nie wchodził... – Biegła ku nam, papucie z króliczkami tłumily jej kroki. – Co ty tu robisz w ciemnościach zupełnie sama, głuptasku?

– Rozmawiałam z Lee. To znaczy z Norą. – Clare wskazała w moją stronę. – Wpadłam na nią na podjeździe.

– Mam nadzieję, że nie dosłownie! Ups! – Rozległ się chrupot, kiedy Flo potknęła się o coś i padła na kolana przed samochodem. Od razu zerwała się na równe nogi i otrzepała. – Nic mi nie jest! Nic mi nie jest!

– Uspokój się! – zaśmiała się Clare i objęła Flo. Wyszepiała jej do ucha coś, czego nie usłyszałam, a Flo pokiwała głową.

Pociągnęłam za klamkę i sztywno wysiadłam z samochodu. Popełniłam błąd, że nie pokonałam pieszo tego ostatniego odcinka. Gwałtowne przejście od biegu do siedzenia sprawiło, że mięśnie mi zeszywniały. Teraz z trudem się poruszałam.

– Wszystko w porządku, Lee? – zapytała Clare, odwracając się w moją stronę. – Wyglądasz, jakbyś trochę utykała.

– Nic mi nie jest – próbowałam jej dorównać lekkością głosu. James. *James*. – Pomóc ci z bagażami?

– Dzięki, ale nie mam ich wiele. – Otworzyła bagażnik i wyjęła torbę. – No to chodźmy, Flops, pokaż mi mój pokój.

Pokonałam ostatni schodek dzielący mnie od naszej sypialni, trzymając ubłocone adidas za sznurowadła. Niny nie było w pokoju. Ściągnęłam pochłapane legginsy i przepoconą koszulkę i wślizgnęłam się pod kołdrę w samym staniku i majtkach. Długo leżałam, gapiąc się na kałużę światła rzucaną przez lampę na stoliku nocnym.

To był błąd. Co ja sobie myślałam?

Spędziłam dziesięć lat, próbując zapomnieć o Jamesie, próbując otoczyć się kokonem pewności siebie i samo-wystarczalności. I myślałam, że mi się udało. Miałam dobre życie. Nie, miałam wspaniałe życie. Miałam pracę, którą kochałam, własne mieszkanie, wspaniałych przyjaciół, z których nikt nie znał Jamesa ani Clare, ani nikogo innego z mojego poprzedniego życia w Reading.

Nie miałam żadnych zobowiązań – ani emocjonalnych, ani finansowych, ani jakichkolwiek innych. I to sprawiało, że czułam się dobrze. Absolutnie, kurwa, dobrze,

dziękuję bardzo.

A teraz coś takiego.

Najgorsze było to, że nie mogłam winić Clare. Miała rację: ona i James nie zrobili nic złego. Nie byli mi nic winni, żadne z nich. James i ja zerwaliśmy ponad dziesięć lat temu, na litość boską. Jediną osobą, którą mogłam obwinać, byłam ja sama. Za to, że nie pogodziłam się z przeszłością. Że nie byłam w stanie zapomnieć o przeszłości.

Nienawidziłam Jamesa za to, że miał nade mną taką władzę. Nienawidziłam tego, że za każdym razem, gdy poznawałam nowego mężczyznę, w myślach porównywałam go z Jamesem. Ostatnim razem, gdy z kimś sypiałam – a było to dwa lata temu – mój partner obudził mnie w nocy, trzymając dłoń na mojej piersi. „Coś ci się śniło”, powiedział. „Kto to jest James?”. A kiedy zobaczył cierpienie na mojej twarzy, wstał, ubrał się i odszedł z mojego życia. Nawet nie próbowałam do niego zadzwonić.

Nienawidziłam Jamesa i nienawidziłam siebie. I owszem, byłam w pełni świadoma tego, że to czyniło ze mnie największą frajerkę w historii: dziewczynę, która spotyka chłopaka w wieku lat szesnastu i ma obsesję na jego punkcie przez kolejną dekadę. Wiercie mi, nikt nie był tego bardziej świadomy niż ja. Gdybym spotkała samą siebie w barze i zaczęła ze sobą rozmawiać, też bym sobą pogardzała.

Z dołu docierały do mnie śmiechy i odgłosy rozmów oraz zapach pizzy.

Wiedziałam, że muszę tam zejść, śmiać się i rozmawiać. Zamiast tego zwinęłam się w kulkę, przyciągnęłam kolana do piersi, mocno zacisnęłam powieki i krzyczałam milczącym krzykiem w swojej głowie.

W końcu się wyprostowałam. Czułam, jak zmęczone mięśnie się rozkurczają. Wstałam i owinęłam się ręcznikiem ze sterty, którą Flo schludnie ułożyła w nogach każdego łóżka.

Łazienka znajdowała się w korytarzu. Zamknęłam się w środku i pozwoliłam, by ręcznik opadł na podłogę. Nad wanną widniała kolejna niezastłonięta tafla szkła z widokiem na las. Była umieszczona pod kątem, więc w praktyce nikt nie mógł zajrzeć do środka, chyba że wdrapałby się na czubek piętnastometrowej sosny, ale jej obecność i tak wytrąciła mnie z równowagi. Gdy zdjęłam stanik i majtki, musiałam zwalczyć ochotę, by zasłonić piersi dłońmi, zakryć moją nagość przed czujnym okiem ciemności.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zrezygnować z prysznic i nie przebrać się od razu w czyste ciuchy, ale byłam zmęczona i pochlapana błotem i wiedziałam, że gorący prysznic dobrze mi zrobi. Ostrożnie weszłam do kabiny i odkręciłam kurek, z wdzięcznością przeciągając się, gdy ogromna głowica prysznic zakrztusiła się dwukrotnie, po czym zalała mnie silnym strumieniem gorącej wody.

Stojąc tak, mogłam wyglądać przez okno, chociaż było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Ostre łazienkowe światło szybko zamieniło parującą szybę w swego rodzaju lustro – poza bladym, upiornym księżycem widziałam w niej odbicie własnego ciała, gdy mydliłam i goliłam nogi. Kim była ciotka Flo? To był dom dla voyeurystów. Nie, zaraz, voyeurysty to ludzie, którzy lubią patrzeć. Jak brzmi ich przeciwieństwo? Ekshibicjoniści.

Ludzie, którzy lubią, by ich oglądano.

Może latem było inaczej, gdy światło wlewało się do środka aż do późnego wieczoru. Może wtedy dom rzeczywiście pozwalał na rozkoszowanie się widokiem lasu.

Ale teraz, w ciemnościach, miałam wrażenie, że jest odwrotnie. Czułam się jak eksponat w szklanej gablocie pełnej kuriozów. Albo jakbym została zamknięta w zoo, na wybiegu dla tygrysa, gdzie nie ma ani jednej kryjówki. Pomyślałam o tkwiących w klatkach zwierzętach, powoli krążących w tę i z powrotem, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Powoli popadających w szaleństwo.

Wyszłam spod prysznicy i przetręłam dłonią zaparowane lustro. Zaskoczyła mnie moja mina, którą zobaczyłam w jego tafli. Mina osoby gotowej do walki. Częściowo odpowiadały za nią krótkie włosy; po prysznicy i mocnym osuszeniu ręcznikiem sterczały agresywnie, jak u boksera odpoczywającego między rundami. Twarz miałam bladą i surową w ostrym świetle lampy, oczy ciemne, o oskarżycielskim spojrzeniu i podkrążone, jakby ktoś mnie pobił.

Westchnęłam i sięgnęłam do kosmetyczki. Nie noszę mocnego makijażu, ale miałam ze sobą podstawowe kosmetyki: błyszczyc do ust i tusz do rzęs. Nie używam różu, jednak wtarłam odrobinę błyszczycu w okolice kości policzkowych, próbując zamaskować bladość, po czym włożyłam czyste obcisłe džinsy i szary top.

Na dole ktoś puścił muzykę. *White Wedding*. Czy to miało być zabawne?

– Lee... to znaczy Nora! – usłyszałam głos Flo próbującej przekrzyczeć Billy’ego Idola, który właśnie śpiewał o tym, że to dobry dzień, aby zacząć od nowa. – Jesteś gotowa na kolację?

– Już idę! – zawołałam.

Z westchnieniem zawinęłam brudną bieliznę w ręcznik, zabrałam kosmetyczkę i otworzyłam drzwi.

1 Utwór *White Wedding* opowiada o młodej dziewczynie, która przypadkiem zachodzi w ciążę i musi wyjść za mąż za ojca dziecka. Ma niewesoły wydzźwięk, zupełnie niepasujący do radosnej okazji, jaką jest wieczór panieński organizowany dla szczęśliwie zakochanej przyszłej panny młodej (przyp. tłum.).

Gdy byłam pod prysznicem, wieczór panieński rozkręcił się na dobre.

Tom i Clare podłączyli czyjś iPhone'a do głośników w salonie i tańczyli wokół stolika kawowego w rytm piosenki Billy'ego Idola, podczas gdy Melanie śmiała się z nich, siedząc na sofie.

W kuchni, w której było gorąco jak w piekle, bo piekarnik pracował na pełnych obrotach, ktoś wykladał ogromne ilości pizzy na deski i wyciskał rozmaite dipy z tubek do miseczek. Kompletnie zdezorientowana, przez chwilę myślałam, że to Clare, którą przecież widziałam w pomieszczeniu obok, jednak gdy dziewczyna wyprostowała się i odgarnęła włosy z czoła, ujrzałam Flo. Obie były ubrane identycznie, w takie same szare dżinsy i srebrne koszulki.

Zanim zdążyłam się nad tym głębiej zastanowić, poczułam intensywną woń spalenizny.

– Czy coś się pali? – zapytałam.

– O mój Boże! Pity! – pisnęła Flo. – Lee, uratujesz je, zanim uruchomi się alarm przeciwpożarowy?

Wpadłam do wypełniającej się dymem kuchni i wyciągnęłam chlebki z tosterka, po czym wrzuciłam je do zlewu. Następnie zaczęłam się siłować z drzwiami prowadzącymi na zewnątrz, które znajdowały się w drugim końcu pomieszczenia. Miały jakiś dziwny zamek, ale w końcu udało mi się otworzyć je na oścież. Lodowate powietrze wpadło do środka. Z zaskoczeniem zauważyłam, że kałuże na trawniku zamarzają.

– Szukałam na stojaku na wino. Nie mogę znaleźć żadnej butelki z tequilą – usłyszałam głos Niny, która stanęła w progu kuchni. – Jasna cholera, ale zimno! Zamknij te drzwi, wariatko!

– Pity się paliły – wyjaśniłam spokojnie, ale zamknęłam drzwi. Przynajmniej temperatura w pomieszczeniu stała się bliższa normalnej.

– Nie ma jej w piwniczce? – Flo wyprostowała się, znów odgarniając włosy z oczu. Twarz miała czerwoną od żaru. – A niech to. Gdzie ona może być?

– Sprawdzalas w lodowce? – zapytała Nina.

Flo pokiwała głową.

– A w zamrażalniku? – wtrąciłam.

Pacnęła się dłonią w czoło.

– W zamrażalniku! Oczywiście... Teraz sobie przypominam. Pomyślałam, że tak będzie lepiej, jeśli najdzie nas ochota na mrożone margarity. Ech, ale ze mnie idiotka.

– Amen! – rzuciła do mnie bezgłośnie Nina, zanim schyliła się, by otworzyć zamrażarkę pod blatem. – Tutaj jest. – Wyprostowała się, dzierżąc w dłoni oszronioną butelkę, a potem wzięła dwie limonki z miski z owocami. – Nora, weź deskę i nóż. Och, i solniczkę. Flo, mówiłaś, że są tu gdzieś kieliszki do szotów?

– Tak, za tymi drzwiczkami z lustrem na końcu salonu. Ale naprawdę myślisz, że powinniśmy od razu pić szoty? Nie byłoby rozsądniej zacząć od czegoś słabszego – może

od mojito?

– Pieprzyć rozsądek – skwitowała Nina, opuszczając kuchnię. Gdy szliśmy przez hall, wymamrotała do mnie pod nosem: – Potrzebuję jak najmocniejszego alkoholu, żeby przetrwać ten wieczór.

Kiedy wkroczyliśmy do salonu, Clare i Tom odwrócili się w naszą stronę. Clare wydała okrzyk i tanecznym krokiem podeszła do nas, żeby zabrać butelkę z dłoni Niny, a nóż z mojej. Kręcąc biodrami, wróciła do stolika kawowego i z trzaskiem odstawiła przedmioty na szklany blat. Jej top migotał w słabo oświetlonym pomieszczeniu.

– Tequila! Nie piłam tego od dwudziestych pierwszych urodzin. Tamten kac ciągnął się latami.

Nina rzuciła limonki na stół obok butelki i wyruszyła na poszukiwanie kieliszków. Clare uklękła na dywanie i zaczęła kroić owoce.

– Najpierw panna młoda! – zawołała Melanie.

Clare wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Wszyscy patrzyliśmy, jak wytrząsa szczyptę soli w zagłębienie między kciukiem a palcem wskazującym, po czym sięga po cząstkę limonki. Nina napełniła kieliszek aż po brzegi i wcisnęła jej w dłoń. Clare zlizwała sól, przełknęła alkohol i wgryzła się w limonkę, zaciskając powieki. Potem wypluła skórkę na dywan i huknęła kieliszkiem o blat, wzdragając się i śmiejąc jednocześnie.

– Jezu! O mój Boże! Oczy mi łzawią! Jeśli wypiję tego więcej, tusz do rzęs kompletnie mi się rozmaże.

– Paniusiu, my tu dopiero zaczynamy – oświadczyła Nina stanowczo. – Le... to znaczy Nora, twoja kolej.

– Wiesz... – powiedział Tom, gdy klękałam przy stole – jeśli masz ochotę na coś odrobinę bardziej ekskluzywnego, możemy zrobić tequila royales.

– Tequila royales? – Patrzyłam, jak Nina przelewa alkohol przez krawędź małego kieliszka, a płyn zbiera się w kałuży na szklanym blacie stolika. – Co to jest? Tequila z szampanem?

– Możliwe. Ale ja znam inny przepis. – Tom pogrzebał w kieszeni spodni i wyciągnął mały woreczek białego proszku. – Coś bardziej interesującego niż sól.

Chryste. Zerknęłam na zegar. Nie było nawet ósmej. W takim tempie o północy będziemy chodzić po ścianach.

– Koka? – zapytała Melanie z niesmakiem. Skrzyżowała ramiona na piersi i chłodno spojrzała na Toma. – Serio? Nie jesteśmy już studentami. Niektórzy z nas mają dzieci. Nie sądzę, żeby odciążenie i wylanie mleka sprawiło, że pozbędę się tego z organizmu.

– To nie bierz – rzucił Tom, wzruszając ramionami, ale w jego głosie było słycać irytację.

– Żarcie gotowe! – Flo stanęła w drzwiach, przerywając krępujące milczenie. Ręce drżały jej pod ciężarem ogromnej deski załadowanej kawałkami pizzy. Pod pachą trzymała butelkę. – Czy ktoś może sprzątnąć ze stolika, zanim wywalę to wszystko na dywan mojej ciotki?

– Wiesz co... – mruknęła Clare, patrząc, jak Nina i ja robimy miejsce na stoliku, po czym nachyliła się i obdarzyła Toma słodkim, cytrusowym buziakiem – zostawmy to

sobie na deser.

– Nie ma sprawy – powiedział Tom lekko i wsunął torebkę z powrotem do kieszeni. – Nie chcę wmuszać moich kosztownych narkotyków osobom, które ich nie doceniają.

Melanie uśmiechnęła się słabo i wyjęła butelkę spod pachy Flo, a ta odstawiła deskę na stolik.

– Jest i szampan...

– Cóż, to specjalna okazja! – zawołała Flo. Uśmiechnęła się promiennie, najwyraźniej nieświadoma napięcia między Melanie a Tomem. – Otwórz go, Mels, a ja pójde po kieliszki.

Melanie zerwała folię, podczas gdy Flo zaczęła grzebać w szafce za lustrem. Podeszła do nas nieco zarumieniona, trzymając sześć kieliszków do szampana, akurat w momencie, gdy rozległ się huk otwieranej butelki. Korek wystrzelił w powietrze i odbił się od płaskiego ekranu telewizora.

– Ups! – Melanie zasłoniła usta dłonią. – Przepraszam, Flo.

– Nic się nie stało – rzuciła Flo wesoło, ale gdy Melanie pochyliła się, żeby nalać szampana, ukradkiem przetarła ekran telewizora rękawem, rzucając nieco znękaną spojrzenie przez ramię.

Każde z nas wzięło po kieliszku i przywołało uśmiech na twarz. Tak naprawdę nie lubiłam szampana, przyprawiał mnie o straszny ból głowy i refluks. W ogóle nie lubię napojów z bąbelkami. Jednak najwyraźniej nikogo to nie interesowało.

Flo uniosła swój kieliszek i powiodła po nas wzrokiem. Wreszcie utkwiała spojrzenie w Clare.

– Za wspaniały paniński weekend – powiedziała uroczyście. – Za idealny paniński weekend dla najlepszej przyjaciółki, jaką można mieć. Za moją opokę, za moją bratnią duszę. Za moją bohaterkę i inspirację. Za Clare!

– I za Jamesa – dodała Clare z uśmiechem. – Inaczej nie będę mogła wypić. Nie jestem wystarczająco egoistyczna, by pić tylko za swoje zdrowie.

– Och... – zacięła się Flo. – Cóż, to znaczy, ja myślałam... czy ten weekend nie powinien dotyczyć tylko ciebie? Myślałam, że wieczór paniński jest właśnie po to, by chociaż na trochę zapomnieć o panu młodym. Ale oczywiście, jeśli tak wolisz... Za Clare i Jamesa.

– Za Clare i Jamesa! – zawołali wszyscy i przechylili kieliszki.

Poczułam, jak kwaśne bąbelki musują mi w gardle, utrudniając przełknięcie alkoholu.

Clare i James. Clare i *James*. Wciąż nie potrafiłam w to uwierzyć, nie potrafiłam sobie wyobrazić ich razem. Czy on naprawdę zmienił się aż tak bardzo przez te dziesięć lat?

Gapiłam się w mój kieliszek, gdy Nina szturchnęła mnie w żebra.

– Daj spokój, próbujesz wyczytać swoją przyszłość z resztek szampana? Nie sądzę, żeby ci się udało.

– Po prostu się zamyśliłam. – Spróbowałam się uśmiechnąć. Nina uniosła brwi, a ja poczułam ucisk w żołądku. Bałam się, że coś powie, że rzuci jedną z tych swoich

szczyrych uwag, po których człowiek aż krzywi się z bólu.

Ale zanim zdążyła się odezwać, Flo klasnęła w dłonie i zawołała:

– Czas na pizzę!

Nina wzięła talerz i nałożyła sobie kawałek. Ja również. Pizza z mięsem była pokryta tanim pepperoni; wyciekał z niego chemicznie pachnący czerwony tłuszcz i zalewał całą deskę, ale po biegu byłam głodna. Wzięłam kawałek z pepperoni i kawałek ze szpinakiem oraz pieczarkami, a potem nałożyłam sobie na talerz trochę humusu i chlebek pita.

– Kochani, używajcie serwetek, nie chcę, żeby tłuszcz kapał na dywan – poprosiła Flo, kręcąc się wokół nas. – Och i pamiętajcie, żeby zostawić kawałki wegetariańskiej dla Toma, dobrze?

– Flops – Clare położyła jej dłoń na ramieniu – jestem pewna, że nie musimy się ograniczać. Nie ma mowy, żeby Tom dał radę zjeść tyle pizzy. Zresztą mamy więcej wegetariańskiej w zamrażalniku, jeśli nam się skończy.

– Wiem – powiedziała Flo, czerwieniąc się. Niecierpliwym gestem poprawiła luźne pasmo włosów, które wysunęło się jej spod spinki. Srebrną koszulkę miała poplamioną sosem. – Ale to kwestia zasad. Jeśli ktoś woli wegetariańską, powinien wcześniej to zgłosić. Nie mam cierpliwości do osób, które sięgają po wegetariańskie potrawy tylko dlatego, że akurat nie odpowiadają im mięsne. A potem wegetarianie muszą obejść się smakiem!

– Przepraszam – powiedziałam. – Wzięłam kawałek z pieczarkami. Chcesz, żebym go odłożyła?

– Nie – powiedziała Flo z rozdrażnieniem. – Pewnie i tak jest już cały uwalany pepperoni.

Miałam ochotę zauważyć, że tłuszcz z pepperoni pokrył już całą partię i skoro tak się przejmowała, może powinna je ułożyć na oddzielnych deskach, ale ugryzłam się w język.

– Dajcie spokój – wtrącił w końcu Tom. Nałożył sobie na talerz trzy kawałki pizzy z pieczarkami i wielką porcją humusu. – To mi wystarczy, serio. Jeśli zjem więcej, Gary każe mi się podciągać na drążku aż do Bożego Narodzenia.

– Kto to jest Gary? – zapytała Flo. Wzięła kawałek pepperoni i usiadła na sofie. – Myślałam, że twoja druga połówka ma na imię Bruce?

– Gary to mój trener personalny. – Tom z satysfakcją spuścił wzrok na swój płaski jak deska brzuch. – Ma ciężką robotę, biedaczek.

– Masz trenera personalnego? – Flo była wyraźnie pod wrażeniem.

– Moja droga, każdy, kto jest kimś, ma trenera personalnego.

– Ja nie mam – zauważyła Nina beznamiętnie. Ugryzła kęs pizzy i mówiła dalej, przeżuując: – Po prostu idę na siłownię i ćwiczę. Nie potrzebuję, żeby w tym czasie wrzeszczał na mnie jakiś kretyn. – Cóż... – przełknęła bohatercko – to znaczy potrzebuję, ale od tego mam iPoda. Lubię włączyć kretyna losowo, jeśli refren robi się monotony.

– No co wy! – zaśmiał się Tom. – To niemożliwe, żebym tylko ja w tym gronie miał trenera! A ty, Nora? Nie wyglądasz, jakbyś miała tylek typowego pisarza.

– Ja? – Podniosłam wzrok znad talerza, zaskoczona, że nagle znalazłam się

w centrum uwagi. – Nie. Nie mam nawet karnetu na siłownię. Po prostu biegam. Wrzeszczą na mnie tylko dzieciaki w Victoria Park.

– W takim razie Clare? – ciągnął błagalnie Tom. – Melanie? No dalej! Niech mnie któraś wesprze. Posiadanie trenera jest zupełnie normalne!

– Ja mam trenera – przyznała Clare. – Ale – uniosła dłoń, żeby powstrzymać wyraz triumfu wpływający na twarz Toma – tylko dlatego, że musiałam zrzucić parę kilo, aby zmieścić się w suknię ślubną!

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego kobiety to robią. – Nina wzięła kolejnego gryza pizzy. Oblizwała usta błyszczące od tłuszczu z pepperoni, zanim znowu się odezwała: – To znaczy dlaczego kupują sukienkę o dwa rozmiary za małą. Ostatecznie można założyć, że koleś oświadczył ci się, kiedy miałaś gruby tyłek.

– No wypraszam sobie! – Clare zaczęła się śmiać, ale w jej tonie zabrzmiała ostra nuta. – Nie miałam grubego tyłka! I nie chodzi o Jamesa, chociaż dodam, że on też ma trenera. Chodzi o to, że chcę wyglądać jak najlepiej tego dnia.

– Więc tylko szczupli ludzie dobrze wyglądają?

– Tego nie powiedziałam!

– Cóż, powiedziałaś, że „jak najlepiej” oznacza dwa rozmiary mniej...

– Parę kilo mniej – zaperzyła się Clare. – To ty powiedziałaś „dwa rozmiary”. Zresztą ty to możesz sobie gadać! Jesteś chuda jak wieszak!

– Przez przypadek – oznajmiła Nina wyniośle – nie celowo. Nie mam hopla na punkcie rozmiarów. Zapytajcie tylko Jess.

– Och, na litość boską! – Clare odstawiła talerz na stół. – Słuchaj, tak się składa, że ja osobiście uważam, że wyglądam lepiej, gdy mieszczę się w rozmiar dziesięć, a nie dwanaście, okej? To nie ma nic wspólnego z opiniami innych ludzi na mój temat.

– Nina... – powiedziała Flo ostrzegawczo.

Ale Nina była w swoim żywiole. Z powagą kiwała głową, podjudzana przez Toma, który chichotał, zasłaniając usta dłonią, oraz przez Melanie z trudem maskującą uśmiezek.

– Tak, rozumiem – ciągnęła. – To nie ma nic wspólnego z absurdalną zachodnią idealizacją anorektycznych modelek i nieustannym portretowaniem chudych jak patyk, zabiedzonych kobiet w mediach. Właściwie to...

– Nina! – Flo, tym razem autentycznie rozgniewana, wstała, uderzając talerzem o blat. Nina urwała w połowie zdania i spojrzała na nią zdumiona.

– Że co proszę?

– Nie wiem, na czym polega twój problem, ale daj spokój, okej? To jest wieczór Clare i nie pozwolę, żebyś wszczynała kłótnie.

– Kto wszczyna kłótnie? To nie ja rzucam talerzami – zauważyła Nina chłodno. – Jaka szkoda. Tak bardzo się starałaś dbać o rzeczy swojej ciotki.

Podążyliśmy za jej wzrokiem i zobaczyliśmy pęknięcie biegnące przez talerz, którym Flo uderzyła o stół kawowy. Przez chwilę wyglądała jak rozwścieczony byk, gotowy do ataku.

– Słuchaj... – zawołała z wściekłością.

Zamarliśmy, z kawałkami pizzy lub kieliszkami w dłoniach, czekając na eksplozję.

– Nic się nie stało – odezwała się Clare, przerywając pełne napięcia milczenie. Wyciągnęła rękę, zmuszając Flo, żeby usiadła obok niej, a potem się zaśmiała. – Serio. Nina ma już takie poczucie humoru. Przyzwyczaisz się do tego. Nie próbuje mnie krytykować. W każdym razie nie za bardzo.

– Tak – potwierdziła Nina, kiwając głową ze śmiertelnie poważną miną. – Przepraszam. Po prostu uważam, że nierealistyczne oczekiwania wobec kobiecych ciał to przezabawny temat.

Flo przez długą chwilę patrzyła na Ninę, a potem z niepewną miną przeniosła wzrok na Clare. W końcu i ona zaśmiała się bez przekonania.

– Dobra – odezwał się Tom – nie jesteśmy nawet w przybliżeniu tak pijani, jak bym chciał. Kto ma ochotę na kolejnego szota? – Rozejrzał się po grupie i zatrzymał wzrok na mnie. Na jego opalonej twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. – Nora, wyglądasz na zdecydowanie zbyt trzeźwą. Nawet nie wypiałś tej kolejki przed kolacją.

Jęknęłam. Ale Nina z zapałem pokiwała głową i zaczęła mi wciskać do ręki napełniony kieliszek, a Tom wyciągnął w moją stronę kawałek limonki i solniczkę. Nie miałam wyjścia. Lepiej po prostu mieć to już za sobą, wypić jak lekarstwo.

Tom wytrząsnął sól na moją dłoń, a ja zlizalam ją, wzięłam kieliszek od Niny i przełknęłam zawartość, a potem wyrwałam kawałek limonki z dłoni Toma. Sok eksplodował mi między zębami, podczas gdy tequila gorącym strumieniem spływała wzdłuż przełyku. Siedziałam przez chwilę, z trudem łapiąc powietrze i zaciskając zęby, aż w końcu znajome ciepło zaczęło się rozlewać po całym ciele, a ja odrobinę się rozluźniłam, jakby alkohol nieco stłumił rzeczywistość.

Może łatwiej byłoby mi przetrwać ten weekend w stanie lekkiego upojenia?

Zdałam sobie sprawę, że wszyscy na mnie patrzą, jakby na coś czekali.

– Zrobione! – uderzyłam kieliszkiem o blat i rzuciłam skórkę po limonce na swój pusty talerz. – Kto następny?

– Może royale? – zapytał Tom łobuzersko i uniósł woreczek z białą zawartością.

Clare szturchnęła mnie w zębra.

– Co ty na to? Ze względu na stare czasy, co? Pamiętasz naszą pierwszą kreskę?

Pamiętałam, chociaż byłam całkiem pewna, że to nie była koka. Prędzej zmielona aspiryna i tak naprawdę nawet wtedy nie miałam na nią ochoty. Po prostu podążałam za Clare niczym owca, bojąc się, że zostawi mnie w tyle.

– Zrobimy to razem, Tom – powiedziała. – I usyp jedną kreskę dla Niny; weźmie z nami. Prawda, pani doktor?

– Wiesz, jacy są lekarze – rzuciła Nina z oschłym uśmiechem. – Wiecznie się czymś faszujemy.

Tom ukląkł przy stoliku z kartą kredytową i woreczkiem z kokainą, a my patrzyłyśmy, jak ceremonialnie wysypuje, miesza i dzieli proszek na cztery schludne kreski. Gdy skończył, pytająco uniósł brwi.

– Zakładam, że Mel „karmiąca matka” Cho się do nas nie przyłączy. A co z Florence „idealną gospodynią” Clay?

Zerknęłam na Flo. Miała zaróżowioną twarz, jakby wypiała zdecydowanie więcej niż ten jeden kieliszek szampana, który widziałam w jej dłoni.

– Słuchajcie... – powiedziała chłodno. – Ja... mnie nie za bardzo to się podoba. To znaczy... to jest dom mojej ciotki. A co, jeśli...

– Och, Flops! – Clare dała jej buziaka i zakryła dłonią usta, żeby powstrzymać jej protesty. – Nie bądź śmieszna. Nie chcesz, to nie bierz, ale naprawdę nie sędzę, by twoja ciotka wparowała tu z psami policyjnymi i zaczęła nas spisywać.

Flo potrząsnęła głową i wyzwoliła się z uścisku Clare. Zaczęła sprzątać talerze. Melanie też wstała.

– Pomogę ci – powiedziała ostentacyjnie.

– Będzie więcej dla nas! – zawołał Tom z nieco agresywną wesołością. Zwinął dziesięciofuntowy banknot i wciągnął swoją kreskę. Otarł nos i wtarł resztki proszku w dziąsła. – Clare?

Clare przyklękła i zrobiła to samo z taką wprawą, że zaczęłam się zastanawiać, jak często to robi. Wstała, zachwiała się lekko, po czym roześmiała.

– Chryste! Niemożliwe, żebym już była na takim haju. To musi być ta tequila! Nina? – Wyciągnęła do niej banknot, ale Nina się skrzywiła.

– Nie ma mowy! Daj ten obsmarkany banknot jakiejś nieświadomej kasjerce. Ja sobie poradzę. – Oderwała pasek okładki z czasopisma „Vogue Living” leżącego przy kominku i wciągnęła swoją kreskę. Skrzywiłam się, patrząc na zmasakrowany magazyn. Miałam nadzieję, że Flo tego nie zauważy.

– Nora?

Westchnęłam. To prawda, wciągnęłam pierwszą kreskę z Clare. Była to również moja ostatnia kreska. Nie zrozumcie mnie źle, na studiach paliłam i piłam, i próbowałam różnych narkotyków. Ale tak naprawdę nigdy nie ciągnęło mnie do kokainy.

Czułam się groteskowo, gdy niezgrabnie przyklękłam na dywanie i pozwoliłam Ninie jeszcze bardziej zniszczyć okładkę „Vogue Living”. To wyglądało jak scena z kiepskiego horroru – tuż zanim psychopata wpadnie do środka i zacznie dźgać ludzi. Brakowało nam tylko parki nastolatków obściskujących się w domku przy basenie, którzy jako pierwsi padliby ofiarami mordercy.

Wciągnęłam kreskę i wstałam. Czułam, jak krew odpływa mi z głowy, a nos i gardło lekko drętwieją.

Byłam na to za stara. Nigdy nie robiłam takich rzeczy, nawet w szkole. Posłuchałam Clare, tylko dlatego że miałam za słabą wolę, żeby jej odmówić. Jak przez mgłę pamiętałam Jamesa krytykującego hipokryzję takiego zachowania: „Rozśmieszają mnie, biorąc udział w sponsorowanych głodówkach dla Oxfam i protestując przeciwko Nestlé, a potem oddając kieszonkowe kolumbijskim baronom narkotykowym. Kapcany. Nie widzą w tym hipokryzji? Już wolę trawkę wyhodowaną we własnym ogródku”.

Zapadłam się w sofę i zamknęłam oczy. Czułam, jak tequila, szampan i koka mieszają się w moich żyłach. Przez cały wieczór próbowałam dopasować chłopaka, którego znałam, do Clare, jaką widziałam dzisiaj – teraz wrażenie dziwności tego wszystkiego tylko się pogłębiło. Czy on naprawdę aż tak bardzo się zmienił? Czy przesiadywali w swoim londyńskim mieszkaniu ramię w ramię i wciągali kokę? Czy pamiętał to, co mówił, gdy miał szesnaście lat, i czy myślał o tym, jaka to ironia, że teraz sam był jednym z tych kapcanów, z których się naśmiewał?

Ta wizja zaboląła mnie jak stara, na wpół zagojona rana, która nieoczekiwanie się otworzyła.

– Lee? – jak przez mgłę usłyszałam głos Clare. Niechętnie otworzyłam oczy. – Lee! Daj spokój, skup się, dziewczyno! Chyba nie jesteś już pijana, co?

– Nie, nie jestem. – Usiadłam prosto, pocierając twarz. Musiałam przez to przejść. Nie było już ucieczki, mogłam tylko brnąć dalej. – Właściwie to nie jestem nawet w przybliżeniu tak pijana, jak bym chciała. Gdzie jest tequila?

Ja nigdy... – Clare leżała wyciągnięta na sofie, z nogami na kolanach Toma. Jej włosy lśniły w blasku ognia padającego z kominka. W jednej dłoni trzymała kieliszek, a w drugiej kawałek limonki, unosząc je i opuszczając, jakby rozważała życiowe wybory. – Ja nigdy... nie uprawiałam seksu w samolocie.

Flo się zaśmiała. A Tom bardzo powoli, z cierpkim uśmiechem uniósł swój kieliszek.

– Zdrowko, moja droga! – Wypił jednym haustem i zagryzł limonką, krzywiąc się.

– Och, ty i Bruce! – zawołała Clare wesoło, z nutką szyderstwa w głosie. – Pewnie zrobiliście to w pierwszej klasie!

– W biznesowej, ale też się liczy. – Ponownie napełnił kieliszek i rozejrzał się po zgromadzonych. – Serio? Piję sam?

– Co takiego? – Melanie podniosła wzrok znad telefonu. – Przepraszam, złapałam odrobinę zasięgu i pomyślałam, że spróbuję zadzwonić do Billa, ale się nie udało. To było pytanie czy wyzwanie?

– Ani jedno, ani drugie. Zmieniliśmy zabawę – wybełkotał Tom. W swoich czasach robił sporo dziwacznych rzeczy i teraz za to płacił. – Graliśmy w „Ja nigdy”. A ja uprawiałem seks w samolocie.

– Och, przepraszam. – Melanie z roztargnieniem wychyliła kieliszek i otarła usta.

– Proszę. Słuchaj, Flo, mogłabym jeszcze raz skorzystać z telefonu stacjonarnego?

– Nie, nie, nie! – przerwała Clare, grożąc jej palcem. – Tak łatwo się nie wywiniesz.

– Pewnie, że nie! – zawtórowała jej Flo z oburzeniem. – Jak, gdzie i z kim, szanowna pani?

– To było podczas miesiąca miodowego z Billem. W trakcie nocnego lotu. Obciągnęłam mu w toalecie. Czy to się liczy? W sumie i tak już wypiłam.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, to on zaliczył seks w samolocie, nie ty – zauważył Tom i puścił do niej oko. – Ale skoro jesteś pijana, uznamy to. Dalej! A dobrze, to moja kolej. Ja nigdy... Kurwa, czego ja jeszcze nigdy nie robiłem? Och, wiem. Ja nigdy nie uprawiałem sportów wodnych.

Ryknęłyśmy śmiechem i żadna z nas się nie napiła, więc Tom jęknął.

– Serio?

– Sporty wodne? – zapytała Flo niepewnie. Trzymała kieliszek w połowie drogi do ust i rozglądała się po wszystkich, próbując zrozumieć, co w tym takiego zabawnego. – Chodzi o nurkowanie i inne takie? Ja trochę żeglowałam, czy to się liczy?

– Nie, skarbie – powiedziała Clare, po czym pochyliła się i szeptem wyjaśniła Flo, co to znaczy. Na twarzy Flo najpierw odmalował się szok, a potem obrzydzenie pomieszane z rozbawieniem.

– Nie ma mowy! Co za ohyda!

– No dalej – powiedział Tom błagalnie. – Przyznajcie się przed wujkiem Tomem, jesteśmy w naszym kobiecym gronie, nie ma się czego wstydzić.

Zapadło milczenie.

– Przykro mi – roześmiała się Clare. – Tak się kończy zabawa z takimi

staroświeckimi damami jak my. No dalej, bądź mężczyzną!

Tom wychylił kolejnego szota, nalał znowu, a potem położył się na sofie i przykrył oczy dłonią.

– Jasna cholera, płacę za błędy młodości. W głowie mi się kręci.

– Twoja kolej, Lee – rzuciła Clare. Twarz miała zaczerwienioną, złote włosy spływały po jej ramionach. – Wyjaw nam jakiś sekret.

Żołądek przewrócił mi się do góry nogami. To był moment, którego się obawiałam. Przez całą ostatnią rundę próbowałam oczyścić umysł z oparów tequili, szampana i rumu, żeby coś wymyślić, ale każde moje wspomnienie sprowadzało się do Jamesa. Myślałam o wszystkich tych rzeczach, których nigdy nie zrobiłam, nigdy nie powiedziałam. Zamknęłam oczy. Miałam wrażenie, że salon chwieje się i rozmywa.

Co innego grać w taką grę w towarzystwie przyjaciół, którzy w sumie i tak już wiedzą o tobie wszystko, a co innego znajdować się wśród obcych i starych znajomych. Ja nigdy... Och, Boże, co mogłabym powiedzieć?

Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego to zrobił.

Nigdy mu nie wybaczyłam.

Nigdy nie uporałam się z uczuciami do niego.

– Lee... – powtórzyła Clare melodyjnym głosem. – No dawaj, nie zmuszaj mnie, żebym narobiła ci obciachu w następnej rundzie.

Poczułam w gardle ohydny smak tequili i kokainy. Nie mogłam sobie pozwolić na dalsze picie. Jeśli się napiję, zwymiotuję.

Nigdy tak naprawdę go nie znałam.

Jak mógł się żenić z Clare?

– Ja nigdy nie zrobiłam sobie tatuażu – wypaliłam. Wiedziałam, że to bezpieczne wyznanie, bo Tom zdążył się wcześniej przyznać, że ma tatuaż.

– Cholera... – jęknął i wychylił kieliszek.

Flo się roześmiała.

– No dalej! Nie wywiniesz się tak łatwo. Pokaż i opowiedz, proszę.

Tom westchnął i rozpiął koszulę, odsłaniając opaloną, wyrzeźbioną klatkę piersiową. Zsunął rękaw z jednego barku i odwrócił się, by pokazać tatuaż. Było to serce przeszyte strzałą, ze słowami „Nie taki głupi” wypisanymi kursywą.

– Proszę bardzo. – Zabrał się do zapinania koszuli. – A teraz pokazujcie swoje, niemożliwe, żebym tylko ja miał tatuaż.

Nina nic nie powiedziała, tylko podciągnęła nogawkę džinsów, odsłaniając jakiegoś małego ptaszka nad kostką.

– Co to jest? – Flo przyjrzała się z bliska. – Kos?

– Sokół – wyjaśniła Nina. Nie rozwodziła się nad tematem, tylko obciągnęła z powrotem nogawkę i wychyliła swojego szota. – A ty?

Flo potrząsnęła głową.

– Jestem zbyt wielkim tchórzem! Za to Clare ma tatuaż!

Clare wyszczerzyła zęby w uśmiechu i uniosła się z sofy. Odwróciła się plecami do nas i podciągnęła srebrny top. Zamigotał jak rybia łuska. Znad brzegu džinsów wyłaniały się dwa celtyckie zawijasy, rozchylające się na boki ku jej wąskiej tali.

– Spermolap! – prychnęła Nina.

– Szaleństwo młodości – wyjaśniła Clare z odrobiną żalu. – Efekt pijackiej eskapady do Brighton w wieku dwudziestu dwóch lat.

– Będzie wyglądać rozkosznie, gdy się zestarzejesz – zauważyła Nina. – Młodzieniec skazany na podcieranie ci tyłka w domu starców będzie miał drogowskaz.

– Przynajmniej będzie miał na co popatrzeć, biedaczysko. – Clare ze śmiechem obciągnęła top i opadła na sofę. Osuszyła swój kieliszek i zawołała: – Mels?

Ale Melanie nie było. Zabrała telefon stacjonarny do hallu. Jej lokalizację wskazywały tylko kabel ciągnący się po ziemi oraz cichy, gorączkowy głos:

– ...I wziął butelkę? Ile uncji?

– Pieprzyć to – oznajmiła Nina stanowczo. – Człowiek za burtą. No dobra. Ja nigdy... nigdy... nigdy... – Przeniosła wzrok ze mnie na Clare i nagle zrobiła bardzo podłą minę. Mój żołądek po raz kolejny wykonał salto. Pijana Nina nie zawsze stanowi najmiłsze towarzystwo. – Nigdy nie pieprzyłam się z Jamesem Cooperem.

Rozległy się niepewne śmiechy.

Clare wzruszyła ramionami i wypila.

Potem jej chabrowe oczy i kawowe oczy Niny skierowały się na mnie. Wszyscy zamilkli, tylko wokalistka zespołu Florence and the Machine śpiewała o tym, że jej chłopak budował trumny.

– Pierdol się, Nina. – Ręka mi drżała, gdy wychylałam kieliszek.

Wstałam i wyszłam do hallu. Policzki mi płonęły. Nagle poczułam się bardzo, bardzo pijana.

– ...Zawsze możesz dać mu pół banana na śniadanie – mówiła właśnie Melanie do słuchawki. – Ale jeśli chcesz mu dać winogrona, najpierw przekrój je na pół albo użyj tego przecieraka...

Minęłam ją i weszłam na schody. Za plecami usłyszałam speszony głos Flo:

– Co to było? O co chodziło?

Na górze wpadłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Potem uklękłam przy muszli klozetowej i wymiotowałam tak długo, aż nie miałam już czym.

Chryste, byłam kompletnie pijana. Na tyle pijana, że byłam gotowa wrócić na dół i trzasnąć Ninę po gębie za to, jaką wredną była suką. Okej, nie wiedziała o wszystkim, co wydarzyło się między mną a Jamesem. Ale wiedziała wystarczająco wiele, by zdawać sobie sprawę, że stawia mnie – i Clare – w paskudnej sytuacji.

Przez chwilę nienawidziłam ich wszystkich: Niny za to, że dokuczała mi tymi swoimi złośliwymi pytaniami, Flo i Toma za to, że się na mnie gapili, a Clare za to, że zmusiła mnie do przyjazdu tutaj. Ale przede wszystkim nienawidziłam Jamesa. Za to, że oświadczył się Clare, że zainicjował całą tę reakcję łańcuchową. Nienawidziłam nawet biednej, Bogu ducha winnej, niczego nieświadomej Melanie, tylko dlatego że tu była.

Żołądek znowu podszedł mi do gardła, ale nie miałam już czym wymiotować. Czułam tylko obrzydliwy smak tequili w ustach. Wstałam, splunęłam do muszli klozetowej i spuściłam wodę. Podeszłam do lustra, żeby nad umywalką przepłukać usta i ochlapać twarz. Byłam blada jak ściana, moje policzki pokrywały czerwone plamy, rozmazał mi się tusz.

– Lee? – usłyszałam pukanie do drzwi. Rozpoznałam głos Clare. Skryłam twarz w dłoniach.

– P-potrzebuję chwili spokoju... – Cholera, zaczęłam się jąkać. Nie jąkałam się od ukończenia szkoły. Jakimś cudem pozbyłam się tej wady wraz z całą smutną, skrępowaną osobowością Lee, gdy tylko opuściłam Reading. Nora nigdy się nie jąkała. Zaczynałam wcielać się w dawną rolę.

– Lee, przykro mi. Nina nie powinna...

Och, odpięrz się – pomyślałam. Proszę. Po prostu zostaw mnie w spokoju.

Za drzwiami usłyszałam stłumiony szmer głosów. Palce mi się trzęsły, gdy próbowałam otrzeć smugi tuszu kawałkiem papieru toaletowego.

Boże, to było żałosne. Czułam się tak, jakbym wróciła do szkoły – kłótnie z wrednymi jędzami, przycinki... Przysięgłam sobie, że nigdy nie wrócę. To był błąd. Straszny, okropny błąd.

– Przepraszam, Nora – usłyszałam głos Niny, nieco bełkotliwy od alkoholu, ale chyba zabarwiony autentyczną troską. – Nie sądziłam... proszę, wyjdź.

– Muszę się położyć – oznajmiłam głosem ochrypłym od wymiotów.

– Le... Nora, proszę... – błagała Clare. – No weź, przepraszam. Nina też przeprasza.

Nabrałam powietrza w płuca i odsunęłam zasuwkę.

Stały na zewnątrz, miały skruszone miny.

– Proszę, Lee. – Clare wzięła mnie za rękę. – Wróć na dół.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. – Serio. Ale jestem naprawdę zmęczona. Wstałam o piątej, żeby złapać pociąg.

– Okej... – Clare z oporami puściła moją dłoń. – Pod warunkiem że nie idziesz spać, tylko dlatego że jesteś nie w sosie.

Wbrew sobie poczułam, jak zaciskam zęby.

Uspokój się. Nie bierz tego wszystkiego do siebie.

– Nie, nie i-idę spać, dlatego że jestem „nie w sosie” – z trudem zdobyłam się na lekki ton. – Po prostu jestem zmęczona. A teraz muszę umyć zęby. Do zobaczenia rano.

Przepchnęłam się między nimi do sypialni po kosmetyczkę, ale kiedy wróciłam, wciąż tam stały. Nina stukała stopą o podłogę.

– Więc mówisz serio? – zapytała. – Zostawiasz nas na lodzie? Chryste, Lee, to był tylko żart. Jeśli ktoś ma prawo czuć się obrażony, to Clare, a ona się tym nie przejęła. Czy już zupełnie straciłaś poczucie humoru?

Przez chwilę myślałam o wszystkich ripostach, które przychodziły mi do głowy. To nie był żart. Wiedziała doskonale, co to dla mnie oznaczało. Celowo poruszyła temat Jamesa w sytuacji, w której nie mogłam uchylić się od odpowiedzi czy zbagatelizować jej pytania.

Ale dalsze przeciąganie tej dyskusji nie miało sensu. Chwyciłam przynętę jak idiotka. Wybuchłam jak na zawołanie. Co się stało, to się nie odstanie, sprawa zamknięta.

– Nie zostawiam was na lodzie – powiedziałam ze znużeniem. – Minęła północ. Jestem na nogach od piątej. Proszę, naprawdę, chcę się po prostu trochę przespać.

Gdy wypowiadałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że proszę, szukam wymówek,

próbuję się pozbyć wyrzutów sumienia, że opuszczam imprezę. Ta świadomość w jakiś sposób utwierdziła mnie w mojej decyzji. Nie miałyśmy już po szesnaście lat. Nie musiałyśmy trzymać się razem, jakby łączyła nas niewidzialna pępowina. Każda z nas poszła swoją drogą i wszystkie przeżyłyśmy. To, że trochę się prześpię, nie zrujnuje wieczoru panińskiego Clare. Nie muszę się tłumaczyć niczym więzień w Izbie Gwiazdzistej.

– Idę do łóżka – powtórzyłam.

Na chwilę zapadło milczenie. Clare i Nina spojrzały po sobie. W końcu Clare powiedziała:

– Okej.

Z jakiegoś irracjonalnego powodu to jedno słówko rozdrażniło mnie bardziej niż cokolwiek innego. Wiedziałam, że po prostu przyjęła do wiadomości moją decyzję, jednak brzmiało to tak, jakby udzielała mi pozwolenia. Aż skóra mi ścierpła. Już nie możesz mną rozporządzać.

– Dobranoc – uciełam i przepchnęłam się z powrotem do łazienki. Mimo szumu bieżącej wody i dźwięku szorowania zębów słyszałam, że dalej stoją na zewnątrz i szepczą coś do siebie. Celowo przeciągałam wizytę w toalecie, zmywając tusz do rzęs z niecodzienną troską, dopóki ich głosy nie ucichły i nie usłyszałam kroków oddalających się po parkiecie.

Odetchnęłam głęboko, pozbywając się napięcia, z którego istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy. Poczułam, jak rozluźniają mi się mięśnie karku i ramion.

Dlaczego? Dlaczego wciąż miały nade mną taką władzę, zwłaszcza Clare? Dlaczego im na to pozwalałam?

Westchnęłam, wrzuciłam szczoteczkę i pastę z powrotem do kosmetyczki, otworzyłam drzwi i powędrowałam korytarzem do sypialni. Było tu chłodno i cicho, zupełnie inaczej niż w przegrzanym, zatłoczonym salonie. Słyszałam głos Jarvisa Cockera napływający przez hall, ale gdy zamknęłam za sobą drzwi sypialni, muzyka została stłumiona do linii basowej. Padłam na łóżko z nieopisaną ulgą. Gdy zamknęłam oczy, mogłam sobie niemal wyobrazić, że jestem w Hackney, w moim małym mieszkanku; brakowało tylko szumu samochodów i dźwięku klaksonów za oknem.

Marzyłam o tym, żeby z powrotem się tam znaleźć. Pragnęłam tego tak bardzo, że niemal czułam miękkość spranej kwiecistej pościeli pod palcami i widziałam rattanowe żaluzje stukoczące cicho o szybę w letnie noce.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi, a gdy uniosłam powieki, za oknem zobaczyłam czerń lasu. Podniosłam się z westchnieniem, gdy pukanie rozległo się znowu.

– Lee?

Wstałam i otworzyłam drzwi. Na zewnątrz stała Flo z rękami na biodrach.

– Lee! Nie mogę uwierzyć, że robisz Clare coś takiego!

– Co? – Poczułam się jeszcze bardziej zmęczona. – Co takiego robisz? Idę spać?

– Zadałam sobie mnóstwo trudu, żeby ten weekend był idealny... Zabiję cię, jeśli zniszczysz to wszystko już pierwszej nocy!

– Niczego nie niszczę, Flo. To ty robisz z tego wielką sprawę. Po prostu chcę się położyć, okej?

– Nie, to nie jest okej. Nie pozwolę, żebyś sabotowała wszystko, na co tak ciężko pracowałam!

– Po prostu chcę się położyć – powtórzyłam te słowa jak mantrę.

– Cóż, uważam, że jesteś... samolubną suką – wypaliła Flo. Twarz miała czerwoną i wyglądała, jakby zaraz miała się rozpląkać. – Clare... Clare jest najlepsza, okej? I zasługuje... ona zasługuje... – Zadrżał jej podbródek.

– Nieważne – mruknęłam i bez zastanowienia zamknęłam jej drzwi przed nosem.

Przez chwilę słyszałam, jak ciężko oddycha. Pomyślałam, że jeśli zaczniesz szlochać, będę musiała wyjść i ją przeprosić. Nie będę mogła tu siedzieć i słuchać, jak przeżywa załamanie nerwowe tuż pod moimi drzwiami.

Ale się nie rozpląkała. Jakimś cudem wzięła się w garść i zeszła na dół, zostawiając mnie samą na skraju łez.

Nie wiem, kiedy Nina wróciła na górę, ale było już późno, bardzo późno. Nie spałam, jednak udawałam, że śpię, skulona pod kołdrą, z poduszką na głowie, podczas gdy ona ciężko chodziła po pokoju, przewracając tubki z kosmetykami i potykając się o swoją walizkę.

– Nie śpisz? – wyszeptała, wślizgując się do swojego łóżka.

Zastanawiałam się, czy jej nie zignorować, ale w końcu westchnęłam i odwróciłam się w jej stronę.

– Nie. Pewnie dlatego, że przewróciłaś każdy przedmiot w tym pokoju.

– Przepraszam. – Otuliła się kołdrą. Zobaczyłam w mroku błysk jej oka, gdy ziewnęła i zamrugowała. – Słuchaj, przepraszam za to, co się stało. Naprawdę nie sądziłam...

– W porządku – ucięłam ze znużeniem. – Ja też przepraszam. Przesadziłam. Byłam po prostu zmęczona i pijana. – Już podjęłam decyzję, że rano przeproszę Flo. Jeśli ktokolwiek był temu wszystkiemu winien, to z pewnością nie ona.

– Nie, to była moja wina – obstawała przy swoim Nina. Położyła się na plecach i zasłoniła oczy dłonią. – Namącałam, jak zawsze. Ale wiesz, minęło dziesięć lat. Chyba można mi wybaczyć, że sądziłam... – urwała. Wiedziałam, co miała na myśli. Normalna osoba już dawno pogodziłaby się z tym, co się stało.

– Wiem – westchnęłam. – Myślisz, że nie wiem, że to żalosne?

– Nora, co się wtedy wydarzyło? Ewidentnie coś się wtedy stało. Człowiek nie zachowuje się tak po zwykłym zerwaniu.

– Nic się nie wydarzyło. Rzucił mnie. Koniec, kropka.

– Słyszałam co innego. – Znowu przekręciła się na bok. Poczułam jej wzrok na swojej twarzy. – Słyszałam, że to ty rzuciłaś jego.

– Cóż, to źle słyszałaś. To on ze mną zerwał. SMS-em, jeśli musisz wiedzieć.

Niedługo potem pozbyłam się tego telefonu. Radosny, niefrasobliwy dźwięk przychodzącej wiadomości nigdy nie przestał mnie boleć.

– Okej... Ale mimo wszystko. Słuchaj, nigdy nie pytałam, ale czy on... – Zamilkła. Niemal słyszałam, jak obracają się trybiki w jej mózgu, jak próbuje ująć w słowa coś nieprzyjemnego. Milczałam. Cokolwiek miała na myśli, nie zamierzałam jej pomagać. –

Och, pieprzyć to. Nie da się tego powiedzieć delikatnie, ale muszę być wścibska. On nie... On cię nie uderzył, prawda?

– Co takiego?

Tego się nie spodziewałam.

– Okej, najwyraźniej nie, przepraszam. – Nina przekręciła się na plecy. – Przepraszam. Ale serio, Lee...

– Nora.

– Przepraszam! Przepraszam, to przez Clare zaczęłam cię znowu tak nazywać. I masz rację. To nie ma żadnego sensu. Ale serio, twoja reakcja po waszym zerwaniu... nic dziwnego, że ludzie się zastanawiali...

– Ludzie?

– Słuchaj, mieliśmy po szesnaście lat. Twój wyjazd i załamanie Jamesa to były dość dramatyczne wydarzenia. Ludzie gadali, w porządku?

– Chryste Panie... – Wlepiłam wzrok w sufit. Ciszę przerywał tylko dziwny miękki stukot dochodzący z zewnątrz, przypominający deszcz, ale łagodniejszy. – Ludzie naprawdę mieli takie podejrzenia?

– Tia... – rzuciła Nina lakonicznie. – Powiedziałabym, że to była najbardziej popularna z teorii. Albo że zaraził cię chorobą weneryczną.

Boże. Biedny James. Mimo tego, co zrobił, nie zasłużył na coś takiego.

– Nie – westchnęłam wreszcie. – Nie, James Cooper mnie nie pobił. Ani nie zaraził mnie chorobą weneryczną. Możesz to powiedzieć każdemu, kto wciąż się zastanawia. A teraz dobranoc. Idę spać.

– No to co w takim razie zrobił? Skoro to nie była żadna z tych rzeczy? Co się wydarzyło?

– Dobranoc.

Przekręciłam się na bok, wsłuchując się w ciszę, w poirytowany oddech Niny i miękki stukot na zewnątrz.

W końcu zasnęłam.

Głosy. W korytarzu na zewnątrz. Przenikają do mojego snu, przedzierają się przez mgłę morfiny i przez chwilę wydaje mi się, że znowu jestem w szklanym domu, a Clare i Flo szepczą pod moimi drzwiami, trzymając strzelbę w drżących dłoniach.

Trzeba było przeszukać resztę domu...

Wtedy otwieram oczy i przypominam sobie, gdzie jestem.

W szpitalu. Pod moimi drzwiami stoją pielęgniarki, nocni sanitariusze... może nawet ta policjantka, którą widziałam wcześniej.

Leżę tam, mrugając i próbując zmusić zmęczony, otumaniony narkotykiem umysł do myślenia. Która godzina? Szpitalne światła wciąż są przygaszone, ale nie potrafię stwierdzić, czy jest dziewiąta wieczorem czy czwarta rano.

Przekręcam głowę w poszukiwaniu komórki. Zawsze, gdy się budzę, sprawdzam godzinę na telefonie. To pierwsza rzecz, jaką robię. Ale szafka obok mojego łóżka jest pusta.

Na krześle przy oknie nie wiszą żadne ubrania, szpitalna koszula, którą mam na sobie, nie ma kieszeni. Mój telefon zniknął.

Leżę, rozglądając się po małym pomieszczeniu. To prywatny pokój, co wydaje mi się dziwne, ale może główny oddział był przepełniony. A może takie mają tu reguły. Nie ma żadnych innych pacjentów, których mogłabym o to zapytać. Nie ma zegara na ścianie.

Jeśli na mrugającym na zielono monitorze przy moim łóżku wyświetla się godzina, nie mogę jej dostrzec.

Przez chwilę zastanawiam się, czy kogoś nie zawołać, czy nie zapytać policjantki pod drzwiami, która godzina, gdzie jestem, co mi się przytrafiło.

Ale wtedy zdaję sobie sprawę, że z kimś rozmawia; to ich stłumione głosy mnie obudziły. Z trudem przełykam ślinę i z bólem unoszę głowę znad poduszki, zbierając się, żeby wychrypieć prośbę. Jednak zanim zdążę się odezwać, przez drzwi dociera do mnie jedno zdanie, które przykleja mój suchy język do podniebienia.

– O Jezu... – słyszę. – Więc teraz mamy do czynienia z morderstwem?

Obudziłam się w czystej, jasnej ciszy, przerywanej tylko przez ciche pochrapywanie Niny dobiegające z sąsiedniego łóżka. Gdy tak leżałam, rozciągając mięśnie i żałując, że przed snem nie nalałam sobie wody do szklanki, zaczęłam rozróżniać dźwięki lasu: śpiew ptaków, trzaski gałązek i ciche pacnięcia, których nie rozpoznawałam, a po nich lawinę delikatnych dźwięków, przypominających kartki papieru spadające na podłogę.

Zerknęłam na telefon – była 6:48, a ja wciąż nie miałam zasięgu – po czym sięgnęłam po sweter i podeszłam do okna. Gdy rozsunęłam zasłony, niemal się zaśmiałam. W nocy spadł śnieg, niewiele, ale wystarczająco dużo, by przemienić krajobraz w malowniczą wiktoriańską pocztówkę. To był ten osobliwy stukot, który słyszałam poprzedniej nocy. Gdybym wstała i wyjrzała przez okno, przestałabym się dziwić.

Niebo lśniło feerią różu i błękitu, z brzoskwiniowymi chmurami podświetlonymi od spodu. Ziemię pokrywał miękki dywan bieli, usiany odciskami ptasich łap i opadłymi sosnowymi igłami.

Ten widok sprawił, że poczułam swędzenie w stopach i zrozumiałam, że po prostu muszę pobiegać.

Moje adidasy stojące na grzejniku były pokryte skorupą wczorajszego błota, ale suche, podobnie jak legginsy. Naciągnęłam koszulkę termoaktywną i czapkę, jednak uznałam, że nie potrzebuję kurtki.

Nawet w mroźny dzień mój organizm wydzielał wystarczająco dużo ciepła, żebym nie marzła w trakcie biegu – pod warunkiem że nie wiało. A ten poranek był spokojny. Ani jedna gałązka nie kołysała się na wietrze, a śnieg osuwał się z nich, tylko dlatego że ugiwały się pod jego ciężarem.

Gdy po cichu, w skarpetkach, schodziłam po schodach, słyszałam chrapanie dochodzące ze wszystkich pokojów. Buty włożyłam dopiero na wycieracze, żeby nie zabrudzić podłóg ciotce Flo. Frontowe drzwi odstraszyły mnie szeregiem zamków i zasuw, więc na palcach przeszłam do kuchni, gdzie drzwi wiodące na zewnątrz były zamykane tylko na kluczyk. Klucz obrócił się gładko, ale gdy nacisnęłam klamkę, skrzywiłam się, bo nagle przyszło mi do głowy, że może jest tu jakiś alarm, który powinnam najpierw wyłączyć. Nie rozległo się jednak żadne wycie, więc niepostrzeżenie wyslizgnęłam się na dwór i zaczęłam rozgrzewkę.

Upłynęło może czterdzieści minut, gdy powoli biegłam z powrotem leśną ścieżką, z policzkami zaczerwienionymi od zimna i wysiłku. Mój oddech unosił się chmurką bieli na tle jaskrawoniebieskiego nieba. Czułam się lekka i spokojna, całe napięcie i frustracje zostały gdzieś w lesie, ale ścisnęło mnie w dołku, gdy zobaczyłam, że nad domem unoszą się kłęby pary niczym z lokomotywy. Ktoś już wstał i uruchomił bojler, żeby skorzystać z gorącej wody.

Miałam nadzieję, że zdążę spędzić trochę czasu w spokoju, zanim pozostali się obudzą. Zjem śniadanie, tak jak lubię, bez konieczności prowadzenia krępujących rozmów o niczym. Gdy się zbliżyłam, zauważyłam, że ktoś nie tylko już wstał, ale też był

na zewnątrz – ślady na śniegu prowadziły od tylnego wejścia do garażu i z powrotem. Dziwne. Wszystkie samochody były zaparkowane przed domem. Po co ktoś miałby chodzić do garażu?

Porzuciłam jednak te dociekania, bo teraz, gdy już nie szarżowałam pod górę, w przepoconej koszulce zaczęło mi się robić zimno i zamarzyła mi się kawa. Ruszyłam z powrotem do kuchennych drzwi. Ktokolwiek był już na nogach, z pewnością wyjaśni mi tę zagadkę.

– Dzień dobry – zawołałam cicho, bo nie chciałam obudzić innych. – To tylko ja. Melanie siedziała przy blacie, pochylona nad komórką.

– Hej! – Uśmiechnęła się na mój widok, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Nie sądziłam, że ktoś już wstał. Biegałaś po tym śniegu? Jesteś szalona!

– Jest przepięknie. – Wytarłam buty o matę leżącą przed drzwiami, po czym ściągnęłam je i weszłam do środka, trzymając adidasy za sznurówki. – Która godzina?

– Siódma trzydzieści. Wstałam jakieś dwadzieścia minut temu. Co za ironia. Mam szansę porządnie się wyspać bez Bena, a nie mogę spać!

– Zostałaś uwarunkowana – zauważyłam, a ona westchnęła.

– Niestety, masz rację. Cholera. Chcesz herbatę?

– Wołałabym kawę, jeśli robisz... Och, do licha, nie mamy kawy, prawda? – przypomniałam sobie.

– Nie. Sama ledwo wytrzymuję. Ja też jestem uzależniona od kawy. Na studiach wołałam herbatę, ale Bill mnie nawrócił. Myślałam nawet, czy nie wypić tyle herbaty, by uzyskać ekwiwalent kofeiny, ale wydaje mi się, że mój pęcherz by tego nie wytrzymał.

No trudno. Herbata będzie przynajmniej gorąca i mokra.

– Napiję się z przyjemnością. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli najpierw skoczę pod prysznic i się przebiorę? Biegałam w tych samych ciuchach, co wczoraj, pewnie cuchnę.

– Nie ma sprawy. Zrobię też tosty. Będą gotowe, gdy wrócisz.

*

Kiedy dziesięć minut później zeszłam na dół, poczułam zapach tostów i usłyszałam, jak Melanie nuci *The Wheels on the Bus*.

– Hej – przywitała mnie ponownie, gdy weszłam do kuchni, wycierając włosy ręcznikiem. – No więc jest marmite, marmolada albo dżem truskawkowy.

– Nie ma malinowego?

– Nie.

– W takim razie poproszę z marmite'em.

Melanie rozprowadziła smarowidło na toście i popchnęła talerz w moją stronę, po czym zerknęła ukradkiem na telefon leżący na blacie. Wzięłam gryza i zapytałam:

– Wciąż nie ma zasięgu?

– Nie. – Jej uprzejmy uśmiech nieco stężał. – To naprawdę daje mi w kość. On ma tylko sześć miesięcy i jest trochę niespokojny, od kiedy zaczęliśmy mu podawać stałe pokarmy. Ja po prostu... wiem, że to żałosne, ale nie znoszę być z dala od niego.

– Mogę to sobie wyobrazić – powiedziałam ze współczuciem, chociaż nie była to

prawda. Ale potrafiłam sobie wyobrazić jej tęsknotę za domem, a musiała za nim tęsknić jeszcze bardziej niż ja, gdy na jej powrót czekał ktoś tak mały i bezradny. – Jaki on jest? – zapytałam, próbując ją rozweselić.

– Och, jest uroczy! – Szczery uśmiech powrócił na jej twarz. Sięgnęła po telefon i zaczęła przeglądać galerię fotek. – Popatrz, to jego zdjęcie z pierwszym zębkiem.

Zobaczyłam zamazane ujęcie okrągłej jak księżyc buzi. Nie zauważyłam żadnego zębka, ale ona już przeszła do kolejnych zdjęć. Przed oczami mignęło mi coś, co wyglądało jak skutki eksplozji w fabryce musztardy. Melanie skrzywiła się.

– Och, Boże, przepraszam za to.

– Co to było?

– Ben, zafajdany aż po uszy! Zrobiłam to zdjęcie, żeby pokazać Billowi, bo był akurat w pracy.

– Bill i Ben?

– Wiem – zaśmiała się z zażenowaniem. – Zaczęliśmy nazywać go Ben, gdy był jeszcze w brzuszku, tak dla żartu, no i jakoś się przyjęło. Mam trochę wyrzuty sumienia, ale doszłam do wniosku, że nie za często będzie w życiu zestawiany z tatą². Och, popatrz na to... Tutaj po raz pierwszy pływał!

To zdjęcie było ostrzejsze. Przedstawiało małą twarzyczkę na tle jaskrawoniebieskiego basenu, z usteczkami ułożonymi w oburzone czerwone „Och!”.

– Wygląda uroczo – skomentowałam, próbując ukryć tęsknotę w głosie. Bóg jeden wie, że nie chcę mieć dzieci, ale widok szczęśliwej rodziny sprawia, że człowiek mimowolnie czuje się wyrzucony poza nawias.

– To prawda – przytaknęła Melanie. – Jest dla mnie prawdziwym błogosławieństwem – powiedziała, odruchowo dotykając krzyżyka na szyi, a potem westchnęła: – Chciałabym tylko, żeby był tu zasięg. Naprawdę myślałam, że jestem gotowa go zostawić, ale teraz... Dwie noce to za dużo. Wciąż myślę o tym, że coś się stanie, a Bill nie będzie mógł się ze mną skontaktować.

– Ale podałaś mu numer stacjonarny, prawda? – Ugryzłam kolejny kęs tostu.

Melanie pokiwała głową.

– Tak. Właściwie... – Znowu sprawdziła godzinę na telefonie – obiecałam, że rano do niego zadzwonię. Nie chciał sam dzwonić tak wcześnie, bo bał się, że wszystkich pobudzi. Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli...?

– Pewnie, że nie – zapewniłam, a ona od razu wstała, dopiła herbatę i odstawiła filiżankę na blat. – Och, swoją drogą – przypomniałam sobie, gdy ruszyła w stronę drzwi – miałam cię zapytać, czy to ty wychodziłaś dziś do garażu?

– Nie. – Wyglądała na zaskoczoną. – Jak to? A był otwarty?

– Nie wiem, nie sprawdzałam drzwi. Ale widziałam na śniegu ślady, które do niego prowadziły.

– Dziwne. To nie byłam ja.

– Rzeczywiście dziwne. – Wzięłam kolejny kęs i zaczęłam przeżuwać z namysłem. Ślady były świeże, więc musiały powstać po tym, jak śnieg przestał padać.

– Chyba nie myślisz, że... – urwałam.

– Co?

Nie przemyślałam do końca tego, co zamierzałam powiedzieć, i teraz czułam dziwny opór przed wymówieniem tych słów na głos.

– Cóż, zakładałam, że ktoś wyszedł z domu do garażu i z powrotem. Ale mogło być odwrotnie.

– Co...? Że niby ktoś węszył koło domu? A widziałaś jakieś ślady biegnące z lasu do garażu?

– Nie widziałam żadnych śladów. Ale garaż stoi tak blisko linii drzew. Nie nagromadziło się tam wystarczająco dużo śniegu, leży tylko łatami. – Nie wspomniałam o tym, że nawet jeśli ktoś zostawił ślady na leśnej ścieżce, prawdopodobnie sama skutecznie je zdeptałam podczas biegu. – Nieważne – powiedziałam, z determinacją unosząc filiżankę. – To głupie. Pewnie Flo wyszła po coś z domu.

– Tak, masz rację – zgodziła się Melanie.

Wzruszyła ramionami i wyszła z kuchni.

Za chwilę usłyszałam brzęk podnoszonej słuchawki, ale zamiast odgłosu wybieranego numeru dotarło do mnie jeszcze kilka brzęków, po czym huk słuchawki odkładanej z powrotem na widełki.

– Na litość boską, linia naziemna nie działa! Serio, to jest kropla, która przepełniła czarę. A co, jeśli coś się stało Benowi?

– Poczekaj – zawołałam. Włożyłam swój talerz do zmywarki i poszłam do salonu. – Pozwól, że ja spróbuję. Może to jego numer nie odpowiada.

– To nie jego numer. – Melanie podała mi słuchawkę. – Nie ma sygnału. Posłuchaj. Miała rację. Nie było sygnału wybierania numeru, tylko echo pustej linii i stłumione klikanie.

– To pewnie przez ten śnieg. – Pomyślałam o gałęziach uginających się pod jego ciężarem. – Jakaś gałąź musiała się złamać i zerwała linię. Pewnie to naprawią, ale...

– Ale kiedy? – przerwała mi Melanie. Była zdenerwowana, zaczerwieniona, a w jej oczach widziałam łzy. – Nie chciałam z tego zrobić wielkiej sprawy przed Clare, ale to mój pierwszy wyjazd bez niego i szczerze mówiąc, bawię się dość gównianie. Wiem, że powinnam się ekscytować wieczorem z dziewczynami, ale nie mam już ochoty na całe to picie i pajacowanie. Gówno mnie obchodzi, kto z kim spał. Ja po prostu chcę wrócić do domu i przytulić moje dziecko. Chcesz wiedzieć, dlaczego tak naprawdę obudziłam się tak wcześniej? Bo cycki miałam twarde jak skała od nadmiaru pokarmu. Obudził mnie ból, zalałam całe pieprzone łóżko... – Teraz już naprawdę płakała, ciekło jej z nosa. – Musiałam wstać, odciągnąć mleko i wylać do zlewu. A teraz jeszcze t-to, n-nie mam pojęcia, czy wszystko z nimi w porządku. Nie chcę tu dłużej być...

Gapiałam się na nią, zagryzając wargę. Jakaś część mnie chciała ją przytulić, inna część wzdragała się przed widokiem jej twarzy zalanej łzami i smarkami.

– Hej... – odezwałam się z zakłopotaniem. – Hej, słuchaj... jeśli źle się bawisz... – Przerwałam. Nie słuchała mnie. Gapiała się przez okno na zasypany śniegiem las, wyraźnie obracając w głowie jakąś myśl. W końcu jej oddech uspokoił się, szloch uciszył. – Melanie? – spróbowałam jeszcze raz.

Odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Otarła twarz rękawem szlafroka i oznajmiła:

– Wyjeżdżam. – To było tak nagłe, że nie wiedziałam, jak zareagować. – Flo mnie

zabije, ale mam to gdzieś. Clare nie będzie miała nic przeciwko. Myślę, że od początku miała w dupie cały ten wieczór paniński. To wszystko wynik tej dziwnej obsesji Flo na punkcie bycia najlepszą przyjaciółką na świecie. Myślisz, że dam radę się przebić drogą dojazdową?

– Tak – zapewniłam ją. – Pod drzewami leży niewiele śniegu. Ale co z Tomem? To ty go tu przywiozłaś, prawda?

– Tylko z Newcastle. – Znowu otarła twarz. Teraz, gdy już podjęła decyzję, wyglądała na spokojniejszą. – Jestem pewna, że Clare albo Nina zabiorą go z powrotem. To żaden problem.

– Chyba tak. – Zagryzłam wargę, wyobrażając sobie reakcję Flo. – Słuchaj, jesteś przekonana, że nie chcesz jeszcze trochę poczekać? Z pewnością wkrótce naprawią linię.

– Nie. Już się zdecydowałam. Wyjeżdżam natychmiast. To znaczy poczekam, aż Flo wstanie, ale pójdę się spakować. Och, co za ulga! – Uśmiechnęła się nagle i w mgnieniu oka jej zachmurzona twarz rozblęśta słońcem. – Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. I przepraszam, że straciłam panowanie nad sobą. Naprawdę mi pomogłaś. W sensie... masz rację, po co miałabym tu zostawać, skoro źle się bawię? Clare nie chciałaby, żebym siedziała tu nieszczęśliwa.

Patrzyłam, jak wolnym krokiem wraca na górę, żeby się spakować. Zamyśliłam się nad jej ostatnimi słowami. Po co miałaby tu zostawać? Nagle uświadomiłam sobie, że nie chcę, by wyjeżdżała. Nie żebym ją jakoś wyjątkowo polubiła czy miała za nią tęsknić – nie znałam jej wystarczająco, chociaż wydawała się bardzo miła – po prostu sama fantazjowałam o ucieczce. A w gronie uszczuplonym o jedną osobę dezercja byłaby znacznie utrudniona. Na tych, którzy pozostaną, będzie spoczywać dodatkowa presja, by wynagrodzić Clare nieobecność Melanie. Bez samochodu czy wymówki w postaci małego dziecka nie miałam żadnych powodów do wyjazdu, które nie zostałyby odebrane jako skrywana zazdrość o Jamesa, zazdrość o to, że Clare wygrała i zdobyła mojego byłego chłopaka.

Sądziłam, że już dawno przestałam się przejmować tym, co myśli o mnie Clare Cavendish. Wracając do kuchni, zdałam sobie sprawę, że się myliłam.

2 Bill i Ben to bohaterowie jednego z brytyjskich seriali animowanych (przyp. tłum.).

Oto jak poznałam Clare. Był pierwszy dzień szkoły podstawowej, a ja siedziałam sama w ławce i próbowałam się nie rozpląkać. Wszystkie dzieci chodziły razem do przedszkola, a ja nie, więc nie znałam tu nikogo. Byłam mała i chuda i miałam sztywne cienkie warkoczyki, które matka zaplotła mi, „żebym nie złapała wszy”.

Umiałam już czytać, ale nie chciałam, żeby ktoś o tym wiedział. Matka ostrzegła mnie, że wyjdę na przemądrzałą i stanę się niepopularna. Powiedziała, że dopiero nauczyciele pokażą mi, jak się czyta naprawdę, a nie w mój „wymyślony” sposób. Siedziałam więc sama, podczas gdy inne dzieciaki gawędziły ze sobą. Nagle do klasy weszła Clare. Nigdy nie widziałam nikogo równie pięknego. Włosy miała długie i rozpuszczone, wbrew szkolnym przepisom. Lśniły w słońcu jak na reklamie szamponu Pantene. Rozejrzała się po sali. Kilka osób z nadzieją poklepało wolne krzesła obok siebie, wołając: „Clare! Clare, usiądź ze mną!”.

A ona wybrała mnie.

Nie wiem, czy wiecie, jakie to uczucie zostać wybranym przez kogoś takiego jak Clare. Zupełnie jakby padło na ciebie ciepłe światło reflektora i skąpało cię w swoim blasku. Z jednej strony czujesz się obnażony, ale z drugiej pochlebia ci to. Wszyscy na ciebie patrzą i wiesz, że się zastanawiają – dlaczego właśnie ona?

Clare dosiadła się do mnie, a ja poczułam, że nagle staję się kimś. Kimś, z kim inne dzieci będą chciały rozmawiać, przyjaźnić się.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłam uśmiech.

– Cześć – przedstawiła się. – Jestem Clare Cavendish i mam takie długie włosy, że mogę na nich usiąść. Będę grała Marię w szkolnym przedstawieniu.

– Ja jestem... – zaczęłam. – Ja jestem L-Le...

Chciałam powiedzieć „jestem Leonora”, ale Clare tylko się uśmiechnęła.

– Cześć, Lee.

– Clare Cavendish – zawołała nauczycielka, uderzając drewnianą linijką o tablicę, żeby zwrócić naszą uwagę. – Dlaczego nie masz związanych włosów?

– Dostaję od tego bólu głowy. – Clare skierowała swoje anielskie oblicze w stronę nauczycielki. – Mama powiedziała, żebym ich nie związywała. Mam zaświadczenie od lekarza.

To była cała Clare.

Czy to możliwe, że naprawdę miała zaświadczenie od lekarza? Czy jakikolwiek lekarz przy zdrowych zmysłach dałby pięciolatce karteczkę pozwalającą na noszenie rozpuszczonych włosów pomimo szkolnego zakazu? To nie miało znaczenia. Clare Cavendish tak powiedziała, więc stało się to faktem. I rzeczywiście – zagrała Marię w szkolnym przedstawieniu. A ja zostałam Lee. Wystraszoną, jękającą się Lee. Jej najlepszą przyjaciółką.

Nigdy nie zapomniałam o tym, co zrobiła tamtego pierwszego dnia. Mogła wybrać każdego. Mogła wykorzystać swoją popularność i usiąść obok którejś z dziewcząt ze spinkami Barbie we włosach i bucikami Lelli Kelly.

Zamiast tego wybrała tę jedyną, która siedziała w milczeniu, samotnie. I odmieniła

moje życie.

Jako najlepsza przyjaciółka Clare byłam poważana. Na placu zabaw nie musiałam już stać z boku, udając, że nie czuję się samotna, i czekając, aż ktoś zechce się ze mną pobawić. Byłam zapraszana na przyjęcia urodzinowe, bo Clare chciała mnie tam widzieć. A gdy wszyscy się dowiedzieli, że Clare odwiedziła mnie w domu i wypowiedziała się z aprobatą na temat mojej huśtawki oraz domku dla lalek, inne dziewczynki również zaczęły przyjmować moje nieśmiałe zaproszenia.

Pięciolatki potrafią być niewiarygodnie okrutne. Mówią rzeczy, których nie powiedziałby żaden dorosły. Rzucają kąśliwe komentarze na temat twojego wyglądu, rodziny, sposobu, w jaki mówisz i pachniesz, na temat ubrań, które nosisz. Gdyby ktoś odezwał się do ciebie w taki sposób w biurze, zostałby zwolniony za mobbing, tymczasem w szkole był to naturalny porządek rzeczy. W każdej klasie jest jakiś kozioł ofiarny, niepopularny dzieciak, z którym nikt nie chce siedzieć, który jest o wszystko obwiniany i wybierany jako ostatni w grach zespołowych. Chyba równie nieuniknione jest to, że każda klasa ma swoją królową pszczoł. W naszej klasie taką królową bez wątplenia była Clare. A ja bez jej przyjaźni z łatwością stałabym się kozłem ofiarnym, zawsze siedzącym samotnie w ławce. Jakaś część mnie – przerażona pięciolatka wciąż tkwiąca w moim dorosłym ciele – zawsze będzie jej za to wdzięczna.

Jednak przyjaźń z Clare nie była łatwa. Ów promień reflektora pełen miłości i ciepła mógł zgasnąć równie szybko, jak się pojawił. Zamiast chroniona, byłam wyśmiewana i wyszydzana. Niejeden raz wracałam do domu z płaczem z powodu czegoś, co Clare powiedziała czy zrobiła. Ale była zabawna i hojna, a jej przyjaźń stanowiła linię ratowniczą, bez której bym sobie nie poradziła, więc ostatecznie zawsze jej przebaczałam.

Moja matka nie akceptowała Clare z powodów, których nigdy nie potrafiłam do końca zrozumieć. Nie miało to dla mnie sensu, bo Clare pod wieloma względami przypominała taką córkę, jaką moja matka zawsze próbowała zrobić ze mnie – czarującą, gadatliwą, popularną, nieprzesadzającą z nauką. Pod koniec podstawówki nie ukrywała, że ma nadzieję, iż dostanę się do lokalnego liceum, a Clare nie. A jednak Clare się dostała. Nie była kujonką, tego nikt nie mógłby jej zarzucić, ale była bystra i potrafiła to wykorzystać na egzaminach.

Matka udała się więc do dyrektora i poprosiła, żebyśmy zostały umieszczone w różnych klasach. Na lekcjach znalazłam sobie nową przyjaciółkę, towarzyszkę równie mało przewidywalną, jak Clare: wybuchową, zabawną Ninę, z chudymi brązowymi nogami i dużymi ciemnymi oczami. Nina przewyższała mnie wzrostem, potrafiła przebiec osiemset metrów w dwie i pół minuty, była zabawna i nikogo się nie bała. Przebywanie w jej towarzystwie było ryzykowne – jej cięty język nie odróżniał przyjaciół od wrogów. Ale lubiłam ją. I pod wieloma względami czułam się przy niej bezpieczniej niż przy Clare.

To jednak niczego nie zmieniło. Clare spotykała się ze mną po lekcjach, razem spędzałyśmy przerwy na lunch. Wagarowałyśmy i przepuszczałyśmy kieszonkowe w Woolworths na płyty CD, które lubiła Clare, i na lakiery do paznokci z brokatem, których nie wolno nam było nosić w szkole. Na wagarach zostałyśmy przyłapane tylko raz, gdy miałyśmy po piętnaście lat. Ciężka dłoń na ramieniu. Rozwścieczona twarz pana Banningtona. Groźby, że zostaniemy zawieszony, że szkoła powiadomi naszych

rodziców, że za karę będziemy siedzieć w kozie do końca życia...

Ale wystarczyło, że Clare podniosła na niego błękitne oczy lśniące szczerością.

– Tak mi przykro, panie Bannington – powiedziała. – Ale dziś są urodziny dziadka Lee. Wie pan, tego, z którym mieszkała. – Umilkła i posłała mu znaczące spojrzenie, zachęcając go, żeby sobie przypomniął, żeby skojarzył fakty. – Lee była smutna i nie mogła znieść siedzenia na lekcjach. Przepraszam, jeśli postąpiłyśmy niewłaściwie.

Przez chwilę gapiłam się na nią z rozdziawionymi ustami. Naprawdę były urodziny dziadka? Zmarł rok temu. Czy rzeczywiście zapomniałam? Potem odzyskałam rozum. I poczułam gniew. Nie, oczywiście, że to nie były jego urodziny. Miał urodziny w maju. Był dopiero marzec.

Pan Bannington stał, przygryzając wąsy i ściągając brwi. W końcu położył mi dłoń na ramieniu.

– Cóż, w takich okolicznościach... Nie mogę akceptować takiego zachowania, dziewczęta. W razie alarmu przeciwpożarowego ktoś mógłby ryzykować życie, szukając was. Rozumiecie? Więc proszę, żeby to się więcej nie powtórzyło. Ale w tej sytuacji przemilczymy sprawę. Ten jeden raz.

– Jeszcze raz przepraszam, panie Bannington. – Clare spuściła głowę, skarcona, niepewna. – Ja tylko próbowałam być dobrą przyjaciółką. Lee jest naprawdę ciężko, wie pan?

Pan Bannington stłumił kasznięcie, skinął szybko głową, obrócił się na pięcie i odszedł.

Byłam tak wściekła, że w drodze powrotnej do szkoły nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Jak śmiała. Jak śmiała!

Przy szkolnej bramie Clare położyła mi dłoń na ramieniu.

– Lee, słuchaj, mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz. Po prostu nic innego akurat nie przyszło mi do głowy, wiesz? To ja namówiłam cię na te wagary, pomyślałam, że jestem odpowiedzialna za to, żeby uratować nam tyłki.

Patrzyłam na nią z kamienną twarzą. Próbowałam sobie wyobrazić, co by powiedziała moja matka, gdybym została zawieszona. Myślałam o tym, jak Clare wybawiła nas obie z opresji. Pomyślałam o maju i o tym, że będę musiała przetrwać ten dzień, prawdziwy dzień urodzin mojego dziadka, bez wspomnienia o tym fakcie czy nawiązywania do niego kiedykolwiek w przyszłości.

– Dzięki – rzuciłam twardym, nieswoim głosem. Bez zająknięcia.

– Proszę bardzo. – Clare posłała mi promienny uśmiech, a ja poczułam, jak rozplywam się w jego blasku, i odwzajemniłam go, trochę wbrew sobie.

Ostatecznie Clare tylko próbowała być dobrą przyjaciółką.

*

– Nie.

– Flo...

– Nie wyjeżdżasz.

Melanie zamarła pośrodku kuchni, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. W końcu prychnęła i zaśmiała się z niedowierzaniem.

– A jednak... wyjeżdżam. – Zarzuciła torbę na ramię i spróbowała wyminąć Flo.

– Nie! – W głosie Flo było słycać histerię. – Nie pozwolę ci wszystkiego zniszczyć!

– Flo, przestań się zachowywać jak wariatka! – Melanie nie wytrzymała. – Wiem... rozumiem, że to jest dla ciebie ważne, ale popatrz na siebie! Clare ma w dupie to, czy tu będę. Stworzyłaś sobie w głowie idealny obraz tego weekendu, ale nie możesz zmusić ludzi, żeby go podzielali. Weź się w garść!

– Ty... – Flo dźgnęła Melanie palcem – ...jesteś złą przyjaciółką. I złym człowiekiem.

– Nie jestem złą przyjaciółką. – W głosie Melanie nagle zabrzmiało zmęczenie. – Po prostu mam dziecko. Moje życie nie obraca się wokół cholernej Clare Cavendish. A teraz proszę, zejdź mi z drogi.

Odepchnęła wyciągnięte ramię Flo i ruszyła w kierunku drzwi frontowych, zerkając w górę.

– Clare! Nie śpisz! – zawołała nagle.

– Co się dzieje? – Clare schodziła po schodach w pogniecionej lnianej podomce. Słońce wlewało się przez okno za jej plecami i lśniło we włosach, tworząc aureolę wokół jej głowy. – Usłyszałam krzyki. Co się dzieje? – powtórzyła.

– Wyjeżdżam. – Melanie wbiegła kilka schodków na górę, dała Clare energicznego buziaka, po czym poprawiła torbę na ramieniu. – Przykro mi. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Nie byłam gotowa, żeby zostawić Bena samego, a ta sprawa z telefonem tylko wszystko pogorszyła...

– Jaka sprawa z telefonem?

– Padła linia naziemna. Ale nie tylko o to chodzi. Ja po prostu... chcę już wrócić do domu. Nie powinnam była przyjeżdżać. Nie masz mi tego za złe, prawda?

– Oczywiście że nie. – Clare ziewnęła i odgarnęła włosy z oczu. – Nie bądź niemądra. Jeśli źle się czujesz, to jedź. I tak zobaczymy się na ślubie.

– Tak. – Melanie kiwnęła głową. Potem zerknęła przez ramię na Flo, pochyliła się ku Clare i szepnęła: – Słuchaj, pomóż jej wziąć się w garść, dobra? To nie jest... to nie jest zdrowe. Dla nikogo.

Potem pomaszerowała do drzwi, otworzyła je i zatrzasnęła za sobą. Usłyszałyśmy skrzypienie opon na śniegu, gdy opuszczała parking i wjeżdżała na porytą koleinami drogę.

Wtedy Flo zaczęła płakać. Rozpaczliwie. Cała była zasmarkana. Przez chwilę stałam tam, zastanawiając się, co powinnam – co mogłabym – zrobić. Ale Clare pokonała resztę schodów, znowu ziewając, wzięła Flo za ramię i zaprowadziła ją do kuchni. Słyszałam bulgotanie wody w czajniku, szloch przełykającej łyzy Flo i kojące słowa Clare.

– Uratowałaś mi życie – wykrztusiła Flo. – Jak miałabym o tym zapomnieć?

– Skarbie – głos Clare przepełniała miłość pomieszana z irytacją – ile razy ci mówiłam...

Wycofałam się na górę, tyłem, starając się stąpać jak najciszej. U szczytu schodów odwróciłam się i pobiegłam. Wiedziałam, że jestem tchórzem, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Drzwi do sypialni, którą dzieliłam z Niną, były zamknięte. Miałam złapać za klamkę, gdy usłyszałam jej głos, przesycony nietypową łagodnością i tęsknotą:

– ...ja też za tobą tęsknię. Boże, tak bardzo chciałabym być z tobą w domu. Jesteś w łóżku? – Długa chwila milczenia. – Coś przerywa. Tak, zasięg jest tu fatalny, próbowałam do ciebie zadzwonić wczoraj wieczorem, ale nie dało się. Teraz też mam jakieś pół kreski... – Kolejna pauza. – Nie, tylko jakiś koleś imieniem Tom. Jest w porządku. Och, skarbie, Jess, kocham cię... – Zakaszłałam. Nie chciałam przerywać rozmowy. Nina nieczęsto opuszczała gardę, a gdy już to robiła, nie lubiła mieć świadków. Znam to z doświadczenia. – ...chciałabym się do ciebie przytulić. Tęsknię za tobą tak bardzo. Jesteśmy tu na końcu świata. Nic poza drzewami i wzgórzami. Kusi mnie, żeby wyjechać, ale nie sądzę, żeby Nora...

Zakaszłałam znowu, głośniej, po czym poruszyłam klamkę, a ona przerwała rozmowę i zawołała:

– Tak?

Otworzyłam drzwi. Przywitała mnie uśmiechem.

– Och, Nora właśnie weszła. Dzielimy pokój. Co takiego? Znowu przerywa... Ha, nie martw się, zdecydowanie nie! Tak, powiem jej. Okej, lepiej będę już kończyć. Ledwie cię słyszę. Ja też cię kocham. Pa. Kocham cię. – Rozłączyła się i uśmiechnęła do mnie. – Jess kazała cię pozdrowić.

– Cieszę się, że się do niej dodzwoniłaś. Wszystko u niej dobrze?

Uwielbiam Jess. Jest mała, okrągła, a jej uśmiech zawsze rozświetla pokój. Nie ma w niej ani odrobiny złośliwości. Właściwie to jest całkowitym przeciwieństwem Niny. Stanowią parę idealną.

– Tak, wszystko u niej w porządku. Tęskni za mną naturalnie. – Nina przeciągnęła się, aż zatrzeszczało jej w stawach, po czym westchnęła. – Boże, chciałabym, żeby tu była. Albo żeby mnie tu nie było. Jedno z dwóch.

– Cóż, mamy wolny pokój. Jedna osoba odpadła.

– Co?

– Melanie wyjechała. Padła linia naziemna i to była kropla, która przepełniła czarę goryczy.

– Chryste, chyba żartujesz? To jak pieprzona Agatha Christie i *Dziesięciu Eskimosów*.

– Murzynków.

– Co?

– *Dziesięciu Murzynków*. Tak brzmiał tytuł tej książki.

– To byli Eskimosi.

– Właśnie, że nie. – Usiadłam na łóżku. – Jeśli chodzi o ścisłość, najpierw użyła słowa na „C”³. Ale w powieści nigdy nie było żadnych Eskimosów.

– No dobra, nieważne. – Nina ucięła temat machnięciem ręki. – Czy tam, na dole, jest jakaś kawa?

– Nie. Tylko herbata, pamiętasz? – Sięgnęłam po sweter, wciągnęłam go przez głowę i przygładziłam włosy. – Clare nie pija kawy, więc my też nie.

– Och, Boże, ta pieprzona Flo i satelita miłości. Jak zniosła wyjazd Melanie?

– Hm. Nadstaw uszu, a może... – urwałam i obie usłyszałyśmy niepozostawiający wątpliwości szloch dochodzący z kuchni.

Nina przewróciła oczami.

– Ona jest stuknięta. Naprawdę tak myślę. Melanie wspominała, że już na uniwerku była dziwna... Zauważyłaś, jak dokładnie kopiuje to, co nosi Clare? Podobno wtedy też to robiła. Ale teraz...

– Nie sędzę, żeby była stuknięta – zaprotestowałam, wierząc się na łóżku. – Clare ma bardzo silną osobowość. Jeśli nie jesteś zbyt pewna siebie... – urwałam, próbując ująć w słowa to, co sama zawsze czułam. Że byłam próżnią, którą mógł wypełnić dopiero ktoś taki jak Clare. Wiedziałam, że Nina tego nie zrozumie. Miała wiele wad, ale z pewnością nie brakowało jej osobowości. Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem, po czym wruszyła ramionami. – Clare jest *doskonała*. Wiesz, co mam na myśli? – odezwałam się w końcu. – Bardzo łatwo jest chcieć być kimś takim jak ona. A naśladownictwo to najprostsza droga do osiągnięcia tego celu.

– Może i tak. – Nina usiadła i obciągnęła skąpy pod-koszulek. – Chociaż wciąż uważam, że Flo ma kuku na muniu. Ale nieważne. Posłuchaj, chciałam ci powiedzieć, że naprawdę mi przykro z powodu zeszłej nocy. Nie miałam pojęcia, że to dla ciebie taki drażliwy temat. A tak serio... Jeśli wciąż tak bardzo się tym wszystkim przejmujesz, to dlaczego tu przyjechałaś?

Naciągnęłam džinsy i przystanęłam, przygryzając wargę. Myślałam o tym, co powiedziałam Ninie, a co przemilczałam. Staram się nigdy nie odkrywać kart, sama nie wiem dlaczego. To po prostu instynkt. Nie lubię dawać ludziom choćby najmniejszej przewagi nade mną, nawet przyjaciołom. Zawsze byłam skrytą osobą, a odkąd zamieszkałam sama i zaczęłam pracować w domu, ta tendencja tylko się pogłębiła. Wiedziałam jednak, że jeśli nie będę się pilnować, ta skłonność wpędzi mnie w szaleństwo i skończę jak Flo.

– Przyjechałam, bo... – nabrałam powietrza w płuca, po czym zmusiłam się, żeby kontynuować – bo nie miałam pojęcia, że Clare wychodzi za Jamesa.

– Co? – Nina spuściła nogi na ziemię i wlepila we mnie wzrok. Z drżeniem wruszyłam ramionami. Gdy tak to ujęłam, zdałam sobie sprawę, że zabrzmiało to naprawdę... żałośnie. – Co? Mówisz serio? Więc Clare zwabiła cię tutaj, żeby zaskoczyć cię takim gównem?

– N-nie do końca. – Cholera. Przestań się jąkać. – Wyjaśniła, że chciała mi o tym powiedzieć osobiście. Że czuła, że jest mi to winna.

– Pieprzyć to! – Koszulka, którą Nina właśnie wciągała przez głowę, na moment stłumiła jej głos. Moja przyjaciółka miała policzki zaróżowione z oburzenia. – Jeśli chciała ci powiedzieć osobiście, mogła zaprosić cię na drinka! A nie kazać ci przyjeżdżać na jakieś odludzie. Co ona sobie myślała?

– Ja... ja nie sędzę, żeby Clare miała złe zamiary. – Chryste, czemu próbowałam jej bronić? – Podejrzewam, że po prostu nie pomyślała...

– Ech! – Nina wstała i zaczęła z wściekłością szcztokować włosy. – Jakim cudem takie gówniane akcje zawsze uchodzą jej na sucho? Za każdym razem wychodzi z nich, pachnąc różami! Pamiętasz, jak w dziesiątej klasie powiedziała wszystkim, że podoba mi

się Debbie Harry? A potem twierdziła, że po prostu było jej przykro, że muszę „żyć w kłamstwie”, i wszyscy zachowywali się tak, jakby oddała mi pieprzoną „przysługę”.

– Ja... – nie wiedziałam, co powiedzieć. Incydent z Debbie Harry był brutalny. Wciąż pamiętałam zaszokowaną minę Niny, gdy weszła na stołówkę, a Clare nuciała *Hanging on the Telephone* z tym swoim szczególnym uśmiechem na twarzy, podczas gdy wszyscy chichotali.

– Wszystko kręci się wokół niej. Zawsze liczy się tylko to, jak ona wygląda i jak się czuje. Wtedy chciała wyjść na troskliwą, tolerancyjną i otwartą przyjaciółkę, więc wyjawiała wszystkim mój sekret, nawet się nie zastanawiając, czy byłam na to gotowa. A teraz chce bez poczucia winy odpłynąć z Jamesem w stronę zachodzącego słońca, więc hokus-pokus – siłą stawia cię w sytuacji, w której nie możesz zrobić nic innego, jak tylko jej wybaczyć.

Nie patrzyłam na to w ten sposób. Ale w pewnym sensie Nina miała rację.

– Nie jestem zdenerwowana tym, co zrobiła Clare... – powiedziałam, chociaż w głębi serca wiedziałam, że to nie do końca prawda. – Najbardziej dręczy mnie...

– Co takiego?

Nie potrafiłam tego z siebie wyrzucić. Wróciło poczucie obnażenia, więc tylko potrząsnęłam głową i odwróciłam się, naciągając skarpetki.

A chciałam powiedzieć, że zastanawiam się, ile o tym wszystkim wiedział James. Czy zaakceptował ten plan?

– Możemy wyjechać – rzuciła Nina swobodnym tonem, zapinając dzinsy, po czym wstała, żeby się przeciągnąć. – Mogłybyśmy odjechać w stronę zachodzącego słońca i zostawić Clare z Flo, żeby sobie razem wariowały.

– I z Tomem.

– A tak, i z Tomem.

Ale nie mogliśmy tego zrobić. Wiedziałam, że tak jest. Czy też raczej ja nie mogłam.

Co innego, gdybym odmówiła jeszcze przed przyjazdem. Ale wycofywanie się teraz, w połowie weekendu panieńskiego, mogło zostać zinterpretowane tylko w jeden sposób. Już sobie wyobrażałam, jak wszyscy spekulują po moim wyjeździe. Biedna Nora, biedna krowa, ma takiego hopla na punkcie Jamesa, że zepsuła wieczór panieński Clare, bo nie potrafiła cieszyć się jej szczęściem.

A najgorsze ze wszystkiego było to, że on by się dowiedział. Już to widzę – ich dwoje leżących w łóżku, w tym idealnym londyńskim mieszkanku, i Clare wzdychającą z troską: „Martwię się, James, to wyglądało tak, jakby wciąż nie pogodziła się z waszym rozstaniem”.

A on... a on... Zorientowałam się, że zacisnęłam dłoń w pięści, a Nina przygląda mi się z zaciekawieniem. Z wysiłkiem rozluźniłam palce i zaśmiałam się krótko, fałszywie.

– Gdyby tylko... prawda? Ale nie możemy. To byłoby za duże chamstwo po wyjeździe Melanie.

Nina popatrzyła na mnie twardo, po czym potrząsnęła głową.

– W porządku. Myślę, że jesteś masochistką. Ale w porządku.

– Przed nami jeszcze tylko jeden wieczór – przekonywałam samą siebie. – Zniosę jeszcze jeden wieczór.

– W porządku. Zatem jeszcze jeden wieczór.

3 Powieść, o której rozmawiają bohaterki, została po raz pierwszy wydana w 1939 roku pod tytułem *Ten Little Niggers* (ang. słowo *nigger* znaczy czarnuch). Ze względu na brak poprawności politycznej utwór został następnie poddany kolejnym przeróbkom (przyp. tłum.).

Gdyby tylko... Gdybym tylko wtedy wyjechała.

Chciałabym zasnąć, ale nie potrafię. Nie usypia mnie nawet ciche klikanie i terkotanie strzykawki dozującej morfinę. Leżę całkowicie przytomna, nasłuchując głosów dobiegających z korytarza, ściszonych głosów dyskutujących o tym, co się wydarzyło, i jedno słowo rozbrzmiewa echem w mojej głowie: *Morderstwo. Morderstwo. Morderstwo.*

Czy to prawda? Czy to może być prawda?

Kto zginął?

Clare? Flo? Nina?

Na tę myśl serce mi zamiera. Nie Nina. Tylko nie piękna, bezczelna, żywiolowa Nina. Proszę...

Muszę sobie przypomnieć. Muszę spróbować sobie przypomnieć, co się stało. Wiem, że o świcie przyjdą tu i zaczną mi zadawać pytania. Czekają na zewnątrz, aż się obudzę, czekają, żeby ze mną porozmawiać.

Do tego czasu muszę być pewna swojej wersji wydarzeń.

Ale co takiego się wydarzyło? Wspomnienia z tamtego dnia wirują w mojej głowie, a prawda przeplata się z kłamstwami. Mam tylko kilka godzin na to, żeby je uporządkować.

A zatem krok po kroku. Co było potem?

Moja dłoń wędruje do ramienia, do rozprzestrzeniającego się sińca.

Gdy zeszliśmy z Niną na dół, Flo już nie płakała. Doprowadziła się do porządku i właśnie jadła tosta z dżemem. Najwyraźniej postanowiła udawać, że nic takiego się nie stało.

– Czy jest kawa? – zapytała Nina niewinnie, ale ja wiedziałam, że wbija Flo szpilę. Flo spojrzała na nią żałośnie, jej wargę znów zadrżała.

– Ja... ja zapomniałam o kawie, pamiętasz? Ale obiecuję, że kupię ją dzisiaj, gdy pojedziemy na strzelnicę.

– Cooo? – Obie wlepiłyśmy w nią wzrok, a ona obdarzyła nas słabym uśmiechem.

– No tak. Chciałam, żeby to była niespodzianka. Będziemy strzelać do rzutków.

Wyrwał mi się krótki, nerwowy śmiech. Nina wciąż trwała w bezruchu.

– Mówisz serio?

– Oczywiście. Dlaczego?

– Dlatego... strzelanie? Na wieczorze panieńskim?

– Pomyślałam, że to będzie dobra zabawa. Mój kuzyn miał coś takiego na swoim wieczorze kawalerskim.

– Tak, ale... – Nina urwała. Potrafiłam sobie wyobrazić, jakie myśli przelatują jej przez głowę, zupełnie jakby miała na czole pasek informacyjny: Dlaczego, do cholery, nie możemy pójść do SPA, a potem do klubu – jak normalni ludzie? Ale z drugiej strony chyba nie zmusi nas do noszenia różowego boa z piór na strzelnicy, prawda? Więc mogłoby być gorzej... Zastanawiałam się, czy wspomina też Kolumbię. Rany postrzałowe, którymi zajmowała się nie tak dawno temu.

– Eee... okej – powiedziała w końcu.

– Nie będziemy strzelać do zwierząt, tylko do takich glinianych talerzyków – z powagą tłumaczyła Flo. – Więc nie musisz się martwić, jeśli jesteś wegetarianką albo przeciwniczką krwawych sportów.

– Nie jestem wegetarianką.

– Wiem. Ale gdybyś była.

– Ale nie jestem. – Nina przewróciła oczami i podeszła do chlebaka, by poszukać pieczywa tostowego.

– Pomyślałam, że urządzimy tu sobie brunch, może z jakimiś zabawami? Przygotowałam quiz! – Flo wracał entuzjazm, za to Nina skrzywiła się teatralnie. – A potem wyruszymy na strzelnicę. I wrócimy tu na drinki i curry.

– Curry? – Odwróciłyśmy się na dźwięk głosu Toma. Schodził po schodach – w spodniach od piżamy i rozchylnym szlafroku, pocierając oczy. Spodnie miał zawiązane bardzo nisko, tuż nad kośćmi biodrowymi, i widać było jego imponujące mięśnie brzucha.

– Tim, nie chcę nic mówić, ale zapomniałeś koszuli – zauważyła Nina. – Myślę, że powinieneś ją nałożyć. Chyba nie chcesz wodzić biednej Nory na pokuszenie.

Rzuciłam w nią skórka od chleba. Uchyliła się i pocisk trafił Flo.

– Ups, przepraszam!

– Uspokójcie się! – zbeształa nas Flo.

Tom tylko ziewnął, ale zawiązał szlafrok i puścił do mnie oko.

– A zatem jaki mamy plan na dzisiaj? – zapytał i wziął tosta z talerza, który podsunęła mu Flo.

– Będziemy strzelać – oświadczyła Nina ze śmiertelnie poważną miną. Tom uniósł brwi tak wysoko, że niemal podjechały mu pod linię włosów.

– Że co?

– Strzelać. Najwyraźniej Flo uważa, że to niezła frajda.

Flo spojrzała na Ninę, jakby nie do końca pewna, czy usłyszała w jej głosie szyderstwo.

– Chodzi o strzelanie do glinianych rzutków – powiedziała wyzywająco. – To jest niezła frajda!

– Okej... – Tom spojrzał na każdą z nas, przeżuwając tosta. – Wstałem jako ostatni? Och... nie. Zakładam, że Melanie wciąż śpi.

– Melanie... – zaczęła Flo z oburzeniem, ale w tym momencie do kuchni weszła Clare.

– Melanie musiała wyjechać – oznajmiła zdecydowanie podniesionym głosem. – Sprawy rodzinne. Nie martw się, Tom, ja albo Nina podwieziemy cię z powrotem do Newcastle. Dobra wiadomość jest taka, że teraz wszyscy zmieścimy się do jednego samochodu, więc nie trzeba będzie się przejmować nawigacją. Ja poprowadzę, a Flo będzie wskazywać drogę, bo tylko ona wie, gdzie to jest.

– Świetnie – skwitowała Nina. – Super. A my będziemy śpiewać *Dziesięć zielonych butelek* i kłócić się na tylnym siedzeniu. Wprost nie mogę się doczekać.

*

– Okej, myślę, że pora na quiz! – zawołała Flo. Obróciła się na siedzeniu, żeby popatrzeć na mnie, Ninę i Toma stłoczonych z tyłu. Tkwiłam zmiażdżona pośrodku i już zaczynałam odczuwać pierwsze symptomy choroby lokomocyjnej. Ciężki zapach płynu po goleniu Toma nie pomagał. A może to były perfumy Clare? Trudno było to stwierdzić na tak ograniczonej przestrzeni. Chciałam otworzyć okno, ale na zewnątrz padał śnieg, a ogrzewanie było włączone na full. – Będziecie grać przeciwko Clare – kontynuowała Flo. – Przygotujcie się na rundę pierwszą.

– Zaraz, zaraz! – krzyknęła Nina. – Czego dotyczy ten quiz i jaka jest nagroda?

– Quiz dotyczy Jamesa, oczywiście – wyjaśniła Clare z rozbawieniem. – Zgadza się, Flops?

– Oczywiście! – zawołała Flo ze śmiechem. Robiło mi się coraz bardziej niedobrze. – Nagroda... nie wiem. Chwała? O nie, już wiem! Drużyna, która przegra, będzie musiała nosić to do końca dnia! – Pogrzebała w plecaku i wyciągnęła garść skąpych majteczek ozdobionych sloganem I ♥ JAMES COOPER na pupie.

Poczułam, jak każdy mięsień w moim ciele napina się ze złości. Nina zakasłała i spojrzała na mnie ze współczuciem.

– Hm, Flo... – zauważyła nieśmiało, ale Flo nie dała sobie przerwać.

– Nie martwcie się! Będziecie je nosić na spodniach albo na głowie, albo jeszcze jakoś inaczej. Dobra, pierwsze pytanie do drużyny z tylnego siedzenia... Aha, jeszcze

jedno: Clare otrzyma bonusowy punkt za każde pytanie, na które nie będziecie potrafili odpowiedzieć, a jej się uda. Zaczynamy! Jak brzmi drugie imię Jamesa?

Zacisnęłam powieki, próbując zwalczyć mdłości, i słuchałam, jak Nina i Tom dyskutują:

– Jestem całkiem pewien, że zaczyna się na „C” – zapewniał Tom. – Więc myślę, że może Chris?

Karl. Pisane przez „K”.

– Nie – upierała się Nina. – To ma coś wspólnego z Rosją. Jego tata był profesorem od rosyjskiej polityki. Theodor. Albo zaraz, jak miał na imię Stalin?

– Józef. Ale jestem pewien, że to nie to. Poza tym, kto nazwałby swojego dzieciaka po Stalinie?

– Okej, zatem nie Stalin. Wymień innych słynnych Rosjan.

Zacisnęłam zęby. Karl.

– Dostojewski? Lenin? Marks?

– Marks! – krzyknęła Nina. – Imię brzmi Karl. Jestem tego pewna.

Mimo narastających mdłości musiałam się uśmiechnąć, słysząc jej entuzjazm. Nina nie znosiła przegrywać – ani podczas kłótni, ani w trakcie gry planszowej. Często mawiała, że to dlatego nie uprawia żadnych sportów. Nie zniosłaby porażki, nawet gdyby miał ją pokonać sam Usain Bolt.

– Czy to twoja ostateczna odpowiedź? – zapytała Flo z powagą. Oczywiście wciąż miałam zamknięte, ale czułam, jak Nina energicznie kiwa głową.

– Karl. Przez „K”.

– Zgadza się! Pytanie drugie. Jaki jest znak zodiaku Jamesa?

– Urodził się pod koniec roku... – zaczęła Nina. – To pamiętam. Zdecydowanie jest z września lub z października...

– Nie, ja myślę, że z sierpnia – przerwał jej Tom. – Jestem tego pewien.

Przekomarzali się po przyjacielsku, wymieniając się argumentami, dopóki Nina nie zwróciła się do mnie:

– Nora, a co ty... Nora? Wszystko w porządku? Jesteś trochę zielona na twarzy.

– Niedobrze mi – rzuciłam krótko.

– O Boże... – Nina cofnęła się odruchowo, chociaż na tylnym siedzeniu nie było zbyt wiele miejsca na takie manewry. – Niech ktoś otworzy okno. Tom, opuść też swoje.

– Dźgnęła mnie pod żebra i powiedziała: – Otwórz oczy. Patrzenie na drogę pomaga. Do mózgu dociera informacja, że podróżujesz.

Z niechęcią uniosłam powieki. Flo szczerzyła zęby na przednim siedzeniu. Clare prowadziła spokojnie. We wstecznym lusterku zobaczyłam jej uśmiech. Napotkała mój wzrok i uśmiech drgnął. Przez chwilę – tylko przez jedną chwilę – miałam ochotę spoliczkować tę jej idealną, piękną twarzyczkę.

– Jestem pewien, że w sierpniu – podjął temat Tom. – Pamiętam, jak któregoś roku poszedłem z nim i Bruce'em na Proms...

– Och, na litość boską! – nie wytrzymałam. – Dwudziestego września. Nie mam pojęcia, jaki to znak zodiaku.

– Panna – powiedział Tom natychmiast. Najwyraźniej nie miał mi za złe mojego

wybuchu. – Jesteś pewna tej daty, Nora?

Pokiwałam głową.

– Okej, Panna. Tak brzmi nasza odpowiedź.

– To już dwa punkty dla drużyny z tylnego siedzenia! – zawołała Flo z zachwytem.

– Clare, będziesz musiała nadgonić. Następne pytanie: jaka jest ulubiona potrawa Jamesa?

Chciałam zamknąć oczy, ale nie miałam odwagi. To była katorga.

Spuściłam wzrok na kolana i wbiłam paznokcie w dłoń, próbując odwrócić uwagę od mdłości i wspomnień, które cisnęły mi się do głowy. James wyciągnięty na łożku po szkole, zjadający całą miskę klementynek. Uwielbiał je. Przez moment wyraźnie czułam w nozdrzach ich zapach – słodki zapach cytrusowego olejku, woń jego pokoju, zmiętych prześcieradeł i jego ciała. Kiedyś ja też lubiłam klementynki, uwielbiałam ich zapach na jego palcach, lubiłam znajdować skórki po owocach w jego kieszeniach. Teraz od nich stroniłam.

– Panang curry? – zapytał Tom niepewnie.

Flo wykrzywiła usta.

– Prawie... Ale za to mogłabym ci dać tylko pół punktu. Panang z...?

– Tofu – powiedział Tom natychmiast.

Flo pokiwała głową.

– Trzy punkty! Jeszcze dwa pytania dla was w tej rundzie. Pytanie czwarte: którą sztuką James zadebiutował na West Endzie?

– Na West Endzie w jakim sensie? – zapytał Tom. – Liczysz National jako West End? Bo ja osobiście nie brałbym go pod uwagę.

Flo i Clare naradzały się przez chwilę szeptem, po czym Flo odwróciła się z powrotem do nas. – Okej, ujmę to inaczej, wymieńcie jego londyński debiut.

Raz wygooglowałam Jamesa. Tylko raz. Znalazłam mnóstwo jego zdjęć – w kostiumach, na scenie, fotosy ze sztuk, fotografie z przyjęć charytatywnych i teatralnych premier. Najtrudniej było mi znieść te, na których spoglądał prosto w obiektyw – jakby patrzył na mnie. Gdy dotarłam do zdjęć, na których występował nago na scenie, w sztuce *Equus*, z rozedrganiem zamknęłam przeglądarkę, jakbym natknęła się na coś brutalnego lub obscenicznego.

Tom i Nina naradzali się nad moją głową.

– Uważamy, że jako dubler w *The History Boys* – powiedziała w końcu Nina.

Flo wstrzymała oddech.

– Ooooch! Blisko. Przykro mi, to była jego druga rola. Co na to Clare?

– *Vincent in Brixton* – oznajmiła Clare. – Jeden punkt dla mnie.

– Nigdy o niej nie słyszałam – zaprotestowała Nina. Tom pochylił się nade mną i wymierzył jej cios.

– Otrzymała nagrodę Laurence’a Oliviera za najlepszą nową sztukę! I Tony Award.

– O tej nagrodzie też nigdy nie słyszałam. Kto to jest Tony?

– Jezu! – Tom wyrzucił ręce w powietrze. – Jestem w samochodzie z cholerną filisterką.

– Okej! – Flo podniosła głos, żeby ich zagłuszyć. – Piąte i ostatnie pytanie: kiedy i gdzie James oświadczył się Clare?

Znowu zacisnęłam powieki, nasłuchując chóru protestów Toma i Niny:

– To nie fair!

– W tym quizie powinny być pytania, na które Clare też mogłaby nie znać odpowiedzi!

– Oświadczył się w jej urodziny – powiedział Tom. – Wiem to, bo następnego dnia poszliśmy wszyscy na lunch i Clare chwaliła się pierścieniem. Swoją drogą gdzie on jest, Clare?

– Och, ja... – Usłyszałam, jak Clare wierci się na siedzeniu kierowcy i majstruje przy skrzyni biegów. – Zostawiłam go w domu. Prawdę mówiąc, jeszcze się nie przyzwyczyłam do noszenia go i wciąż panikuję, że go zgubię.

– Co do tego, gdzie... – po głosie Toma poznałam, że ściąga brwi. – Zaryzykuję i będę zgadywał, J. Sheekey?

– Och, tak blisko! – krzyknęła Flo. – Okazja się zgadza, ale to był bar na Southbank. Przykro mi, tylko pół punktu. A więc mamy trzy i pół punktu dla was i półtora punktu dla Clare.

– Niektóre z tych pytań były ustawione – burknął Tom. – Ale jeszcze się zemścimy.

– Dobra, runda druga. Pytanie numer jeden do Clare: jak nazywał się pierwszy zwierzak Jamesa?

– Rety... – zawołała Clare, tak jakby Flo naprawdę ją zaskoczyła. – Myślę, że to był chomik, ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak się nazywał.

– Drużyna z tylnego siedzenia?

– Nie wiem – powiedziała Nina. – Nora?

Miała na tyle taktu, żeby zapytać o to z zakłopotaniem, jakby wiedziała, jak bolesne musi być dla mnie to wszystko. Znałam odpowiedź. Ale nie zamierzałam im pomagać. Pokręciłam głową.

– Świnka morska o imieniu Mindy – powiedziała Flo. – Zero punktów. Pytanie numer dwa: kto jest ulubioną celebrytką Jamesa?

Clare wybuchnęła śmiechem.

– Dobra, z szacunku do samej siebie powiem, że kobieta, która najbardziej przypomina mnie. Czyli... Boże, do kogo ja jestem podobna? Chryste. Okej... James lubi silne kobiety, zabawne kobiety. Powiedziałabym... Billie Piper.

– W niczym nie przypominasz Billie Piper! – zaoponowała Nina. – No, może poza faktem, że obie jesteście blondynkami.

– Cóż, nie chodzi o Billie Piper – oznajmiła Flo. – To... – Zerknęła na swoją kartkę.

– Jezu, nie mam pojęcia, kto to jest: Jean... jak to się wymawia? Morrow? Clare?

– Ja też nigdy o niej nie słyszałam. Czy to jakaś aktorka sceniczna, Tom?

– Tutaj – wtrąciła Flo i Clare ostro skrzyła.

– Jeanne Moreau – domyślił się Tom. – To francuska aktorka. Grała w filmie Truffaut... Miał chyba tytuł *Jules et Jim*. Ale nie wiedziałem, że jest ulubioną aktorką Jamesa.

– Cóż, raczej nie nazwałabym jej celebrytką – burknęła Clare, gdy auto pokonało łukowaty mostek i przyspieszyło. Moje mdłości znowu się nasiliły. – Następne pytanie?

– Jaka jest ulubiona designerska marka ubrań Jamesa?

Ulubiona designerska marka ubrań? James, którego znałam, wyśmiałby samą sugestią. Zastanawiałam się, czy to podchwytliwe pytanie i czy Clare odpowie, że Oxfam.

Bębniła palcami o kierownicę, zastanawiając się.

– Waham się między Alexandrem McQueenem – powiedziała w końcu – a Comme des Garçons. Ale zaryzykuję... McQueen. Głównie dlatego, że rzeczywiście nosi jego ubrania.

Słodki Jezu...

– Zgadza się! – zawołała Flo. – Cóż, właściwie to powiedział: „Jeśli mówimy o ludziach, których uważam za fajnych, to pewnie Vivienne Westwood, ale jeśli masz na myśli ubrania, które noszę, to McQueen”. Więc myślę, że możemy zaliczyć tę odpowiedź. Pytanie czwarte, którą część ciała... – zachichotała – James przypadkowo odciął sobie w wieku lat dziesięciu na lekcji stolarki?

– Odciął sobie kawałek knykcia – powiedziała Clare natychmiast. – Wciąż ma bliznę.

Zacisnęłam powieki. Pamiętałam tę bliznę tak dobrze. Biały krąg na knykcium małego palca i długa srebrna linia ciągnąca się do nadgarstka, blada na tle opalenizny. Pamiętałam, jak całowałam tę linię, wędrując ustami do jego przedramienia, do miękkiego zagłębienia łokcia i wyżej, a James leżał, trzęsąc się od łaskotek i próbując powstrzymać śmiech.

– Zgadza się! – zawołała Flo. – Dobrze ci idzie. Zrównałaś się z drużyną przeciwną. Macie po trzy i pół punktu, więc ostatnie pytanie będzie decydujące. Jeśli Clare odgadnie, wygrywa, a wy będziecie nosić gatki. A zatem werble proszę! W jakim wieku James stracił dziewictwo?

Poczułam, że zaraz zwymiotuję. Otworzyłam oczy.

– Zatrzymaj s-samochód – powiedziałam słabo.

– Co takiego? – Clare zerknęła na mnie we wstecznym lusterku. – Jezu, Lee, naprawdę jesteś zielona.

– Zatrzymaj samochód... – Zasłoniłam usta dłonią. – Będę...

Zacisnęłam zęby, oddychając przez nos, podczas gdy Clare zahamowała gwałtownie. Wypadłam na zewnątrz i stanęłam pochyłona na zasypanym śniegiem poboczu, z dłońmi na kolanach, drżąc konwulsyjnie.

– Wszystko w porządku? – za plecami usłyszałam pełen niepokoju głos Flo. – Mogę ci jakoś pomóc?

Nie byłam w stanie się odezwać. Tylko potrząsnęłam gwałtownie głową, marząc o tym, żeby dała mi spokój. Marząc o tym, żeby wszyscy zniknęli.

– Dobrze się czujesz, Lee? – zawołała Clare zza kierownicy.

Nora, pomyślałam zjadliwie. Nora, ty głupia dziwko. Ale nic nie powiedziałam. Czekałam tylko, aż mdłości ustąpią, a mój oddech się wyrówna.

– Wszystko w porządku, Nora? – Nina stanęła przy mnie i położyła mi dłoń na ramieniu. Pokiwałam głową, a potem powoli się wyprostowałam, biorąc głęboki wdech. Zimne powietrze zakłuło mnie w płuca, ale miało oczyszczające działanie, przyniosło ulgę.

– Tak. Przepraszam. Ja tylko odrobinę... myślę, że to przez to, że siedziałam z tyłu.

– A ja myślałam, że to przez ten pieprzony, przyprawiający o mdłości quiz – rzuciła Nina, nawet nie starając się ściszyć głosu. Skrzywiłam się na myśl o Flo i zerknęłam za siebie przepaszająco, ale albo nie usłyszała komentarza Niny, albo postanowiła go zignorować, bo dalej beztrąsko gawędziła z Clare.

– Flo – zawołała Nina, wracając do samochodu. – Myślę, że Nora powinna siedzieć z przodu, jeśli ci to nie przeszkadza?

– Och, nie! Pewnie, w porządku. Absolutnie. Nora, biedaczko! Powinnaś była powiedzieć, że źle się czujesz.

– Nic mi nie jest – odparłam sztywno, ale zajęłam miejsce z przodu zwolnione przez Flo.

Clare obdarzyła mnie współczującym spojrzeniem, a gdy Flo zawołała entuzjastycznie z tylnego siedzenia „Dobra! Wracamy do quizu!”, przerwała jej:

– Myślę, że możemy po prostu ogłosić remis, co, Flops? Chyba wszyscy na razie mamy dość zabawy.

– Och... – Flo zmarkotniała i zrobiło mi się jej żal. Cały ten bajzel z pewnością nie był jej winą. Zawiniła tylko tym, że próbowała być dobrą przyjaciółką Clare.

Leonora! – Czyjaś dłoń potrząsa mną, wrywa mnie ze snu. – Leonora, musisz się obudzić, złotko. Leonora.

Czuję, jak ktoś siłą unosi moje powieki i świeci w oczy oślepiająco jaskrawym światłem.

– Auć! – Mrugam i odruchowo cofam głowę. Dłoń puszcza mój podbródek.

– Przepraszam, złotko, nie śpisz już?

Twarz pielęgniarki znajduje się zaskakująco blisko mojej. Kobieta patrzy mi w oczy. Znowu mrugam, a potem kręcę głowę.

Nie wiem, kiedy przysnęłam. Miałam wrażenie, jakbym nie spała pół nocy, obserwując sylwetki policjantów za szybą, sortując kłębiące się wspomnienia, próbując sobie przypomnieć. Strzelanie do rzutków. To stąd miałam tego siniaka. Muszę pamiętać, żeby powiedzieć o tym policji... Gdyby tylko wszystko chciało mi się ułożyć w głowie.

Jednak im bliżej tego, co się wydarzyło, tym gęstsza mgła zasnuwała moje wspomnienia. Co się stało? Dlaczego tu jestem?

Musiałam wypowiedzieć ostatnie słowa na głos, bo pielęgniarka obdarzyła mnie życzliwym uśmiechem.

– Miałaś mały wypadek samochodowy, moja droga.

– Czy wszystko ze mną w porządku?

– Tak, nic nie złamałaś. – Ma przyjemny akcent z Northumberland. – Okropnie poobijałaś sobie twarz, masz imponująco podbite oczy, ale żadnych pękniętych kości. Ale właśnie dlatego musiałam cię obudzić. Co kilka godzin sprawdzamy twój stan i upewniamy się, że wszystko w porządku.

– Ja spałam... – mówię głupio, po czym pocieram twarz. Boli, jakbym przebiła głową okno.

– Ostrożnie – ostrzega pielęgniarka. – Masz trochę skaleczeń i siniaków.

Pocieram stopą o stopę. Pokrywają je brud, piasek i krew. Czuję się obrzydliwie. Muszę siusiu.

– Czy mogę wziąć prysznic? – pytam. Mam wrażenie, że moją głowę wypełnia wata.

Widzę, że w rogu pokoju jest łazienka. Pielęgniarka patrzy na kartę w nogach łóżka.

– Pozwól, że zapytam lekarza. Nie mówię, że nie, ale chciałabym się upewnić.

Odwraca się, żeby odejść, a ja widzę postać za drzwiami i wszystko do mnie wraca. Rozmowa, którą słyszałam zeszłej nocy, przypomina senny koszmar. Czy to rzeczywiście prawda? Czy naprawdę usłyszałam to, co myślę, że usłyszałam, czy tylko mi się to przyśniło?

– Zaraz... Zeszłej nocy słyszałam ludzi na zewnątrz... – mówię, ale za pielęgniarką już zamykają się drzwi.

Do środka sączy się zapach szpitalnego jedzenia. Słyszę dźwięki z korytarza. Widzę, jak policjantka łapie pielęgniarkę za ramię, a kobieta stanowczo potrząsa głową.

– Jeszcze nie – dociera do mnie urywek ich rozmowy... – pozwolenie od lekarza...

musicie poczekać.

– Pani chyba nie zdaje sobie sprawy z tego – policjantka mówi ściszym głosem, ale ma dykcję niczym prezenterka wiadomości – że teraz prowadzimy już dochodzenie w sprawie zabójstwa.

– O nie! – Pielęgniarka jest wyraźnie zszokowana. – Więc to biedactwo...?

– Nie żyje.

A zatem to prawda. To nie był efekt zbyt dużej dawki morfiny i mojej poobijanej głowy.

To prawda.

Próbuję się podnieść na poduszkach, mam serce w przełyku. Na monitorze po lewej widzę, jak cienka zielona linia podskakuje w panice, szarpanymi ruchami.

Ktoś zdecydowanie nie żyje.

Ktoś nie żyje.

Ale kto?

Witamy w Tuckett's Wood – oznajmił mężczyzna z australijskim akcentem, nieco znudzonym głosem. Był opalony i miał subtelnie rzeźbione rysy twarzy. Przypominał mi trochę Toma Cruise'a. Sądząc po tym, jak spoglądała na niego Flo – wytrzeszczając zielone oczy i rozchylając usta – nie ja jedna dostrzegałam podobieństwo. – Nazywam się Grig i będę dziś waszym instruktorem. – Przerwał i przesunął wzrokiem po naszych twarzach, jakby nas liczył, po czym zapytał: – Moment, mam rezerwację na sześć osób. Czy ktoś zdezerterował?

– Owszem – oświadczyła Flo z napięciem. – Ktoś zdecydowanie zdezerterował. Nietrudno zgadnąć, kogo ja będę sobie wyobrażać w trakcie strzelania.

– Zatem będzie was dziś tylko piątka? – upewnił się instruktor swobodnym tonem, jakby nie zauważył irytacji Flo. – W porządku. Dobrze, przede wszystkim muszę wam opowiedzieć o zasadach bezpieczeństwa...

Rozpoczął długą tyradę na temat ochronnych słuchawek na uszy, alkoholu, odpowiedzialności związanej z posługiwaniem się bronią i tak dalej.

Kiedy już ustaliliśmy, że owszem, wszyscy jesteśmy absolutnie początkujący, żadne z nas nie ma pozwolenia na broń, ale każdy jest pełnoletni oraz trzeźwy, podpisaliśmy długą dokument i ruszyliśmy za mężczyzną do baraku szkoleniowego. Tam po raz kolejny zmierzył nas wzrokiem.

– Mogę tylko dziękować Bogu, że żadne z was nie nosi różowego boa z piór i innych tego typu bzdur. Nie uwierzylibyście, ile mamy problemów z wieczorami panińskimi. – Pani... – wskazał na Flo. – Flo, zgadza się? Pani kurtka jest trochę za cienka. Będzie pani musiała nałożyć coś grubszego, żeby ochronić się przed odrzutem broni. – Pogrzebał w stojącej za nim skrzyni i wyłowił grubą watowaną kurtkę.

Flo przewróciła oczami, ale włożyła okrycie.

– Przepraszam, muszę zapytać – powiedziała, zapinając zamek. – Naprawdę nazywa się pan Grig? Czy to jakaś ksywka?

– Nie. Grig to skrót od Grigory.

– Ach, Greg – zawołała Flo i zaśmiała się odrobinę za głośno.

Greg obdarzył ją nieco zdziwionym spojrzeniem.

– No tak, Grig. Tak właśnie powiedziałem. A teraz... Musicie pamiętać, że strzelba to broń przeznaczona do zabijania. – Wyciągnął złamaną strzelbę i położył ją na stole, wspartym na kozłach. – Nigdy o tym nie zapominajcie. Traktujcie ją z szacunkiem, a ona również będzie was szanować. Wyglupiajcie się, a na koniec to wam stanie się krzywda. I najważniejsze: nigdy, przenigdy w nikogo nie celujcie, niezależnie od tego, czy broń jest naładowana, czy nie. A jeśli nie wystrzeli, nie zaglądalejcie do lufy, żeby sprawdzić, co się stało. Wszystko to wydaje się oczywiste, ale bylibyście zdziwieni, jak często ludzie zapominają o tych prostych zasadach bezpieczeństwa. Dobra, omówimy pokrótce podstawy dotyczące ładowania, łamania i zamykania strzelby, a potem ruszymy do lasu i postrzelamy do rzutków. Jeśli macie jakieś pytania, krzyczcie. A teraz o nabojach, którymi będziemy dzisiaj strzelać...

Słuchaliśmy w milczeniu, jak omawia kwestie techniczne. Wspomnienia

z koszmarnej podróży samochodem rozwiąły się. Byłam zadowolona, że mogę się na czymś skupić, że mogę przestać myśleć o Clare i Jamesie. Odniosłam wrażenie, że inni dzielają moje uczucia, w każdym razie większość z nich. Gdy Flo próbowała skierować rozmowę na miesiąc miodowy, Nina i Clare zmieniły temat. Tom się nie odzywał i tylko stukał w swojego blackberry, ale zauważyłam, jak obrzuca wzrokiem mnie i Clare. Podejrzywałam, że wszystko notuje.

Jeśli o tym napiszesz, to cię, kurwa, zabiję, pomyślałam, kiwając głową, podczas gdy Greg objaśniał nam działanie automatycznej wyrzutni do rzutków.

Wreszcie skończył gadać, wyszliśmy z baraku i skierowaliśmy się za nim do skąpego sosnowego lasu. Złamane strzelby zahaczyliśmy o przedramiona.

– Hej, Clare, jeśli ci się spodoba, może powinnaś umieścić strzelbę na liście prezentów ślubnych! – powiedziała Flo i ryknęła ze śmiechu.

– Myślę, że James posłużyłby się nią, żeby mnie zabić, gdybym na tym etapie zaczęła majstrować przy liście prezentów – zaśmiała się Clare. – Spędziliśmy większość dnia w domu towarowym John Lewis, żeby ustalić obecną wersję. Nie uwierzyłybyś, o co się kłóciliśmy. Samo wybranie ekspresu do kawy zabrało nam ze dwie godziny. Czy rekomendacja Hestona Blumenthala to plus czy minus? Czy potrzebujemy spieniacza do mleka? Czy powinniśmy kupić ekspres typu bean-to-cup, czy jeden z tych kapsułkowych...

– Och, z pewnością bean-to-cup – wtrącił Tom. – George Clooney może sobie mówić, co chce, ale ekspresy kapsułkowe są passé. To jak SodaStream *de nos jours*. Efektowne, ale kompletnie niepraktyczne i niewygodne.

– Brzmisz dokładnie jak James! – zaśmiała się Clare. – Z drugiej strony, jeśli chodzi o bean-to-cup, to wszystko ładnie pięknie, ale co zrobisz, gdy zepsuje się młynek? To był mój argument. Zostaje ci bezużyteczna maszyna. A jeśli kupisz oddzielny młynek...

– Prawda, prawda. – Tom pokiwał głową. – Więc na co w końcu się zdecydowaliście?

– Cóż, ja, jak wiecie, wolę herbatę. To James jest wielbicielem kawy, więc oddałam mu decydujący głos i wybrał bean-to-cup marki Sage Hestona Blumenthala.

– Bruce przymierzał się do niego w zeszłym roku. Ciężka bestia. I kosztuje prawie sześćset funtów, z tego co pamiętam...

– Coś koło tego – zgodziła się Clare.

Nina podchwyciła mój wzrok i zrobiła zeza. Próbowałam zachować kamienny wyraz twarzy, ale sercem byłam z nią. Sześćset funtów za ekspres do kawy? Lubię kawę, ale sześćset funtów? I to na liście prezentów? Było coś nieumyślnie obraźliwego w założeniu Clare, że ludzie mogą albo chcą wydać na nią tyle pieniędzy.

A może to James tak zakładał?

Ta myśl pozostawiła nieprzyjemny posmak w moich ustach.

– Dobra – zawołał Greg, gdy drzewa przerzedziły się jeszcze bardziej i dotarliśmy do dużej trawiastej polanki, z jednej strony ogrodzonej murem z pustaków. – Podejdźcie tu wszyscy. Będziemy dziś używać naboju śrutowego kaliber 2,5 – zaczął recytować monotonnym głosem. – To dobry nabój średniego zasięgu, nadający się zasadniczo do

wszystkich rodzajów rzutków, niezależnie od tego, czy chodzi o strzelectwo sportowe, skit czy trap. To ostry nabój – uniósł go w górę, żebyśmy mogli mu się przyjrzeć – w górnej części wypełniony śrutem. Przybitka znajduje się pośrodku, a proch i spłonka zostały umieszczone przy tym metalowym spodzie. Teraz, zanim zaczniemy, pokażę wam, jak skończyłoby się strzelenie takim nabojem do człowieka.

– Tylko niech pan nie szuka wśród nas ochotników! – ryknęła ze śmiechu Flo.

Greg spojrział na nią ze śmiertelnie poważną miną.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, że się zgłaszasz, młoda damo.

Flo zaśmiała się nerwowo. Wyglądała na zbitą z tropu, ale jednocześnie lekko podekscytowaną.

– Powinien pan wybrać pannę młodą, naprawdę! – zaprotestowała, gdy Greg przywołał ją gestem, ale podeszła i stanęła obok niego, zarumieniona i wystraszona.

– Dobrze. A zatem Flo wspaniałomyślnie się zgłosiła, żeby zademonstrować nam skutki wystrzału naboju wypełnionego śrutem z bliskiej odległości – urwał, po czym mrugnął. – Ale nie martwcie się, nie będzie naszym celem. Tutaj mam – podniósł duży arkusz papieru z wymalowaną na nim czarną sylwetką – papierową tarczę, jakiej zazwyczaj używa się przy ćwiczeniu strzelania z krótkiej broni ręcznej. – Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął kilka pinezek i przypiął arkusz do pobliskiego drzewa. Kora była pokryta dziurami i nietrudno było zgadnąć, co wydarzy się za chwilę. – Proszę, żeby wszyscy się cofnęli. Flo, załóż słuchawki ochronne.

– Czuję się jak DJ! – zawołała Flo, szczerząc zęby w uśmiechu, gdy nakładała neonowe słuchawki.

– Teraz ładuję nabój do strzelby – instruktor wsunął nabój na miejsce – i zamykam lufę, tak jak demonstrowałem wam w baraku. Flo, podejdź tu i stań przede mną. Dobrze. A teraz przyłóż strzelbę do ramienia. – Poprawił ułożenie broni, przyciskając ją mocniej do jej ciała. Flo zachichotała nieco histerycznie.

– Nasz Greg jest całkiem seksowny, czyż nie? – wyszeptał mi Tom do ucha. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby poprawił moją postawę strzelecką. Flo z pewnością nie zamierza protestować.

– Trzymaj mocno – instruował Greg. – Teraz połóż palec na spuście – przytrzymał dłoń Flo – i delikatnie naciśnij. Żadnych gwałtownych ruchów...

Rozległ się ogłuszający huk. Papier przed nami eksplodował. Flo pisnęła cicho i zatoczyła się do tyłu, wspierając na piersi Grega.

– Jezu! – zawołał Tom.

Widziałam strzelanie do celu na amerykańskich filmach – ładne, schludne małe dziury po pociskach, lądujące w okolicach dziesiątki na tarczy. Ale to było zupełnie co innego. Pocisk trafił wymalowaną na arkuszu postać w okolice piersi i cała środkowa część rysunku została kompletnie zmasakrowana. Na naszych oczach dolna połowa papieru oderwała się i sfrunęła łagodnie na ziemię.

– Nieźle – ocenił Greg. Zabrał Flo broń i podszedł do nas.

Flo dreptała u jego boku, a na jej twarzy malowała się mieszanina trwogi i ekscytacji. Policzki miała zaróżowione. Nie byłam pewna, czy podniecił ją strzał, czy może, jak zasugerował Tom, cieszyła ją uwaga, jaką poświęcał jej Greg.

– Jak widzicie, jeden pocisk wystrzelony z bliskiej odległości wyrządził nieule szkodę. Gdyby trafiony został człowiek, bardzo wątpliwe, czy przeżyłby drogę do ośrodka, nie mówiąc już o przewiezieniu go do lokalnego szpitala. Morał tej historii jest taki, panie i panowie: szanujcie swoją broń! Okej. Jakieś pytania?

Wszyscy w milczeniu potrząsnęliśmy głowami. Tylko Flo promieniała radością. Nina miała wyraźnie ponurą minę. Pomyślałam o ranach postrzałowych, które leczyła z Lekarzami bez Granic, i zastanawiałam się.

Greg skinął głową, po czym wszyscy w milczeniu podreptaliśmy za nim do wyrzutni.

To była świetna zabawa! – Flo opadła na sofę i kopnięciem zrzuciła buty. Miała na nogach różowe, puszyste skarpetki. Strząsnęła śnieg z włosów – w drodze powrotnej znowu zaczęło padać. – Super! Tom, jesteś strzelcem wyborowym!

Tom wyszczerzył zęby w uśmiechu i rozparł się w fotelu.

– Jako nastolatek dużo strzelałem z łuku. To chyba wymaga podobnych umiejętności.

– Strzelałeś z łuku? – Nina spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Jak Robin Hood i jego wesoła kompania? Musiałeś nosić rajtuzy?

– Strzelałem tak, jak się strzela na olimpiadzie – wyjaśnił Tom spokojnie. Ewidentnie był przyzwyczajony do takich przytyków. – Rajtuzy nie wchodziły w grę. Trenowałem też szermierkę. To bardzo dobre dla ciała. Teraz straciłem formę.

Napiął biceps i popatrzył nań z żałością, chociaż na jego twarzy ewidentnie malowało się zadowolenie.

Nina zrobiła współczującą minę.

– Boże, to musi być straszne, mieć mięśnie piersiowe jak cycki nastolatki, a do tego sześciopak. Nie wiem, jak Bruce to znosi.

– Uspokójcie się! – zbeształa ich Flo.

Clare obserwowała ich ze stojącej nieco dalej sofy, a ja zaczęłam obserwować ją. Przypominałam sobie, jak bardzo uwielbiała to robić, jak rzucała jakąś uwagę, niczym kamień do stawu, po czym wycofywała się cicho, żeby obserwować kręgi rozchodzące się na powierzchni wody, gdy ludzie zaczynali się sprzeczać. Nie był to wprawdzie miły nawyk, ale jeden z tych, których nie potrafiłam potępić. Rozumiałam go aż za dobrze. Ja też wolę obserwować, niż być obserwowaną.

Odwróciła głowę i przyłapała mnie na tym, że patrzę, jak przygląda się sprzecze Toma i Niny. Uśmiechnęła się konspiracyjnym uśmiechem, który mówił „widzę cię”.

Uciekłam wzrokiem.

Co próbowała osiągnąć, zapraszając mnie tutaj? Zdaniem Niny chciała moim kosztem uspokoić swoje wyrzuty sumienia – niczym mąż cudzołożnik wyznający prawdę zdradzanej żonie.

Ale ja tak nie uważałam. Nie sądziłam, by fakt, że Clare związała się z Jamesem, spędzał jej sen z powiek. Zresztą nie zasługiwała na moje potępienie. Nie była mi nic winna. James i ja zerwaliśmy dawno temu.

Nie. Pomyślałam, że może... może po prostu chciała popatrzeć. Zobaczyć, jak to przyjmę. Być może z tego samego powodu zdemaskowała wtedy Ninę. Jak dziecko, które widzi mrowisko i po prostu nie może się oprzeć pokusie, by wetknąć w nie kija.

A potem cofa się o krok i obserwuje.

– A ty, Lee? – zapytała nagle Flo, wrywając mnie z rozmyślań.

– Przepraszam, co takiego?

– Podobało ci się?

– Poniekąd. – Potarłam bark. Już czułam tworzący się siniak. – Ale boli mnie ramię.

– Porządnie oberwałaś przy tym pierwszym strzale, prawda?

Kopnięcie strzelby zaskoczyło mnie, odrzut sprawił, że aż straciłam dech.

– Bo najpierw trzeba ją mocno przytrzymać – wyjaśnił Tom. – Ty zrobiłaś tak, patrz... – Zdjął strzelbę znad kominka i przyłożył ją do ramienia, demonstrując mi rozluźnioną postawę, która kosztowała mnie siniaka.

Wylot lufy skierował prosto na mnie. Zamarłam.

– Hej! – zawołała Nina ostro.

– Tom! – Clare wyprostowała się, przenosząc wzrok ze mnie do Toma i z powrotem. – Odłóż to!

Tom tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wiedziałam, że żartuje, ale czułam, że każdy mięsień w ciele mam napięty.

– Boże, czuję się jak Jason Bourne – powiedział. – Władza uderza mi do głowy. Hm... przesłuchajmy parę osób. Może zaczniemy od Nory. Znam Clare od lat, dlaczego nigdy o tobie nie wspominała?

Próbowałam się odezwać, ale poczułam taką suchość w ustach, że ledwie byłam w stanie przełknąć ślinę.

– Tom! – zawołała Clare ostrzej. – Może mam paranoję, ale czy na pewno powinieneś tym wymachiwać, po tym jak wysłuchaliśmy wszystkich tych mądrości Griga?

– Przecież nie jest naładowana – ziewnęła Flo. – Pamiętasz? Ciotka używa jej do straszenia królików.

– Mimo wszystko – powiedziała Clare.

– Tylko sobie żartuję – rzucił Tom. Obdarzył nas kolejnym wilczym uśmiechem, obnażając nienaturalnie białe zęby, po czym opuścił lufę i odłożył strzelbę na miejsce.

Opadłam na sofę, czując, jak fala adrenaliny odpływa, a moje zaciśnięte pięści rozluźniają się. Ręce mi się trzęsły.

– Bardzo, kurwa, śmieszne – warknęła Clare, ściągając brwi. – Czy następnym razem, gdy zachce ci się tym wymachiwać, mógłbyś się upewnić, że na drugim końcu nie znajduje się nikt z moich przyjaciół?

Rzuciłam jej pełne wdzięczności spojrzenie, a ona przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć „kutas”.

– Przepraszam – powiedział Tom łagodnie. – Jak już mówiłem, tylko żartowałem, ale przepraszam, jeśli kogoś uraziłem. – Teatralnie skłonił się w moją stronę.

– Dobra, wybaczcie. – Flo znowu ziewnęła. – Lepiej zacznę przygotowywać kolację.

– Pomóc ci? – zapytała Clare, a twarz Flo rozpromieniła się. Uśmiech zupełnie ją odmieniał.

– Naprawdę? Czuję, że powinnaś się zachowywać jak królowa dnia.

– E tam, chodź. Będę siekać czy coś.

Gdy opuszczały salon, Clare przyjacielsko objęła Flo. Tom odprowadził je wzrokiem.

– Zabawna para, czyż nie? – zauważył.

– Co masz na myśli? – zapytałam.

– Clare, którą znam, jakoś nie do końca pasuje mi do Flo. Są takie... różne.

Jego spostrzeżenie mogło się wydawać dziwne, biorąc pod uwagę, jak bardzo Clare i Flo były do siebie podobne – do tego ubrane w niemal identyczne szare sprane dzinsy i koszulki w paski – ale wiedziałam, co ma na myśli.

Nina się przeciągnęła.

– A jednak łączy je jedno naprawdę ważne zainteresowanie. Obie uważają, że Clare stanowi pieprzony pępek świata.

Tom prychnął, a ja spróbowałam stłumić śmiech. Nina spojrzała na nas z ukosa, tymi swoimi lśniącymi ciemnymi oczami. W kąciu jej ust zatańczył kpiarski uśmiech. Potem jeszcze raz się przeciągnęła i wzruszyła ramionami.

– Dobra, najwyższa pora, żeby zadzwonić do mojej kuli u nogi. – Wyciągnęła komórkę, po czym skrzywiła się. – Nie mam zasięgu. A ty, Lee?

Nora, pomyślałam, ale nie mogłam wiecznie poprawiać ludzi, bo jeszcze pomyślą, że mam jakąś obsesję.

– Nie wiem. – Sięgnęłam do kieszeni, ale była pusta. – Dziwne. Nie mam komórki. Jestem pewna, że miałam ją ze sobą na strzelnicy. Pamiętam, że sprawdzałam Twittera. Może zostawiłam ją w samochodzie? Ale i tak nie sądzę, żebym miała zasięg. Nie miałam ani kreski, odkąd tu przyjechałyśmy. Ale tobie przecież udało się wcześniej zadzwonić z naszego pokoju?

– Tak. – Nina podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego i kilkakrotnie nacisnęła widełki. – A ten wciąż nie działa. Okej. Pójdę na górę, wywieszę się z balkonu i spróbuję złapać kreskę czy dwie. Może uda mi się wysłać SMS-a.

– To coś pilnego? – zapytał Tom.

Nina potrząsnęła głową.

– Nie. Po prostu... no wiesz. Tęsknię za nią.

– Uczciwie stawiasz sprawę.

Oboje obserwowaliśmy, jak wbiega po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Tom westchnął i wyciągnął się na kanapie.

– A ty nie zadzwonisz do Bruce'a? – zapytałam.

Potrząsnął głową.

– Prawdę mówiąc, zanim wyjechałem, doszło między nami do małej... różnicy zdań.

– Och, rozumiem – starałam się zachować neutralny ton głosu.

Nigdy nie wiem, jak reagować w takich sytuacjach. Sama nienawidzę, gdy ludzie wściubiają nos w moje sprawy, więc zakładam, że inni czują podobnie. Ale czasami wygląda na to, że oni właśnie chcą się wygadać, a wtedy wychodzę na zimną dziwaczkę, bo unikam ich zwierzeń. Więc staram się być zupełnie neutralna. Nie namawiam ich, by wyjawiali mi swoje sekrety, ale też nie bronię się przed słuchaniem. I prawdę mówiąc, chociaż nie lubię wysłuchiwać opowieści o małostkowych zazdrościach i dziwnych obsesjach, jakaś część mnie ma ochotę jeszcze bardziej ich podpuszczać. To ta część, która siedzi, potakując, i robi szczegółowe notatki. W takich sytuacjach czuję, jakbym otwierała klapę maszyny, żeby zobaczyć trybiki obracające się wewnątrz. Bywam rozczarowana banalnością tego, co wyprowadza ludzi z równowagi, ale jednocześnie fascynuje mnie widok wewnętrznych zwojów i kółek zębatych.

Problem polega na tym, że następnego dnia tacy ludzie niemal zawsze żałują, że się przed kimś obnażyli. Zatem celowo zachowuję rezerwę, ale to zdaje się nie pomagać. Zbyt często kończę przyszpilona do ściany na przyjęciach i wysłuchuję długich opowieści o tym, jak taki i taki wywiódł kogoś w pole, a potem on powiedział to, a ona poszła z nim do łóżka, a potem jego eks zrobiła tamto...

Można by się spodziewać, że ludzie będą mieć się na baczności przed powierzeniem swoich sekretów pisarce. Że wiedzą, iż jesteśmy padlinożernymi ptakami, że żywimy się ciałami martwych związków i zapomnianych kłótni, by wykorzystać je w naszej pracy, zszywając w nowy, makabryczny patchwork. Że stworzymy zombi z ich dawnych wcieleń.

Ze wszystkich ludzi właśnie Tom powinien to wiedzieć. Ale to go nie powstrzymało. Opowiadał teraz znudzonym głosem, przeciągając samogłoski, co nie maskowało faktu, że wciąż był najwyraźniej wściekły na swojego męża:

– Musisz zrozumieć, że Bruce dał Jamesowi pierwszą wielką szansę, obsadził go w *Black Ties, White Lies* w... Boże, to było już chyba z siedem, osiem lat temu? I może... to znaczy nie wiem, nigdy nie zapytałem, co się między nimi wydarzyło, ale Bruce nie był zbyt cnotliwy. Oczywiście nie byliśmy wtedy razem. Ale naturalnie Bruce uważa, że James jest mu coś dłużny i może, co równie naturalne, James uważa, że wcale nie jest. Wiem, że Bruce był dość rozwścieczony tą sprawą z *Koriolanem* oraz tym, że Eamonn stanął po stronie Jamesa... A potem, kiedy zaczęły krążyć te plotki o nim i o Richardzie, cóż, mogły pochodzić tylko z jednego źródła. Bruce przysięgał, że nie wysłał tego SMS-a do Clive'a... – Wymieniał nazwiska i miejsca, które nic mi nie mówiły, wspominając o sztukach, które odcisnęły ledwie widoczny ślad w moim kulturowym krajobrazie. Nie rozumiałam całej tej intrygi, ale jedno było jasne: Bruce był zły na Jamesa i coś ich łączyło w przeszłości. Bruce nie chciał, żeby Tom jechał na ten wieczór paniński. Tom pojechał. – No więc, w każdym razie, pieprzyć go... – podsumował wreszcie Tom lekceważąco. Nie byłam pewna, o kim mówił. Podszedł do kredensu, gdzie stała cała bateria butelek: dzin, wódka, żalosne resztki wczorajszej tequili. – Masz ochotę na drinka? Dzin z tonikiem?

– Nie, dzięki... Może trochę toniku.

Tom pokiwał głową, poszedł po lód i limonki, po czym wrócił z dwiema szklankami.

– Do dna – powiedział. Twarz zastygła mu w dziwnym grymasie. Wyglądał teraz na dobre dziesięć lat więcej, niż miał.

Upiłam łyk, po czym zakasłałam. To nie był sam tonik. Tom komicznie uniósł jedną brew z tak doskonałym wyczuciem czasu, że zamiast się na niego wkurzyć, tylko się zaśmiałam i przełknęłam.

– A więc powiedz mi... – zaczął, gdy osuszył własną szklankę i poszedł po dolewkę – co się wydarzyło między tobą a Jamesem? O co chodziło zeszłego wieczoru?

Długo milczałam. Wzięłam kolejny łyk, zastanawiając się, co powiedzieć. Instynkt podpowiadał mi, żeby zbyć pytanie śmiechem, ale prędzej czy później Tom i tak wyciągnąłby prawdę od Clare czy Niny.

– James jest... był... – Kostki lodu zabrzęczały, gdy zakręciłam płynem

w szklance, szukając odpowiednich słów. – To mój eks – powiedziałam w końcu. Była to prawda, jednak tak daleka od rzeczywistości, że wydawała się niemal kłamstwem. – Chodziliśmy ze sobą w szkole.

– W szkole? – Tym razem Tom uniósł obie brwi. – Dobry Boże. Toż to wieki średnie! Ukochany z dzieciństwa?

– Tak... chyba tak.

– Ale teraz się przyjaźnicie?

Co mogłam powiedzieć? Nie, nie widziałam Jamesa od tamtego dnia, gdy wysłał mi SMS-a.

Nie, nigdy nie wybaczyłam mu tego, co mi powiedział, co zrobił.

Nie.

– Ja... nie do końca. Właściwie to urwał nam się kontakt.

Zapadło milczenie. Słyszeliśmy, jak Clare i Flo gawędzą w sąsiednim pomieszczeniu. Z góry docierał do nas szum prysznic. Nina najwyraźniej zrezygnowała z prób dodzwonienia się do Jess.

– A więc poznaliście się w szkole? – podjął Tom.

– Tak jakby. Grałimy razem w sztuce... – Czułam się dziwnie, rozmawiając o tym. W wieku dorosłym człowiek nie porusza za często takich tematów. Nie opowiada o tym, jak po raz pierwszy złamano mu serce. Ale Tom był niemal anonimowym nieznajomym. Mało prawdopodobne, bym jeszcze kiedykolwiek miała go spotkać, a opowiadanie mu o tym przynosiło mi dziwną ulgę. – W *Kotce na gorącym blaszanym dachu*. Ja grałam Maggie, a James Bricka. Co za ironia.

– Dlaczego ironia? – zapytał Tom, wyraźnie zaintrygowany.

Nie chciałam mu tego wyjaśniać. Myślałam o tym, jak Maggie w ostatnim akcie sztuki mówi o czynieniu prawdy z kłamstwa. Wiedziałam, że akurat Tom zrozumiałby, o co mi chodzi, gdybym zacytowała te słowa. Zorientowałby się, do czego nawiązywała Maggie.

Przełknęłam i powiedziałam.

– Po prostu ironia.

– No weź. – Uśmiechnął się, a na jego opalonym policzku pojawiły się bruzdy. – Musiałaś mieć coś na myśli.

Westchnęłam. Nie zamierzałam powiedzieć mu prawdy. A w każdym razie nie tej prawdy, o której myślałam. Dlatego poszukałam innej.

– Cóż, miałam być dublerką. To Clare została obsadzona w roli Maggie. Grała główną rolę w niemal każdej sztuce, którą wystawialiśmy. Tak było od podstawówki.

– Więc co się wydarzyło?

– Dostała mononukleozy. Nie było jej w szkole przez cały semestr. A ja zostałam wypchnięta na scenę. – Zawsze byłam dublerką Clare. Miałam dobrą pamięć i byłam skrupulatna. Czułam, że Tom patrzy na mnie, nadal się zastanawiając, na czym polegała ta ironia.

– Ironiczne jest to, że to ona powinna się z nim wtedy zejść i teraz rzeczywiście z nim jest? Czy to miałaś na myśli?

– Nie, nie do końca... Bardziej ironiczne było to, że nienawidziłam, jak na mnie

patrzono, nienawidziłam być obserwowana. A oto nagle zostałam obsadzona w głównej roli. Może wszyscy pisarze wolą kryć się za kartami, niż występować na scenie. Co o tym myślisz?

Tom nie odpowiedział. Odwrócił się tylko, żeby wyrzeć przez wielkie okno. Wiedziałam, że myśli o swoich słowach z poprzedniego wieczoru. O scenie. O publiczności. O obserwatorach skrytych w mroku nocy.

Po chwili podążyłam za jego wzrokiem. Widok różnił się od wczorajszego. Ktoś włączył zewnętrzne oświetlenie i za oknem było widać połać trawnika, nietknięty dywan śniegu i nagie, szorstkie pnie drzew iglastych pod baldachimem ośnieżonych gałęzi. Powinnam poczuć się lepiej, bo to puste, nienaruszone płótno było namacalnym dowodem na to, że jesteśmy tu sami, że ktokolwiek pozostawił tamte ślady na śniegu, już nie wrócił. Ale ten widok jakoś mnie nie pocieszał. Blask reflektorów sprawił, że poczułam się nawet bardziej jak na scenie, jakby poza złotą kałużą światła kryło się czarne grzęzawisko widowni, niewidoczni obserwatorzy czający się w ciemnościach.

Zadrżałam, wyobrażając sobie tę miriadę nocnych spojrzeń: lśniące żółcią ślepia lisów, sowy z białymi skrzydłami, przerażone ryjówki. Ale ślady, które zauważyłam dziś rano, nie należały do zwierzęcia. Były bardzo, bardzo ludzkie.

– Śnieg przestał padać – powiedział Tom. – Muszę przyznać, że mnie to cieszy. Nie podobała mi się myśl, że nas tu zasypie na nie wiadomo jak długo.

– Zasypie? – powtórzyłam. – W listopadzie? Myślisz, że to byłoby możliwe?

– O tak – usłyszeliśmy głos Flo za plecami. Aż podskoczyłam. Właśnie odstawiła na stół tacę z chipsami i orzeszkami, uroczo wysuwając koniuszek języka, skupiona na tym zadaniu. – W styczniu ciągle się to zdarza. To jeden z powodów, dla których moja ciotka nie mieszka tu zimą. Jeśli spadnie dużo śniegu, droga staje się nieprzejezdna. Ale w listopadzie nigdy nie pada tak mocno. Nie sądzę, żeby coś nam groziło. Prognoza na dzisiejszy wieczór nie przewiduje opadów. A wygląda to ładnie, prawda?

Wyprostowała się i rozmasowała plecy. Wszyscy spojrzeliśmy na czarne drzewa i biały śnieg. Wcale nie wyglądało to ładnie. Widok był surowy i bezlitosny. Ale nie skomentowałam tego. W zamian zadałam pytanie, które dręczyło mnie od rana:

– Flo, miałam cię zapytać o ślady stóp prowadzące do garażu dziś rano... Czy to ty je zostawiłaś?

– Ślady stóp? – Flo wyglądała na zdziwioną. – O której?

– Zobaczyłam je, gdy wracałam z przebieżki około ósmej. Może były tam już wcześniej. Nie patrzyłam w tamtą stronę, gdy wychodziłam.

– To nie byłam ja. Mówisz, że gdzie je widziałaś?

– Między garażem a bocznym wyjściem z domu.

Flo zmarszczyła brwi.

– Nie... to zdecydowanie nie byłam ja. Dziwne... – Zagryzła wargę, po czym powiedziała: – Słuchajcie, jeśli nie macie nic przeciwko, to zamknę już dom, żebyśmy później nie zapomnieli.

– Jak to? Myślisz, że to mógł być ktoś obcy? Ktoś z zewnątrz?

Na wesołej twarzy Flo nagle odmalowało się skrępowanie.

– Cóż, ciotka miała sporo kłopotów z tym miejscem. Lokalni mieszkańcy mieli

dużo zastrzeżeń, od początku nie podobał im się fakt, że ciotka chce tu zbudować drugi dom. Było też wiele skarg na styl budynku i na to, że dom ma powstać właśnie na tej działce.

– Nie mów mi... – wtrącił Tom, przeciągając samogłoski. – Było tu stare indiańskie cmentarzysko, prawda?

Flo parsknęła i zamachnęła się na niego papierowym ręcznikiem.

– Nic z tych rzeczy. Z tego, co wiem, w tej okolicy są pochowane wyłącznie owce. Ale jest to obszar chroniony. Nie jestem pewna, czy faktycznie znajdujemy się na terenie parku narodowego, ale na pewno wystarczająco blisko, że nie ma to znaczenia. Projekt przeszedł, bo został zakwalifikowany jako rozbudowa istniejącego obiektu – stała tu stara tradycyjna zagroda. Ludzie jednak narzekali, że nowy dom nie jest utrzymany w duchu oryginału i... Krótko mówiąc, budynek spłonął w połowie konstrukcji i chyba oficjalnie uznano, że było to podpalenie, chociaż nikomu niczego nigdy nie udowodniono.

– Jezu! – Tom wyglądał na przerażonego. Wyrzał za okno, jakby w każdej chwili spodziewał się zobaczyć wieśniaków maszerujących pod górę z pochodniami.

– Ale nic się nie stało! – zapewniła nas Flo. – Dom nie był jeszcze gotowy, nikt tu nie mieszkał i ostatecznie wyszło to ciotce na dobre. Pieniądze z ubezpieczenia pozwoliły jej na ulepszenie projektu, a oryginalna zagroda spłonęła doszczętnie, więc nie musiała już jej uwzględniać w planach architektonicznych. W sumie można powiedzieć, że podpalacze oddali jej przysługę. Ale ten incydent nieco ochłodził jej stosunki z sąsiadami.

– A są tu jacyś sąsiedzi? – chciał wiedzieć Tom.

– Tak. Jest kilka domów jakąś milę stąd, w tamtym kierunku – wskazała Flo. – I farma w dolinie.

– Wiesz co... – myślałam na głos – ...to nie ślady stóp najbardziej mnie niepokoją. W każdym razie nie same w sobie. Bardziej martwi mnie fakt, że gdyby nie śnieg, nawet nie mielibyśmy świadomości, że ktoś tu był.

Znowu wyrzeliśmy na zewnątrz, na nienaruszony biały dywan, spoglądając w stronę leśnej ścieżki. Śnieg zasypał moje ślady po porannym biegu i teraz już nikt by się nie domyślił, że ktoś tamtędy przechodził. Przez długą chwilę staliśmy w milczeniu, myśląc o tym fakcie, myśląc o tym, ile razy mogliśmy być obserwowani, zupełnie o tym nie wiedząc.

Flo podeszła do okna i sprawdziła klamkę. Było solidnie zamknięte.

– Dobra! – zawołała pogodnie. – Pójdę sprawdzić tylne drzwi, a potem chyba powinniśmy skończyć z tym ponurym gadaniem i się napić.

– Dobrze prawisz – skwitował Tom poważnie, sięgając po moją pustą szklankę. Tym razem nie narzekałam, gdy nalał mi podwójną porcję dżinu.

Kiedy poszłam na górę, żeby się przebrać do kolacji, Nina siedziała z podkurczonymi nogami na łóżku, kryjąc twarz w dłoniach. Spojrzała na mnie wzrokiem tak bezbarwnym, pozbawionym typowego dla niej sarkazmu, że aż mnie zamurowało.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Tak. – Odsunęła z czoła włosy i wstała. – Po prostu... Uch, mam już dość siedzenia tutaj. Czuję się tak, jakbyśmy wróciły do szkoły. Przypominam sobie wszystko, czego wtedy w sobie nienawidziłam. Jakbyśmy się cofnęły o dziesięć lat. Nie masz takiego wrażenia?

– Nie wiem. – Usiadłam na swoim łóżku i zamyśliłam się nad jej słowami.

Chociaż minionego wieczoru dręczyły mnie bardzo podobne myśli, w świetle dnia wydały mi się niesprawiedliwe. Clare, którą pamiętałam ze szkoły, nie zniosłaby towarzystwa Flo nawet przez sekundę, chyba że miałyby jakiś potężny motyw. Przytakiwałyby idiotycznym uwagom Flo, prowokując ją do powiedzenia czegoś boleśnie kompromitującego, po czym wycofałaby się, wytknęła ją palcem i zaczęła się z niej naśmiewać. W ten weekend nie zaobserwowałam u niej takiego okrucieństwa. Byłam raczej pod wrażeniem jej tolerancji. Było jasne, że Flo jest pod jakimś względem ułomna, i podziwiałam Clare za to, że próbuje jej pomóc. Nie wiem, czy wytrzymałabym z Flo przez dziesięć dni, nie mówiąc już o dziesięciu latach. Clare najwyraźniej była szlachetniejsza, niż sądziłam.

– Myślę, że Clare się zmieniała – powiedziałam w końcu. – Wydaje się bardziej... – urwałam, szukając odpowiedniego słowa. Możliwe, że takie nie istniało. – Ona po prostu wydaje się bardziej życzliwa.

– Ludzie się nie zmieniają – zaprotestowała Nina z goryczą. – Po prostu z większą precyzją ukrywają swoje prawdziwe ja.

Ssałam dolną wargę, zastanawiając się nad tym. Czy to prawda? Ja się zmieniłam, w każdym razie tak sobie wmawiałam. Byłam znacznie bardziej pewna siebie, bardziej samowystarczalna. Przez całą szkołę szukałam oparcia w przyjaciółkach, chciałam należeć do grupy, chciałam pasować. W końcu zrozumiałam, że to niemożliwe, i wtedy od razu stałam się szczęśliwsza – chociaż bardziej samotna.

Ale może Nina miała rację. Może po prostu nauczyłam się lepiej ukrywać to skrepowane, rozpaczliwie potrzebujące poczucia przynależności dziecko, którym kiedyś byłam. Być może osoba, jaką się stałam, to tylko cienka zasłona, która może zostać zerwana w każdej chwili.

– Nie wiem – podjęła Nina. – Ja po prostu... nie uważasz, że lunch był dość bolesny?

Lunch rzeczywiście był bolesny. Rozmawiano wyłącznie o ślubie: gdzie odbędzie się wesele, jak będzie ubrana Clare, jak będą ubrane drużyny, czy wędzony łosoś to przesada na przystawkę i dlaczego potrawy wegetariańskie zawsze zawierają kozi ser. Sytuację pogorszyła świadomość, że przekroczyłam niewidzialną granicę i nie mogłam już przyznać, że nie jestem zaproszona. Powinnam coś powiedzieć od razu, przyznać się, zażartować z tego już pierwszego wieczoru. Teraz sprawy zaszły za daleko, żebym nie

wyszła na kłamczuchę, więc stałam się więźniem kłamstwa przez zaniedbanie. Współczujące spojrzenia Clare nie pomagały.

– Nie powiem, że Clare to panna młoda z piekła rodem – kontynuowała Nina – bo w tej sytuacji mamy raczej do czynienia z druhną z piekła rodem. Ale jeśli jeszcze raz usłyszę o upominkach dla gości, woskowaniu nóg czy przemowach świadków... Czy potrafisz sobie wyobrazić Jamesa w samym środku tego wszystkiego?

Celowo unikałam myślenia o Jamesie w kontekście ślubu, jakbym omijała obolały kawałek skóry, którego lepiej nie dotykać. Ale teraz, gdy spróbowałam, zdałam sobie sprawę, że nie potrafię. Tego Jamesa, którego pamiętałam, z fryzurą na samuraja, w podartym szkolnym krawacie, upijającego się whisky ojca i wspinającego się na szkolny pomnik o północy, żeby wykrzykiwać w niebo wiersze Wilfreda Owena... Jamesa, który wypisał słowa piosenki Pink Floyd szminką na samochodzie dyrektora szkoły ostatniego dnia letniego semestru... Tego Jamesa nie potrafiłam sobie wyobrazić w smokingu, całującego w policzek matkę Clare i śmiejącego się posłusznie z przemowy drużby.

Wszystko to przyprawiało mnie o mdłości, a ukradkowe spojrzenia Niny tylko pogarszały sprawę. Jeśli jest coś, czego nienawidzę bardziej od bycia ranioną, to tego, gdy dzieje się to przy świadkach. Zawsze wolałam się gdzieś zaszyć i lizać rany w samotności. Ale Nina miała rację. Clare nie była panną młodą z piekła rodem. Właściwie to przez większość czasu milczała, co było dla niej dość nietypowe. To Flo nakręcała rozmowę, a Tom jeszcze ją zachęcał. W którymś momencie Clare nawet zasugerowała, żeby zmienili temat. Było mało prawdopodobne, że nagle przestała uwielbiać fakt, iż znajduje się w centrum zainteresowania. Raczej robiła to przez wzgląd na mnie.

– Gdybym miała więcej odwagi, odrzuciłabym zaproszenie – przyznała Nina ponuro. – To znaczy nie pojechałabym na ślub. Ale Jess by mnie zabiła. Ona uwielbia śluby. To takie jej zaburzenie obsesyjno-kompulsywne. Już kupiła sobie nowy fascynator. Czaisz. Pieprzony fascynator.

– Wybaczyłaby ci – powiedziałam lekko. – Chociaż możliwe, że sama musiałabyś się jej oświadczyć, żeby jej to wynagrodzić.

– Możliwe, że do tego dojdzie. Przyszłabyś?

– Oczywiście. Przyszłabym nawet na twój wieczór paniński. Gdybyś go miała.

– Pieprzyć to – burknęła Nina. – Jeśli, powtarzam: jeśli, kiedykolwiek przyjdzie mi do głowy wstąpić w związek małżeński, spędzę wieczór paniński w klubie i tyle. Żadnych chat na zadupiu – westchnęła i wyprostowała się. – A czy ty wiesz, co Flo przygotowała dla nas na dzisiejszy wieczór?

– Co takiego?

– Ni mniej, ni więcej, jak tylko pieprzoną tablicę ouiija. Mówię ci, jeśli kupiła taką z „seksownymi” odpowiedziami, to ściągnę tę strzelbę znad kominka i wetknę jej tam, gdzie słońce nie dochodzi. Niezależnie od tego, czy jest naładowana ślepakami, czy nie.

*

– To będzie kapitalna zabawa – oznajmiła Flo, rozkładając kartki papieru na stoliku kawowym.

– Magiczna kula numer 8 mówi: „Nie licz na to” – wymamrotała Nina. Clare zgańiła ją wzrokiem, ale Flo albo nie usłyszała jej słów, albo postanowiła zignorować przytyk. Z zaferowaniem rozstawiała tablicę i ustawiała świeczki pośród na wpół wypitych butelek wina.

– Czy ktoś ma zapalniczkę?

Nina pogrzebała w kieszeni dzinsowej minispódniczki i wyciągnęła zippo. Flo zaczęła ceremonialnie zapalać świeczki. Ich płomienie rozbłyskiwały jeden po drugim, odbijając się w okiennej szybie. Flo zgasła zewnętrzne reflektory, w salonie też panował półmrok, więc wyraźnie widzieliśmy napierającą masę drzew, białość śniegu i zarys leśnego baldachimu na tle nieba rozjaśnionego tylko blaskiem księżyca. Płomienie świec wyglądały niczym błędne ogniki tańczące pośród sosen, zwiewne, upiorne światełka, dwukrotnie odbijające się w podwójnej tafli szkła.

Podeszłam do okna i przyłożyłam dłonie do szyby, wyglądając w noc. Nic się nie poruszało. Ale znowu pomyślałam o śladach stóp oraz zerwanej linii telefonicznej i nie mogłam się powstrzymać od ukradkowego sprawdzenia, czy drzwi balkonowe na pewno są zamknięte. Były.

– Mel by się to nie spodobało – zauważyła Clare w zamyśleniu, gdy wróciłam do stolika. Flo właśnie zapalała ostatnią świeczkę. – Jestem pewna, że od czasów uniwerku stała się jeszcze bardziej religijna.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nawiązywanie kontaktu z jednym wymyślonym przyjacielem miałoby się czymś różnić od nawiązywania kontaktu z całą ich bandą – rzuciła Nina zjadliwie.

– Słuchaj, to jej wiara, w porządku? Nie ma potrzeby nikogo obrażać.

– Nikogo nie obrażam. Z definicji nie można obrazić kogoś, kto nie jest przy tym obecny. Obrazę trzeba odebrać osobiście.

– Czy jeśli nikogo nie ma w lesie, upadające drzewo wydaje dźwięk? – wtrącił Tom filozoficznie, z ironicznym uśmiechem. Rozparł się na sofie i wziął długi łyk wina. – A niech mnie, od lat tego nie robiłem. Moją ciotkę bardzo kręciła cała ta komunikacja z duchami. Zachodziłem do jej domu po szkole, a ona zmuszała mnie do udziału w seansach z tradycyjną tablicą ouija, wiecie, taką z literami.

Wiedziałam, co miał na myśli. Takiego rodzaju tablice widywałam na filmach. Ta, którą rozłożyła Flo, była odrobinę inna, przypominała długopis na kółkach.

– Tak jest łatwiej – wyjaśniła Flo, przygryzając koniuszek języka, podczas gdy mocowała długopis w uchwycie. – Próbowалам też tamtej, ale problem polega na tym, że jeśli nie notuje się naprawdę szybko, można przegapić mnóstwo liter. Dzięki tej metodzie powstaje ciągły zapis.

– I wyszło ci coś? – zapytała Clare. – To znaczy, gdy próbowałaś wcześniej?

Flo poważnie pokiwała głową.

– O tak. Zazwyczaj odbieram jakiegoś rodzaju wiadomość. Moja mama mówi, że wchodzę w naturalny rezonans z zaświatami.

– Aha – rzuciła Nina ze śmiertelną powagą, ale wiedziałam, że szykuje jakąś sarkastyczną uwagę. Chcąc ją powstrzymać, wtrąciłam pospiesznie:

– I jaka to była wiadomość? To znaczy ostatnim razem?

– Dotyczyła mojego dziadka – wyjaśniła Flo. – Chciał powiedzieć babci, że jest szczęśliwy i że powinna ponownie wyjść za mąż, jeśli chce... No dobrze, wszystko przygotowałam. Jesteśmy gotowi?

– Bardziej już nie będziemy – stwierdziła Clare. Dopija resztę wina i odstawiła kieliszek. – To co mamy robić?

Flo przywołała nas gestem do stolika.

– Połóżcie palce na wózku spirytystycznym. Tylko delikatnie. Nie próbujcie go prowadzić, po prostu bądźcie kanałem dla wszelkich impulsów, które otrzymacie z zaświatów.

Nina przewróciła oczami, ale położyła opuszki palców na trójkątnym przedmiocie. Tom i ja poszliśmy za jej przykładem. Clare zrobiła to ostatnia.

– Gotowi? – zapytała Flo.

– Gotowi – powiedziała Clare.

Flo odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. Jej twarz lśniła w blasku świec, jakby promieniała od wewnątrz. Widziałam, jak gałki oczne poruszają się pod powiekami, z boku na bok, jakby czegoś szukała, próbowała coś dostrzec.

– Czy jest tutaj duch, który chce z nami rozmawiać? – zaintonowała.

Wózek zawirował chaotycznie, pozostawiając na kartce pętle i spirale, które nie miały żadnego sensu. Nikt go nie popychał, byłam całkiem pewna.

– Czy jest z nami duch dziś wieczorem? – powtórzyła Flo poważnie. Zobaczyłam, jak Nina próbuje powstrzymać uśmiech. Wózek zaczął się poruszać w bardziej celowy sposób. Długopis pozostawił na kartce literę „T”.

– Wow... – wyszeptała Flo i spojrzała na nas z ekscytacją. – Widzieliście to? Zupełnie jakby był przyciągany przez magnes. Czy wszyscy to czuli?

Ja coś poczułam. Miałam wrażenie, że wózek został popchnięty przez kogoś ze zgromadzonych, ale nic nie powiedziałam.

– Jak masz na imię, duchu? – zapytała Flo z zapalem.

Wózek znowu zaczął się poruszać: TE... QUI... długa przerwa... TE... QUI...

– Qui znaczy „kto” po francusku – wyszeptała Flo. – Może skontaktowaliśmy się z francuskim duchem opiekuńczym?

...L... Tom i Nina wybuchnęli śmiechem, gdy na kartce pojawiła się litera A. Nawet Clare z trudem zdusiła prychnięcie. Wózek odjechał ku krawędzi papieru, po czym spadł na podłogę. Wszyscy zaczęli chichotać.

Flo przez chwilę patrzyła na kartkę, marszcząc brwi. W końcu zrozumiała żart. Odsunęła się od stolika, krzyżując ramiona na piersi.

– No tak. – Przeniosła wzrok z Clare na Toma, a potem na mnie. Próbowалаm przybrać poważny wyraz twarzy. – Kto to zrobił? To nie są żarty! To znaczy owszem, było to trochę zabawne, ale nigdy się niczego nie dowiemy, jeśli będziecie się dalej wygłupiać! Tom?

– To nie byłem ja! – Tom uniósł ręce w obronnym geście. Nina miała najbardziej niewinną minę. Podejrzywałam, że to jej sprawka.

– Cóż, ktokolwiek to był – twarz Flo była zaróżowiona i poirytowana – nie zrobiło to na mnie wrażenia. Zadałam sobie wiele trudu, a wy niszczyście...

– Hej, hej, Flops – Clare uciszyła ją gestem. – Wyluzuj, okej? To był tylko żart. Więcej tego nie zrobią. Prawda? – Powiodła po nas surowym wzrokiem. Wszyscy przybraliśmy skruszone miny.

– W porządku – powiedziała Flo, chociaż nadal się dąsała. – Ale to wasza ostatnia szansa! Jeśli znowu zaczniecie się wygłupiać, schowam to i zaczniemy... zaczniemy grać w Trivial Pursuit!

– To dopiero groźba – oznajmił Tom poważnie, chociaż drgał mu kącik ust. – Obiecuję, że będę się zachowywał jak anioł. Tylko nie strasz mnie różowym camembertem.

– Okej – westchnęła Flo. Nabrała głęboko powietrza i czekała, aż wszyscy znów położymy palce na wózk. Zadrzał i zobaczyłam, że ramiona Niny wciąż dygoczą od tłumionego chichotu, ale pod wpływem wzroku Clare zagryzła wargę i uspokoiła się. – Przepraszamy za brak powagi ze strony niektórych osób w naszym kręgu – powiedziała Flo znacząco. – Czy jest tu duch, który chciałby do nas przemówić?

Tym razem wózek poruszał się wolniej, bardziej jakby dryfował z własnej woli. Ale nie było wątpliwości, że znowu uformował literę T, po czym się zatrzymał.

– Czy jesteś przyjacielem kogoś z tu zebranych? – wyszeptała Flo.

Na kartce pojawił się znak zapytania.

Tym razem nie wydawało mi się, by ktokolwiek popychał wózek. Zauważyłam, że inni też odnieśli takie wrażenie. Przestali się śmiać. Nawet Clare wyglądała na nieco zaniepokojoną.

– Flops, nie jestem pewna... – zaczęła, ale Tom poklepał ją po dłoni.

– To nic takiego, moja droga. To nie są prawdziwe duchy. Te słowa wypływają z podświadomości grupy. Czasami rezultaty bywają dość pouczające.

– Kto tutaj jest? – Flo zamknęła oczy. Jej palce ledwie dotykały wózka. Jeśli ktokolwiek go kontrolował, to z pewnością nie ona. Wózek poruszył się znowu, zostawiając na kartce litery pełne zawijasów. Tom odczytywał je na głos, w miarę jak się pojawiały:

– M... A, chyba? Czy to było N?... X... W... E... L... L... Okej, cóż, to jest słowo. Maxwell. Czy ktoś zna jakiegoś Maxwella?

Wszyscy potrząsnęliśmy głowami.

– Może to duch jednego z byłych mieszkańców zagrody – powiedziała z powagą Nina. – Przyszedł nas ostrzec, żebyśmy nie deptali po świętych kościach owiec.

– Może – szepnęła Flo. Otworzyła oczy. Były ogromne i zielone na tle jej bladej twarzy. Rumieńce gniewu zniknęły z jej policzków. Znowu przymknęła powieki i powiedziała cichym, uroczystym głosem: – Czy jest tu ktoś, do kogo chciałbyś przemówić, Maxwell?

T.

– Czy masz wiadomość dla kogoś z grupy?

T.

– Dla kogo?

F... FL... F...

– Dla mnie? – Flo otworzyła oczy jeszcze szerzej. Wyglądała na kompletnie

zaskoczona i nieco spanikowaną. Miała minę, jakby żałowała swojego pomysłu. – Czy masz wiadomość dla mnie?

T.

Przełknęła ślinę. Zobaczyłam, że wolną ręką ścisnęła krawędź stolika tak mocno, aż pobieleły jej knykcie.

– Okej – powiedziała dzielnie. Ale wózek już się poruszał.

K... U... sunął powoli, a potem nagle przyspieszył: P KAWE.

Przez moment panowała głucha cisza, aż nagle Nina przerwała ją krótkim szczenięciami śmiechu.

– Odpieprzcie się! – krzyknęła Flo. Wszyscy aż podskoczyliśmy. Zerwała się i pchnęła wózek przez stół. Kieliszki z winem i świecek pospadały na podłogę. Wosk rozlał się na dywanie. – Kto to był? To nie są żarty. Mam tego po dziurki w nosie. Nina? Tom?

– To nie byłam ja! – zaprotestowała Nina, ale aż płakała ze śmiechu.

Tom próbował ukryć rozbawienie, ale też chichotał, zasłaniając usta dłonią.

– Przepraszam – próbował przybrać poważny wyraz twarzy. – Przepraszam. To nie jest śm-m... – Nie był w stanie dokończyć zdania.

Flo spojrzała na mnie oskarżycielsko, podczas gdy osuszałam zalany winem dywan.

– Jesteś dziwnie milcząca, Lee. Tak sobie tam siedzisz z miną niewiniątka!

– Słucham? – Podniosłam wzrok, autentycznie zaskoczona. – Że co p-proszę?

– Słyszałaś mnie! Mam już tego dość. Siedzisz tam jak złośliwa mała myszka i śmiejesz się za moimi plecami.

– Nie śmieję się – powiedziałam z zażenowaniem. Przypomniałam sobie, jak z trudem tłumiałam rozbawienie, słuchając przytyków Niny, od kiedy tu przyjechałyśmy.

– To znaczy... nie chciałam...

– Wszyscy myślicie, że jesteście tacy idealni! – Flo oddychała ciężko, z trudem łapiąc powietrze. Wyglądała, jakby miała wybuchnąć płaczem. – Tacy wspaniali, z tymi swoimi stopniami naukowymi, pracami i mieszkaniami w Londynie.

– Flo... – Clare położyła dłoń na ramieniu Flo, ale ta ją strząsnęła.

– Daj spokój – rzucił Tom pojednawczo. – Słuchaj, nie wiem, kto to zrobił, ale obiecuję, że to ostatni raz, kiedy ktoś się wygłupiał, prawda? – Rozejrzał się po grupie. – Prawda? Obiecujemy, okej? Tym razem na serio.

Wiedziałam, że próbuje pomóc, ale czułam, jak skręca mi się żołądek. Trzeba było zrezygnować, gdy Flo eksplodowała po raz pierwszy. Biorąc pod uwagę, w jakim była stanie, prowokując ją w ten sposób, sami prosiliśmy się o kłopoty.

– Nie sądźcie, ż-że... – zaczęłam nerwowo.

– Sądzę, że powinnaś się z-zamknąć – rzuciła Flo z wściekłością, idealnie przedrzeźniając moje jąkanie się. Zatkano mnie. Gapiłam się na nią z rozdziawionymi ustami. Czułam się tak, jakby teletubiś napluł mi w twarz.

– Ej, daj spokój – zawołała Clare. – Daj nam jeszcze jedną szansę, okej, Flops? Obiecuję, że tym razem wszyscy wezmą to serio. Bo jak nie, to będą mieli ze mną do czynienia.

Flo drżącą ręką sięgnęła po kieliszek i dopiła swoje wino. Potem ciężko zasiadła przy stoliku i położyła dłoń na wózku.

– To wasza ostatnia szansa – warknęła.

Wszyscy pokiwali głowami. Wróciłam do zabawy z wielkim oporem.

– Może tym razem zadajmy pytanie? – zaproponował Tom uspokajająco. – Łatwiej będzie pilnować, żeby nikt się nie wygłupiał. Może... czy Clare i James będą żyli długo i szczęśliwie?

– Nie! – krzyknęła Clare. Wszyscy spojrzeliśmy na nią, zaskoczeni gwałtownością jej reakcji. – Nie... słuchajcie, ja po prostu... nie chcę w to wciągać Jamesa. To wydaje mi się niewłaściwe. Zabawa jest niezła, ale nie chcę, żeby jakiś długopis powiedział mi, że rozwiodę się przed trzydziestką.

– W porządku – powiedział Tom łagodnie, ale w jego głosie wyczułam zaskoczenie. – Może w takim razie zapytamy o mnie. Ile rocznic ślubu będę świętował z Bruce'em?

Wszyscy położyliśmy opuszki palców na wózku i poczułam, jak zaczął się poruszać. Bardzo powoli.

Tym razem było inaczej. Wózek nie zacinął się, nie był popychany i ciągnięty. Litery płynnymi ruchami spływały na kartkę.

– P... A... P... A... – przeliterowała Flo. – Papa? Co to znaczy? To nie jest rocznica ślubu.

– Może papier? – Tom ściągnął brwi. – Ale to też nie ma sensu. Papierowa rocznica to... jakieś dwa lata czy coś. Świętowaliśmy ją w zeszłym roku.

– A może mówi nam swoje imię – powiedziała Flo z zapartym tchem. Jej wściekłość zniknęła, znowu wyglądała na podekscytowaną. Dolała sobie wina i wypiła je trzema zachłannymi haustami, po czym odstawiła kieliszek na podłogę. Zobaczyłam, że jej srebrnoszary top, identyczny jak ten, który nosiła Clare, ma na rękawie plamę po czerwonym winie. – Nie zawsze odpowiadają po kolei. Zapytajmy go. Jak się nazywasz, duchu?

Długopis znowu ożył; zaczął gładko sunąć po kartce, pokrywając ją dużymi, szybko formującymi się literami, które pożerały wolne miejsce i nachodziły na poprzednie zapiski.

PA... zobaczyłam, a potem, kawałek dalej... BY. Wreszcie wózek się zatrzymał, a Flo wyciągnęła szyję, żeby odczytać tekst.

– Papa Begby. Wow. Kto to może być, na litość boską?

Rozejrzała się, ale wszyscy wzruszyliśmy ramionami i potrząsnęliśmy głowami.

– Nora? – zapytała nagle. – Czy ty wiesz, kto to jest?

– Chryste, nie! – zaprzeczyłam szybko. Prawdę mówiąc, byłam bardziej niż odrobinę wystraszona. Wcześniej to były ewidentne żarty. Ale tym razem czułam coś dziwnego. Nie tylko mnie wytrąciło to z równowagi. Clare żuła pasmo włosów. Nina starała się zachować obojętność, ale widziałam, że trzyma rękę w kieszeni i nerwowo obraca w palcach zapalniczkę. Tom był blady. Tylko Flo wyglądała na autentycznie podekscytowaną.

– Wow... – wyszeptała. – Prawdziwy duch. Papa Begby. Może to facet, który był

właścicielem tej zagrody? Papo Begby – przemówiła z szacunkiem do przestrzeni nad naszymi głowami. – Papo Begby, czy masz wiadomość dla nas, zgromadzonych tu dziś wieczorem?

Wózek znowu zaczął się poruszać, tym razem mniej płynnie.

M... odczytałam. Serce mi zamarło. Żadnych więcej żartów dotyczących kawy.

M... M... M...

Litery zaczęły spływać na kartkę coraz szybciej, aż nagle rozległ się chrzest i wózek zatrzymał się gwałtownie. Clare uniosła go i zasłoniła usta dłonią.

– Och, Flops, tak mi przykro... – Spojrzałam na stolik. Długopis przebił kartkę i porysował blat. – Twoja ciotka...

– Oj, nieważne – zawołała Flo niecierpliwie i porwała kartkę ze stolika. – Co tu jest napisane?

Wszyscy patrzyliśmy jej przez ramię, podczas gdy ona powoli obracała kartkę w tę i w tę, odczytując zapętlone pismo.

M M MMMMOORDERRRRRRRRRRRRSTWO.

– O mój Boże... – Tom przytknął dłoń do ust.

– To nie jest zabawne. – Nina pobladła i odsunęła się, lustrując nas wzrokiem. – Kto to napisał?

– Słuchajcie – odezwał się Tom – przyznaję się bez bicia, to ja jestem odpowiedzialny za ten wyglup z kawą. Ale tego nie napisałem... nie zrobiłbym czegoś takiego!

Popatrzyliśmy po sobie, szukając winy w oczach innych.

– A może patrzycie na to z niewłaściwej strony – zauważyła Flo. Rumieniec znowu pojawił się na jej twarzy, ale teraz zwiastował raczej poczucie triumfu niż złość. – Może to była prawdziwa wiadomość. Ostatecznie wiem o was różne rzeczy, o was wszystkich.

– Co masz na myśli? – zapytał Tom nieufnie. – Clare, o czym ona mówi?

Clare nie odpowiedziała, tylko potrząsnęła głową. Była blada jak ściana, krew odpłynęła nawet z jej ust. Zorientowałam się, że zaczynam hiperwentylować. Oddychałam szybko i z trudem.

– Hej – zawołała nagle Nina dziwnym głosem, jakby z oddali. – Nora, wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest – próbowałam powiedzieć, ale nie byłam pewna, czy słowa opuściły moje usta. Miałam wrażenie, że pomieszczenie się kurczy, podczas gdy wielkie szklane okno rozszerza się niczym usta pełne ostrych sosnowych zębów, czekające, żeby połknąć nas wszystkich. Poczulałam, jak ktoś łapie mnie za ramiona i sadza na sofie, wpychając mi głowę między kolana.

– Nic ci nie jest – usłyszałam pewny głos Niny i nagle przypomniałam sobie, że jest lekarką, profesjonalną przedstawicielką służby zdrowia, a nie tylko przyjaciółką, z którą raz na kilka miesięcy chodziłam na drinka. – Wszystko będzie dobrze. Niech ktoś przyniesie papierową torbę.

– Histeryczka – usłyszałam rozgniewany syk Flo, gdy opuszczała salon.

– Nic mi nie jest – powiedziałam. Próbowałam usiąść, odpychając dłonie Niny. – Nie potrzebuję papierowej torby. Już wszystko w porządku.

– Jesteś pewna? – Nina obserwowała moją twarz. Pokiwałam głową.

– Absolutnie. Przepraszam, nie wiem, co mi się stało. Za dużo wina. Ale już wszystko w porządku, obiecuję.

– Za dużo dramatów – mruknął Tom pod nosem. Wiedziałam, że nie ma na myśli mojego zachowania.

– Ja tylko... chyba muszę się przewietrzyć. Za gorąco tutaj.

Rzeczywiście było gorąco jak w piecu. Nina pokiwała głową.

– Pójdę z tobą.

– Nie! – zareagowałam bardziej gwałtownie, niż zamierzałam. A potem spokojniej dodałam: – Naprawdę, wolałabym zostać sama. Chcę tylko odetchnąć, okej?

Wyszłam na dwór kuchennymi drzwiami i oparłam się plecami o szybę. Aksamitne niebo miało odcień głębokiego granatu, a księżyc był zdumiewająco biały, otoczony bladą aureolą mrozu. Czulałam, jak spływa na mnie zimne nocne powietrze, chłodzi moją rozgrzaną twarz i spocone dłonie. Stałam tam, nasłuchując bicia własnego serca, próbując je spowolnić, próbując się uspokoić.

To absurdalne, że aż tak spanikowałam. Nic nie wskazywało na to, że wiadomość dotyczy mnie. Chociaż słowa, które Flo wypowiedziała pod koniec...

Wiem o was różne rzeczy.

Co miała na myśli? O kim mówiła?

Jeśli o mnie, mogła nawiązywać tylko do jednej rzeczy. A Clare była jedyną osobą, która wiedziała, co się wydarzyło. Czy wygadała się przed Flo?

Nie byłam pewna. Chciałam wierzyć, że nie. Próbowałam sobie przypomnieć wszystkie sekrety, z których zwierzyłam się Clare na przestrzeni lat, sekrety, których wiernie dochowała.

Ale przypominałam sobie też, jak wróciłam do szkoły na egzamin z francuskiego i jedna z dziewcząt w kolejce położyła mi dłoń na ramieniu. „Tak mi przykro, jesteś taka dzielna”, powiedziała, a na jej twarzy malowało się autentyczne współczucie, ale też pewien rodzaj niezdrowej ekscytacji, jaką widzi się czasem u nastolatków opowiadających o tragicznej śmierci przyjaciela. Smutek jest prawdziwy, ale towarzyszy mu skrywane podniecenie dramatyзмом, realnością sytuacji.

Nie wiedziałam na pewno, co miała na myśli tamta dziewczyna. Mogła po prostu mówić o moim rozstaniu z Jamesem. Ale jej reakcja wydała mi się trochę za bardzo przesadzona i zaczęłam się zastanawiać, czy Clare nie powiedziała komuś o tym, co naprawdę się stało. Przez cały egzamin zadreślałam się tym pytaniem. Gdy upłynęły dwie godziny przeznaczone na pisanie, wiedziałam już, co muszę zrobić, żeby domysły nie doprowadziły mnie do szaleństwa.

Nigdy nie wróciłam.

Teraz zamknęłam oczy, czując chłód na twarzy i wilgoć śniegu przenikającą przez moje cienkie skarpetki. Wsłuchiwałam się w ciche odgłosy nocy, trzask i szelest gałęzi uginających się pod ciężarem śniegu, pohukiwanie sowy, dziwny, udreńczony wrzask lisa.

Nigdy nie mieszkałam na wsi. Wychowałam się na peryferiach Reading, a gdy tylko skończyłam osiemnaście lat, przeprowadziłam się do Londynu. Ale potrafiłam sobie wyobrazić, że mieszkam tutaj, w ciszy i samotności, widując ludzi tylko wtedy, gdy mam

na to ochotę. Jednak nie zamieszkałabym w szklanej klatce, lecz w jakimś małym, niepozornym miejscu, wtapiającym się w krajobraz.

Pomyślałam o zagrodzie, która stała tu przed pożarem. Wyobraziłam sobie długi, niski budynek, zarysem przypominający zwierzę próbujące schować się pod ziemię, zająca przycupniętego wśród traw. Mogłabym tam mieszkać.

Gdy uniosłam powieki, światło wylewające się z domu i odbijające się od powierzchni śniegu zakłuło mnie w oczy. Było aroganckie, stanowiło marnotrawstwo energii. Dom wyglądał niczym złota latarnia morska sygnalizująca swoją obecność w ciemnościach. Tylko że... latarnia morska miała ostrzegać statki, by trzymały się z dala. To miejsce bardziej przypominało latarenkę przyciągającą ćmy.

Zadrzałam. Muszę skończyć z tymi uprzedzeniami. To był piękny dom. Mieliśmy szczęście, że możemy tu pomieszkać, nawet przez dwa dni. A jednak nie lubiłam tego miejsca. I nie ufałam Flo. Nie mogłam się doczekać jutrzejszego poranka. Zastanawiałam się, jak wcześnie możemy wyjechać, żeby zachować pozory przyzwoitości. Miałyśmy z Niną miejscówki wykupione w pociągu odjeżdżającym o piątej po południu, ale mój bilet był elastyczny.

– Dobrze się czujesz? – usłyszałam głos za plecami, a potem zobaczyłam długą smugę dymu papierosowego. Odwróciłam się i spojrzałam na Ninę. Stała z papierosem w jednej dłoni, drugą ręką obejmowała się w pasie, chroniąc się przed zimnem. – Przepraszam. Wiem, powiedziałaś, że chcesz być sama. Ja tylko... potrzebowałam papierosa. Musiałam stamtąd uciec. Ta Flo! Napędziła mi stracha. O co jej chodziło, gdy powiedziała, że coś o nas wie?

– Nie mam pojęcia – przyznałam ze skrzepowaniem.

– Pewnie plotła bzdury. – Nina zaciągnęła się dymem. – Ale muszę przyznać, że siedziałam tam i przypominałam sobie wszystkie sekrety, jakie kiedykolwiek powierzyłam Clare. Świadomość, że mogła wyjawic je Flo, nie była zbyt miła. Tom wyglądał na wstrząśniętego, prawda? Ciekawe, jakie szkielety ukrywa w swojej szafie...

– Nie wiem. – Chłód przeniknął mnie do szpiku kości i zadrzałam.

– Myślę, że Melanie miała rację. Flo nie jest normalna. A ta jej obsesja na punkcie Clare... „Niezdrowa” to mało powiedziane. Całe to kopiowanie strojów trochę za bardzo przypomina *Sublokatorkę*, co nie? Jeśli chcesz znać moją opinię, brakuje jej dwóch xanaxów do odegrania sceny prysznicowej z *Psychozy*.

– Och, na litość boską! – nie wytrzymałam. Owszem, Flo zachowywała się dziwnie, ale słowa Niny były naprawdę niesprawiedliwe. – Ona nie jest psychopatką, po prostu brakuje jej pewności siebie. Wiem, jak to jest, zawsze być tą drugą. Przyjaźń z Clare bywa naprawdę trudna.

– Nie. Nie próbuj jej usprawiedliwiać, Nora. Te ubrania i wszystko inne... to znaczy, nieważne, to jest dziwne. Jeśli Clare chce to znosić, to jej broszka, ale ten mały popis dziś wieczorem był skierowany do nas, a ja nie zamierzam tego tolerować. Słuchaj, myślałam o tym, że jutro... wiem, że mamy pociąg o piątej po południu, ale...

– Ale możemy wyjechać wcześniej? Myślałam dokładnie o tym samym.

– Szczerze mówiąc, mam tego miejsca po dziurki w nosie. Gdybym była trzeźwa, wyjechałybyśmy jeszcze dziś, ale nie jestem w stanie prowadzić. Co o tym sądzisz? Zaraz

po śniadaniu?

– Flo odbije – zauważyłam trzeźwo. Zaplanowała na jutro jeszcze więcej rozrywek. Nie wiedziałam jakich, ale instrukcje były jasne: możemy wyjechać o drugiej po południu, nie wcześniej.

– Wiem. Właściwie to myślałam... – Nina zaciągnęła się głęboko. – Myślałam, że mogłybyśmy po prostu się wymknąć. Czy to byłoby tchórzostwo?

– Tak – powiedziałam zdecydowanie. – Straszne.

– Och, w porządku – westchnęła, wypuszczając ustami chmurę dymu. – Może wymyślę jakiś kryzys w szpitalu. Zastanowię się dziś nad wymówką.

– A skąd miałybyś się dowiedzieć o tym kryzysie? – zapytałam. – Biorąc pod uwagę, że nie mamy zasięgu, a telefon stacjonarny nie działa?

– Cóż, to kolejny popieprzony aspekt całej tej sytuacji, prawda? Przypuśćmy, że doprowadzeni do szału lokalni mieszkańcy faktycznie wdrapią się na wzgórze z widłami, grając na banjo. Co w takiej sytuacji mielibyśmy zrobić? Zacząć się bronić śnieżkami?

– Nie bądź melodramatyczna. Nie ma tu żadnych oszalałych sąsiadów. Ciotka Flo pewnie sama podłożyła ogień, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia, a potem zrzuciła winę na farmerów.

– Mam nadzieję, że masz rację. Oglądałam *Uwolnienie*.

– Cieszę się, ale wracając do naszego problemu...

– Po prostu udam, że dotarł do mnie w nocy zbłąkany SMS. Zresztą nawet jeśli Flo mi nie uwierzy, to co może zrobić?

Domyślałam się, że mnóstwo rzeczy, ale nie sądziłam, by mogła powstrzymać Ninę, o ile nie zabarykaduje drzwi.

Zamilkłyśmy na chwilę. Nina wydmuchiwała kółka z dymu w nieruchome nocne powietrze, ja wypuszczałam białe obłoczki oddechu.

– Co się tam wydarzyło? – zapytała w końcu. – Mam na myśli ten twój mały atak paniki. Czy to przez tę wiadomość?

– Tak jakby.

– Ale chyba nie sądziłaś, że dotyczy ciebie, prawda? – Spojrzała na mnie z ukosa i wypuściła kolejne kółko. – Niby kogo miałybyś zabić?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie, nie sądziłam, że chodzi o mnie. Zresztą to niekoniecznie było słowo „morderca”. To mogło być „morderstwo”. Przy tylu powtórzeniach i zapętleniach liter nie jestem pewna, o które słowo tak naprawdę chodziło.

– Co masz na myśli? Że to było ostrzeżenie? – zapytała Nina. – Czyli wracamy do szalonych sąsiadów? – Znowu wzruszyłam ramionami. – Nie będę kłamać. Pomyślałam, że to może było skierowane do mnie. To znaczy nigdy nikogo nie zabiłam celowo, ale z pewnością kilka osób zmarło z powodu błędów, jakie popełniłam.

– Co takiego? Uważasz, że to była autentyczna wiadomość?

– Nie – zaciągnęła się. – Nie wierzę w takie rzeczy, pomyślałam tylko, że ktoś strzela na oślep, chce mnie zdenerwować. To była Flo, nie mam co do tego wątpliwości. Myślę, że wkurzyła się na nas za to, że się tak wygłupialiśmy na początku, i postanowiła nas ukarać. „Tequila” to była moja sprawka. Pewnie się domyśliła.

– Tak uważasz? – Spojrzałam w niebo. Miało odcień głębokiego morskiego granatu. Kolor był tak czysty, że aż bolały oczy. Wysoko w górze ku księżycowi wędrował satelita. Próbowałam przywołać w pamięci minę Flo, gdy odczytywała to słowo, a wcześniej jej zamknięte oczy i entuzjazm na twarzy. – No nie wiem. Stałam tu, zastanawiając się nad tym, ale nie jestem pewna, czy to była ona. Wyglądała na autentycznie zszokowaną. A przecież jako jedyna naprawdę wierzy w to wszystko. Nie sądzę, by zadzierała z duchami w taki sposób.

– Więc teraz ty uważasz, że wiadomość była prawdziwa? – W głosie Niny pobrzmiwał sceptycyzm. Potrząsnęłam głową.

– Nie, nie to miałam na myśli. Uważam, że ktoś popychał wózek. Po prostu nie jestem przekonana, że to była ona.

– Więc kto? Tom lub Clare? – Nina rzuciła niedopałek w śnieg. Zgasł z sykiem. – Serio?

– Nie wiem. Po części właśnie to wytrąciło mnie z równowagi. Myślę, że to było...

– zamilkłam, próbując uporać się z dręczącym mnie niepokojem. – Nie chodzi o samą wiadomość, chodzi o złośliwość tego aktu. Niezależnie od tego, kto był za nią odpowiedzialny, człowiek czy nie, to było straszne. Ktoś w tym pokoju chciał nam namieszać w głowach.

– I udało mu się.

Obejrzałyśmy się za siebie. Clare krzątała się po salonie – zbierała kieliszki i podnosiła orzeszki z dywanu. Toma nigdzie nie było widać, pewnie poszedł już na górę. Flo ładowała naczynia do zmywarki z nerwową, brutalną energią. Aż się dziwiłam, że nie potłukła szkła.

Nie chciałam wracać do środka. Przez moment, pomimo śniegu, pomimo mrozu, od którego cała się trzęsłam, naprawdę kusiło mnie, żeby pożyczyć kluczyki od Niny i spać w samochodzie.

– Chodź – powiedziała w końcu. – Nie możemy tu stać całą noc. Wracajmy. Powiemy dobranoc i od razu pójdziemy na górę. A jutro z samego rana wyjeżdżamy. Zgadza się?

– W porządku.

Weszłyśmy do kuchni; zamknęłam za nami drzwi.

– Zamknij je na zamek, proszę – rzuciła do mnie Flo. Podniosła wzrok znad zmywarki. Miała potargane włosy i zapuchniętą twarz, tusz spłynął jej na policzki.

– Flo, zostaw to – powiedziała Nina. – Proszę. Obiecuję, że rano ci pomożemy.

– Nie trzeba – oznajmiła Flo sztywno. – Nie potrzebuję pomocy.

– W porządku! – Nina wyrzuciła ręce w górę. – Skoro tak twierdzisz. Do zobaczenia na śniadaniu. – Odwróciła się, po czym wymamrotała: – Pieprzona męczennica... – i opuściła pomieszczenie.

Nina zasnęła niemal natychmiast. Rozciągnięta na łóżku, chrapała w najlepsze.

Ja też próbowałam zasnąć, ale byłam zbyt rozbudzona. Rozmyślałam o wydarzeniach tego wieczoru – o dziwnej, małej grupce, którą Clare zgromadziła wokół siebie w ten weekend. Tak bardzo chciałam stąd wyjechać, że aż bolało. Chciałam znaleźć się w domu, we własnym łóżku, wśród własnych rzeczy, w błogiej ciszy i spokoju. Odliczałam godziny, słuchając pochrapywania Niny przerywającego ciszę, która otulała dom i las.

Ale ciszę zakłócało coś jeszcze. Właśnie zaczynały mi się kleić oczy, gdy usłyszałam ciche skrzypienie, a potem trzask, niezbyt głośny. Jakby uchylone drzwi uderzały o framugę, popychane wiatrem.

Już prawie spałam, gdy dźwięk rozległ się znowu. Długie, powolne *ikkkkkkk*, a potem *stuk*.

Najdziwniejsze było to, że miałam wrażenie, jakby dźwięk rozlegał się wewnątrz domu.

Usiadłam na łóżku, wstrzymując oddech. Nasłuchiwałam hałasu pomiędzy kolejnymi chrapnięciami Niny.

Ikkkkkkkk... stuk!

Tym razem nie miałam wątpliwości. Dźwięk z pewnością nie dochodził z zewnątrz, zza okna, lecz napływał z dołu, schodami. Wstałam, otuliłam się szlafrokiem i na palcach podeszłam do drzwi.

Gdy je otworzyłam, prawie wrzasnęłam: przypominająca upiora postać stała na korytarzu, wychylając się przez poręcz.

Musiałam wydać jakiś zduszony dźwięk, bo postać obróciła się i przyłożyła palec do ust. To była Flo, ubrana w białą koszulę nocną w różowe kwiatki, wypraną z koloru w świetle księżyca.

– Też to słyszałaś? – wyszeptałam.

Pokiwała głową.

– Tak. Myślałam, że to może brama w ogrodzie, ale nie. Dźwięk dochodzi z wewnątrz.

Za naszymi plecami rozległo się skrzypienie. Obróciłyśmy się i zobaczyłyśmy, że Clare wychodzi z sypialni, trąc zaspane oczy.

– Co jest?

– Cii – wyszeptała Flo. – Coś jest na dole. Słuchaj.

Zamarłyśmy.

Iiiiikkkkk... stuk!

– Może to brama ogrodu na wietrze? – Clare ziewnęła, a Flo gwałtownie pokręciła głową.

– Dźwięk dochodzi z wnętrza domu. Skąd miałby się tu wziąć wiatr? Ktoś musiał zostawić otwarte drzwi.

– Niemożliwe – powiedziała Clare. – Sprawdziłam wszystkie.

Flo wyglądała na poważnie przestraszona.

- Musimy zejść na dół, prawda?
- Obudźmy Toma – zaproponowała Clare. – Jest wysoki i wygląda groźnie. Na palcach weszła do jego pokoju i usłyszałam, jak szepcze:
- Tom. Tom... W domu jest jakiś hałas.

Wszedł blady, z zaczerwienionymi oczami, i wszyscy powoli zakradliśmy się na dół.

Któreś drzwi rzeczywiście były otwarte, można to było stwierdzić, gdy tylko zeszedliśmy na parter. W hallu panował ziąb, a chłodem ciągnęło od kuchni. Flo pobladła jak ściana.

- Idę po strzelbę – mruknęła tak cicho, że ledwie można ją było usłyszeć.
- Zapewniałaś, że jest naładowana ślepakami – wyszeptała Clare.
- Bo jest – odparła Flo z rozdrażnieniem. – Ale *on* nie będzie o tym wiedział, prawda? – Wskazała głową drzwi do salonu. – Ty pierwszy, Tom.

– Ja? – zapytał Tom przerażonym szeptem, ale w końcu przewrócił oczami i po cichutku zajrzał do środka. Przywołał nas gestem. Z ulgą poszliśmy za nim.

Salon był pusty, księżycowy blask zalewał blady dywan. Flo zdjęła strzelbę znad kominka. Twarz wciąż miała bladą, lecz zdeterminowaną.

- Jesteś pewna, że są w niej ślepaki? – zapytała znowu Clare.
- Absolutnie pewna. Ale jeśli ktoś się włamał, napędzą mu niezłego stracha.
- Jeśli ty trzymasz broń, nie będę szedł przed tobą – wysyczał Tom. – Niezależnie od tego, czy jest naładowana ślepakami czy nie.
- W porządku.

Cokolwiek by mówić o Flo, nie można jej było zarzucić braku odwagi. Na moment przystanęła w hallu. Widziałam, że ręce jej się trzęsą. Potem wzięła głęboki, drżący oddech i otworzyła drzwi do kuchni tak gwałtownie, że uderzyły z hukiem o pokrytą płytkami ścianę.

Clare w mgnieniu oka znalazła się przy kuchennych drzwiach, cicho przemykając po lodowatych płytkach nagimi stopami.

– Są ślady, patrzcie. – Wskazała na trawnik: duże, bezkształtne odciski, zrobione jakby przez gumiaki czy śniegowce.

– Kurwa! – Twarz Toma pobladła jeszcze bardziej. – Jak to się stało? – zwrócił się do mnie. – Ty ostatnia wychodziłaś na zewnątrz. Nie zamknęłaś tych drzwi?

– Ja... jestem pewna, że zamknęłam – próbowałam sobie przypomnieć. Flo rzucająca w gniewie naczyniami, Nina oferująca jej pomoc. Wyraźnie pamiętałam swoją dłoń na kluczyku. – Zamknęłam. Jestem pewna, że je zamknęłam.

– Cóż, najwyraźniej nie zrobiłaś tego we właściwy sposób! – zaatakowała mnie Flo. W mroku rozświetlanym tylko przez księżyc wyglądała jak posąg, rysy twarzy miała twarde i nieustępliwe niczym marmur.

– Zrobiłam – poczułam budzący się gniew. – Zresztą przecież chyba mówiłaś, że Clare je sprawdziła?

– Tylko szarpnęłam każdymi drzwiami – wyjaśniła Clare. Oczy miała szeroko otwarte i podkrążone sinymi półkolami. – Nie sprawdziłam każdego zamka. Jeśli się nie otwierały, zakładałam, że są zamknięte.

– Zamknęłam je – powtórzyłam uparcie. Flo niemal warknęła z wściekłością, po czym wetknęła strzelbę pod ramię i pomaszerowała na górę.

– Zamknęłam je – powtórzyłam, przenosząc wzrok z Clare na Toma. – Nie wierzycie mi?

– Słuchaj – powiedziała Clare – to niczyja wina. – Podeszła do drzwi i zatrzęsnęła je, po czym przekręciła kluczyk. – Teraz w każdym razie są porządnie zamknięte. Wracajmy do łóżek.

Weszliśmy na górę, czując opadającą adrenalinę. Nina stała u szczytu schodów, z konsternacją trąc oczy.

– Co się stało? – zapytała, gdy się z nią zrównałam. – Dlaczego właśnie widziałam Flo z tą pieprzoną strzelbą?

– Najedliśmy się strachu – wyjaśnił krótko Tom, który szedł tuż za mną. – Ktoś – zerknął na mnie – zostawił otwarte drzwi do kuchni.

– To nie byłam ja – zaprotestowałam znowu.

– Cóż, nieważne. Były otwarte. Usłyszeliśmy hałas. Na zewnątrz były ślady stóp.

– Jasna cholera! – Nina natychmiast oprzytomniała. Przesunęła dłonią po twarzy, ścierając z powiek resztki snu. – Czy już sobie poszli? Czy coś zginęło?

– Nie zauważyłem, żeby czegoś brakowało. – Tom popatrzył na mnie i Clare. – Przychodzi wam coś do głowy? Telewizor był na miejscu. I wszystkie inne oczywiste rzeczy tego typu. Czy ktoś zostawił portfel gdzieś w salonie? Mój leży u mnie w pokoju.

– Mój też. – Clare odwróciła się i zerknęła przez okno na podjazd. – Wszystkie samochody też są na miejscu.

– Ja swoją torebkę mam w pokoju, tak mi się wydaje. – Zajrzałam do środka, żeby się upewnić. – Tak. Wciąż tam jest.

– Cóż... wygląda na to, że nie chodziło o włamanie – powiedział Tom z niepokojem. – Gdyby nie te ślady, można by pomyśleć, że po prostu zamek nie zadziałał. – Ale ślady tam były. Bez wątplenia były. – Myślicie, że powinniśmy wezwać policję? – zapytał.

– Nie mamy jak, prawda? – zauważyła Nina kwaśno. – Linia naziemna nie działa i brakuje cholernego zasięgu.

– Miałaś wczoraj ze dwie kreski – przypomniałam jej, ale potrząsnęła głową.

– To musiał być jakiś wyjątek. Od tamtej pory nic nie udało mi się złapać. Cóż, spójrzmy na to optymistycznie. Nie czuć smrodu benzyny, więc to raczej nie byli opętani sąsiedzi z kanistrami, gotowi rozpaść kolejne ognisko.

Zapadła cisza. Nikt się nie zaśmiał.

– Powinniśmy wrócić do łóżek i spróbować trochę się przespać – stwierdziła w końcu Clare. Wszyscy pokiwaliśmy głowami.

– Chcesz zaciągnąć do nas swój materac? – Nina nieoczekiwanie zwróciła się do Toma. – Ja na twoim miejscu nie chciałabym spać sama.

– Dzięki – odparł. – To... to bardzo miłe z twojej strony, ale nic mi nie będzie. Zamknę się od środka, na wypadek gdyby ktoś czyhał na moją cnotę. Nie żeby wiele mi jej zostało.

*

– To było miłe – zauważyłam, gdy już pożegnałyśmy się z Tomem i Clare i wróciłyśmy do własnych łóżek. – Mam na myśli to, co zaproponowałaś Tomowi.

– Miłe, śmiłe. Żał mi się go zrobiło i tyle. Poza tym wygląda, jakby miał niezły prawy sierpowy, na wypadek gdyby ktoś faktycznie się włamał – westchnęła Nina, po czym przekręciła się na bok. – Chcesz, żebym zostawiła zapaloną lampkę?

– Nie, nie trzeba. Najważniejsze, że tamte drzwi są już zamknięte.

– W porządku. – Zgasiła światło. Po chwili w ciemności zobaczyłam blask bijący z ekranu jej komórki. – Minęła już druga, cholera jasna. I wciąż ani jednej kreski zasięgu. A jak tam u ciebie? Masz coś?

Sięgnęłam po swój telefon.

Ale nie było go.

– Czekaj, muszę zapalić lampkę. Nie mogę znaleźć komórki.

Zajrzałam pod łóżko, pod stolik nocny, do torebki. Telefonu nigdzie nie było. Tylko odłączona ładowarka leżała na podłodze. Próbowałam sobie przypomnieć, gdzie go ostatnio widziałam. Może w samochodzie? Pamiętałam, że używałam go w trakcie lunchu. Ale nie byłam pewna, czy widziałam go potem. Porzuciłam tutaj nawyk sprawdzania go co chwilę – przy braku zasięgu nie miało to sensu. Wydawało mi się, że zaniiosłam go na górę, żeby go naładować przed kolacją, ale może to było w piątek. Pewnie wypadł mi z kieszeni w samochodzie.

– Nie ma go tutaj – powiedziałam. – Chyba musiałam go zostawić w aucie.

– Nieważne – ziewnęła Nina. – Tylko pamiętaj, żeby go znaleźć, zanim jutro wyjedziemy, dobra?

– W porządku. Dobranoc.

– Dobranoc.

Usłyszałam szelest kołdry, gdy się nią opatulą. Zamknęłam oczy. Próbowałam zasnąć.

*

Co wydarzyło się potem...?

O Boże. Co się wydarzyło potem? Nie jestem pewna, czy potrafię...

Wciąż siedzę tam, próbując uporządkować płatanię wspomnień, gdy drzwi otwierają się na oścież i wraca pielęgniarka, pchając przed sobą stolik na kółkach.

– Lekarz chce zerknąć na wyniki twojej tomografii, ale mówi, że najprawdopodobniej będziesz mogła wziąć potem kąpiel. A ja mam dla ciebie śniadanie.

– Proszę posłuchać... – Próbuję usiąść, walcząc z osuwającymi się poduszkami. – Proszę posłuchać, za drzwiami jest policja... Czy oni przyszli po mnie?

Pielęgniarka wygląda na zakłopotaną i spuszcza wzrok na kwadratową szklanę, podczas gdy ustawia na tacy mały kartonik płatków Rice Krispies, dzbanuszek z mlekiem i jedną klementynkę.

– Prowadzą śledztwo w sprawie wypadku – mówi w końcu. – Jestem pewna, że będą chcieli z tobą porozmawiać, ale najpierw lekarz musi wydać na to zgodę. Powiedziałam im, że nie mogą po prostu wparować na szpitalny oddział o takiej godzinie.

Będą musieli poczekać.

– Słyszałam... – Przelykam z trudem. Czuję ból w gard-le, jakby narastał w nim szloch albo krzyk. – Słyszałam, że mówili coś o ś-śmierci...

– Och! – Wygląda na poirytowaną. Zasuwa szufladę szafki z niepotrzebną siłą. – Nie powinni cię denerwować w twoim stanie.

– Ale to prawda? Ktoś zmarł?

– Nie mogę o tym mówić. Nie mogę rozmawiać o innych pacjentach.

– Ale czy to prawda?

– Będę cię musiała poprosić, żebyś się opanowała – mówi, wyciągając dłonie w uspokajającym geście, który sprawia, że mam ochotę krzyczeć. – Nie powinnaś się denerwować przy takich obrażeniach głowy.

– Denerwować? Ktoś z moich przyjaciół prawdopodobnie nie żyje, a pani mi mówi, że nie powinnam się denerwować? Kto? Na litość boską, kto? I dlaczego nic nie pamiętam? Dlaczego nie pamiętam, co wydarzyło się przed wypadkiem?

– To dość typowe zjawisko po urazie głowy – odpowiada kojącym głosem, jakby przemawiała do małego dziecka albo kogoś, kto ma problemy ze zrozumieniem. – Wiąże się to ze sposobem, w jaki mózg przenosi informacje z pamięci krótkotrwałej do długotrwałej. Jeśli coś zaburzy ten proces, można stracić fragmenty wspomnień.

Boże, muszę sobie przypomnieć. Muszę sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Ktoś nie żyje, a na zewnątrz czeka policja. Wkrótce przyjdą i zaczną mnie wypytywać. Skąd będę wiedzieć, co ujawniam, jeśli nie mam pojęcia, co się stało?

Widzę samą siebie biegnącą przez las, z krwią na rękach, twarzy i na ubraniach...

– Proszę... – mówię głosem bliskim załamania, niemal błagalnym. Nienawidzę siebie za to, że jestem taka słaba i zdesperowana. – Proszę mi powiedzieć, proszę mi pomóc. Co się stało? Co się stało z moimi przyjaciółmi? Dlaczego byłam cała brudna od krwi? Przecież mój uraz głowy nie był tak poważny. Skąd się wzięła ta krew?

– Nie wiem – odpowiada cicho i tym razem w jej głosie pobrzmiwa autentyczne współczucie. – Nie wiem, moja droga. Pozwól, że sprowadzę lekarza, może on będzie w stanie powiedzieć ci coś więcej. Tymczasem chcę, żebyś coś zjadła. Musisz nabrać sił. Lekarz będzie chciał zobaczyć, że masz apetyt.

Pielęgniarka wychodzi, pchając przed sobą stolik. Drzwi zamykają się za nią, a ja zostaję sama z plastikową miską pełną ryżowych płatków, które trzeszczą i pstrykają, w miarę jak nasiakają mlekiem, zmieniając się w słodkawą papkę.

Powinnam wstać. Powinnam zmusić moje słabe, miękkie jak z waty członki do działania. Powinnam wstać z łóżka, wyjść na korytarz i zażądać odpowiedzi od policjantów czekających na zewnątrz. Ale nie robię tego. Po prostu siedzę, a łzy spływają mi po twarzy i kapią z podbródka do miski z płatkami. Ciężki zapach przejrzałej klementynki o czymś mi przypomina, ale nie wiem o czym.

Proszę, myślę sobie, proszę. Weź się w garść, głupia suko. Wstań. Dowiedz się, co się stało. Dowiedz się, kto zginął.

Ale nie ruszam się z miejsca. I to nie tylko dlatego, że boli mnie głowa, a mięśnie nóg przypominają zwiotczałą nawilżaną chusteczkę.

Nie ruszam się, bo się boję. Bo nie chcę usłyszeć nazwiska, które wymieni policja.

Bo się boję, że przyszedł tu po mnie.

Ludzka pamięć jest zawodna. Mózg dopowiada sobie historie. Uzupełnia luki fantazjami, po czym zaszczepia te fantazje we wspomnieniach.

Ja muszę się skupić na faktach.

Ale nie mam pojęcia, czy pamiętam to, co rzeczywiście się wydarzyło, czy to, co chciałabym, żeby się wydarzyło. Jestem pisarką. Kłamię zawodowo. Czasami trudno przestać to robić, wiecie? Widzisz lukę w narracji i od razu chcesz ją wypełnić jakąś przyczyną, motywem, prawdopodobnie brzmiącym wyjaśnieniem.

Im bardziej zmuszam swój umysł do działania, tym większe mam trudności z oddzieleniem faktów od fikcji.

Wiem, że coś wyrwało mnie ze snu. Nie mam pojęcia, która była godzina, ale wciąż panowały ciemności. Zobaczyłam, że Nina siedzi na łóżku z szeroko otwartymi oczami.

– Słyszałaś to? – wyszeptała.

Pokiwałam głową. Kroki w korytarzu. Drzwi otwierające się bardzo cicho.

Serce tłukło mi się w gardle, gdy odrzuciłam kołdrę i złapałam szlafrok. Przypomniałam sobie szeroko otwarte kuchenne drzwi i ślady na śniegu.

Trzeba było przeszukać resztę domu.

Przez chwilę stałam pod drzwiami, nasłuchując, po czym uchyliłam je ostrożnie. Clare i Flo stały na zewnątrz, pobladłe ze strachu, z szeroko otwartymi oczami. Flo ścisnęła w dłoni strzelbę.

– Słyszałyście coś? – wyszeptałam, najciszej jak mogłam. Clare kiwnęła głową i wskazała palcem na schody. Nastawiłam uszu, jednocześnie próbując uspokoić roztrzęsiony oddech i walące serce. Rozległo się skrzypienie, a potem wyraźny, głuchy odgłos cicho zamykanych drzwi. Ktoś był na dole.

– Tom? – zapytałam bezgłośnie, ale w tej samej chwili wyjrzał ze swojej sypialni.

– Czy wy... ten dźwięk? – wyszeptał.

Clare ponuro pokiwała głową.

Tym razem to nie był wiatr. Wszyscy wyraźnie słyszeliśmy czyjeś kroki na wyłożonej płytkami kuchennej podłodze, a potem na parkiecie w hallu. Po chwili dotarło do nas skrzypienie buta na pierwszym stopniu schodów.

Zbiliśmy się w ciasną gromadkę. Poczułam, że czyjaś dłoń szuka mojej. Flo stała pośrodku, z uniesioną strzelbą. Lufa trzęsła się gwałtownie. Wyciągnęłam rękę i przytrzymałam ją w miejscu.

Nabraliśmy powietrza w płuca, wsłuchując się w skrzypienie kroków, a gdy intruz wychynął zza słupa w połowie kręconych schodów, zobaczyliśmy jego sylwetkę na tle wielkiego okna wyglądającego na las.

To był mężczyzna. Wysoki mężczyzna. Miał na sobie bluzę z kapturem i nie mogłam dostrzec jego twarzy. Szedł, spoglądając na ekran swojej komórki, który świecił w ciemnościach upiorną bielą.

– Odpieprz się i zostaw nas w spokoju! – krzyknęła Flo i wypaliła ze strzelby.

Rozległ się ogłuszający, katastrofalny huk i dźwięk tłuczonego szkła, a broń kopnęła jak koń.

Pamiętam, że zatoczyliśmy się do tyłu.

Pamiętam, że podniosłam wzrok i zobaczyłam, chociaż wydawało mi się to niezrozumiałe, że ogromne okno w hallu jest strzaskane. Odłamki szkła z brzękiem sypały się na schody.

Pamiętam, że mężczyzna skradający się na górę wydał jeden, zduszony okrzyk – wyrażający raczej szok niż ból – po czym osunął się na ziemię i sturlał po schodach na dół, niczym statysta w filmie.

Nie wiem, kto zapalił światło, ale zalało hall oślepiającym blaskiem. Skrzywiłam się i zasłoniłam oczy. A gdy uniosłam powieki, zobaczyłam... zobaczyłam schody z mlecznego szkła obryzgane krwią, strzaskane okno i długą smugę krwi ciągnącą się aż do miejsca, w którym zatrzymało się ciało mężczyzny.

– O mój Boże... – zaczęła zawodzić Flo. – Strzelba... strzelba była nabita!

Gdy wraca pielęgniarka, płaczę.

– Co się wydarzyło? – pytam w końcu. – Ktoś nie żyje... proszę mi powiedzieć, proszę mi powiedzieć, kto nie żyje!

– Nie mogę, skarbie. – Wygląda, jakby naprawdę było jej przykro. – Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Za to przyprowadziłam tu doktora Millera, żeby na ciebie spojrzeć.

– Dzień dobry, Leonoro. – Do mojego łóżka podchodzi lekarz. W jego łagodnym głosie pobrzmiewa litość. Mam ochotę mu przywalić, powiedzieć, żeby wsadził sobie gdzieś to swoje pieprzone współczucie. – Widzę, że jest dziś pani trochę roztrzęsiona.

– Ktoś nie żyje – mówię bardzo wyraźnie, próbując uspokoić oddech i powstrzymać szloch wyrrywający się z piersi. – Ktoś nie żyje i nikt nie chce mi powiedzieć kto. A na zewnątrz czekają policjanci. Dlaczego?

– Nie przejmujemy się tym w tej chwili...

– Ale ja się przejmuję! – krzyczę. Głowy osób siedzących w korytarzu odwracają się w stronę drzwi. Lekarz uspokajającym gestem poklepuje mnie po przykrytej kocem nodze, a ja z trudem tłumię wzdrygnięcie. Jestem posiniaczona. Jestem ranna. Mam na sobie szpitalną koszulę otwartą z tyłu i straciłam godność razem ze wszystkim innym. Nie dotykaj mnie, do kurwy nędzy, ty protekcyjny dupku. Chcę wrócić do domu!

– Proszę posłuchać – mówi on. – Rozumiem, że jest pani zdenerwowana. Miejmy nadzieję, że policja odpowie przynajmniej na część pani pytań, jednak najpierw chciałbym panią zbadać i upewnić się, że jest pani w stanie z nimi rozmawiać. A będę mógł to zrobić, tylko jeśli się pani uspokoi. Czy mnie pani rozumie, Leonoro?

Kiwam głową w milczeniu, a potem odwracam twarz do ściany, podczas gdy on ogląda opatrunek na mojej głowie, sprawdza puls i mierzy ciśnienie krwi, zerkając jednocześnie na monitor. Zamykam oczy, starając się nie myśleć o upokorzeniu, jakie odczuwam. Odpowiadam na jego pytania.

Nazywam się Leonora Shaw.

Mam dwadzieścia sześć lat.

Dziś mamy... W tej kwestii potrzebuję pomocy, ale raczej dlatego, że straciłam poczucie czasu, niż ze względu na problemy z pamięcią. Pielęgniarka podpowiada mi, że jest niedziela. Nie spędziłam tu jeszcze nawet dwunastu godzin. W takim razie jest 16 listopada.

Nie, nie mam mdłości. Widzę doskonale, dziękuję.

Tak, mam trudności z przywołaniem niektórych wspomnień. Pewnych rzeczy nie powinno się musieć pamiętać.

– Cóż, wygląda na to, że radzi sobie pani wyjątkowo dobrze – stwierdza w końcu doktor Miller. Wiesza stetoskop na szyi i chowa małą latarkę do kieszonki kitla. – Potwierdzają to obserwacje przeprowadzone w nocy, a wyniki tomografii są bardzo uspokajające. Odrobinę niepokoją mnie pani kłopoty z pamięcią. To dość typowe, by stracić kilka minut tuż przed kolizją, ale wygląda na to, że pani ma problemy z przypomnieniem sobie większej części wieczoru, zgadza się?

Z ociąganiem kiwam głową, myśląc o urywkach obrazów, które przez całą noc kotłowały mi się w głowie: drzewa, krew, rozkołysane światła reflektorów.

– Cóż, możliwe, że wspomnienia powoli zaczną wracać. Nie wszystkie problemy z pamięcią – zwróciłam uwagę, że unika słowa „amnezja” – bywają wynikiem urazu fizycznego. Niektóre są raczej... związane ze stresem.

Podnoszę wzrok i patrzę mu prosto w oczy.

– Co ma pan na myśli?

– To wprawdzie nie moja specjalizacja, zajmuję się fizycznymi urazami głowy... Ale czasami... czasami mózg tłumi wydarzenia, z którymi nie jesteśmy gotowi sobie poradzić. Przypuszczam, że to... swego rodzaju mechanizm obronny.

– Jakiego rodzaju wydarzenia? – pytam twardym głosem.

Ale lekarz tylko się uśmiecha i znów kładzie mi dłoń na nodze.

– Przeszła pani bardzo wiele, Leonoro. Czy jest ktoś, do kogo powinniśmy zadzwonić? Ktoś, kogo chciałaby pani mieć przy sobie? Z tego, co wiem, pani matka została powiadomiona, ale przebywa w Australii, tak?

– Zgadza się.

– Jacyś inni krewni? Chłopak? Partner?

– Nie. Proszę... – Z trudem przelitykam ślinę. Wiem, że nie ma sensu dłużej tego odkładać. Udręka płynąca z niewiedzy staje się nie do wytrzymania. – Chciałabym się zobaczyć z policją.

– Hm... – Lekarz przegląda kartę. – Nie sądzę, by była pani na to gotowa, Leonoro. Zresztą już im powiedzieliśmy, że nie jest pani w stanie odpowiadać na pytania.

– Chciałabym się zobaczyć z policją.

Tylko oni udzielą mi odpowiedzi. Muszę się z nimi zobaczyć. Wpatruję się w niego, podczas gdy on udaje, że wciąż studiuje moją kartę i zastanawia się, jaką podjąć decyzję.

W końcu wzdycha z frustracją i wrzuca kartę z powrotem do pojemnika w nogach łóżka.

– Dobrze. Siostrzo, mogą tu zostać najwyżej pół godziny i nie życzę sobie, żeby stresowali pacjentkę. Jeśli pani Shaw zacznie uważać przesłuchanie za zbyt trudne...

– Zrozumiałam – mówi pielęgniarka dziarsko.

Doktor Miller wyciąga do mnie dłoń na pożegnanie, a ja ściskam ją, próbując nie patrzeć na zadrapania i krew na moim ramieniu.

Gdy dociera do drzwi, wołam:

– Och... proszę poczekać, przepraszam... Czy mogłabym najpierw wziąć prysznic? – Chcę się zobaczyć z policją, ale nie w takim stanie.

– Kąpiel – mówi doktor Miller, kiwając krótko głową. – Ma pani opatrunek na czole, wolałbym, żeby go pani nie naruszyła. Jeśli będzie pani trzymać głowę nad wodą, owszem, może się pani umyć.

Odłączanie wszystkich przewodów, czujników i igieł zajmuje dużo czasu. Obecność grubej pieluchy, którą wyczuwam, gdy opuszczam nogi na podłogę, sprawia, że ze wstydu zalewają mnie na przemian fale zimna i gorąca. Czy zmoczyłam się w nocy? Nie czuję zapachu moczu, ale nie mam pewności.

Gdy wstaję, pielęgniarka podaje mi ramię, i chociaż mam ochotę je odepchnąć, szybko zaczynam być żałośnie wdzięczna za jej pomoc. Opieram się na niej mocniej, niż chciałabym przyznać, gdy z trudem kuśtykam do łazienki.

Światła zapalają się automatycznie, gdy przekraczamy próg. Pielęgniarka napełnia wannę wodą, po czym pomaga mi rozwiązać troczki koszuli.

– Resztę mogę zrobić sama – mówię, wzdrygając się na myśl o rozbieraniu się przed nią, ale ona kręci głową.

– Nie mogę ci pozwolić wejść do wanny bez pomocy, przepraszam. Jeśli się poślizgniesz... – nie kończy, ale wiem, co chce powiedzieć: kolejny uraz nie pomógłby mi.

Kiwam głową, dając jej znać, że rozumiem. Potem ściągam obrzydliwą pieluchę (pielęgniarka zabiera ją, zanim zdążę zauważyć, czy jest zabrudzona), a następnie pozwalam, by koszula opadła na podłogę. Drzę na myśl o swojej nagości, mimo że w pomieszczeniu jest gorąco.

Z zażenowaniem zdaję sobie sprawę, że cuchnę. Cuchnę strachem, potem i krwią.

Pielęgniarka podtrzymuje mnie, gdy na chwiejnych nogach wchodzę do wanny i łapię się poręczy, żeby opuścić się do wody.

– Za gorąca? – pyta szybko, gdy wyrywa mi się cichy okrzyk. Potrząsam głową. Nie jest za gorąca. Nic nie mogłoby być teraz za gorące. Gdyby to było możliwe, wyparzyłabym się we wrzątku.

W końcu kładę się w wannie, drżąc z wysiłku.

– Czy mogę... chciałabym zostać sama, p-proszę – mówię z zażenowaniem. Pielęgniarka nabiera powietrza w płuca i widzę, że ma zamiar odmówić. Puszczają mi nerwy. Nie potrafię już dłużej znieść tego nadzoru, uprzejmości i nieustannej obserwacji.

– Proszę – mówię ostrzej, niż zamierzałam. – Na litość boską, przecież nie utopię się w piętnastu centymetrach wody.

– W porządku – wzdycha kobieta, chociaż w jej głosie wciąż słyszę opór. – Ale nawet nie myśl o tym, żeby próbować wyjść z wanny samodzielnie. Masz pociągnąć za sznurek, a ja przyjdę i ci pomogę.

– Dobrze. – Nie chcę się przyznawać do porażki, ale wiem, że to nie byłoby

bezpieczne.

Pielęgniarka opuszcza łazienkę, pozostawiając drzwi lekko uchylone, a ja zamykam oczy i zanurzam się w parującej wodzie, odcinając się od jej czujnej obecności, od szpitalnych zapachów, dźwięków i brzęczenia świetlówek.

Przesuwam dłońmi po wszystkich skaleczeniach, zadrapaniach i siniakach, czując, jak małe zakrzepy i strupy mięknią i rozpuszczają się pod moimi palcami, i próbuję sobie przypomnieć, co sprawiło, że zaczęłam biec przez ten las, z krwią na rękach. Próbuję sobie przypomnieć. Ale nie jestem pewna, czy potrafię znieść prawdę.

Po tym, jak pielęgniarka pomaga mi wyjść z wanny, ostrożnie osuszam się ręcznikiem, patrząc na moje znajome ciało pokryte nieznanymi śladami skaleczeń i szwów. Widzę szramy na goleniach. Głębokie, poszarpane zadraśnięcia, jakbym biegła przez jeżyny albo zasieki z drutu kolczastego. Stopy i ręce mam pokaleczone odłamkami szkła.

W końcu podchodzę do zaparowanego lustra i przecieram je dłonią. Widzę siebie po raz pierwszy od wypadku.

Ludzie nigdy nie oglądali się za mną na ulicy – nie byłam piękną taką jak Clare, której urodę trudno ignorować, ani taką jak Nina, z jej spektakularnym amazońskim wyglądem. Ale też nigdy nie byłam dziwolągiem. Teraz przeglądam się w lustrze, po którym spływają smużki skraplającej się pary, i zdaję sobie sprawę, że gdybym spotkała siebie na ulicy w takim stanie, obejrzałabym się za sobą z litości lub przerażenia.

Opatrunek na linii włosów nie pomaga – wygląda to tak, jakby mój mózg ledwo trzymał się na miejscu – podobnie jak pomniejsze skaleczenia i zadrapania na policzkach i czole. Ale to nie one są najgorsze. Najgorsze są moje oczy – dwa ciemne, zabarwione na brązowo lima, przechodzące w żółć w okolicach kości policzkowych.

Prawe oko jest spektakularnie podbite, lewe nieco mniej. Wyglądam, jakbym została pobita. Ale przynajmniej żyję. A ktoś inny nie...

To właśnie ta myśl zmusza mnie do naciągnięcia szpitalnej koszuli, zawiązania troczków i stawienia czoła światu.

– Podziwiasz swoje lima? – śmieje się pielęgniarka pocieszająco. – Nie martw się, zrobili wszystkie możliwe prześwietlenia, nie masz złamań podstawy czaszki. Po prostu oberwałaś w twarz raz czy dwa.

– Podstawy czaszki...?

– Takie uszkodzenia potrafią być paskudne. Ale w twoim przypadku zostały wykluczone, więc nie masz się czego obawiać. Podbite oczy to częste następstwo wypadku samochodowego. Za kilka dni nie będzie śladu.

– Jestem gotowa – mówię i doprecyzowuję: – Na rozmowę z policją.

– Jesteś pewna, że czujesz się na siłach, skarbie? Nie musisz tego robić.

– Czuję się na siłach.

Wracam do łóżka i sadowię się z filiżanką cieczy, która ponoć jest kawą, choć kubki smakowe – o ile nie uległy uszkodzeniu wskutek wypadku – podpowiadają mi, że do kawy jej daleko, gdy rozlega się pukanie.

Gwałtownie podnoszę wzrok, serce wali mi jak oszałałe. Przez zbrojoną szybę w drzwiach uśmiecha się policjantka. Ma ze czterdzieści lat i jest uderzająco piękna; takie

rzeźbione rysy można zobaczyć na wybiegu dla modelek. Wydaje mi się to niestosowne, chociaż sama nie wiem czemu. Niby dlaczego policjantka nie mogłaby mieć twarzy żony Davida Bowiego?

– P-proszę wejść – wołam.

Nie jękać się, kurwa.

– Dzień dobry. – Kobieta wchodzi do pokoju, wciąż się uśmiechając. Ma usta pomalowane śliwkową szminką i smukłe ciało biegacza długodystansowego. – Jestem detektyw Lamarr – przedstawia się ciepłym głosem. – Jak się pani dziś czuje?

– Lepiej, dziękuję. – Lepiej? Lepiej niż kiedy? Jestem w szpitalu, w koszuli, która odslania mi tyłek, i mam podbite oczy. Gorzej już chyba być nie może.

Po chwili poprawiam się w myślach: zostałam odłączona od urządzeń i zabrali mi pieluchę. Najwyraźniej uważają, że będę w stanie sama siusiać. Jest ze mną lepiej.

– Rozmawiałam z pani lekarzami i powiedzieli mi, że być może będzie pani w stanie odpowiedzieć na kilka pytań. Ale jeśli za bardzo się pani zmęczy, w każdej chwili możemy przerwać. W porządku? – Kiwam głową, a ona zaczyna: – Wczorajsza noc... Czy może mi pani powiedzieć, co pani pamięta?

– Nic. Nic nie pamiętam – mówię ostrzej i bardziej lakonicznie, niż zamierzałam. Ku swemu przerażeniu czuję gułę narastającą w gardle. Z trudem przełykam. Nie będę płakać! Jestem dorosłą kobietą, do kurwy nędzy, nie jakimś dzieciakiem, który skaleczył się w kolano na placu zabaw i ryczy, że chce do taty.

– To z pewnością nieprawda – mówi ona, ale w jej tonie nie słyszę oskarżenia. Przemawia łagodnie, jak nauczycielka czy starsza siostra. – Doktor Miller powiedział mi, że całkiem dobrze pamięta pani zdarzenia prowadzące do wypadku. Może zacznie pani od początku?

– Od początku? Chyba nie chce pani słuchać o moich traumach z dzieciństwa i tego typu sprawach, co?

– Kto wie? Może chcę. – Wbrew szpitalnym przepisom kobieta siada w nogach łóżka. – Jeśli mają związek z tym, co się wydarzyło. Wie pani co, może zaczniemy od jakiegoś łatwego pytania, tak na rozgrzewkę? Jak się pani nazywa?

Zmuszam się do śmiechu, ale to nie jej żart mnie śmieszy. Jak naprawdę się nazywam? Myślałam, że wiem, kim jestem, kim się stałam. Teraz, po tym weekendzie, nie jestem już tego taka pewna.

– Leonora Shaw – odpowiadam. – Ale używam imienia Nora.

– Dobrze, Nora. A zatem ile masz lat?

Wiem, że ona musi już znać te fakty. Może przeprowadza jakiś test, żeby sprawdzić, w jakim stanie naprawdę jest moja pamięć.

– Dwadzieścia sześć.

– A teraz powiedz mi, jak tu trafiłaś?

– Gdzie? Do szpitala?

– Do szpitala, do hrabstwa Northumberland, tak ogólnie.

– Nie ma pani północnego akcentu – zauważam, zupełnie bez związku.

– Urodziłam się w Surrey. – Posyła mi zmieszany uśmiech, dając do zrozumienia, że to wykracza poza procedurę. Że to ona powinna zadawać pytania, a nie ja. Ale jej

szczerłość jest oznaką dobrej woli. Dowodem wymiany: kawałek jej życia za kawałek mojego. – A więc – wraca do tematu – jak się tu znalazłaś?

– Byłam... – Przykładałam dłoń do czoła. Chcę je potrzebować, ale przeszkadza mi opatrunek, a boję się go naruszyć. Skóra pod spodem jest gorąca i swędzi. – Przyjechałam tu na weekend panieński, a ona tu studiowała. To znaczy Clare, panna młoda. Przepraszam, czy mogę o coś zapytać? Czy ja jestem podejrzana?

– Podejrzana? – Jej piękny, głęboki głos sprawia, że nawet ten zimny, ostry rzeczownik brzmi jak muzyka. Potrząsa głową. – Nie na tym etapie dochodzenia. Wciąż zbieramy informacje, ale niczego nie wykluczamy. – Czyli nie jestem podejrzana – jeszcze. – Teraz powiedz mi, proszę, co pamiętasz z zeszłej nocy? – wraca do tematu niczym rasowy, dobrze wychowany kot krążący wokół mysiej dziury.

Strup pod opatrunkiem mrowi i świerzbi. Nie mogę się skupić. Nagle kątem oka dostrzegam niezjedzoną klementynkę leżącą na szafce. Muszę odwrócić od niej wzrok.

– Pamiętam... – Mrugam i ku mojemu przerażeniu oczy wypełniają mi się łzami. – Pamiętam... – Przetykam gwałtownie i wbijam paznokcie w pokaleczone, zakrwawione wnętrza dłoni, licząc na to, że ból odpędzi wspomnienie jego, leżącego na parkiecie miodowej barwy, krwawiącego w moich ramionach. – Proszę, proszę mi powiedzieć... kto... – urywam. Nie potrafię zadać tego pytania. Nie potrafię. – Czy...? – próbuję znowu, ale słowa więzną mi w gardle. Zaciskam powieki, liczę do dziesięciu, wbijam paznokcie w skaleczenia, aż całe moje ramię trzęsie się z bólu.

Słyszę, jak detektyw Lamarr głośno wypuszcza powietrze z płuc. Gdy otwieram oczy, widzę, że patrzy na mnie, po raz pierwszy zaniepokojona.

– Chcielibyśmy usłyszeć twoją wersję wydarzeń, zanim zaciemnimy obraz, ujawniając szczegóły – wyjaśnia w końcu, ale na jej twarzy maluje się troska i wiem, rozumiem, czego nie wolno jej powiedzieć.

– W porządku. – Coś się we mnie rozpada, łamie. – Nie musi mi pani mówić. O Boże...

A potem milknę. Łzy płyną i płyną, i płyną. To to, czego się obawiałam, to to, co przeczuwałam.

– Nora... – słyszę głos Lamarr i potrząsam głową. Mocno zaciskam powieki, ale czuję, jak łzy spływają mi po nosie i drażnią skaleczenia na twarzy. Kobieta mruczy współczująco, po czym wstaje. – Dam ci chwilę – mówi.

Słyszę, jak drzwi otwierają się, a potem zamykają za nią.

Jestem sama.

I płaczę. Będę płakać tak długo, aż zabraknie mi łez.

Zbiegłam po schodach najszybciej, jak mogłam, próbując nie pokaleczyć stóp o odłamki szkła. Przytrzymałam się poręczy, żeby nie poślizgnąć się w kałuży krwi.

Leżał tam, zwinięty w małą, żalospną kulkę u dołu schodów.

Żył. Słyszałam jego ciche kwilenie, gdy próbował oddychać.

– Nina! – wrzasnęłam. – Nina, chodź tutaj! On żyje! Niech ktoś zadzwoni po pogotowie!

– Nie ma pieprzonego zasięgu! – wrzasnęła Nina, gramoląc się po schodach.

– Leo... – wyszeptał mężczyzna, a mnie zamarło serce.

A potem uniósł twarz i już wiedziałam.

Wiedziałam, wiedziałam.

Pamiętam ten moment tak wyraźnie.

– James? – To Nina odezwała się pierwsza, nie ja. Bardziej zsunęła się, niż zeszła z ostatnich kilku schodków, lądując na podłodze obok nas. Głos jej się łamał, gdy delikatnie szukała jego pulsu. – James? Co ty tu, kurwa, robisz? O mój Boże! – Prawie płakała, ale jej ręce działały automatycznie, sprawdzając, skąd płynie krew, badając tętno. – James, mów do mnie – zawołała. – Nora, zmusz go do mówienia. Pilnuj, żeby nie stracił przytomności!

– James... – Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie rozmawialiśmy przez dziesięć lat, a teraz... – James, Boże, James... Dlaczego? Jak?

– Es... – zaczął, po czym zakaszał. Krew splamiła jego usta. – Leo?

To brzmiało jak pytanie, ale nie rozumiałam, o co mu chodzi. Potrząsnęłam tylko głową. Krew. Tyle krwi.

Nina znalazła gdzieś nożyczki, rozpięła jego bluzę i zaczęła rozcinać T-shirt. Nie potrafiłam patrzeć na jego ciało, skórę, której każdy centymetr kiedyś znałam, całowałam i dotykałam, teraz pokrytą krwią i ranami.

– Och, kurwa... – jęknęła Nina. – Potrzebujemy karetki.

– Czy... – James próbował mówić, mimo że krew pieniała mu się na ustach. – Czy ona ci... powiedziała?

O ślubie?

– Ma przebite płuco. Prawdopodobnie krwotok wewnętrzny. Przyciśnij tutaj. – Nina złapała mnie za rękę i położyła ją na zawiniątku z porwanego T-shirta dociśniętym do uda Jamesa. Krew tryskała coraz intensywniej.

– Co możemy zrobić? – Próbowałam nie płakać.

– Na tę chwilę? Pilnować, żeby się nie wykrwawił. Jeśli z tej arterii dalej będzie się tak lało, umrze, żebyśmy nie wiem co robiły. Przyciśnij mocniej. Spróbuję zrobić opaskę uciskową, ale...

– O mój Boże! – To była Flo. Wyglądała jak duch, stojąc u szczytu schodów, z twarzą skrytą w dłoniach. O mój Boże... Ja... tak mi przykro... nie potrafię... nie mogę znieść k... krwi...

Zemdlała z cichym okrzykiem. Usłyszałam, jak Nina przeklina pod nosem.

– Tom! – wrzasnęła. – Zabierz stąd Flo! Zanieś ją do jej pokoju. – Odgarnęła włosy

z twarzy. Na jej kości policzkowej i czole zostały ślady krwi.

– Clare... – wyszeptał James. Oblizął usta. Patrzył mi prosto w oczy, jakby próbował coś powiedzieć. Ścisnęłam jego dłoń, próbując się nie załamać.

– Już idzie... – Gdzie ona się, do cholery, podziewała? – Clare! – zawołałam. Żadnej odpowiedzi.

– Nie... – wydusił. – Clare... SMS.... Powiedziała? – mówił tak słabym głosem, że trudno go było zrozumieć.

– Co?

Zamknął oczy. Jego dłoń ściskająca moją zaczęła się rozluźniać.

– On umiera – powiedziałam do Niny, słysząc histerię narastającą we własnym głosie. – Nina, zrób coś!

– A myślisz, że piję popołudniową herbatkę? Daj mi ręcznik. Nie, czekaj! Nie puszczaj jego uda! Ja pójdę. Gdzie, do kurwy nędzy, jest Clare?

Wstała i pobiegła do kuchni. Za chwilę usłyszałam, jak przetrząsa szuflady.

James leżał zupełnie nieruchomo.

– James? – zawołałam. – James, zostań ze mną!

Z bólem uniósł powieki i popatrzył na mnie. Jego rozcięty T-shirt wyglądał niczym skórka obieranego owocu, odsłaniająca poplamioną krwią pierś i brzuch, wystawione na zimno panujące w hallu. Chciałam go dotknąć, pocałować, powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mogłam. To byłoby kłamstwo.

Mocniej docisnęłam zawiniątko do jego uda, próbując powstrzymać krew, która zbierała się w kałuży na podłodze.

– Ja... przepraszam – powiedział cichutko, tak cicho, że myślałam, iż się przesłyszałam.

– Co? – Pochyliłam się, próbując lepiej go usłyszeć.

– Przepraszam... – Jego dłoń ścisnęła moją, a potem, ku mojemu zdziwieniu, wyciągnął rękę, choć ramię drżało mu z wysiłku, i dotknął mojego policzka. Oddech rzeźił mu w gardle, cienka strużka krwi pociekła mu z kącika ust.

Zacisnęłam powieki, próbując powstrzymać łzy.

– Nie bądź niemądry – wydusiłam w końcu. – To było dawno temu.

– Clare...

Kurwa, gdzie ona jest?!

Łza skapnęła mi z nosa na jego pierś. Znowu podniósł rękę, żeby otrzeć mi policzek, ale ramię było za słabe, więc pozwolił dłoni opaść.

– Nie... płacz...

– Och, James – tylko tyle byłam w stanie powiedzieć, przełykając ślinę. Te słowa miały wyrazić wszystko, czego ja nie potrafiłam. James, nie umieraj, proszę, nie umieraj...

– Leo... – szepnął cicho i zamknął oczy. Tylko James mnie tak nazywał. Tylko on. Zawsze on.

*

Gdy pukanie do drzwi rozlega się ponownie, ja wciąż płaczę. Siadam z trudem,

próbując oprzeć się na poduszkach, aż w końcu przypominam sobie o elektrycznym guziku. Łóżko unosi mnie do pozycji siedzącej. Biorę głęboki, drżący wdech i ocieram oczy.

– Proszę.

W drzwiach znów staje detektyw Lamarr. Wiem, że oczy mam zaczerwienione, a głos zachrypnięty, ale już mnie to nie obchodzi.

– Proszę powiedzieć mi prawdę – mówię, zanim ona zdąży się odezwać. Zanim zdąży usiąść. – Proszę. Powiem pani wszystko, co pamiętam, ale muszę wiedzieć. Czy on nie żyje?

– Przykro mi – mówi ona, a ja już wiem.

Chcę coś powiedzieć, ale brakuje mi słów.

Siedzę tak, potrząsając głową i próbuję sprawić, by słowa popłynęły.

Czeka w milczeniu, podczas gdy ja staram się odzyskać panowanie nad sobą. W końcu, gdy mój oddech się uspokaja, wyciąga w moją stronę papierową tacę, którą przyniosła ze sobą.

– Kawy? – pyta łagodnie.

Nie powinnam dbać o kawę. James nie żyje. Jakie znaczenie ma kawa?

Z oporami kiwam głową, a kiedy podaje mi kubeczek, biorę długi łyk. Kawa jest gorąca i mocna. W niczym nie przypomina wodnistej szpitalnej lury. Czuję, jak dociera do każdej komórki w moim ciele, jak mnie budzi. Wydaje mi się niemożliwe, że mogę żyć, skoro James nie żyje.

Po kilku łykach twarz mam jakby odrętwiałą. Boli mnie głowa.

– Dziękuję – mówię ochrypłym głosem.

Lamarr pochyla się i ściska moją dłoń.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Przykro mi. Nie chciałam, żebyś dowiedziała się w ten sposób, ale poproszono mnie... – urywa i inaczej formułuje zdanie: – Uznano, że lepiej będzie nie mówić ci więcej, niż wiesz. Chcieliśmy usłyszeć twoją wersję. Bez wpływów. – Nie komentuję tego, tylko kiwam głową. Pisałam o takich rzeczach, tego typu przesłuchaniach, przez całe moje dorosłe życie, ale nigdy nawet sobie nie wyobrażałam, że sama znajdę się w takiej sytuacji. – Wiem, że to będzie bolesne – policjantka w końcu przerywa przeciągające się milczenie – ale proszę, czy możesz się zastanowić nad wczorajszą nocą? Co pamiętasz?

– Pamiętam wszystko aż do... do strzału – przyznaję. – Pamiętam, jak zbiegłam po schodach i zobaczyłam go... zobaczyłam, jak tam leży... – Milknę na moment, oddech syczy mi między zaciśniętymi zębami. Nie będę znowu płakać. Biorę jeszcze łyk kawy, nie zważając na to, że parzy. – Musi pani wiedzieć o wystrzale – stwierdzam w końcu. – Pozostali pani opowiedzieli? Nina i Clare, i reszta?

– Mamy kilka różnych zeznań – mówi wymijająco. – Ale musimy usłyszeć, co się stało, z perspektywy każdego z was.

– Byliśmy wystraszeni – ciągnę, sięgając pamięcią wstecz. Mam wrażenie, jakby minęło sto lat od tamtych skąpanych w mgłę adrenaliny wydarzeń, gdy skradaliśmy się po domu rozhisteryzowani, odurzeni miksturą pijanego podekscytowania i autentycznego strachu. – Odczytaliśmy wiadomość na tablicy ouija... o morderstwie. Nie uwierzyliśmy

w nią... – Ironia tego wszystkiego jest niemal nieznośna. – Ale wytrąciła nas z równowagi. I widzieliśmy ślady stóp na śniegu. A gdy się obudziliśmy, to znaczy za pierwszym razem, drzwi kuchenne były otwarte.

– Jak to się stało?

– Nie wiem. Ktoś je zamknął... Albo powiedział, że zamknął. Chyba Flo. A może Clare? W każdym razie ktoś sprawdzał, czy są zamknięte. Ale otworzyły się na oścież i to tylko jeszcze bardziej nas wystraszyło. Więc gdy usłyszeliśmy kroki...

– Czyj to był pomysł, żeby sięgnąć po broń?

– Nie wiem. Chyba Flo zdjęła ją wcześniej znad kominka. Wtedy, gdy otworzyły się drzwi kuchenne. Ale ta strzelba miała być naładowana ślepakami.

– A ty ją trzymałaś, zgadza się?

– Ja? – Spojrzałam na nią, autentycznie zaszokowana. – Nie! To była Flo. Tak myślę... Tak, to zdecydowanie była ona.

– Na lufie znaleźliśmy twoje odciski palców.

Zbadali broń? Gapię się na nią. Po chwili zdaję sobie sprawę, że czeka na odpowiedź.

– Na l-lufie, tak. – Kurwa, nie jākaj się. – Ale nie na... tej drugiej części. Na uchwycie. To znaczy na kolbie. Proszę posłuchać, Flo wymachiwała tą strzelbą jak szalona. Próbowалам przytrzymać ją z dala od nas.

– Dlaczego, skoro myślałaś, że nie jest naładowana?

To pytanie zbija mnie z tropu. Nagle, pomimo słońca grzejącego przez szybę, w pokoju czuję chłód. Mam ochotę znowu zapytać, czy jestem podejrzana, ale przecież już powiedziała, że nie jestem. Czy to nie wyda się jej dziwne, jeśli będę się o to wciąż dopytywać?

– B-bo nie lubię, gdy ktoś celuje do mnie z broni, niezależnie od tego, czy jest nabita czy nie. W porządku?

– W porządku – mówi ona łagodnie i zapisuje coś w notesie. Przekłada kartkę i wraca do rozmowy: – Cofnijmy się trochę. James... jak poznałaś Jamesa?

Zamykam oczy. Zagryzam wewnętrzną stronę policzka, próbując powstrzymać łzy. Mogę powiedzieć tyle rzeczy: chodziliśmy razem do szkoły. Byliśmy przyjaciółmi. Jest narzeczonym Clare. Był, poprawiam się w myślach. Nie mogę uwierzyć, że odszedł. I nagle zdaję sobie sprawę z samolubności mojego żalu. Myślałam o Jamesie. Ale Clare... Clare straciła wszystko. Wczoraj była przyszłą panną młodą. A dziś jest... kim? Nawet nie wdową. Nie ma na to określenia. Jest po prostu samotna.

– On... byliśmy kiedyś razem – wyjaśniam w końcu. Z pewnością lepiej być szczerą, prawda? W każdym razie na tyle szczerą, na ile to możliwe.

– Kiedy zerwaliście?

– Dawno temu. Mieliśmy... och... szesnaście czy siedemnaście lat.

To „och” jest trochę fałszywe. Sugeruje, że musiałam się zastanowić nad odpowiedzią. Tymczasem pamiętam co do dnia, kiedy zerwaliśmy. Miałam szesnaście lat i dwa miesiące. Jamesa dzieliło tylko kilka miesięcy od siedemnastych urodzin.

– Po przyjacielsku?

– Nie, wtedy nie.

– Ale zdążyliście się pogodzić od tamtej pory? Skoro byłaś na wieczorze panieńskim Clare... – urywa, jakby czekając, aż wtrącę jakiś frazes czy dwa na temat tego, że czas leczy rany, że człowiek w wieku lat dwudziestu sześciu śmieje się ze zdrady, do której doszło, gdy miał lat szesnaście.

Tyle że dla mnie to wciąż nie jest śmieszne. Co powinnam powiedzieć? Prawdę?

Nie podobają mi się te pytania.

Śmierć Jamesa to był wypadek: strzelba, która nie powinna być naładowana, wystrzeliła przez pomyłkę. Więc dlaczego siedzi tu policjantka i wypytuje mnie o dawne dzieje?

– Jaki to ma związek ze śmiercią Jamesa? – pytam opryskliwie. Zbyt opryskliwie. Kobieta z zaskoczeniem unosi wzrok znad notesu. Pomalowane na śliwkowo usta układają się w ciche „och”.

Cholera. Cholera, cholera, cholera.

– Po prostu próbujemy zyskać pełny obraz sytuacji – wyjaśnia łagodnie.

Ciarki przebiegają mi po kręgosłupie.

James został zastrzelony ze strzelby, która miała być nienaładowana. Więc kto ją naładował?

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Bardzo, naprawdę bardzo mnie kusi, żeby powtórzyć pytanie, które już zadałam: czy jestem podejrzana?

Ale nie mogę. Nie mogę o to zapytać, bo już samo to byłoby podejrzane. A nagle bardzo zależy mi na tym, żeby nie zachowywać się podejrzanie.

– To było dawno temu – mówię, próbując odzyskać panowanie nad sobą. – Bardzo mnie wtedy zabolalo, ale z czasem człowiek godzi się z takimi rzeczami, prawda?

Wcale nie. Nie z czymś takim. A w każdym razie ja się z tym nie pogodziłam.

Ale ona nie słyszy kłamstwa w moim głosie i gładko zmienia temat:

– Co się wydarzyło po tym, jak James został postrzelony? – pyta. – Czy pamiętasz, co każda z pozostałych osób potem zrobiła? – Zamykam oczy. – Spróbuj przeprowadzić mnie przez tę sytuację – proponuje. Jej głos jest cichy, zachęcający, niemal hipnotyczny. – Ty byłaś z nim w hallu...

*

...Byłam z nim w hallu. Miałam krew na rękach, na pizamie. Jego krew. Mnóstwo krwi.

Zamknął oczy i po paru chwilach przytuliłam twarz do jego twarzy, sprawdzając, czy wciąż oddycha. Oddychał. Czulałam na policzku jego szarpany oddech.

Jak bardzo różnił się teraz od Jamesa, z którym byłam – miał zmarszczki wokół oczu, cień zarostu na szczęce; jego twarz wyszczuplała, stała się bardziej wyrazista. Ale wciąż był Jamesem. Znałam zarys jego czoła, grzbiet nosa, zagłębienie pod wargą, gdzie pot perlił się w letnie noce.

Wciąż był moim Jamesem. Tyle że nie był. Gdzie, na litość boską, podziewała się Clare?

Usłyszałam kroki za plecami, ale to była Nina – z naręczem białego materiału, który wyglądał jak prześcieradło. Uklękła i zaczęła bardzo ciasno obwiązywać nogę

Jamesa.

– Najlepsze, co w tej chwili możemy zrobić, to ustabilizować twój stan, dopóki nie dowiedzimy cię do szpitala – powiedziała głośno i wyraźnie. Zwracała się do Jamesa, ale wiedziałam, że mówi też do mnie. – James, słyszysz mnie? – Nie odpowiedział. Jego twarz nabrała dziwnej, woskowej barwy. Nina potrząsnęła głową i spojrzała na mnie. – Clare ma lepszy samochód. Ty będziesz nawigować. Ja usiądę z tyłu z Jamesem i będę próbowała utrzymać go przy życiu, dopóki nie dojedziemy na miejsce. Tom niech zostanie z Flo. Myślę, że jest w szoku.

– Gdzie jest Clare?

– Próbowała złapać zasięg na skraju ogrodu, najwyraźniej czasami tam się to udaje.

– Ale się nie udało – usłyszałam głos za plecami. To była Clare. Miała twarz białą jak mleko, ale zdążyła się już ubrać. – Czy on może mówić?

– Powiedział parę słów – przyznałam zachrypłym głosem. Gardło bolało mnie od łez. – Ale myślę, że... teraz stracił przytomność.

– Och, kurwa... – Jej usta straciły kolor. W oczach miała łzy. – Powinnam była przyjść wcześniej. Myślałam...

– Nie bądź niemądra – przerwała jej Nina. – Zrobiłaś, co trzeba. Wezwanie karetki było najważniejsze, gdyby tylko dało się złapać ten pieprzony sygnał. Dobra, myślę, że ta opaska uciskowa już lepsza nie będzie. Nic innego teraz nie da się zrobić. Zabieramy go stąd.

– Ja poprowadzę – powiedziała Clare.

Nina pokiwała głową.

– Ja usiądę z tyłu z Jamesem. – Wyjrzała przez okno. – Clare, idź i podprowadź samochód tak blisko drzwi, jak to tylko możliwe. – Clare pobiegła po kluczyki. Nina ciągnęła dalej, tym razem zwracając się do mnie: – Będziemy potrzebowały czegoś, na czym można go położyć.

– Czego?

– Najlepiej czegoś płaskiego, przypominającego nosze.

Rozejrzałyśmy się, ale w pobliżu nie było nic, co mogłoby się nadać.

– Możemy zdjąć skrzydło drzwi – wtrącił stojący za nami Tom. Obie aż podskoczyłyśmy. Patrzył na Jamesa, leżącego bez przytomności w powiększającej się kałuży krwi. Na jego twarzy malowało się przerażenie. – Zaniósł-łem Flo do sypialni. Czy wszystko będzie z nim dobrze?

– Szczerze? – zapytała Nina. Zerknęła na Jamesa i po raz pierwszy, od kiedy przejęła dowodzenie, zobaczyłam na jej znużonej twarzy ślady strachu. – Szczerze mówiąc, nie wiem. Możliwe, że przeżyje. Drzwi to dobry pomysł. Wydaje mi się, że widziałam jakąś skrzynkę z narzędziami pod schodami.

Tom kiwnął głową i zniknął.

Nina skryła twarz w dłoniach.

– Kurwa – powiedziała stłumionym głosem. – Kurwa, kurwa, kurwa...

– Wszystko w porządku?

– Nie. Tak. – Uniosła głowę i spojrzała na mnie. – Nic mi nie jest. Tylko... Mój Boże, co za kurewsko głupia śmierć. Co za marnotrawstwo umierać w taki sposób. Kto,

do licha, strzela ze strzelby, nie wiedząc, czym jest naładowana?

Pomyślałam o tym, jak wcześniej Tom wymachiwał nią dla zabawy, i nagle zrobiło mi się niedobrze.

– Biedna Flo... – westchnęłam.

– To ona pociągnęła za spust? – zapytała Nina.

– Tak zakładam... Nie wiem. Ona trzymała strzelbę.

– Myślałam, że ty.

– Ja? – Poczułam, jak szczęka opada mi z zaskoczenia i przerażenia. – Boże, nie! Ale każdy mógł ją szturchnąć, gdy trzymała palec na spuście – wszyscy staliśmy tak blisko.

Na zewnątrz rozległ się warkot i usłyszałam opony wozu Clare chrzęszczące na zaśnieżonym żwirze przed frontowymi drzwiami. W tej samej chwili od strony salonu dał się słyszeć huk – Tom taszczył ciężkie dębowe skrzydło drzwi, wciąż jeszcze z przykręconą klamką.

– Waży z tonę... – powiedział. – Ale musimy je donieść tylko do samochodu.

– Okej – Nina znowu, w naturalny sposób, przejęła dowodzenie. – Tom, weź go za ramiona. Ja złapię za nogi. Nora, ty podtrzymuj biodra, gdy go uniesiemy. Pilnuj, żeby nic nie naruszyło opaski uciskowej na udzie, i uważaj, żebyśmy nie zaczepili o klamkę. Gotowi? Trzy, dwa, jeden, podnosimy.

Gdy go dźwignęliśmy, James jęknął mimowolnie, a na jego ustach pojawiła się nowa plama krwi. Położyliśmy go na prowizorycznych noszach, a ja pobiegłam, żeby otworzyć ogromne stalowe frontowe drzwi. Po raz pierwszy dziękowałam Bogu za rozmiary tego domu, bo wiedziałam, że skrzydło drzwi z łatwością przez nie przejdzie. Wróciłam, żeby wraz z Niną unieść „nosze” z jednej strony, podczas gdy Tom podniósł je z drugiej. Były niewiarygodnie ciężkie, ale udało nam się przenieść je przez hall i wynieść na zewnątrz, w mroźną noc, gdzie już czekała Clare z włączonym silnikiem. Spaliny unosiły się białą chmurą w lodowatym powietrzu.

– Jak on się czuje? – zapytała przez ramię, sięgając, by otworzyć tylne drzwi. – Wciąż oddycha?

– Wciąż oddycha – powiedziała Nina. – Ale to będzie ryzykowna podróż. Okej, zdejmijmy go z tych drzwi.

Jakimś cudem, pośród krwi i drżenia, udało nam się w pośpiechu przenieść Jamesa na tylne siedzenie. Leżał tam niczym szmaciana lalka, oddychając płytko i z rzęzeniem, które mnie przerażało. Jego noga wciąż wystawała na zewnątrz i zobaczyłam, jak krew paruje na mrozie. Ten groteskowy widok sprawił, że zamarłam – stałam tam, zbyt zaszokowana, żeby cokolwiek zrobić. W końcu Tom ostrożnie zgiął nogę, chowając ją do środka, i zatrzasnął drzwi.

– Nie ma wystarczająco dużo miejsca dla nas obu – zauważyła Nina. Przez chwilę nie rozumiałam, o co jej chodzi, a potem zdałam sobie sprawę, że James zajął całe tylne siedzenie. Nie było mowy, żeby Nina zmieściła się obok niego, tak jak wcześniej sugerowała.

– Ja zostanę – powiedziałam. – Ty powinnaś z nimi jechać.

Nawet nie próbowała protestować.

*

– Nora? – pyta Lamarr łagodnie, ale z naciskiem. – Nora? Jesteś tu ze mną? Możesz mi powiedzieć, co pamiętasz?

Otwieram oczy.

– Przetransportowaliśmy Jamesa do samochodu. Nie mieliśmy noszy, więc Tom zdjął skrzydło drzwi. Clare prowadziła. Nina miała usiąść na tylnym siedzeniu z Jamesem, a ja miałam nawigować.

– Miała usiąść?

– To... było jakieś nieporozumienie. Nie jestem pewna, co się wydarzyło. Zanieśliśmy Jamesa do samochodu i zdałyśmy sobie z Niną sprawę, że obie się nie zmieścimy. Powiedziałam Ninie, że to ona powinna z nimi jechać, jako że jest lekarką, a ja zostanę. Pobiegłyśmy z powrotem do domu po jej telefon i koce do samochodu. Ale coś się wydarzyło...

– Mów dalej.

Zamykam oczy, próbuję sobie przypomnieć. Wspomnienia zaczynają się zamazywać. Pamiętam, że Clare nagle docisnęła gaz do dechy, a Tom zawołał coś przez ramię.

– Dlaczego nie? – odkrzyknęła Clare, a potem dodała niecierpliwie: – Och, nieważne. Zadzwoń, jak dotrę na miejsce.

Potem rozległ się zgrzyt opon na żwirze i zobaczyłam czerwień tylnych reflektorów, gdy wóz zaczął podskakiwać na porytej koleinami drodze.

– Co jest, do kurwy nędzy?! – krzyknęła Nina z piętra. Zbiegła po schodach i zawołała: – Clare! Co ty wyprawiasz?

Ale Clare już odjechała.

– Doszło do nieporozumienia – wyjaśniam Lamarr. – Podobno Tom zawołał do Clare, że już idziemy, ale Clare najwyraźniej usłyszała, że „nie idziemy”. Odjechała bez Niny.

– I co było dalej?

Co dalej? Właśnie tego nie byłam pewna.

Pamiętam kurtkę Clare wiszącą na poręczy przy schodach. Najwyraźniej zamierzała ją zabrać ze sobą i zapomniała. Pamiętam, że po nią sięgnęłam.

Pamiętam...

Pamiętam...

Pamiętam, że Nina płakała.

Pamiętam, jak stała w kuchni, trzymając dłonie pod bieżącą wodą, a ja patrzyłam, jak krew Jamesa znika w odpływie zlewu.

A potem... Nie wiem, czy to wina szoku, czy późniejszych wydarzeń, ale nagle wspomnienia zaczynają się rozpadać na kawałki. Im mocniej próbuję sobie przypomnieć, co się stało, tym większe mam wątpliwości, czy przypominam sobie to, co się rzeczywiście wydarzyło, czy zaledwie to, co wydaje mi się, że się wydarzyło.

Pamiętam, że sięgnęłam po kurtkę Clare. Ale czy to na pewno była kurtka Clare? Nagle w głowie pojawia mi się obraz Flo na strzelnicy, ubranej w podobną czarną

skórzaną kurtkę. To była kurtka Clare? Czy Flo?

Pamiętam, że sięgnęłam po tę kurtkę.

Pamiętam kurtkę.

Czego na temat tej kurtki nie potrafię sobie przypomnieć?

Pamiętam, jak biegnę, biegnę przez las, rozpaczliwie próbując ich zatrzymać.

Coś zmusiło mnie do biegu. Coś sprawiło, że wcisnęłam stopy w zimne adidasy z pełną paniki desperacją i rzuciłam się w pogoń za Clare wąską leśną ścieżką, z latarką huśtającą się dziko w mojej dłoni.

Ale co to było?

Spuszczam wzrok na dłonie, złączone tak, jakbym trzymała w nich coś małego i twardego. Być może prawdę.

– Nie pamiętam – w końcu się poddaję. – W tym momencie wspomnienia stają się naprawdę zamazane. Pamiętam, że biegłam przez las...

Urywam, próbując złożyć to wszystko w całość. Spoglądam na ostre światło świetlówki, a potem z powrotem na swoje ręce, jakbym szukała w nich inspiracji. Ale są puste.

– Mamy zeznanie Toma – mówi w końcu Lamarr. – Twierdzi, że coś trzymałaś. Patrzyłaś na coś, co leżało w twojej dłoni, a potem po prostu zerwałaś się do biegu, nie wkładając nawet kurtki. Co zmusiło cię do biegu?

– Nie wiem... – W moim głosie słyszę rozpacz. – Chciałabym pamiętać. Ale nie pamiętam.

– Proszę, spróbuj. To bardzo ważne.

– Wiem, że to ważne! – Mój krzyk brzmi szokująco głośno w małym pomieszczeniu. Zaciskam palce na cienkim szpitalnym kocu. – M-myśli pani, że tego nie wiem? To był mój przyjaciel, mój... mój...

Milknę. Nie potrafię znaleźć słowa, które oddałoby to, kim jest dla mnie James – kim był dla mnie James. Podciągam kolana do piersi, oddychając ciężko. Mam ochotę uderzyć o nie głową i tłuc tak długo, aż wspomnienia wypłyną razem z krwią. Ale nie mogę, nie pamiętam.

– Nora... – mówi Lamarr i nie jestem pewna, czy chce mnie uspokoić, czy mnie ostrzega. Być może jedno i drugie.

– Chcę pamiętać – mówię przez zaciśnięte zęby. – B-bardziej, niż może sobie pani wyobrazić.

– Wierzę ci – w jej głosie słychać smutek. Kładzie mi dłoń na ramieniu. W tej samej chwili rozlega się dźwięk otwieranych drzwi. Do sali wchodzi pielęgniarka, pchając przed sobą stolik na kółkach.

– Co się tutaj dzieje? – woła na widok mojej zrozpaczonej, zalanej łzami twarzy. Przenosi wzrok na Lamarr, a gniew ściąga jej sympatyczną, okrągłą buzię. – Słuchaj, damulko, nie pozwolę, żebyś denerwowała mi pacjentów! – Oskarżycielsko wyciąga palec w jej stronę. – Nie minęła nawet doba od wypadku, w którym prawie zginęła. Wynocha!

– Ona nie... – próbuję stanąć w obronie policjantki. – To nie...

Ale to nie do końca prawda. Lamarr rzeczywiście mnie zdenerwowała i mimo że

protestuję, jednocześnie cieszę się, gdy wychodzi. Cieszę się, że mogę zwinąć się w kłębek pod prześcieradłami, podczas gdy pielęgniarka nakłada mi na talerz wiejską zapiekankę i oklapłą zieloną fasolkę, narzekając pod nosem na despotyczne zachowanie policji.

– Kim oni niby myślą, że są – peroruje, wymachując chochlą. – Przychodzą bez pozwolenia, denerwują mi pacjentów, opóźniają ich wyzdrowienie o całe dni, jeśli nie tygodnie... – Wreszcie stawia tacę u mojego boku. Zapach szkolnej stołówki wypełnia pokój. – Zjedz coś, skarbie – mówi niemal z czułością. – Jesteś chuda jak patyk. Płatki ryżowe może i są smaczne, ale dzięki nim nie wyzdrowiejesz. Do tego potrzebujesz mięsa i warzyw.

Kiwam głową, chociaż nie jestem głodna.

Gdy wychodzi, nie sięgam po widelec. Leżę na boku, trzymając się za obolałe żebra, i próbuję zrozumieć, co się wydarzyło.

Powinam była zapytać, gdzie jest Clare, jak ona się czuje.

A Nina? Gdzie jest Nina? Czy nic jej się nie stało? Dlaczego nie przyszła mnie odwiedzić? Powinam zapytać o to wszystko, ale straciłam okazję.

Leżę, wlepiając wzrok w boczną ściankę szafki, i myślę o Jamesie. Myślę o tym, kim dla siebie byliśmy. Myślę o wszystkim, co zrobiłam i co straciłam. Bo gdy siedziałam tam, trzymając go za rękę, zdałam sobie sprawę, że mój gniew na Jamesa – gniew, który wydawał mi się czarny i nieprzewyciężony, o którym myślałam, że nigdy nie osłabnie – zaczął odpływać, zaczął wykrwawiać się na podłogę razem z jego życiem.

Gorycz związana z tamtymi wydarzeniami tak długo mnie definiowała. A teraz zniknęła – zniknęła gorycz, ale wraz z nią odszedł również James, jedyny człowiek, który znał jej źródło.

Odczuwam jednocześnie lekkość i straszliwy ciężar.

Leżę i przypominam sobie ten pierwszy raz – nie pierwszy raz, gdy go zobaczyłam, bo wtedy musieliśmy mieć po dwanaście, trzynaście lat, może nawet mniej. Myślę o tym pierwszym razie, gdy go zauważyłam. To było w trakcie drugiego semestru w dziesiątej klasie. James grał Buggy'ego Malone'a w szkolnej sztuce. Clare oczywiście grała Blousey Brown. Wahala się między rolą Blousey a Tallulah, ale to Blousey na koniec zdobywa faceta, a Clare nigdy nie lubiła wcielać się w role przegranych.

Oczywiście widywałam Jamesa na lekcjach. Widziałam, jak się wygłupia, rzuca papierowymi samolocikami, bazgrze sobie długopisem po ramieniu. Ale na scenie... Gdy był na scenie, potrafił rozświetlić całą salę. Właśnie skończyłam piętnaście lat, Jamesowi brakowało kilku miesięcy do szesnastych urodzin – był jednym z najstarszych uczniów w naszym roczniku. To w tamtym czasie podgolił sobie włosy z tyłu głowy, a resztę czarnych pukli związał w samurajski kok. Wyglądał chuligańsko i buntowniczo, ale do roli Buggy'ego przylizywał włosy, używając olejku. Dzięki temu nawet na próbach, ubrany w szkolny uniform, wyglądał zupełnie jak gangster z lat trzydziestych. Chodził jak gangster. Nawet stał jak gangster – z niewidzialnym cygarem zaciśniętym w kąciку ust tak przekonywająco, że czułam unoszący się w powietrzu dym. Mówił lakonicznie, przez nos. Pragnęłam pójść z nim do łóżka i wiedziałam, że każda dziewczyna na sali, oraz kilku chłopaków, miała ochotę na to samo.

Wiedziałam też, co myśli o nim Clare, bo sama mi to powiedziała. W trakcie jednej z prób, siedząc w rzędzie za mną, nachyliła się nagle i wyszeptała mi do ucha:

– Będę miała Jamesa Coopera. Już się zdecydowałam.

Nie skomentowałam tego. Clare zazwyczaj dostawała to, czego chciała.

W trakcie wakacji nic się nie wydarzyło i już zaczęłam się zastanawiać, czy Clare przypadkiem nie zapomniała o swojej obietnicy. Ale gdy wróciliśmy do szkoły, zdałam sobie sprawę, że pamięta o niej doskonale. Świadczyły o tym tysiące drobiazgów – sposób, w jaki odrzucała włosy, liczba rozpiętych guzików bluzki. Po prostu czekała na właściwy moment.

Podczas jesiennego semestru mieliśmy wystawić *Kotkę na gorącym blaszanym dachu* i kiedy James został obsadzony w roli Bricka, Clare postarała się o rolę Maggie. Chełpiła się tym, opowiadała mi o dodatkowych próbach, których będą potrzebować, o zostawaniu sam na sam z Jamesem po godzinach. Ale nawet Clare nie była w stanie przechytryć mononukleozy. Dostała zwolnienie lekarskie do końca semestru, a jej rolę przydzielono dublerce. Mnie.

I tak zamiast Clare, to ja grałam Maggie. Gorącą, zmysłową Maggie. Przez cały tydzień, każdego wieczoru, całowałam Jamesa, kłóciłam się z nim, Ignęłam do niego ze zmysłowością, której sama się po sobie nie spodziewałam. Dopiero on ją we mnie wyzwolił. Nie jąkałam się. Nie byłam już nawet Lee. Nigdy nie grałam tak dobrze – ani wcześniej, ani później. Na scenie James był Brickiem, pijanym, gniewnym, zagubionym Brickiem, więc ja stałam się Maggie.

Ostatniego wieczoru odbyła się impreza dla całej ekipy: cola i kanapki w tak zwanej poczekalni dla artystów, czyli po prostu w pustej klasie nieopodal sali gimnastycznej. Potem cola i Jack Daniel's na parkingu, a następnie w kuchni w domu Lois Finch.

James wziął mnie za rękę i razem poszliśmy na górę, do sypialni brata Lois, położyliśmy się na skrzypiącym, jednoosobowym łóżku Toby'ego Fincha i wyprawialiśmy rzeczy, których wspomnienie wciąż przyprawia mnie o drżenie, nawet teraz, w szpitalnym pokoju, dziesięć lat później.

To wtedy James Cooper stracił dziewictwo. Gdy miał szesnaście lat, w zimową noc, na pościeli ze Spidermanem. Modele samolotów wirowały nad naszymi głowami, podczas gdy całowaliśmy się, gryźliśmy i wzdychaliśmy.

I od tej chwili byliśmy razem – nawet o tym nie rozmawialiśmy, tak po prostu się stało.

Mój Boże, kochałam go.

A teraz on odszedł. To wydaje mi się niemożliwe.

Myszę o miękkim głosie Lamarr, pytającym: „James... jak poznałaś Jamesa?”.

Co powinnam była powiedzieć, gdybym chciała powiedzieć prawdę?

Znałam go tak dobrze, że nawet gdybym dotknęła jego twarzy w ciemnościach, poznałabym, że to on.

Znałam go tak dobrze, że potrafiłam wymienić każdą bliznę i ślad na jego ciele. Bliznę po operacji wyrostka po prawej stronie brzucha, ślady szwów po skaleczeniu, gdy spadł z roweru, sposób, w jaki układały się jego niesforne włosy.

Znałam go na pamięć.

A teraz odszedł.

Myślałam o nim codziennie, chociaż nie rozmawialiśmy przez dekadę.

A teraz on odszedł, a wraz z nim gniew, który pielęgnowałam w sobie przez wszystkie te lata. Odczuwałam go nawet wtedy, gdy próbowałam sobie wmówić, że już nic mnie to nie obchodzi, że to przeszłość, zamknięta na amen.

Gniew odszedł właśnie teraz, gdy potrzebuję go najbardziej.

I on odszedł.

Może jeśli powtórzę to wystarczająco wiele razy, zacznę w to wierzyć.

Tej nocy śpię jak zabita, pomimo natarczywych świateł i hałasów dobiegających z korytarza. Pielęgniarki przestały sprawdzać mój stan co dwie godziny, więc śpię... i śpię... i śpię.

Budzę się zdezorientowana. Gdzie jestem? Jaki mamy dzień? Automatycznie sięgam po telefon, ale nie ma go tam, gdzie powinien leżeć.

Jest za to plastikowy dzbanek z wodą.

I nagle spada na mnie przytłaczający ciężar teraźniejszości.

Jest poniedziałek.

Jestem w szpitalu.

James nie żyje.

– Pobudka! – Nowa pielęgniarka energicznie wchodzi do pokoju i rzuca profesjonalnym okiem na moją kartę. – Zaraz przyniosę śniadanie.

Wciąż jestem w szpitalnej koszuli, więc gdy kobieta zbiera się do odejścia, wołam za nią:

– Proszę poczekać! – Odwraca się, unosząc jedną brew, wyraźnie nie w nastroju, żeby się zatrzymać. – P-przepraszam – jąkam się. – Zastanawiałam się tylko, czy mogłabym, czy mogę dostać jakieś ubranie? Chciałabym się przebrać w swoje rzeczy. I odzyskać telefon, jeśli to możliwe.

– Takie rzeczy przynoszą krewni. Nie świadczymy tu usług kurierskich – odpowiada z werwą, po czym znika za drzwiami.

A zatem nie wie. Nie wie o mnie. Nie wie o tym, co się wydarzyło. Dociera do mnie, że dom prawdopodobnie stanowi miejsce zbrodni. Nie ma mowy, żeby Nina, Clare i cała reszta wciąż tam byli. Żeby chodzili na paluszkach wokół kałuży skrzepłej krwi Jamesa. Musieli się rozjechać do siebie albo zostali umieszczeni w jakimś pensjonacie. Będę musiała zapytać Lamarr, kiedy przyjdzie. Jeśli przyjdzie.

Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem zależna od policji. Stanowią teraz moje jedyne połączenie ze światem zewnętrznym.

Około jedenastej rozlega się pukanie do drzwi. Leżę na boku, słuchając radia. Trwa właśnie audycja *Woman's Hour* i jeśli zacisnę powieki wystarczająco mocno i docisnę słuchawki do uszu, niemal mogę sobie wyobrazić, że jestem z powrotem w domu, z filiżanką kawy – prawdziwej kawy – a za oknem słychać cichy szum samochodów.

Rozpoznanie twarzy Lamarr za zbrojoną szybą zajmuje mi parę chwil. Ściągam słuchawki z uszu i siadam z trudem, wspierając się na poduszkach.

– Proszę wejść.

Policjantka wchodzi do środka z papierowym kubeczkiem.

– Kawy?

– Och, dziękuję – próbuję ukryć desperację w głosie i powstrzymuję się, żeby nie wyrwać jej kubka z dłoni. To niesamowite, ile taki gest znaczy w szpitalnej rzeczywistości, która przypomina akwarium złotej rybki. Wyczuwam, że kawa jest jeszcze za gorąca, by ją pić, więc tylko obejmuję kubek dłońmi, zastanawiając się, jak ubrać w słowa to, co chcę powiedzieć, podczas gdy Lamarr gawędzi o pięknej zimowej

pogodzie, nietypowej o tej porze roku, i wspomina, że drogi zaczynają się przecierać po weekendowych opadach śniegu. W końcu milknie, a ja korzystam z okazji. – Pani sierżant...

– Detektyw.

– Przepraszam. – Jestem zła na siebie, że tak się pomyliłam. Ale nie pozwałam, żeby to wytrąciło mnie z równowagi. – Zastanawiałam się, jak się miewa Clare?

– Clare? – Pochyliła się w moją stronę. – Przypomniałaś sobie coś?

– Co takiego?

– Czy przypomniałaś sobie, co się stało po tym, jak opuściłaś dom?

– Co?

Patrzymy na siebie nawzajem, aż w końcu ona potrząsa głową z żalem.

– Przepraszam, z twojego pytania wywnioskowałam, że...

– Co ma pani na myśli? Czy coś się stało Clare?

– Powiedz mi, co pamiętasz – mówi ona, ale ja milczę przez chwilę, próbując wyczytać prawdę z jej pięknej, pozbawionej wyrazu twarzy. Patrzy mi w oczy, jednak jej wzrok niczego nie zdradza. Jest coś, czego mi nie mówi.

– Pamiętam... – zaczynam powoli. – Pamiętam, jak biegłam przez las... i pamiętam światła samochodu i szkło... a potem, po wypadku, pamiętam, jak słańiałam się na nogach. Zgubiłam but, a na ziemi leżały kawałki szkła. – To wszystko wraca do mnie, gdy opowiadam: tunel z nagich gałęzi wiszących nisko nad drogą, błady w światłach reflektorów, moje rozpaczliwe próby zatrzymania kogoś, kogokolwiek, żeby mi pomógł. Pamiętam nadjeżdżający van, jego przednie reflektory przeczesujące mrok. Stałam tam, machając jak oszalała, łzy leciały mi po twarzy. Myślałam, że się nie zatrzyma, przez chwilę myślałam, że mnie przejedzie. Ale nie przejechał... Kierowca zahamował z poślizgiem i opuścił szybę. Zobaczyłam jego pobladłą twarz. „Co do cholery?”, rzucił, a potem „Miałaś...?”, nie dokończył zdania.

– Ale to wszystko. Reszta wspomnień jest pomieszana... Obrazy rwą się coraz bardziej, a potem jest tylko czarna plama. Niech mi pani powie, czy coś się stało Clare? Ona chyba nie...

O mój Boże.

O mój Boże! To niemożliwe...

Zaciskam dłonie na prześcieradle. Moje obgryzione paznokcie wbijają się w nie tak mocno, że aż bolą mnie palce.

Czy Clare nie żyje?

– Wszystko z nią dobrze – mówi Lamarr powoli, ostrożnie. – Ale brała udział w tym samym wypadku.

– Czy nic jej nie jest? Mogę ją zobaczyć?

– Nie, przykro mi. Jeszcze nie byliśmy w stanie jej przesłuchać. Musimy usłyszeć jej wersję, zanim...

Urywa. Wiem, co zamierzała powiedzieć. Chce usłyszeć moją prawdę i jej prawdę. Oddzielnie. Żeby mogli porównać nasze historie.

Znowu czuję ten chłód w żołądku. Czy jestem podejrzana? Jak mogę się tego dowiedzieć, nie rzucając na siebie podejrzeń?

– Ona wciąż jeszcze nie jest w stanie udzielać odpowiedzi – wyjaśnia w końcu Lamarr.

– Czy wie o Jamesie?

– Nie sędzę, nie. – Na twarzy Lamarr maluje się współczucie. – Nie czuła się na tyle dobrze, żeby jej powiedzieć.

Nie wiem dlaczego, ale to drażni mnie bardziej niż wszystko inne, co dziś powiedziała. Nie mogę znieść myśli, że Clare leży gdzieś w tym szpitalu i nie wie, że James nie żyje.

– Czy ona z tego wyjdzie? – mój głos załamuje się przy ostatnim słowie. Biorę długi, bolesny łyk kawy, żeby ukryć roztrzęsienie.

– Lekarze twierdzą, że tak, ale czekamy na przyjazd jej rodziny. Dopiero potem oceniam, czy jest wystarczająco stabilna, żeby jej powiedzieć. Przykro mi... chciałabym móc powiedzieć ci więcej, ale naprawdę nie wolno mi rozmawiać o szczegółach jej stanu zdrowia.

– Tak, wiem – mówię z przygnębieniem. Szloch więźnie mi w gardle. Boli mnie głowa, a oczy zachodzą mi mgłą. Mrugam gniewnie, próbując odzyskać ostrość widzenia.

– A co z Niną? – pytam znowu. – Czy ją mogę zobaczyć?

– Wciąż przesłuchujemy pozostałych uczestników wieczoru panieńskiego. Gdy tylko skończymy, myślę, że będzie jej wolno cię odwiedzić.

– Dzisiaj?

– Miejmy nadzieję, że tak, dzisiaj. Ale naprawdę bardzo, bardzo by nam pomogło, gdybyś najpierw sobie przypomniała, co się wydarzyło po tym, jak opuściłaś dom. Chcemy usłyszeć twoją wersję. Obawiamy się, że rozmowa z innymi mogłaby... zaciemnić obraz.

Nie potrafię stwierdzić, co chce przez to powiedzieć. Czy boi się, że gram na zwłokę, że udaję, iż straciłam pamięć, żeby uzgodnić zeznania z kimś innym? Czy po prostu chodzi jej o to, że przy braku własnych wspomnień mogłabym nieświadomie zaszcześcić w mózgu wspomnienia kogoś innego?

Wiem, jak łatwo może się to zdarzyć. Przez wiele lat „pamiętałam” te wakacje w dzieciństwie, gdy jeździłam na osiołku. Na kominku stało moje zdjęcie na grzbiecie zwierzaka. Miałam ze trzy czy cztery latka, stałam na tle zachodzącego słońca, więc było widać tylko ciemny zarys mojej postaci i aureolę włosów podświetlonych słonecznym blaskiem. Wyraźnie pamiętałam słony wiatr na twarzy, fale połyskujące w słońcu i fakturę szorstkiego koca między udami. Dopiero gdy miałam piętnaście lat, mama powiedziała mi, że zdjęcie przedstawia moją kuzynkę Rachel. Ja nigdy nawet nie byłam w tamtym miejscu.

Jak więc mam rozumieć jej słowa? Wyduś z siebie wspomnienia, a pozwolimy ci porozmawiać z przyjaciółką?

– Próbuję sobie przypomnieć – mówię z goryczą. – Proszę mi wierzyć, bardziej niż pani chcę sobie przypomnieć, co się stało. Nie musi mi pani wymachiwać Niną przed nosem na zachętę jak marchewką.

– To nie o to chodzi – wyjaśnia Lamarr. – Po prostu chcemy usłyszeć twoją wersję wydarzeń. Przysięgam, to nie jest rodzaj kary.

– Skoro nie mogę zobaczyć się z Niną, to czy mogłabym przynajmniej odzyskać swoje ubrania? I komórkę? – Chyba muszę się czuć lepiej, skoro zaczęłam się przejmować swoim telefonem. Myślę o tych gromadzących się e-mailach i SMS-ach, na które nie mam jak odpowiedzieć. Dzisiaj poniedziałek, dzień pracy. Mój wydawca będzie próbował się ze mną skontaktować w sprawie nowego projektu. A mama? Czy dzwoniła? – Naprawdę potrzebuję telefonu – dodaję. – Mogę obiecać, że nie będę się kontaktować z nikim z przesłuchiwanym, jeśli to panią martwi.

– Ach – mówi ona, a na jej twarzy pojawia się jakiś rodzaj rezerwy. – Cóż, właściwie to jest jedna z rzeczy, o które chcielibyśmy cię zapytać. Chcielibyśmy rzucić okiem na twój telefon, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Nie mam nic przeciwko. Ale czy mogłabym go potem odzyskać?

– Tak, tylko że nie jesteśmy w stanie go zlokalizować.

To mnie zastanawia. Skoro oni go nie mają, to gdzie jest?

– Czy zabrałaś go ze sobą, gdy opuszczałaś dom? – pyta Lamarr.

Próbuję wrócić myślą do tego momentu. Jestem pewna, że nie. Właściwie to wydaje mi się, że nie miałam go przy sobie przez większość dnia.

– Myślę, że został w samochodzie Clare – mówię w końcu. – Chyba wypadł mi z kieszeni, gdy wracaliśmy ze strzelnicy.

Lamarr potrząsa głową.

– Samochód został dokładnie przeszukany. Na pewno go tam nie ma. Dość skrupulatnie przeszukaliśmy też dom.

– Może został w centrum strzeleckim?

– Sprawdzimy to. – Zapisuje uwagę w notesie. – Ale dzwonił pod twój numer i nikt nie odbiera. Domyślam się, że gdyby telefon gdzieś tam leżał, ktoś by go usłyszał i znalazł.

– A jest sygnał? – Jestem zaskoczona, że bateria wciąż działa. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ją ładowałam. – Zaraz, to znaczy, że dzwonił pod mój numer? Skąd go wzięliście?

– Dostaliśmy go od doktor da Souzy – odpowiada Lamarr krótko. Dopiero po chwili dociera do mnie, że ma na myśli Ninę.

– I na pewno jest sygnał? – pytam. – Nie przekierowuje was od razu na pocztę głosową?

– Ja... – Kobieta przerywa i widzę, że próbuje to sobie przypomnieć. – Będę musiała sprawdzić, ale tak, jestem całkiem pewna, że był sygnał.

– Cóż, w takim razie nie może być w tamtym domu. Tam nie ma zasięgu.

Lamarr ściąga swoje cienkie idealne brwi, pojawia się między nimi pionowa kreska. Potem potrząsa głową.

– Tą sprawą zajmują się już nasi technicy; bez wątplenia ustalą jego przybliżoną lokalizację. Damy ci znać, gdy tylko zostanie znaleziony.

– Dziękuję – mówię. Ale nie zadaję pytania, które tłucze mi się po głowie. Do czego potrzebny jest im mój telefon?

Oto skąd wiem, że mój stan się poprawia: jestem cholernie głodna. Na widok lunchu, który przyniesiono mi parę godzin temu, pomyślałam: To wszystko? Naprawdę? Zupełnie jak wtedy, gdy dostajesz samolotowy posiłek w rozmiarze mini i zastanawiasz się, komu wystarczy jedna łyżka purée z ziemniaków i kiełbaska wielkości małego palca? To nie jest posiłek. To przystawka w pretensjonalnym modnym barze.

Nudzę się. Chryste, jak ja się nudzę! Teraz, gdy nie śpię już tyle, co wcześniej, nie mam nic do roboty. Nie mam telefonu, nie mam laptopa. Mogłabym pisać, ale bez dostępu do komputera i aktualnego manuskryptu nic nie jestem w stanie zrobić. Wściekam się nawet na radio.

W domu, gdzie radio gra tylko w tle, uwielbiam ciągle powtórki, które wyznaczają cykl dnia. Otuchy dodaje mi fakt, że *Start the Week* zaczyna się po *Today*, a *Woman's Hour* po *Start the Week*, równie pewnie, jak poniedziałek ustępuje miejsca wtorkowi, a wtorek środzie. Tutaj powoli zaczyna mnie to doprowadzać do szału. Ile razy można wysłuchać niekończącej się pętli wiadomości, zanim się zwariuje?

Ale przede wszystkim jestem przerażona.

Gdy człowiek jest bardzo chory, doświadcza swego rodzaju efektu skupienia. Obserwowałam to u mojego dziadka, gdy mu się pogarszało. Przestajesz dbać o wielkie sprawy. Twój świat ogranicza się do drobnych trosk: skupiasz się na pasku szlafroka uciskającym żebra, bólu w kręgosłupie, czyjejś dłoni trzymającej twoją.

Wydaje mi się, że to zawężenie percepcji ułatwia radzenie sobie z sytuacją. Wielki świat traci na znaczeniu i w miarę, jak podupadasz na zdrowiu, kurczy się coraz bardziej, aż w końcu jedyne, co się liczy, to oddychanie.

Tymczasem ja doświadczam odwrotnej sytuacji. Gdy zostałam tu przywieziona, dbałam tylko o to, żeby nie umrzeć. Potem, wczoraj, chciałam tylko, żeby wszyscy dali mi spokój i pozwolili spać i lizać rany.

Teraz, dzisiaj, zaczynam się martwić.

Nie jestem oficjalnie podejrzana; pisanie kryminałów nauczyło mnie wystarczająco wiele, abym wiedziała, że gdyby tak było, Lamarr musiałyby najpierw pouczyć mnie o moich prawach, zaproponować adwokata i tak dalej.

Ale policja czegoś szuka, chociaż po omacku. Nie uważają, by śmierć Jamesa stanowiła wypadek.

Pamiętam słowa płynące przez grube szkło tamtej pierwszej nocy – „...więc teraz mamy do czynienia z morderstwem?”. Zaszokowały mnie, ale myślałam, że to wymysł mojej fantazji, element sennego narkotykowego odurzenia, w którym byłam uwięziona. Teraz wydawały mi się aż nazbyt realne.

Gdy pukanie do drzwi rozlega się ponownie, nie reaguję. Leżę z zamkniętymi oczami, słuchając radia na szpitalnych słuchawkach, próbuję zablokować hałas i bieganinę panującą na oddziale. Wyobrażam sobie, że jestem w domu.

Pielęgniarki nie pukają – a w każdym razie robią to tylko symbolicznie i od razu wchodzi. Tylko Lamarr puka i czeka na zaproszenie. A ja nie czuję się teraz na siłach, żeby zmierzyć się z nią i jej uprzejmymi, spokojnymi, dociekliwymi pytaniami. Nie pamiętam. Nie pamiętam, w porządku? Niczego nie ukrywam. Ja po prostu. Kurwa. Nie. Pamiętam.

Zaciskam oczy i przez dźwięki opery mydlanej *The Archers* nasłuchuję, czy sobie pójdzie. Po chwili słyszę, jak drzwi uchylają się ostrożnie, jakby ktoś zaglądał do środka.

– Lee? – słyszę czyjś cichy głos. – To znaczy, przepraszam... Nora?

Siadam gwałtownie na łóżku. To Nina.

– Nina! – Ściągam słuchawki i próbuję wstać, ale czy to z powodu obrażeń, czy z powodu niskiego ciśnienia nagle pomieszczenie zaczyna wirować mi przed oczami.

– Hej! – Jej odległy głos przebija się przez szum. – Hej, spokojnie.

– Nic mi nie jest – mówię, chociaż nie jestem pewna, czy próbuję przekonać o tym siebie, czy ją. – Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

I rzeczywiście, fala zawrotów ustępuje, a ja przytulam Ninę, wdychając ten szczególnie zapach: Jean Paul Gaultier i papierosowy dym.

– Jezu, tak się cieszę, że cię widzę...

– Ja też się cieszę. – Odsuwa się i patrzy na mnie krytycznym wzrokiem. W jej oczach widzę troskę. – Muszę przyznać, że gdy powiedzieli nam, że brałaś udział w wypadku samochodowym, ja... cóż. Widok jednego przyjaciela z czasów szkolnych w kałuży krwi mi wystarczył.

Wzdragam się, a ona spuszcza wzrok.

– Cholera, przepraszam. Ja... to nie jest tak, że ja...

– Wiem. – To nie jest tak, że Nina jest pozbawiona uczuć. Po prostu radzi sobie z emocjami inaczej niż większość ludzi. Sarkazm stanowi jej tarczę obronną.

– Po prostu cieszę się, że tu jesteś. – Ujmuje moją dłoń i całuje jej grzbiet. Jestem zdumiona i wzruszona, widząc czułość malującą się na jej zmęczonej twarzy. – Chociaż muszę przyznać, że nie wyglądasz najlepiej – śmieje się, nieco roztrzęsiona. – Do licha, potrzebuję papierosa. Myślisz, że zauważą, jeśli wypalę jednego przy oknie?

– Nina, co się, do cholery, wydarzyło? – pytam, wciąż ściskając jej dłoń. – Jest tu policja, zadają te wszystkie pytania. James nie żyje, wiesz o tym?

– Tak, wiem – mówi Nina cicho. – Pojawili się w domu w niedzielę wczesnym rankiem. Nie powiedzieli nam od razu, ale... Cóż, nie poświęca się tylu policyjnych rezerw na incydent, który nie zakończył się śmiercią. To stało się dość oczywiste, gdy zaczęli pobierać od nas odciski palców i badać ślady pozostałości powystrzałowych.

– Co się stało? Jak to możliwe, że broń była naładowana?

– Moim zdaniem – odpowiada ponurym głosem – są dwie możliwości. Jedna – unosi palec wskazujący – ciotka Flo nie ładowała tej strzelby wyłącznie ślepy

nabojami. Ale biorąc pod uwagę, jakiego rodzaju pytania nam zadają, nie sędzę, by uważali to za prawdopodobne.

– A druga?

– Ktoś inny ją naładował.

Ja od początku brałam pod uwagę tylko tę drugą możliwość. Ale i tak brzmi szokująco, gdy Nina wypowiada ją na głos w tej mojej małej szpitalnej pustelni. Obie siedzimy w milczeniu, zastanawiając się nad tym przez dłuższą chwilę. Wspominamy, jak Tom wygłupiał się ze strzelbą tamtego wieczoru, rozważając wszystkie „jak”, „dlaczego” i „a co, jeśli”.

– Jak Jess to wszystko znosi? – pytam w końcu, bardziej po to, żeby zmienić temat, niż z jakiegokolwiek innego powodu.

Nina się krzywi.

– Jak możesz sobie wyobrazić, zachowała swój zwyczajowy stoicki spokój. Tylko czterdzieści pięć minut hysterii przez telefon. Najpierw była wściekła, że zatrzymali mnie tutaj na czas składania zeznań, potem chciała tu przyjechać, ale powiedziałam jej, żeby tego nie robiła.

– Dlaczego nie?

Nina posyła mi spojrzenie jednocześnie pełne współczucia i niedowierzania.

– Kobieto, żartujesz? Z jakiegoś popieprzonego powodu policja uważa, że James został zamordowany. Chciałabyś, żeby twoi bliscy byli w to zamieszani? Nie. Dzięki Bogu Jess nie ma z tym wszystkim nic wspólnego i tak zostanie. Chcę, żeby trzymała się jak najdalej od tego syfu.

– Słuszna uwaga. – Sadowię się wygodniej na łóżku i obejmuję kolana ramionami. Nina zajmuje krzesło i sięga po moją kartę, przeglądając ją z beczelną ciekawością.

– Mogłabyś to odłożyć? – pytam. – Nie jestem pewna, czy chcę, żebyś знаła szczegóły moich ruchów perystaltycznych i tak dalej.

– Przepraszam, zawodowe wścibstwo. Jak twoja głowa? Wygląda na to, że nieźle oberwałaś.

– Tak. I tak się czuję. Ale już w porządku. Tylko... mam problemy z pamięcią. – Pocieram opatrunek, jakbym mogła w ten sposób uporządkować splątane obrazy. – Nie wiem, co się stało po tym, jak wybiegłam z domu.

– Amnezja pourazowa. Ale to zazwyczaj kwestia zaledwie kilku chwil. Z tego, co mówisz... nie wiem. Jak długiego okresu nie pamiętasz?

– Cóż, trochę trudno mi to ustalić, skoro... Och, czy już ci wspominałam, że nie pamiętam? – Staję się opryskliwa. Irytuje mnie własna drażliwość, ale Nina nie zwraca na to uwagi.

– Ale ta luka chyba nie jest zbyt duża, prawda?

– Słuchaj, wiem, że chcesz dobrze – masuję skronie – ale czy możemy o tym nie rozmawiać? Spędziłam cały ranek z policjantką, próbując sobie przypomnieć, co się stało, i szczerze mówiąc, mam już dość. Wspomnienia nie wracają. Boję się, że jeśli spróbuję je wymusić, po prostu coś wymyślę i przekonam samą siebie, że to prawda.

– Okej – Nina milknie na chwilę, a potem mówi: – Słuchaj, powiedziałam im o tobie i Jamesie. Powiedziałam, że kiedyś się spotykaliście. Pomyślałam, że powinnaś to

wiedzieć. Nie wiedziałam, co ty powiesz, ale...

– W porządku. Nie chcę, żeby ktokolwiek kłamał. Powiedziałam Lamarr, że James i ja byliśmy razem. To jest ta detektyw przydzielona...

– Wiem – przerywa mi Nina. – Z nami też rozmawiała. Czy ona wie, w jaki sposób zerwaliście?

– Co masz na myśli?

– No wiesz, wielki sekret. Choroba weneryczna... Czy jak tam chcesz to nazwać.

– Po raz ostatni powtarzam, nikt nie zaraził mnie chorobą weneryczną.

– Skoro tak twierdzisz. Ale powiedziałaś jej?

– Nie. A ty coś wspominałaś o tych plotkach?

– Nie. Nie wdawałam się w szczegóły. Po prostu zeznałam, że byliście razem.

A potem zerwaliście.

– Właśnie. Nie ma o czym mówić. – Zaciskam usta.

– Naprawdę? Hm, zobaczmy. – Nina zaczyna wyliczać, odginając palce: – Zerwanie, zmiana szkoły, zerwanie kontaktu z połową przyjaciół, brak kontaktu z Jamesem przez dziesięć lat. Nie ma o czym mówić?

– Nie ma o czym mówić – powtarzam uparcie, wpatrując się w swoje palce splecione na kolanach. Skaleczenia zaczynają ciemnieć i robią mi się strupy. Wkrótce się zagoją.

– Prawda jest taka – kontynuuje Nina – że James nie żyje, a oni szukają motywu.

Na te słowa podnoszę wzrok. Patrzę jej prosto w oczy. Bez mrugnięcia wytrzymuje moje spojrzenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że się o ciebie martwię.

– Sugerujesz, że zabiłam Jamesa!

– Odpieprz się! – Wstaje i zaczyna krążyć po salce. – Wcale nie. Mówię tylko... próbuję...

– N-nic o tym nie wiesz – mruczę. Kurwa. Przestań się jąkać! Ale to prawda, Nina nic o tym nie wie. Nikt nie wie o tym, co się stało, nawet moja mama. Jedyna osoba, która wie cokolwiek, to Clare, i nawet ona nie zna całej historii. A Clare...

Clare jest w szpitalu.

Clare jest... co? W zbyt ciężkim stanie, żeby ją przesłuchać? Może nawet w śpiączce? Ale w końcu się obudzi.

– Widziałaś Clare? – pytam bardzo cicho.

Nina potrząsa głową.

– Nie. Myślę, że naprawdę z nią kiepsko. Cokolwiek wydarzyło się w trakcie tego wypadku... – Znowu potrząsa głową, sfrustrowana. – Wiesz, co jest najgorsze? Że James prawdopodobnie by przeżył. Był ciężko ranny, ale myślę, że miał co najmniej pięćdziesiąt procent szans na przeżycie.

– Co masz na myśli?

– To ten wypadek go zabił. Albo opóźnienie wywołane przez wypadek. Czyli na jedno wychodzi.

Nagle zaczynam rozumieć, dlaczego Lamarr tak bardzo zależy na tym, żebym

przypomniała sobie te brakujące minuty.

To, co się wydarzyło w domu, to tylko połowa historii.

Do prawdziwego morderstwa doszło później, na drodze.

Muszę sobie przypomnieć, co się stało.

Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Wiedziałam o tym. Wiedziałam od chwili, gdy tamten e-mail wpadł do mojej skrzynki.

Nie powinnam była wracać.

A jednak. Myślę o Jamesie leżącym na podłodze, o jego ciemnych oczach wpatrzonych w moje, podczas gdy krew rozlewała się w kałuży wokół nas. Myślę o jego dłoni, ślis-kiej od krwi, ściskającej moją, jakby tonął i wierzył, że tylko ja mogę go uratować. Myślę o tym, jak wymawiał moje imię: Leo...

Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, czy skasowałabym tego e-maila?

Nina sięga po moją dłoń i czuję, jak jej ciepłe, suche palce przesuwają się po siateczce zadrapań i skaleczeń.

– Wszystko będzie dobrze – mówi. Ale głos ma chropawy i obie wiemy, że kłamie. Kłamie, bo niezależnie od tego, jak potoczy się śledztwo, sprawy zaszły za daleko, żeby wszystko mogło wrócić do normy. Niezależnie od tego, czy Clare dojdzie do siebie, czy nie, czy jestem podejrzana, czy nie, James nie żyje.

– J-jak się trzyma Flo? – pytam w końcu.

Nina zagryza wargę, jakby się zastanawiała, co powiedzieć, a potem wzdycha.

– Niezbyt dobrze... Prawdę mówiąc, sądzę, że przechodzi załamanie nerwowe.

– Czy wie o Clare?

– Tak. Chciała ją zobaczyć, ale nie zezwolono jej na odwiedzinę.

– Czy ktokolwiek ją widział? To znaczy Clare?

– Jej rodzice, tak myślę.

– A... – Przelykam. Nie zająknę się. Nie zrobię tego. – A rodzice Jamesa? Czy oni tu byli?

– Tak sądzę, tak. Wydaje mi się, że przyjechali wczoraj i... – Spuszcza wzrok na moje dłonie, delikatnie przesuwa palcem po najdłuższym zadrapaniu – i identyfikowali ciało. Z tego, co wiem, wrócili już do domu. Nie widzieliśmy ich.

Nagle przed oczami staje mi żywe wspomnienie mamy Jamesa, takiej, jaka była dziesięć lat temu, z jej długimi, spiętymi kłamrą kręconymi włosami, apaszką powiewającą na wietrze wpadającym przez okno i bransoletkami, które pobrzękiwały, gdy gestykulowała i śmiała się, rozmawiając z kimś przez telefon. Pamiętam, jak na moment przyłożyła słuchawkę do ramienia, gdy James po raz pierwszy przyprowadził mnie do domu i powiedział: „To jest Leo. Będzie tu często przychodzić. Przyzwyczaj się do jej widoku”. Jego mama zaśmiała się i odparła: „Wiem, co to znaczy. Pozwól, że pokażę ci, gdzie jest lodówka, Leo. Nikt w tym domu nie gotuje, więc jeśli zgłodniejesz, po prostu ją atakuj”.

Dom Jamesa tak bardzo różnił się od mojego. Tutaj nikt nigdy nie siedział za długo w jednym miejscu. Ich drzwi zawsze były otwarte, wiecznie gościli jakichś przyjaciół albo studentów i wszyscy dyskutowali, śmiali się, całowali i pili. Nie było wyznaczonych pór posiłków. Ani godziny policyjnej. James i ja mogliśmy leżeć na jego łóżku, grzejąc

się w blasku słońca, i nikt nie pukał do drzwi, nakazując nam, żebyśmy przestali robić to, co robimy.

Pamiętam tatę Jamesa, z jego brodą i akordeonem. Wykładał teorię marksistowską na lokalnym uniwersytecie i wiecznie groziło mu zwolnienie lub sam rozważał rezygnację. Po zmroku podwoził mnie do domu swoim zdezelowanym samochodem, przeklinając kapryśne ssanie i zabawiając mnie straszными kalamburami.

James był ich jedynym dzieckiem.

Myśl o nich, pogrążonych w żałobie, była dla mnie nie do zniesienia.

– Słuchaj – Nina po raz ostatni ściska moją dłoń – lepiej już pójdę. Zapłaciłam tylko za godzinę parkowania i czas mi się kończy.

– Dzięki. Dzięki, że przyszłaś. – Obejmuję ją niezręcznie. – Słuchaj, czy przypadkiem nie wzięłaś ze sobą jakichś moich ciuchów, gdy stamtąd wyjeżdżałaś?

Nina kręci głową.

– Nie, przykro mi. Naprawdę surowo sprawdzali, co zabieramy. Sama dostałam tylko jedną zmianę ubrań. Mogę ci kupić jakieś dresy, jeśli chcesz.

– Dzięki, byłoby super. Oddam ci pieniądze.

Nina prychnęła śmiechem i macha ręką.

– Nie gadaj bzdur. Nosisz rozmiar S, prawda? Jakies preferencje?

– Nie, kup cokolwiek. Tylko... nic za bardzo jaskrawego. Znasz mnie.

– Okej. Wiesz co, na razie zostawię ci to. – Zdejmuje swój granatowy rozpinany sweter z małymi ciemnoniebieskimi guziczkami w kształcie kwiatków. Potrząsam głową, ale ona nakłada mi go na ramiona. – Proszę. Teraz przynajmniej nie zamarzniesz przy otwartym oknie.

– Dzięki – mówię, otulając się swetrem. Aż trudno uwierzyć, jakie to przyjemne uczucie, włożyć inny strój niż szpitalny. Jakbym odzyskała własną osobowość. Nina daje mi energicznego całusa i rusza do drzwi.

– Zachowaj zdrowe zmysły, Shaw. Nie możemy pozwolić, żeby dwie osoby nam zwariowały.

– Flo? A więc naprawdę z nią źle?

Nina tylko wzrusza ramionami, ale na jej twarzy maluje się smutek. Potem odwraca się i wychodzi. Patrząc, jak oddala się korytarzem, i nagle coś do mnie dociera. Policyjny strażnik, stojący do tej pory pod moimi drzwiami, zniknął.

Mija jakieś pół godziny, gdy rozlega się kolejne, bardziej energiczne pukanie do drzwi. Do sali wchodzi pielęgniarka. W pierwszej chwili myślę, że to pora kolacji, bo głód już ściska mi żołądek, ale szybko zdaję sobie sprawę, że przez drzwi nie napływa zapach jedzenia.

– Jest tu pewien młody człowiek, który chce się z tobą zobaczyć – mówi kobieta bez ogródek. – Nazywa się Matt Ridout. Mówi, że chciałby cię odwiedzić, jeśli jesteś w stanie go przyjąć.

Mrugam, zdziwiona. Nigdy nie słyszałam o kimś takim.

– Czy jest policjantem?

– Nie wiem, skarbie. Nie jest ubrany w mundur.

Zastanawiam się, czy jej nie odesłać, żeby dowiedziała się o nim czegoś więcej, ale ona z niecierpliwością tupie nogą, najwyraźniej bardzo zajęta, więc dochodzę do wniosku, że łatwiej będzie po prostu się z nim zobaczyć i mieć to za sobą.

– Proszę go przysłać – mówię w końcu.

– Może zostać tylko pół godziny – ostrzega pielęgniarka. – Czas odwiedzin mija o czwartej.

– W porządku. – Bardzo dobrze. Będę miała wymówkę, żeby się go pozbyć, jeśli sytuacja okaże się niezręczna.

Siadam na łóżku, otulając się swetrem Niny, i odgarniam włosy z twarzy. Sama nie wiem, co chcę w ten sposób osiągnąć, bo i tak wyglądam katastrofalnie. Ale czynię ten symboliczny wysiłek, żeby zachować szacunek dla samej siebie.

Słyszę kroki w korytarzu, a potem pełne wahania pukanie do drzwi.

– Proszę.

Do pokoju wchodzi mężczyzna. Jest mniej więcej w moim wieku – może kilka lat starszy – i ma na sobie dżinsy oraz spłóviały podkoszulek. Kurtkę przewiesił przez ramię, jakby było mu za gorąco w tropikalnej szpitalnej atmosferze. Ma hipsterską brodę i krótko przyszyżone włosy; nie na rekruta, ale loczki płasko przylegają do jego czaszki, przez co przypomina rzymskiego żołnierza.

Jednak moją uwagę przykuwają przede wszystkim jego oczy – zaczerwienione od płaczu.

Nie wiem, co powiedzieć. On najwyraźniej też nie. Stoi z rękami w kieszeniach i wydaje się skrepowany moim widokiem.

– Nie jesteś z policji – mówię w końcu głupio.

Pociera dłonią włosy.

– Ja... nazywam się Matt. Jestem... a w każdym razie... – urywa, a jego usta wykrzywiają się w grymasie i widzę, że z trudem próbuje stłumić emocje. Nabiera powietrza w płuca i zaczyna znowu: – Byłem świadkiem Jamesa.

Milczę. Gapimy się na siebie nawzajem. Ja przyciskam sweter Niny do gardła, jakby to była zbroja, on stoi sztywno w drzwiach, spięty. Aż w końcu po policzku spływa mu jedna, jedyna łza. Ociera ją wściekle rękawem, a ja mówię:

– Wejdz. Wejdz i usiądź. Chcesz się czegoś napić?

– A masz whisky? – śmieje się nerwowo. Ja też próbuję się zaśmiać, ale brzmi to raczej tak, jakbym się krztusiła.

– Chciałabym. Jest tylko szpitalna herbata lub kawa z automatu, albo woda – wskazuję na plastikowy dzbanek. – Rekomendowałabym wodę.

– Podziękuję – mówi on. Podchodzi i siada na plastikowym krześle obok mojego łóżka. Ale po chwili zrywa się. – Kurwa, tak mi przykro. Nie powinienem był tu przychodzić.

– Nie! – Łapię go za nadgarstek. Z zaskoczeniem patrzę na własną dłoń. Co ja, do cholery, wyprawiam? Puszczam natychmiast, jakby jego skóra parzyła. – Ja... przepraszam. Chodziło mi tylko o to, że... – urywam. O co mi chodziło? Nie mam pojęcia. Ale nie chcę, żeby odchodził. Jest ogniwem łączącym mnie z Jamesem. – Proszę, zostań – mówię w końcu.

Patrzy na mnie z góry. A potem krótko kiwa głową i siada.

– Przepraszam – wzdycha. – Nie spodziewałem się... Wyglądasz...

Wiem, co ma na myśli. Wyglądam, jakbym prawie umarła i została niezbyt sprawnie poskładana do kupy.

– Nie jest tak źle – zaskakuję samą siebie, zmuszając się do uśmiechu. – To głównie zadrapania i siniaki.

– Chodzi o twoją twarz – wyjaśnia. – Twoje oczy. Często widuję skutki przemocy w rodzinie, taki mam zawód, ale te podbite oczy...

– Wiem. Są dość spektakularne, prawda? Ale nie bołą.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a potem on mówi:

– Wiesz co, właściwie to może i napiłbym się kawy. Też chcesz?

– Nie, dziękuję. – Wciąż jadę na resztkach kawy, którą przyniosła mi Lamarr. Nie jestem jeszcze na tyle zdesperowana, żeby pić to świństwo z automatu.

Matt wstaje sztywno i wychodzi z pokoju. Widzę napięcie skumulowane w jego barkach, gdy znika w korytarzu. Zastanawiam się, czy w ogóle wróci, ale wraca.

– Zaczniemy od początku? – proponuje, siadając. – Przepraszam, czuję, że to spartaczyłem. Ty musisz być Leo, prawda?

Niemal się wzdragam. To szok usłyszeć to imię – imię, którym nazywał mnie James – z ust tego obcego mężczyzny.

– Tak, zgadza się. Więc James... on powiedział ci o mnie?

– Trochę tak. Wiem, że byliście... Nie wiem, jak to nazwać? Ukochanymi z dzieciństwa? – Z jakiegoś powodu te słowa sprawiają, że czuję szloch wzbierający mi w gardle. Wargi mi drżą, gdy próbuję odpowiedzieć. W końcu tylko w milczeniu kiwam głową. – Cholera... – Chowa twarz w dłoniach. – Przepraszam... ja po prostu... ja nie mogę w to uwierzyć. Dopiero co z nim rozmawiałem, parę dni temu. Wiedziałem, że są pewne rzeczy... że nie wszystko jest w porządku... ale to... – Nie wszystko jest w porządku? Chcę dowiedzieć się więcej, wysondować go, ale nie potrafię wydusić z siebie ani słowa, a Matt mówi dalej: – Naprawdę przepraszam, że tak się wprosiłem. Gdybym wiedział, w jakim jesteś stanie, nie próbowałbym... Pielęgniarka nic mi nie powiedziała. Zapytałem tylko, czy mógłbym się z tobą zobaczyć, a ona powiedziała, że się dowie. Ale usłyszałem od mamy Jamesa, że byłaś z nim, kiedy on... – urywa, przetyka

łzy. – ...kiedy on umarł. A wiem, jak wiele dla niego znaczyłaś, i chciałem... – Przerzywa znowu i tym razem nie potrafi się opanować. Pochyla się nad kubkiem z kawą. Wiem, że płacze, chociaż próbuje to ukryć. – Przepraszam – mówi chrapliwym głosem, a potem odkasłuje. – Dowiedziałem się dopiero zeszłej nocy. To było... nie potrafię się z tym oswoić. Cały czas miałem nadzieję, że to jakaś pomyłka, ale gdy zobaczyłem ciebie w takim stanie... to w pewnym sensie sprawiło, że wszystko stało się realne.

– Skąd... jak poznałeś Jamesa?

– Studiowaliśmy razem w Cambridge. Obaj interesowaliśmy się teatrem... graniem, wiesz, sztukami i tak dalej. – Ociera twarz o rękaw, a potem podnosi wzrok, uśmiechając się z determinacją. – Oczywiście okazało się, że jestem do niczego, ale na szczęście w porę zdałem sobie z tego sprawę. Fakt, że grywałem u boku Jamesa, nie pomagał. Obecność prawdziwego aktora potrafi całkowicie obnażyć tego kiepskiego.

– Pozostaliście w kontakcie?

– Tak. Od czasu do czasu chodziłem na sztuki z jego udziałem. Inni z naszego roku zostali bankierami, urzędnikami i tak dalej. Najwyraźniej tylko jemu się udało. Jestem z niego dumny, wiesz? Nigdy się nie sprzedał. – Powoli kiwam głową. Tak, to był James, jakiego znałam. Człowiek, którego opisuje Matt, wydaje mi się boleśnie znajomy. To jest mój James. Zupełnie nie przypomina tej nierealnej, materialistycznej osoby, o której słyszałam przez cały weekend. Myślałam, że James się zmienił. Ale może wcale się nie zmienił. A w każdym razie nie całkowicie. – Więc co się wydarzyło? – pyta w końcu Matt. – Tam... w tamtym domu? Powiedzieli, że strzelba wypaliła, ale to się wydaje... Dlaczego on tam w ogóle się znalazł?

– Nie wiem. – Zaciskam powieki, a moja dłoń wędruje do gorącego, prze poczonego opatrunku na czole. – Nie zapytałam. Gdy usłyszeliśmy jego kroki, myśleliśmy, że to włamywacz. – Nie wdaję się w szczegóły, nie opowiadam o otwartych kuchennych drzwiach, o naszej głupiej hysterii. To wszystko było jak wyjęte z horroru, sztampowe, niedorzeczne. – Podejrzewam, że to miał być dowcip. Że pan młody chciał zaskoczyć przyszłą żonę w łóżku.

– Nie... – Matt potrząsa głową. – Naprawdę nie sędzę... Nie pojechałby tam bez zaproszenia.

– Dlaczego nie?

– Cóż, po pierwsze, po prostu nie robi się takich rzeczy, prawda? Nie wbija się na wieczór panieński swojej dziewczyny. To takie... chamskie. To jej ostatnie chwile bycia panną i trzeba być palantem, żeby odebrać jej coś takiego. – Chyba tak. Ale nie komentuję tego. Chcę usłyszeć drugi powód. Matt nabiera powietrza w płuca. – A po drugie... cóż... nie układało im się za dobrze.

– Co takiego? – pytam zaszokowana. Zdaję sobie sprawę, że zabrzmiało to zbyt głośno, zbyt emfaticznie. Matt podnosi na mnie wzrok.

– Słuchaj, nie chcę wyolbrzymiać, ale... no tak. Czy Clare nic o tym nie wspominała?

– Nie... w każdym razie... nie sędzę. – Cofam się pamięcią, próbuję sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy. Ale znam Clare. Nigdy nie przyznałaby się do problemów. Fasada zawsze pozostaje idealna, maska nigdy nie opada. – Co się działo?

– Nie wiem... – Wygląda na skrępowanego. – Ja nie... nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy. Podejrzywałem, że po prostu ma tremę przed ślubem. Nieraz to widziałem. Zupełnie normalna dziewczyna nagle zamienia się w pannę młodą z piekła rodem, wszyscy robią się spięci, rodziny dorzucają swoje pięć groszy, przyjaciele się angażują, drobiazgi przeradzają się w awantury, w końcu każdy musi zadeklarować, czyją stronę bierze...

– No więc co on tam robił? – pytam w końcu.

– Mogę tylko zgadywać... że ktoś go zaprosił.

– Ktoś go zaprosił? Ale... ale...

Ale kto? Clare? Nie. Niemożliwe. Akurat ona wiedziała, co to by oznaczało, gdyby James pojawił się na tej imprezie; nie było mowy, żeby chciała, by spędził ze mną dwie godziny w jednym pomieszczeniu, nie mówiąc już o dwudziestu czterech. Wiedziała, że natychmiast wyjechałabym albo doszłoby do jakiejś sceny. To dlatego nie zaprosiła mnie na ślub. Ktoś inny mógł go zaprosić z ignorancji albo przez złośliwość. Ale niemożliwe, żeby Clare postanowiła świadomie zrujnować swój weekend. Niby dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

Flo? Czy mogła to zrobić w ramach jakiegoś żartu? Nie miała pojęcia, że mnie i Jamesa kiedyś coś łączyło. Może to miał być wygłup koronujący jej „idealny” weekend. Ostatecznie Melanie wyjechała, więc mieliśmy wolny pokój. To mogłoby wyjaśnić jej nagłe załamanie: miała wyrzuty sumienia nie tylko dlatego, że wymachiwała naładowaną bronią, ale też dlatego, że to ona zaplanowała cały ten dowcip, który zakończył się tak tragicznie. No ale gdyby to był jej pomysł, przecież domyśliłaby się, że to James skrada się po domu. Czemu by strzelała – nawet zakładając, że strzelba nie jest naładowana? Widziałam jej twarz, gdy ta mroczna postać pojawiła się na schodach. Wyglądała na autentycznie przerażoną. Albo jest nienormalna, albo jest najlepszą aktorką wszech czasów.

Tom? Czy podczas tamtej kłótni z Bruce’em usłyszał coś, co sprawiło, że chciał zaszkodzić Jamesowi? A może to Nina, znana z dziwaczного, pokręconego poczucia humoru, chciała spletać nam figła? Ale dlaczego? Dlaczego którekolwiek z nich zrobiłoby coś takiego?

Potrząsam głową. Myśli doprowadzają mnie do szaleństwa. Żadna z osób zgromadzonych w tym domu nie mogła zaprosić Jamesa. Żadna. Gdyby to była sprawka któregoś z nich, niemożliwe, żeby wszystko rozegrało się w taki sposób.

– Mylisz się – przerywam w końcu milczenie. – Na pewno się mylisz. James musiał po prostu stwierdzić, że przyjedzie. Skoro był skłócony z Clare, może chciał się pogodzić, nie sądzisz? Zawsze był...

– Trochę idiota? – kończy Matt, śmiejąc się nerwowo. – Chyba masz rację. Nie słynie z przezorności. To znaczy... – urywa i widzę, jak zaciska leżącą na kolanie dłoń w pięść – ...to znaczy nie słynał. – Milknie. Oboje myślimy o Jamesie, który wciąż żyje w naszych głowach, w naszych wspomnieniach. – Pamiętam... – odzywa się w końcu. – Pamiętam, jak kiedyś na uniwerku wspinał się po murze i powkładał czapki Świętego Mikołaja na wszystkie gargulce. Idiota. Mógł się zabić.

Gdy to ostatnie słowo pada z jego ust, dociera do niego, co właśnie powiedział.

Wzdrygam się i odruchowo wyciągam do niego rękę.

– Lepiej już pójdę – wzdycha. – Ja... mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej.

– Nic mi nie będzie – mówię. A potem zmuszam się, żeby zadać to pytanie, bo wiem, że jeśli tego nie zrobię, będę żałować. – Czy odwiedzisz mnie jeszcze... Możesz jeszcze przyjść?

– Rano wracam do Londynu – odpowiada. – Ale byłoby miło pozostać w kontakcie.

– Przy mojej karcie znajduje się długopis. Matt sięga po niego i gryzmoli swój numer na jedynym kawałku papieru, jaki ma pod ręką – na swoim kubeczku po kawie. – Miałaś rację – mówi, ostrożnie odstawiając kubeczek na szafkę przy łóżku. – Woda byłaby lepsza. Do widzenia, Leo.

– Do widzenia.

Drzwi zamykają się za nim powoli i przez wąskie szklane okienko patrzę, jak jego sylwetka znika w korytarzu. Jak na osobę, która mieszka sama i która pragnie być sama, od kiedy tu trafiła, nagle czuję się wyjątkowo samotna. I jest to bardzo dziwne, obce mi uczucie.

Jem kolację, gdy ktoś znowu puka do drzwi. Jest już po godzinach odwiedzin, więc z zaskoczeniem patrzę, jak Nina wślizguje się do środka z torbą w dłoni. Przykłada palec do ust.

– Cii. Dostałam się do środka tylko dzięki temu, że użyłam starej dobrej sztuczki pod tytułem: „Jak to? Nie wiecie, kim jestem?”.

– Znowu powiedziałaś, że jesteś kuzynką Salmy Hayek.

– Proszę cię! Ona nawet nie jest Brazylijką.

– Ani lekarką.

– No właśnie. W każdym razie powiedziałam, że to potrwa tylko chwilę. Proszę. – Rzuca na łóżko torbę z dresami. – Obawiam się, że daleko im do kolekcji haute couture. Właściwie to masz szczęście, że nie są uszyte z pastelowego weluru. W każdym razie zrobiłam, co mogłam.

– Są super – mówię z wdzięcznością, oglądając anonimowe szare dresy. – Szczerze. Najważniejsze, że zasłonią mi tyłek i nie będą miały pieczętki z napisem „Własność szpitala”. Serio, naprawdę, naprawdę bardzo ci dziękuję, Nina.

– Kupiłam ci nawet buty... to tylko klapki, ale wiem, jak brudne potrafią być szpitalne prysznice. Pomyślałam, że jeśli wykopią cię stąd znienacka, przynajmniej będziesz miała w czym wyjść. Nosisz szóstkę, prawda?

– Piątkę, ale nie martw się, będą super. Proszę – ściągam i podaję jej sweter.

– Nie trzeba. Zachowaj go, dopóki nie oddadzą ci twoich rzeczy. Potrzebujesz pieniędzy?

Potrząsam głową, ale Nina i tak wyciąga dwa banknoty dziesięciofuntowe i rzuca je na szafkę.

– Na wszelki wypadek. Jak już będziesz miała po dziurki w nosie szpitalnego jedzenia, kupisz sobie panini. Dobra, lepiej już pójdę. – Ale nie rusza się z miejsca. Stoi, wpatrując się w swoje krótkie, kwadratowe paznokcie. Widzę, że chce coś powiedzieć i – z nietypową dla niej nerwowością – powstrzymuje się.

– No to do widzenia – mówię wreszcie, w nadziei, że sprowokuję ją do odezwania się, ale ona tylko kiwa głową i odwraca się. – Cześć.

Przy drzwiach zatrzymuje się i spogląda na mnie.

– Słuchaj, to, co powiedziałam wcześniej... Ja nie chciałam...

– Co powiedziałaś?

– To o Jamesie. O motywie. Naprawdę nie sędzę, że mogłabyś... Kurwa. – Lekko uderza pięścią w ścianę. – To nie zabrzmiało tak, jak powinno. Słuchaj, Nora, wciąż uważam, że to był wypadek i właśnie to powiedziałam Lamarr. Nigdy nie myślałam, że to miało jakikolwiek związek z tobą. Ale po prostu się martwiłam, okej? O ciebie. Nie z powodu ciebie.

Wypuszczam powietrze z płuc i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech. Spuszczam nogi na podłogę, podchodzę do Niny niepewnym krokiem i obejmuję ją.

– Wszystko w porządku. Wiem, co miałaś na myśli. Ja też się martwię. O nas

wszystkich.

Nina głaszcze mnie po włosach. Puszczam ją, a ona patrzy na mnie.

– Ale oni uważają, że to nie był wypadek, prawda? Dlaczego, na litość boską?

– Bo ktoś naładował tę broń – mówię. – Dlatego.

– Ale nawet jeśli... to przecież mógł zrobić ktokolwiek. Może nawet ciotka Flo, tylko była za bardzo wystraszona, żeby przyznać się do tego przed policją. Oni wciąż wypytyują o strzelnicę... Chcą wiedzieć, czy amunicja była we właściwy sposób zabezpieczona, czy ktoś mógł bez nadzoru zbliżyć się do ostrych nabojów. Najwyraźniej uważają, że nabój pochodził stamtąd. W każdym razie to próbują udowodnić. Ale jeśli jedno z nas chciałoby zabić Jamesa, dlaczego, do kurwy nędzy, zwabiłoby go na to zadupie, żeby to zrobić?

– Nie wiem – wzdycham. Nogi zaczynają się pode mną uginać ze zmęczenia, więc puszczam ramię Niny i chwiejnym krokiem wracam do łóżka. Robi mi się niedobrze od całego tego gadania o broni. – Naprawdę nie wiem.

– Myślę tylko... – Nina urywa.

– Co?

– Po prostu myślę... Och, pieprzyć to. Słuchaj... niezależnie od tego, do jakiej niewyobrażalnie paskudnej rzeczy doszło między tobą a Jamesem, myślę, że po prostu powinnaś im powiedzieć. Wiem... – unosi dłoń, żeby mnie powstrzymać – ...wiem, że to nie moja sprawa i mogę się odpieprzyć ze swoją nieproszoną radą, ale uważam, że cokolwiek się stało, prawdopodobnie nie było to tak straszne, jak ci się wydaje. Po prostu będzie wyglądać znacznie lepiej, jeśli powiesz im teraz.

Zamykam oczy ze znużeniem i pocieram ten cholerny swędzący opatrunek na czole. Potem wzdycham i unoszę powieki. Nina stoi tam, z rękami na biodrach, niczym zatroskana wojowniczką.

– Pomyślę o tym – mówię. – Okej? Pomyślę. Obiecuję.

– Okej – odpowiada. Wysuwa dolną wargę jak nadąsane dziecko i wiem, że gdyby wciąż miała koleczyk, który kiedyś w niej nosiła, teraz stukałaby nim o zęby. Pamiętam ten dźwięk rozlegający się w trakcie egzaminów. Dzięki Bogu, że pozbyła się tego paskudztwa, gdy dostała się na studia. Najwyraźniej pacjenci nie przepadają za widokiem chirurgów z dziurami w twarzy. – Pójdę już. Trzymaj się, Shaw. A jeśli wykopią cię stąd bez uprzedzenia, zadzwoń do mnie, okej?

– Zadzwonię.

*

Po wyjściu Niny leżę, rozmyślając o tym, co mi powiedziała. Dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie ma rację. Rozgrzane czoło swędzi mnie niemiłosiernie, a po głowie tłuką mi się słowa, takie jak „naboje” i „ślady krwawe”. W końcu nie mogę tego dłużej znieść. Wstaję i powoli, niczym staruszka, kuśtykam do łazienki.

Twarz, która wita mnie w lustrze, wygląda chyba jeszcze gorzej niż wczoraj. Ból jest znacznie mniejszy, ale sińce mieniają się feerią barw, od fioletowej przez żółtą, brązową i zieloną. Mam pod ręką wszystkie kolory potrzebne do namalowania krajobrazu Northumberland. Ale to nie sińce najbardziej mi dokuczają, lecz opatrunek.

Zaczynam podważać krawędź plastra, a potem – och, co za ulga – czuję rozkoszny ciągnący ból, gdy odkleja się, wyrrywając małe włoski na skroniach i w pobliżu linii włosów. Opatrunek odrywa się od rany.

Spodziewałam się szwów, ale żadnego nie widzę. Brzegi długiego, paskudnego cięcia są ściągnięte małymi plasterkami i czymś, co wygląda jak... Czy to naprawdę może być klej?

Wygolili mi niewielkie półkole w miejscu, w którym cięcie nurkowało za linię włosów. Włoski już zaczęły odrastać. Dotykam ich opuszkami palców. Są miękkie i kłujące, jak dziecięca szczotka.

Co za ulga czuć na czole zimne powietrze. Co za ulga pozbyć się tego swędzenia i napięcia skóry. Wyrzucam zakrwawiony opatrunek do kosza i powoli wracam do łóżka. Wciąż myśląc o Ninie. I o Lamarr. I o Jamesie.

To, co się wydarzyło między nami, nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Ale może Nina ma rację. Może powinnam wyjawić prawdę. Może nawet poczuję ulgę po tylu latach milczenia.

Nikt nie wiedział. Nikt poza mną i Jamesem nie znał prawdy.

Poświęciłam tyle czasu na pielęgnowanie gniewu wobec niego. A teraz on odszedł. Odszedł.

Może powiem Lamarr, kiedy przyjdzie rano. Powiem jej prawdę. Nie tyle prawdę – bo wszystko, co do tej pory powiedziałam, było prawdą – ile całą prawdę.

A prawda jest taka, że to James mnie rzucił. I owszem, zerwał ze mną przez SMS-a.

Jednak przez wszystkie te lata ukrywałam powód, dla którego to zrobił. Zostawił mnie, bo byłam w ciąży.

Nie wiem, kiedy to się stało. Kochaliśmy się tuziny, może setki razy. Nie mam pojęcia, za którym razem spółdziliśmy dziecko. Byliśmy ostrożni. Przynajmniej tak nam się wydawało.

Wiem tylko, że pewnego dnia zdałam sobie sprawę, że już od dawna nie miałam okresu. Od zbyt dawna. I zrobiłam sobie test.

Siedzieliśmy na łóżku w sypialni Jamesa, gdy mu o tym powiedziałam. Zbladł jak ściana, patrzył na mnie szeroko otwartymi, czarnymi oczami, w których czaiła się panika.

– Czy... – zaczął. A potem znowu: – Czy to możliwe, że się...

– Że się pomyliłam? – dokończyłam za niego. Potrząs-nęłam głową. Zdobyłam się nawet na pełen goryczy śmiech. – Wierz mi, nie. Zrobiłam test z osiem razy.

– A co z pigułką po? – zapytał. Próbowałam wziąć go za rękę, ale wyrwał mi się, wstał i zaczął krążyć po pokoju.

– Na to jest zdecydowanie za późno. Ale tak, musimy... – poczułam gulę w gardle. Zdałam sobie sprawę, że ze wszystkich sił próbuję się nie rozplakać – ...musimy zdecydować...

– My? To jest twoja decyzja.

– Chciałam o tym z tobą porozmawiać. Wiem, co chcę zrobić, ale to jest też twoje d...

Zamierzałam powiedzieć, że to również jego dziecko, ale nie zdążyłam dokończyć

zdania. Wydał stłumiony okrzyk, jakby ktoś dał mu w twarz, i odwrócił się do mnie plecami.

Wstałam i ruszyłam do drzwi.

– Leo... – powiedział zduszonym głosem. – Czekaj.

– Słuchaj – stałam już na schodach, z plecakiem przewieszonym przez ramię – wiem, że cię zaskoczyłam. Jak już będziesz gotowy porozmawiać... Zadzwoń do mnie, w porządku?

Ale nigdy tego nie zrobił.

Gdy dotarłam do domu, zadzwoniła do mnie rozwścieczona Clare.

– Gdzie ty, do cholery, byłaś? Wystawiłaś mnie! Czekałam pół godziny w foyer Odeonu, a ty nie odbierałaś telefonu!

– Przepraszam – powiedziałam. – Musiałam... musiałam coś... – nie mogłam dokończyć.

– Co? Co się stało? – zapytała, ale ja nie byłam w stanie odpowiedzieć. – Zaraz u ciebie będę.

Nigdy nie zadzwonił. Zamiast tego wysłał mi SMS-a. Popołudnie spędziłam z Clare, zadręczając się i zastanawiając, co powinnam zrobić, czy powiedzieć mamie, czy Jamesowi zostaną postawione zarzuty – chociaż już od kilku miesięcy byłam szesnastolatką, po raz pierwszy zrobiliśmy to, gdy miałam piętnaście lat.

Okolo ósmej wieczorem przyszedł SMS: *Lee. Przepraszam, ale to jest twój problem, nie mój. Załatw to. I nie dzwoń do mnie więcej. J.*

Więc załatwiłam to. Nie powiedziałam o niczym mojej mamie. Clare... właściwie to Clare zachowała się wspaniale. Owszem, potrafiła być opryskliwą i złośliwą manipulatką, ale w obliczu takiego kryzysu zachowywała się jak lwica broniąca młodego. Gdy teraz o tym myślę, rozumiem, dlaczego przyjaźniłyśmy się przez wszystkie te lata. I raz jeszcze zdaję sobie sprawę, jak samolubnie się potem zachowałam.

Zabrała mnie do kliniki autobusem. To był sam początek ciąży. Wystarczyło zażyć tabletkę. Wszystko odbyło się zaskakująco szybko.

Nie chodziło o aborcję. Nie za to obwinałam Jamesa. Sama tego chciałam, nie miałam ochoty urodzić dziecka w wieku szesnastu lat, zresztą była to tak samo moja wina, jak i jego. Cokolwiek można by o tym pomyśleć, to nie aborcja mnie załamała. Nie dręczy mnie poczucie winy wywołane stratą zlepkę komórek. Nie zamierzam czuć się winna.

Nic z tych rzeczy.

Chodziło o to, że... sama nie wiem, jak to ująć. Chodziło chyba o moją zranioną dumę. Nie mogłam uwierzyć, że byłam taka głupia. Że kochałam go tak bardzo i tak bardzo się pomyliłam. Jak mogłam? Jak mogłam się tak niewiarygodnie, niesamowicie pomylić?

A gdybym wróciła do szkoły, musiałabym żyć z tą wiedzą – nosić w sobie wspomnienie nas dwojga razem, na oczach wszystkich. Musiałabym powiedzieć stu osobom: Nie, nie jesteśmy już razem. Tak, rzucił mnie. Nie, wszystko w porządku.

Nic nie było w porządku. Byłam głupia. Byłam małą pieprzoną idiotką. Jak mogłam się tak pomylić? Zawsze uważałam, że znam się na ludziach. Wierzyłam, że James jest odważnym i kochającym człowiekiem. Myślałam, że mnie kocha. Nic z tego

nie było prawdą. Był słaby i tchórzliwy. Nie potrafił nawet spojrzeć mi w oczy, by zakończyć to, co między nami było.

Już nigdy nie zamierzałam zaufać swojej opinii.

To wszystko wydarzyło się w okresie przygotowawczym do egzaminów. Nie mieliśmy wtedy normalnych lekcji. Wróciłam do szkoły tylko po to, żeby zdać te egzaminy, a potem już nigdy się tam nie pojawiłam. Ani po to, żeby odebrać wyniki, ani jesienią, ani po to, żeby zobaczyć się z nauczycielami, którzy mi pomagali i mnie dopingowali. Przepisałam się do innej szkoły, do której musiałam dojeżdżać pociągiem z przesiadką. Ale byłam pewna, że nikt mnie tam nie zna. Moje dni stały się niemożliwie długie – wychodziłam z domu o wpół do szóstej rano, a wracałam o osiemnastej.

A potem moja matka i tak się przeprowadziła, żeby zamieszkać z Philem. Powinnam być zła, bo sprzedała dom dziadka, w którym dorastałam, gdzie wszyscy mieszkaliśmy przez tyle lat, gdzie były wszystkie nasze wspomnienia. I po części byłam zła, ale inna część mnie odczuła ulgę. Ostatnie więzy łączące mnie z Reading i z Jamesem zostały zerwane. Już nigdy nie będę musiała go oglądać.

Nikt nie wiedział, co dokładnie się wydarzyło, poza Clare. A nawet ona nie wiedziała o SMS-ie. Następnego dnia oświadczyłam jej, że postanowiłam usunąć ciążę i że zrywam z Jamesem. Objęła mnie, popłakała się i powiedziała: „Jesteś taka dzielna”.

Ale ja wcale nie byłam dzielna. Byłam tchórzem. Nigdy nie stawiałam czoła Jamesowi. Nigdy nie zapytałam go dlaczego. Jak mógł postąpić w taki sposób? Ze strachu? Z tchórzostwa? Później usłyszałam, że zaczął sypiać z kim popadnie w Reading – i z dziewczynami, i z chłopakami. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że James Cooper, którego znałam, nigdy nie istniał. Był wytworem mojej wyobraźni. Fałszywym wspomnieniem, zaszczerpionym przez moje własne nadzieje.

Ale teraz... teraz, gdy patrzę wstecz... sama nie wiem. Nie chodzi o to, że jestem gotowa dać Jamesowi rozgrzeszenie za bezmyślne okrucieństwo tej wiadomości, ale widzę siebie samą: wściekłą, przekonaną o słuszności własnego zachowania i tak surową wobec nas obojga. Może jestem gotowa rozgrzeszyć siebie za błąd, jaki popełniłam, zakochując się w Jamesie. Zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę byliśmy jeszcze dziećmi i kierowaliśmy się bezmyślnym dziecinny okrucieństwem i surową, czarno-białą moralnością. Kiedy człowiek jest młody, nie dostrzega odcieni szarości. Coś może być tylko dobre albo tylko złe, słuszne lub niesłuszne. Zasady są bardzo proste. Na placu zabaw moralności linie etycznego zachowania są wyrysowane równo jak na boisku do netballu. Wiadomo, kiedy popełnia się faul, wiadomo, jaka należy się za to kara.

James był zły.

Ja mu ufałam.

Zatem ze mną też było coś nie tak.

Ale teraz... teraz widzę przerażonego dzieciaka w obliczu potwornie ciężkiej moralnej decyzji, do której podjęcia nie był w żaden sposób przygotowany. Widzę, że musiał potraktować moje słowa jako próbę zmuszenia go do dokonania nieodwołalnego wyboru, próbę zrzucenia tej odpowiedzialności na jego barki.

I widzę siebie – równie przerażoną, równie nieprzygotowaną.

I jest mi tak ogromnie żal nas obojga.

Gdy Lamarr przyjdzie rano, powiem jej. Powiem jej całą prawdę. Po oddzieleniu faktów od fikcji, w zamierającym świetle wieczoru, nie wydaje się już taka straszna, jak się obawiałam. Nie wygląda na motyw morderstwa. Nina miała rację.

W końcu zasypiam.

Ale gdy Lamarr przychodzi rano, ma wyjątkowo ponury wyraz twarzy. Towarzyszy jej kolega, wielki, zwalisty mężczyzna o mięsistej twarzy wykrzywionej w wiecznym grymasie. Lamarr trzyma coś w dłoni.

– Nora – mówi bez wstępów – czy możesz to dla mnie zidentyfikować?

– Tak – mówię zaskoczona. – To mój telefon. Gdzie go znaleźliście?

Lamarr nie odpowiada. Zamiast tego siada, włącza dyktafon i poważnym, oficjalnym tonem wypowiada słowa, których się obawiałam:

– Leonoro Shaw, jesteś podejrzana o zabójstwo Jamesa Coopera. Masz prawo zachować milczenie. Jeśli zrezygnujesz z tego prawa, wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie w sądzie. Masz prawo do adwokata. Czy rozumiesz swoje prawa?

Skoro jestem niewinna, to nie mam się czego bać, prawda?

W takim razie, dlaczego tak bardzo się boję?

Lamarr nie nagrywała moich poprzednich zeznań. Wcześniej nie pouczyła mnie też o moich prawach. Nic, co powiedziałam do tej pory, nie mogłoby stanowić dowodu w sądzie, zatem przez kilka pierwszych minut przesłuchania omawiamy wcześniej ustalone fakty, żeby mogła je zarejestrować. Nie chcę adwokata. Wiem, że to głupie, ale nie potrafię pozbyć się wrażenia, że Lamarr jest po mojej stronie. Ufam jej. Jeśli tylko uda mi się przekonać ją, że jestem niewinna, wszystko będzie dobrze. W czym mógłby mi pomóc adwokat?

Wreszcie Lamarr podejmuje nowy temat.

– Czy możesz, proszę, spojrzeć na ten telefon – podaje mi komórkę zapakowaną w woreczek strunowy – i powiedzieć mi, czy go rozpoznajesz?

– Tak, to mój telefon. – Tłumię impuls, który każe mi obgryzać paznokcie. W ciągu ostatnich kilku dni obgryzałam je prawie do krwi.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, rozpoznaję zadrapanie na obudowie.

– A twój numer telefonu to... – Kartkuje notes, po czym odczytuje mi numer.

Kiwam głową.

– Tak, z-zgadza się.

– Interesuje mnie kilka ostatnich rozmów, które wykonałaś, i SMS-ów, które wysłałaś. Czy możesz mi powiedzieć, co pamiętasz?

Tego się nie spodziewałam. Nie rozumiem, jaki to może mieć związek ze śmiercią Jamesa. Może próbują odtworzyć nasze działania? Wiem, że można wyznaczyć lokalizację metodą triangulacji na podstawie sygnału komórkowego.

Próbuję sobie przypomnieć.

– Niewiele. W domu właściwie nie było zasięgu. Na strzelnicy sprawdziłam pocztę głosową... i Twittera. Och, i oddzwoniłam do sklepu rowerowego w Londynie, serwisują mój rower. Myślę, że to wszystko.

– Żadnych SMS-ów?

– Ja... nie sądzę – próbuję sobie przypomnieć. – Nie. Jestem pewna, że nie. Myślę, że ostatnią wiadomość wysłałam do Niny, dałam jej znać, że czekam na pociąg. To było w piątek.

Lamarr gładko zmienia temat:

– Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o twoim związku z Jamesem Cooperem. – Kiwam głową, próbując zachować opanowany, pomocny wyraz twarzy. Ale spodziewałam się tego. Może Clare się obudziła. Czuję, jak mój żołądek wykonuje salto.

– Poznaliście się w szkole, zgadza się?

– Tak. Mieliśmy około piętnastu, szesnastu lat. Chodziliśmy ze sobą, krótko, a potem zerwaliśmy.

– Jak krótko?

– Cztery czy pięć miesięcy.

To nie do końca prawda. Byliśmy razem pół roku. Ale już powiedziałam „krótko”, a pół roku to dość długi staż. Nie chcę, żeby już na początku przesłuchania wyszło, że sama sobie przeczę. Na szczęście Lamarr nie pyta mnie o daty.

– Czy pozostaliście w kontakcie po rozstaniu? – pyta.

– Nie.

Czeka, aż rozwinę temat. Ja też czekam. Lamarr składa dłonie na kolanach i patrzy na mnie. Nie wiem, do czego zmierza, ale potrafię milczeć, w tym jestem dobra. Milczenie zawisa ciężko w powietrzu. Słyszę ciche miarowe tykanie jej drogiego zegarka i zastanawiam się przez chwilę, skąd bierze na to pieniądze: ta spódnica nie została kupiona za policyjną pensję, podobnie jak masywne złote kolczyki. Złoto wygląda na prawdziwe. Tak czy siak, to nie moja sprawa. To tylko coś, nad czym rozmyślałam dla zabicia czasu.

Ale Lamarr też potrafi czekać. Cechuje ją swego rodzaju kocia cierpliwość. Czeka w bezruchu, aż mysz spanikuje i rzuci się do ucieczki.

W końcu jej towarzyszy, detektyw Roberts, nie wytrzymuje:

– Chcesz nam powiedzieć, że nie miałaś z nim żadnego kontaktu przez dziesięć lat – mówi szorstko – a jednak zaprosił cię na swój ślub?

Cholera. Ale nie ma sensu kłamać. Skontaktowanie się z matką Clare i sprawdzenie listy gości zajęłoby im dwie minuty.

– Nie. Clare zaprosiła mnie na wieczór panieński, ale nie na ślub.

– To trochę dziwne, prawda? – włącza się z powrotem Lamarr, uśmiechając się przyjaźnie, jakbyśmy plotkowały nad cappuccino. Jej okrągłe, różane policzki i wysokie kości policzkowe sprawiają, że wygląda jak Nefertiti, a jej uśmiech jest szeroki, ciepły i szczodry.

– Nie bardzo – kłamię. – Ostatecznie jestem byłą dziewczyną Jamesa. Wyobrażam sobie, że Clare uznała, iż to będzie za bardzo krępujące, i dla mnie, i dla niej.

– Więc po co zaprosiła cię na swój wieczór panieński? Czy to nie wydawało się jej równie krępujące?

– Nie wiem. Musiałaby pani zapytać o to Clare.

– A więc nie utrzymywałaś żadnego kontaktu z Jamesem Cooperem od kiedy zerwaliście?

– Nie. Żadnego kontaktu.

– Żadnych SMS-ów? E-maili?

– Żadnych. – Nie jestem pewna, do czego to wszystko zmierza. Czy próbują ustalić, że nienawidziłam Jamesa? Że nie mogłam znieść jego obecności? Żołądek znów mi się przewraca, a cichy głos w mojej głowie szepcze: Nie jest za późno, żeby poprosić o adwokata... – Szanowni państwo – mówię nieco podniesionym głosem – nie ma chyba nic dziwnego w tym, że nie utrzymuje się kontaktu ze swoim eks.

Lamarr znowu zmienia temat, zbijając mnie z tropu:

– Czy możesz mi opowiedzieć o tym, co robiłaś w trakcie tego weekendu? Czy były momenty, gdy opuszczałaś posiadłość?

– Cóż, pojechaliśmy na strzelnicę... – mówię niepewnie. – Ale o tym pani wie.

– Mam na myśli czas spędzany samotnie. Biegałaś, zgadza się?

Nagle czuję, że tracę grunt pod nogami. Trudno mi znieść fakt, że nie wiem, do czego zmierzają.

– Tak – potwierdzam. Sięgam po poduszkę i przytulam ją do piersi. A potem, żeby okazać chęć współpracy, dodaję: – Dwukrotnie. Raz, gdy przyjechałyśmy w piątek, i raz w sobotę.

– Czy możesz mi powiedzieć w przybliżeniu, w jakich godzinach?

Próbuję sobie przypomnieć.

– Myślę, że w piątek to było około... wpół do piątej? Może trochę później. Pamiętam, że było już dość ciemno. Spotkałam Clare na drodze dojazdowej, gdy wracałam z biegu około szóstej. A w sobotę... było wcześniej. Przed ósmą rano. Nie potrafię ustalić dokładniejszej godziny. Na pewno po szóstej, bo było jasno. Melanie była już na nogach, może ona będzie pamiętać.

– W porządku – Lamarr zapisuje godziny, nie ufając dyktafonowi. – I nie używałaś telefonu w trakcie biegów?

– Nie. – O co tu, do cholery, chodzi? Wbijam palce w miękką poduszkę, jakby to była kamizelka ratunkowa.

– A w sobotę wieczorem? Czy wtedy wychodziłaś?

– Nie – mówię, ale potem coś sobie przypominam. – Czy powiedzieli pani o śladach stóp?

– O śladach stóp? – Unosi wzrok znad notesu, a na jej twarzy maluje się zdziwienie. – Jakich śladach stóp?

– Ktoś zostawił na śniegu ślady stóp. Zobaczyłam je, gdy wróciłam z biegu w sobotę rano. Prowadziły z garażu do bocznych drzwi.

– Hm. Przyjrzę się temu. Dzięki. – Notuje. Potem znowu zmienia temat. – Czy przypomniłaś sobie coś więcej na temat tego, co się stało, gdy opuściłaś dom w sobotę w nocy? Gdy pobiegłaś za samochodem?

Potrząsam głową.

– Przykro mi. Pamiętam, jak przedzierałam się przez las... Widzę urywki obrazów, samochód, tłuczone szkło, tego typu rzeczy... ale nic konkretnego.

– Rozumiem. – Zamyka swój notes i wstaje. – Dziękuję ci, Nora. Masz jeszcze jakieś pytania, Roberts?

Jej towarzysz potrząsa głową, a wtedy Lamarr dyktuje godzinę i miejsce przeprowadzenia przesłuchania, wyłącza dyktafon i wychodzą.

Jestem podejrzana.

Siedzę i próbuję przetrwać ten fakt.

Czy to dlatego, że znaleźli mój telefon? Ale co mój telefon może mieć wspólnego z morderstwem Jamesa?

A potem uświadamiam sobie coś, co powinnam była zrozumieć już wcześniej.

Od początku byłam podejrzana.

Nie przesłuchiwali mnie wcześniej z uprzedzeniem o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań wyłącznie dlatego, że przy takich problemach z pamięcią

moje zeznania nie kwalifikowałyby się jako dowód. Każdy adwokat by je podważył. Więc wydobywali ze mnie informacje metodą wywiadowczą. Potrzebowali ich tak bardzo, że ryzykowali rozmowę ze mną, mimo że nie byłam najbardziej wiarygodnym źródłem.

Ale w końcu lekarze potwierdzili, że jestem w pełni świadoma, a mój stan poprawił się na tyle, że można mnie oficjalnie przesłuchać. Więc teraz zaczynają budować sprawę przeciwko mnie.

Nie zostałam aresztowana. Tylko to jest pocieszające.

Nie przedstawiono mi zarzutów. Jeszcze.

Gdybym tylko mogła sobie przypomnieć tych kilka brakujących minut. Co się wydarzyło? Co takiego zrobiłam?

Czuję, jak narasta we mnie rozpacz, szloch więźnie mi w gardle. Zaciskam palce na miękkiej poduszce, kryję twarz w jej bieli i próbuję sobie przypomnieć. Jaką mogę mieć nadzieję, że przekonam Lamarr, iż mówię prawdę, jeśli nie odzyskam tych brakujących minut?

Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, że jestem z powrotem w szklanym domu. Widzę wielkie lśniące bryły, świecące w środku ciemnego, cichego lasu. Czuję zapach opadłych sosnowych igieł i mróz kłujący w nozdrza i opuszki palców. Przypominam sobie dźwięki lasu, miękkie pacnięcia śniegu osuwającego się z gałęzi, pohukiwanie sowy, ryk silnika wozu znikającego w ciemnościach.

I widzę siebie – jak biegnę długim, prostym traktem między drzewami, czując pod stopami sprężystą miękkość igieł.

Ale nie mogę sobie przypomnieć, co się stało później. Zupełnie, jakbym próbowała uchwycić scenę odbijającą się w stawie. Widzę obrazy, ale gdy po nie sięgam, rozpadają się na tysiąc kręgów, a mnie w dłoniach zostaje tylko woda.

Coś się przytrafiło w tamtych ciemnościach – mnie, Clare i Jamesowi. Albo ktoś. Ale kto? Co?

*

– Cóż, Leonoro, jestem bardzo zadowolony z pani stanu. – Doktor Miller chowa swój długopis. – Wciąż niepokoi mnie jednak ta luka w pamięci, ale z tego, co pani mówi, wspomnienia zaczynają wracać i nie widzę żadnego powodu, żeby dłużej tu panią trzymać. Naturalnie będzie pani musiała zgłaszać się na kontrole, ale tym zajmie się już pani lekarz pierwszego kontaktu. – Zanim zdążę przetrwać jego słowa, on ciągnie: – Czy mieszka pani z kimś, kto będzie w stanie pani pomóc?

Co?

– N-nie. Mieszkam sama.

– Cóż, a czy mogłaby się pani zatrzymać u przyjaciółki na kilka dni? Albo poprosić ją, żeby przyjechała do pani? Poradziła sobie pani zdumiewająco dobrze, ale nie chciałbym, żeby pani wracała do pustego mieszkania.

– Mieszkam w Londynie – mówię bez związku. Co mam mu powiedzieć? Nie mam nikogo, komu mogłabym się narzucać przez cały tydzień, a nie widzę możliwości, by wybrać się do Australii, pod czułe skrzydła mamy.

– Rozumiem. A czy jest ktoś, kto może panią odwiedzić do domu?

Próbuję myśleć. Nina, może. Mogłabym ją poprosić. Ale... ale chyba nie mogą mnie stąd wyrzucić tak szybko? Nagle przestaję być taka pewna, że jestem już gotowa na opuszczenie szpitala.

– Nie rozumiem – zwracam się do pielęgniarki po tym, jak lekarz zabiera swoje notatki i wychodzi. – Nikt mnie o tym nie uprzedził.

– Nie martw się – pociesza mnie kobieta. – Nie wyrzucimy cię na bruk, jeśli nie będziesz miała dokąd pójść. Ale potrzebujemy łóżka, a tobie już nic nie grozi, więc...

Więc nie chcą mnie tu dłużej trzymać.

To dziwne, że odbieram to jako cios. Dociera do mnie, że w ciągu tych kilku dni zostałam w pewnym sensie zinstytu-cjonalizowana. Chociaż to miejsce od początku przypominało klatkę, teraz, gdy drzwi zostały otwarte, nie chcę jej opuszczać. Nauczyłam się polegać na lekarzach, pielęgniarkach i szpitalnej rutynie – wszystko to chroniło mnie przed policją, przed rzeczywistością tego, co się wydarzyło.

Co zrobię, jeśli zostanę wyrzucona? Czy Lamarr pozwoli mi pojechać do domu?

– Powinniście porozmawiać z policją – mówię nagle z dziwną obojętnością. – Nie jestem pewna, czy będą chcieli, żebym opuszczała Northumberland.

– Ach, tak, zapomniałam, że jesteś tą biedaczką z wypadku. Nie martw się, upewnimy się, że wiedzą.

– Detektyw Lamarr – dodaję. – To ona tu do mnie przychodziła. – Nie chcę, żeby pielęgniarka rozmawiała z Robertsem, facetem o grubym karku i ściągniętych brwiach.

– Dam jej znać. I nie martw się. Dzisiaj i tak cię nie wypiszemy.

Po jej wyjściu próbuję przeanalizować swoją sytuację.

Zostanę wyrzucona. Może nawet jutro.

A co potem?

Albo pozwolą mi wrócić do Londynu, albo... nie. A jeśli nie będzie mi wolno wrócić, to oznacza aresztowanie. Próbuję sobie przypomnieć, co wiem o moich prawach. Jeśli zostanę zatrzymana, mogę być przesłuchiwana... jak długo? Trzydzieści sześć godzin? Myślę, że mogą zdobyć nakaz i przedłużyć ten okres, ale nie jestem pewna. Kurwa. Jestem autorką kryminałów. Jak to możliwe, że nie wiem takich rzeczy?

Muszę zadzwonić do Niny, ale nie mam komórki. Żeby zadzwonić z telefonu przy łóżku, trzeba wykupić minuty kartą kredytową, a mój portfel ma policja. Chyba mogłabym zadzwonić z dyżurki pielęgniarek – jestem pewna, że pozwoliłyby na to, gdybym musiała załatwić sobie transport – ale nie znam na pamięć numeru Niny. Wszystkie kontakty mam zapisane w telefonie.

Zastanawiam się, czyje numery znam na pamięć. Kiedyś pamiętałam numer do rodziców Niny, ale oni się przeprowadzili. Oczywiście znam numer do swojego mieszkania, ale to mi nie pomoże, bo nikogo tam nie ma. Znałam też na pamięć numer starego domu, w którym dorastałam, ale nie pamiętam numeru do mamy w Australii. Żałuję, że nie mam kogoś takiego jak Jess – kogoś, do kogo mogłabym się zwrócić w każdej sytuacji i powiedzieć bez wstydu „potrzebuję cię”. Jestem sama. Zawsze myślałam, że bycie samowystarczalną to powód do dumy. Teraz zdaję sobie sprawę, że to jednocześnie swego rodzaju słabość. Co, do licha, mogę zrobić? Mogłabym poprosić pielęgniarki, żeby wygooglowały mojego wydawcę. Ale chyba spaliłabym się ze wstydu,

gdybym musiała poprosić ją o pomoc w takich okolicznościach.

Jedyny aktualny numer, który pamiętam doskonale, to numer do rodziców Jamesa. Musiałam go wykręcać setki razy. James wiecznie gubił komórkę. Wiem, że wciąż tam mieszkają. Ale nie mogę do nich zadzwonić. Nie w takich okolicznościach.

Muszę to zrobić, gdy wrócę do Londynu. Muszę zapytać o pogrzeb. Muszę... Muszę...

Zaciskam powieki. Nie będę znowu płakać. Pozwolę sobie na to, gdy już stąd wyjdę, ale teraz muszę postępować praktycznie. Nie mogę myśleć o Jamesie ani o jego rodzicach.

W końcu mój wzrok zatrzymuje się na papierowym kubeczku stojącym na szafce. Numer Matta. Ostrożnie rozrywam kubeczek i chowam oderwany skrawek papieru do kieszeni. Teraz i tak nie mogłabym do niego zadzwonić, jest pewnie w drodze do Londynu. Ale pociesza mnie myśl, że mam przynajmniej jedną osobę, do której mogę się zwrócić w kryzysowej sytuacji.

Dwa dni temu nie miałam pojęcia o jego istnieniu. Teraz stanowi mój jedyny kontakt ze światem zewnętrznym.

Ale nie ma sensu martwić się na zapas. Wróci Nina albo Lamarr. Na pewno będę mogła jakoś przekazać im wiadomość.

Muszę tylko czekać.

Wciąż siedzę, gapiąc się w przestrzeń i obgryzając resztki paznokci, gdy do sali zagląda pielęgniarka.

– Telefon do ciebie, złotko. Przełączę do aparatu przy łóżku. – Wskazuje na biały plastikowy telefon zawieszony na wysięgniku obok łóżka i wycofuje się.

Kto to może być? Kto wie, że tu jestem? Może to mama? Patrzą na zegar. Nie – w Australii jest teraz środek nocy.

Potem, jak zimna dłoń na karku, mrozi mnie myśl: rodzice Jamesa. Muszą wiedzieć, że tu jestem.

Telefon zaczyna dzwonić. Na moment tracę całą odwagę i myślę o tym, żeby nie odbierać. Ale w końcu zaciskam zęby i zmuszam się do podniesienia słuchawki.

– Halo?

Po chwili milczenia słyszę głos:

– Nora? To ty?

Nina. Zalewa mnie fala ulgi i przez moment zastanawiam się, czy to nie telepatia. Jak dobrze jest usłyszeć jej głos, mieć świadomość, że nie jestem zupełnie zdana na łaskę losu.

– Nina! Dzięki Bogu! Możliwe, że lada dzień będą mnie wypisywać, a zorientowałam się, że nie mam twojego numeru ani nic... Czy to dlatego dzwonisz?

– Nie – mówi krótko. – Słuchaj, nie będę owijać w bawełnę. Flo próbowała popełnić samobójstwo.

Brak mi słów.

– Nora? – woła Nina po chwili. – Nora, jesteś tam? Cholera, już mnie rozłączyło?

– Tak – mówię, oszołomiona. – Tak, tak, jestem. Tylko... Jezu...

– Nie chciałam ci mówić przez telefon, ale nie chciałam też, żebyś usłyszała o tym od jednej z pielęgniarek albo od policji czy coś. Zabrali ją do twojego szpitala.

– O mój Boże... Czy ona... czy ona z tego wyjdzie?

– Tak myślę, chyba tak. To ja ją znalazłam. W łazience pensjonatu, w którym mieszkamy. Od kilku dni zachowywała się dziwnie, ale nie zdawałam sobie sprawy, że... ja... – Najwyraźniej jest roztrzęsiona, a do mnie dopiero teraz dociera, w jakim musi żyć napięciu. Podczas gdy Clare i ja leżałyśmy w szpitalu, unikając głównego impetu przesłuchań, Nina, Flo i Tom byli pewnie maglowani na okrągło. – To był czysty traf, że wróciłam wcześniej, niż zapowiadałam. Powinnam była to zauważyć. To, co się stało, było straszne, ale nie sądziłam...

– To nie twoja wina...

– Jestem cholerną lekarką, Nora – przerywa mi udręczonym głosem. – Owszem, minęło trochę czasu, od kiedy miałam styczność z przypadkami zaburzeń psychicznych, ale powinniśmy pamiętać wiedzę przyswojoną w trakcie podstawowego szkolenia. Cholera. Powinnam była to przewidzieć.

– Ale ona z tego wyjdzie?

– Sama nie wiem. Wzięła garść środków nasennych, połączyła je z valium i mnóstwem paracetamolu i popiła whisky. To ten paracetamol mnie martwi. Straszne świństwo. Możesz się obudzić w szpitalu i wszystko jest w porządku, a potem nagle wysiada ci wątroba, dokładnie w momencie, gdy dochodzisz do wniosku, że samobójstwo jednak nie mieści się w twoim wiosennym grafiku.

– Mój Boże... Biedna Flo. Czy powiedziała... podała powód?

– Zostawiła tylko liścik, w którym napisała, że nie potrafi już sobie z tym poradzić.

– Czy myślisz... – urywam. Nie wiem, jak o to zapytać.

– Co? Że ma wyrzuty sumienia? – Niemal słyszę, jak Nina wzrusza ramionami. – Nie wiem. Ale niezależnie od przebiegu wydarzeń, to ona trzymała broń. Nie sądzę, by Lamarr i Roberts lekko ją potraktowali.

– Skąd wzięła pigułki?

– Przepisano jej diazepam i środki nasenne. Ona... my wszyscy żyjemy tu w ogromnym stresie, Nora. Flo zobaczyła, jak zostaje zastrzelony człowiek. To coś w rodzaju zespołu stresu pourazowego.

Zamykam oczy. Leżałam tu bezpiecznie, otoczona kokonem nieświadomości, podczas gdy Flo się załamywała.

– Miała obsesję na punkcie całej tej imprezy – mówię w końcu. – Pamiętasz, jak ciągle powtarzała, że chce urządzić dla Clare i d e a l n y wieczór paniński.

– Wiem – mówi Nina. – Wierz mi, nasłuchaliśmy się o tym sporo przez kilka ostatnich dni. Jedyne, co robiła, to płakała i obwiniała się za to, co się wydarzyło.

– Ale co się wydarzyło, Nina? – Orientuję się, że ściskam plastikową słuchawkę

tak mocno, aż bolą mnie palce. – Lamarr uważa, że to morderstwo. Wiem, że tak myśli. Zadają dziwne pytania na temat mojego telefonu. Udzielili mi oficjalnego pouczenia. Jestem podejrzana.

– Wszyscy jesteśmy podejrzeni – poprawia mnie Nina ze znużeniem. – Nie tylko ty. Wszyscy byliśmy przy tym, jak człowiek został postrzelony i umarł. Kurwa. Chciałabym, żeby już było po wszystkim. Tęsknię za Jess tak bardzo, że nie mogę się na niczym skupić. Dlaczego, do kurwy nędzy, zgodziłyśmy się, żeby tu przyjechać, Nora? – W jej głosie słychać zmęczenie. Nie tylko tą sytuacją, ale w ogóle wszystkim. Wyobrażam sobie, jak siedzą z Tomem w swoich pokojach i czekają na kolejną rundę przesłuchań, czekają na jakieś odpowiedzi, na wieści na temat Flo, Clare i tego, co się naprawdę stało. Kazali jej zostać. Jest schwytana w pułapkę, tak samo jak ja. Uwięziona przez wydarzenia, do których doszło w tamtym domu. – Słuchaj, muszę kończyć – wzdycha w końcu. – To gówniany telefon na kartę i chyba nie zostało mi za wiele minut. Ale zadzwonię jeszcze i zostawię numer w recepcji, dobra? Powiedz im, żeby mnie powiadomili, jeśli cię wykopią.

– Okej – mówię. Słowa więzną mi w gardle. Odkasłuję, próbując to ukryć. – Dbaj o siebie, słyszysz mnie? I nie zadręczaj się Flo. Wyjdzie z tego.

– Nie jestem tego taka pewna – przyznaje Nina ponurym głosem. – Na studiach widziałam kilka przypadków przedawkowania paracetamolu i wiem, jak to się kończy. Ale dzięki, że próbujesz mnie pocieszyć. I... Nora... – urywa.

– Tak?

– Ja... Och, kurwa, słuchaj, nie ma sensu o tym gadać. Nieważne.

– Co takiego?

– Chciałam tylko powiedzieć... Spróbuj sobie przypomnieć, co się wydarzyło po tym, jak opuściłaś dom, dobra? Wiele od tego zależy. Nie naciskam, tak tylko mówię... – kończy z drżącym śmiechem.

– Tak, wiem. Pa, Nina.

– Pa.

Nina się rozłącza, a ja pocieram twarz. *Nie naciskam*. Pewnie uznała, że to niezły żart. Wie równie dobrze, jak ja, pod jaką presją się znajdujemy. Wszyscy.

Muszę sobie przypomnieć. Muszę.

Zamykam oczy i próbuję.

*

– Nora. – Na ramieniu czuję czyjaś dłoń. Ktoś mną potrząsa. – Nora.

Mrugam i staram się usiąść. Próbuję zrozumieć, gdzie jestem i co się dzieje.

To Lamarr.

Spałam.

– Która godzina? – pytam nieprzytomnie.

– Jest niemal południe – odpowiada rzeczowym tonem, w którym nie ma ani cienia uśmiechu. Ma bardzo poważny wyraz twarzy. Detektyw Roberts stoi za nią w bezruchu, patrząc na mnie spode łba. Wygląda, jakby urodził się z ołówkiem w dłoni i kwaśną miną. Nie potrafię go sobie wyobrazić, jak tuli dziecko czy całuje ukochaną.

– Chcielibyśmy zadać ci jeszcze kilka pytań – wyjaśnia Lamarr. – Potrzebujesz chwili, żeby do siebie dojść?

– Nie, nie, wszystko w porządku – potrząsam głową, próbując się rozbudzić, podczas gdy Lamarr mnie obserwuje. – Proszę – zachęcam ją, żeby zaczęła.

Kiwa głową, uruchamia dyktafon i powtarza pouczenie. Następnie wyciąga z notesu arkusz papieru.

– Nora, chciałabym, żebyś to przeczytała. To transkrypcja SMS-ów z ostatnich kilku dni, pobranych z telefonów twojego oraz Jamesa.

Podaje mi kartkę, a ja prostuję plecy i pocieram oczy, próbując się skupić na ciasno zapisanym arkuszu. Każda wiadomość opatrzona jest numerem telefonu, z którego została wysłana, datą, godziną oraz jakąś informacją, której nie potrafię zinterpretować – może to lokalizacja GPS?

Pierwszemu SMS-owi towarzyszy mój numer i data: „piątek, 16:52”.

LEONORA SHAW: James, to ja, Leo. Leo Shaw.

JAMES COOPER: Leo?? Chryste, to naprawdę ty?

LEONORA SHAW: Tak, to ja. Naprawdę muszę się z tobą zobaczyć. Jestem na weekendzie panińskim Clare. Proszę, czy możesz tu przyjechać? To pilne.

JAMES COOPER: Co, serio?

JAMES COOPER: Czy C ci powiedziała?

LEONORA SHAW: Tak. Proszę, przyjedź. Nie mogę ci wyjaśnić przez telefon, o co chodzi, ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

JAMES COOPER: Naprawdę muszę przyjechać? Czy to nie może poczekać, dopóki nie wrócisz do Londynu?

LEONORA SHAW: Nie. To naprawdę pilne. Proszę. Nigdy cię o nic nie prosiłam, ale jesteś mi to winien. Jutro? W niedzielę będzie już za późno.

Następna wiadomość od Jamesa przyszła dopiero o 23:44:

JAMES COOPER: Gram jutro w popołudniowym i wieczornym przedstawieniu, skończę najwcześniej o 22/23. Mógłbym przyjechać, ale to zajmie mi 5+ godzin. Będę tam w środku nocy. Naprawdę chcesz, żebym to zrobił?

Sobota, 7:21.

LEONORA SHAW: Tak.

Sobota, 14:32

JAMES COOPER: OK.

LEONORA SHAW: DZIĘKUJĘ. Zostaw samochód przy głównej drodze. Kiedy dotrzesz do domu, wejdź od tyłu. Zostawię otwarte kuchenne drzwi. Będę czekać w pokoju na górze, drugie drzwi po prawej. Wyjaśnię wszystko, kiedy już będziesz na miejscu.

Kolejna długa przerwa. Odpowiedź Jamesa, opatrzona godziną 17:54, niemal łamie mi serce.

JAMES COOPER: OK. Tak mi przykro Leo – przepraszam za wszystko. Jx

A potem, o 23:18:

JAMES COOPER: Jestem w drodze.

I tyle.

Gdy podnoszę wzrok na Lamarr, wiem, że mam łzy w oczach.

– Przesłuchiwana skończyła odczytywać zapis – mówi cicho do dyktafonu. A potem: – Cóż, Nora? Możesz to jakoś wyjaśnić? Myślałaś, że tego nie odkryjemy? Wykasowanie SMS-ów nic nie dało, wiesz? Odzyskaliśmy je z serwera.

– Ja... ja... – próbuję się bronić. Nabieram powietrza w płuca i wreszcie wyrzucam z siebie: – Ja tego n-nie wysłałam.

– Czyżby? – To nie brzmi jak pytanie, tylko bezbarwne, znużone stwierdzenie.

– Naprawdę. Musi mi pani uwierzyć – mówię gorączkowo, chociaż z góry wiem, że sprawa jest beznadziejna. – Ktoś inny mógł je wysłać. Ktoś mógł zdublować moją kartę SIM.

– Wierz mi, Nora, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Te SMS-y zostały wysłane z twojego telefonu, godziny odpowiadają twoim przebieżkom po lesie oraz wizycie na strzelnicy.

– Ale ja nie zabierałam telefonu do lasu!

– Dowody zebrane dzięki lokalizacji GPS są rozstrzygające. Wiemy, że wychodziłaś z domu i wspinałaś się na wzgórze, żeby złapać sygnał.

– Nie wysłałam ich... – powtarzam rozpaczliwie.

Mam ochotę zagrzebać się pod prześcieradłami i naciąg-nąć koc na głowę. Lamarr stoi nade mną, już nie sadowi się przyjacielsko na łóżku. Twarz ma nieruchomą, jak wyrzeźbioną z kości słoniowej. Maluje się na niej współczucie, ale jest też swego rodzaju surowość, której wcześniej nie dostrzegałam, bezwzględna obojętność, jaka mogłaby cechować anioła – nie anioła miłosierdzia, lecz sprawiedliwości.

– Otrzymaliśmy również raport z analizy wraku samochodu, Nora. Wiemy już, co się wydarzyło.

– A co się wydarzyło? – Próbuję nie panikować, ale wiem, że mój głos jest roztrzęsiony i piskliwy. Oni wiedzą. Wiedzą coś, czego ja nie wiem. – Co się wydarzyło?

– Clare zatrzymała się i zabrała cię ze sobą. A gdy znowu nabrała prędkości,

chwyciłaś za kierownicę, pamiętasz? Chwyciłaś za kierownicę i zmusiłaś auto, żeby zjechało z drogi.

– Nie...

– Twoje odciski palców pokrywają całą kierownicę. Zdrapania na twoich rękach, połamane paznokcie... walczyłaś z Clare. Ona ma rany defensywne na dłoniach i ramionach. Pod jej paznokciami znaleźliśmy twoją skórę.

– Nie! – krzyczę, ale w tym samym momencie przed oczami staje mi przebłysk tamtych wydarzeń, jak koszmar, którego wspomnienie powraca do człowieka w środku dnia: przerażona twarz Clare, oświetlona blaskiem zielonych kontrolki deski rozdzielczej, moje dłonie szczepione z jej dłońmi. – Nie! – W moim głosie słychać szloch. Co ja zrobiłam?

– Co takiego powiedziała ci Clare, Nora? Powiedziała ci, że wychodzi za Jamesa, prawda?

Nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu, więc tylko potrząsam głową. Ale to nie jest próba zaprzeczenia. Po prostu nie potrafię sobie z tym poradzić, nie mogę znieść tych pytań.

– Przesłuchiwana potrząsa głową – wtrąca Roberts szorstko.

– Flo wyjaśniła nam, co się stało – ciągnie Lamarr. – Clare poprosiła ją, żeby pomogła jej utrzymać to w sekrecie. Planowała ci powiedzieć w ten weekend, prawda?

O Boże...

– Od kiedy z nim zerwałaś, nigdy nie byłaś w innym związku, czy to się zgadza?

Nie. Nie. Nie.

– Miałaś na jego punkcie obsesję. Clare odkładała powiedzenie ci prawdy, bo bała się twojej reakcji. Miała słuszość, czyż nie?

Proszę, pozwólcie mi się obudzić z tego koszmaru.

– Więc zwabiłaś go do tamtego domu, a potem zastrzeliłaś.

Nie. O Jezu. Muszę się odezwać. Muszę coś zrobić, żeby Lamarr się zamknęła, żeby przestała zarzucać mnie tymi podłymi oskarżeniami, gładko płynącymi z pomalowanych na śliwkowo ust.

– Czy to prawda, Nora? – powtarza, a jej głos nagle staje się cichy i łagodny. W końcu siada na skraju łóżka i wyciąga do mnie dłoń. – Prawda?

Podnoszę na nią wzrok. Mam łzy w oczach, ale widzę, że patrzy na mnie ze współczuciem. Widzę jej ciężkie kolczyki, niemożliwie ciężkie przy tak smukłej szyi. Słyszę klikanie i szmer dyktafonu.

Odzyskuję głos:

– Chcę się zobaczyć z adwokatem.

Próbuję wrócić myślami do momentu pierwszego SMS-a, tego, którego rzekomo wysłałam do Jamesa, tego, który wysłano z mojego telefonu o godzinie 16:52. Byłam wtedy w lesie. Telefon leżał w moim pokoju. A zatem, kto miał do niego dostęp?

Clare nie było jeszcze na miejscu – tego jestem pewna, bo spotkałam ją na podjeździe. Ale mógł to zrobić ktokolwiek z pozostałych.

Tylko dlaczego? Dlaczego ktoś chciałby zniszczyć mnie w ten sposób? Zniszczyć Jamesa, zniszczyć Clare?

Próbuję przeanalizować wszystkie możliwości.

Melanie wzbudza najmniej podejrzeń. Owszem, była w domu, gdy poszłam pobiegać, i jako jedyna była na nogach w sobotę rano, w trakcie mojego drugiego biegu, ale trudno mi uwierzyć, żebyśmy obchodzili ją na tyle, by zrobiła coś takiego. Po co miałyby ryzykować, żeby obciążyć winą kogoś, kogo prawie nie znała? A poza tym już jej nie było, gdy pojawił się James, gdy... gdy... Zamykam oczy, próbując wyrzucić z głowy obraz Jamesa leżącego w kałuży krwi na drewnianej podłodze. Mimo wszystko mogła podmienić nabój, szepcze cichy głosik w mojej głowie. Mogła to zrobić w każdej chwili. I to by wyjaśniało, dlaczego wyjechała w takim pośpiechu... To prawda. Mogła podmienić nabój. Ale z pewnością nie mogła przewidzieć reszty... otwartych drzwi, strzelby, mojej walki z Clare...

A zatem Tom. Miał okazję. Miał dostęp do mojego telefonu, gdy nie było mnie w domu. Był z nami na strzelnicy. I nagle dociera do mnie, że to on mógł powiedzieć Clare, by ruszyła sama do szpitala. Co sprawiło, że odjechała tak nagle? Wiedziałyśmy tylko tyle, ile sam nam powiedział. Teraz, w świetle tego, co się wydarzyło, fakt, że Clare aż tak się przesłyszała, wydaje się dość dogodny. Czy naprawdę odjechałyby bez nas, tak po prostu? Ostatecznie Nina jest lekarką. Przy niej James miałyby największą szansę przeżycia.

A co, jeśli to Tom kazał jej odjechać? Mógł powiedzieć cokolwiek – że Nina nie jedzie, że kazała Clare ruszać i czekać na nią w szpitalu. Co do motywu... Wracam myślami do tej pijackiej opowieści Toma na temat jego męża i Jamesa. Gdybym tylko wtedy uważała. Gdybym słuchała. Ale ja byłam znudzona. Znudzona litaniami nazwisk, których nie znałam, i teatralnymi intrygami. Czy to możliwe, że chodziło o jakąś urazę między Bruce'em a Jamesem? A może... o coś zupełnie odwrotnego. Ta teoria wydaje się jednak mało prawdopodobna. Nawet gdyby Tom rzeczywiście posłał Clare samą do szpitala, co by w ten sposób osiągnął? Nie mógł przewidzieć, co się wydarzy.

A przede wszystkim nie wiedział o tym, co w przeszłości łączyło mnie z Jamesem, dopóki sama mu nie opowiedziałam. Chyba że... chyba że powiedział mu ktoś inny.

Nie mogę wykluczyć, że usłyszał o tym od Clare. Ale sęk w tym, że morderstwo zostało zaplanowane w taki sposób, że zniszczyło nie tylko Jamesa. Niszczyło również mnie i Clare. To nie wygląda na straty uboczne; w sposobie, w jaki zostałam wrobiona, jest coś niewiarygodnie złośliwego i osobistego. Kto był zdolny do czegoś takiego? Dlaczego ktokolwiek chciałby mi to zrobić?

Próbuję spojrzeć na tę sytuację tak jak na fabułę jednej z moich książek. Gdybym

pisala powiesc, potrafilabym wymyslisc powod, dla ktorego Tom chcialby skrzywdzic Jamesa. I prawdopodobnie udaloby mi sie wyprodukowac motyw, dla ktorego Tom chcialby przy okazji zranic Clare. Ale mnie? Po co zadawac sobie tyle trudu, zeby pograzyc kogos, kogo nawet sie nie zna? Jedyna osoba, ktora moglaby chciec zniszczyc nas wszystkich, to ktos, kto zna cala nasza trojke. Kto byl swiadkiem tamtych wydarzen. Ktos taki jak...

Nina.

Mój umysł odrzuca takie rozwiązanie, wzdraga się na samą myśl o nim. Nina potrafi być dziwna; ostra, sarkastyczna, często bezmyślna. Ale nie ma mowy, żeby zrobiła coś takiego. Prawda? Myślę o jej twarzy, zastygłej w bolesnym grymasie, gdy wspominała rany postrzałowe, które leczyła w Kolumbii. Ona żyje po to, żeby pomagać ludziom. Z pewnością nie byłaby zdolna do czegoś takiego.

Ale jakiś cichy głosik przypomina mi o tym, jaka potrafi być bezwzględna. Pamiętam, jak kiedyś po wielu drinkach powiedziała mi: „Chirurdzy nie dbają o ludzi, nie podchodzą do sytuacji emocjonalnie. Są jak mechanicy: po prostu chcą ich rozciąć, zobaczyć, jak działają, rozmontować ich. Przeciętny chirurg przypomina małego chłopca, który rozkłada zegarek taty na części pierwsze, żeby poznać mechanizm działania, a potem nie potrafi poskładać go z powrotem. Im większe doświadczenie, tym lepiej ci idzie ponowne składanie człowieka do kupy. Ale zawsze pozostawiamy bliźnę”.

Myślę też o jej sporadycznych, ale szokujących przeblyskach pogardy wobec Clare. Myślę o jej rozgoryczeniu związanym z tym, jak Clare zdemaskowała ją tyle lat temu. Czy to możliwe, że nigdy jej tego nie wybaczyła? Wreszcie myślę o jej zachowaniu tego pierwszego wieczoru po przyjeździe. O grze w „Ja nigdy”. Pamiętam, z jaką złośliwością powiedziała, przeciągając samogłoski: „Nigdy nie pieprzyłam się z Jamesem Cooperem”.

Nagle drzę z zimna, chociaż w przegrzonym pomieszczeniu panuje upał jak w saunie. Bo za całą tą sytuacją kryje się właśnie tego rodzaju okrutna mściwość. To nie ciekawość powodowała Niną. Nie bezmyślność. To było celowe okrucieństwo – wobec mnie i wobec Clare. Ale odpycham tę myśl. Nie chcę myśleć o Ninie w ten sposób. Nie będę. Jeśli sobie na to pozwolę, oszaleję.

Flo. Flo to imię, do którego wciąż powracam. Flo była tam od początku. Flo zapraszała gości. Flo trzymała strzelbę. Flo twierdziła, że strzelba jest naładowana ślepymi nabojami.

Flo – z jej dziwaczną obsesją na punkcie Clare, z jej emocjonalną niestabilnością. Mogła się dowiedzieć o mnie i o Jamesie w dowolnym momencie. Ostatecznie była najlepszą przyjaciółką Clare od czasów studiów. Clare mogła jej się z tego zwierzyć.

Czy to dlatego przedawkowała? Czy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła?

Spoglądam przed siebie niewidzącym wzrokiem, rozmyślając o tym wszystkim, aż nagle kątem oka dostrzegam jakiś ruch za drzwiami.

Po chwili zdaję sobie sprawę, co to takiego.

Strażnik powrócił. Tyle że – teraz nie mam już żadnych wątpliwości – nie jest tu po to, żeby mnie chronić. Jest tu po to, żeby mnie pilnować.

Chłodno, beznamiętnie analizuję ostatnią osobę biorącą udział w wieczorze panieńskim: buduję sprawę przeciwko sobie.

Byłam tam. Mogłam wysłać te SMS-y do Jamesa. Mogłam podmienić ślepaki na ostre naboje. Trzymałam dłoń na lufie, gdy Flo wystrzeliła. Bez problemu mogłam przesunąć ją tak, by celowała we wchodzącego po schodach Jamesa.

I co najważniejsze, brałam udział w wypadku, który ostatecznie go zabił. Byłam w samochodzie, gdy zjechał z drogi.

Co, do cholery, wydarzyło się w tym aucie? Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć?

Myślę o słowach doktora Millera: „Czasami mózg tłumi wydarzenia, z którymi nie jesteśmy gotowi sobie poradzić. Przypuszczam, że to... swego rodzaju mechanizm obronny”.

Z czym mój mózg nie potrafi sobie poradzić? Czy to, co powiedziała Lamarr, to prawda?

Zdaję sobie sprawę, że trzęsę się z zimna. Sięgam po sweter Niny leżący w nogach łóżka i owijam się nim, wdychając zapach jej papierosów i perfum. Próbuję się uspokoić.

To nie perspektywa aresztowania i oskarżenia tak mnie zaszokowała. Wciąż do mnie nie dociera, że to naprawdę się wydarzy. Z pewnością, jeśli tylko wszystko wyjaśnię, uwierzą mi, prawda?

Tak naprawdę najbardziej wytrąciła mnie z równowagi świadomość, że ktoś nienawidzi mnie na tyle, żeby zrobić mi coś takiego. Ale kto?

Nie pozwalałam sobie myśleć o ostatniej możliwości. Jest zbyt straszna, żebym mogła stawić jej czoło. Ale gdy kulę się pod cienkim szpitalnym kocem, ze swetrem Niny narzuconym na ramiona, w mojej głowie rozlega się cichy szept: A jeśli to prawda?

*

Reszta dnia upływa powoli. Powietrze ma konsystencję melasy. Przypominają mi się koszmary, które czasami miewam, gdy czuję, że moje członki są zbyt ciężkie, bym mogła się ruszyć. Coś mnie goni i muszę uciekać, ale mam wrażenie, jakbym tkwiła w błocie. Moje nogi są odrętwiałe, poruszają się powoli i mogę tylko z bólem brnąć przez sen, podczas gdy niesprecyzowana okropność czyhająca za moimi plecami jest coraz bliżej.

Mały szpitalny pokój zaczyna przypominać więzienną celę – z wąskim panelem zbrojonego szkła i strażnikiem pod drzwiami.

Już wiem, co się stanie, gdy mnie wypiszą. Nie pojedę do domu. Zostanę aresztowana i zabrana na posterunek i prawdopodobnie postawią mi zarzuty. Już same SMS-y oraz fakt, że się ich wypieram, to wystarczający dowód, by mnie zatrzymać.

Pamiętam, jak dawno temu, gdy pisałam swoją pierwszą książkę, rozmawiałam z policjantem o technikach przesłuchań. „Słuchasz uważnie”, powiedział. „Nasłuchujesz kłamstwa”.

Lamarr i Roberts znaleźli kłamstwo, na które czekali: powiedziałam im, że to nie ja wysłałam te wiadomości. A jednak zostały wysłane z mojej komórki.

Próbuję jeść, ale potrawy nie mają smaku i zostawiam większość na tacy. Próbuję rozwiązywać krzyżówkę, ale nie widzę słów, tylko płataninę liter na stronie, podczas gdy w myślach jawią mi się inne obrazy.

Ja w sądzie, na ławie oskarżonych, w więziennej celi.

Flo – podłączona do respiratora, gdzieś w tym szpitalu.

Clare – leżąca na łóżku, z gałkami ocznymi poruszającymi się powoli pod zamkniętymi powiekami.

James – w powiększającej się kałuży krwi.

Nagle moje nozdrza wypełnia jej zapach – odór typowy dla sklepu rzeźnika. Czuję zapach krwi na moich dłoniach i piżamie, czuję zapach krwi wsiąkającej w drewniany parkiet.

Odrzucam pościel i wstaję. Idę do łazienki, żeby ochłapać wodą twarz, próbuję zmyć z siebie smród i atakujące mnie wspomnienia. Wspomnienia, których najbardziej potrzebuję, nie przychodzą. Czy to możliwe... czy to możliwe, że to jednak ja wysłałam te SMS-y i po prostu zagrzebałam to w pamięci wraz z tym, co wydarzyło się w samochodzie?

Komu mogę ufać, jeśli nie potrafię zaufać nawet sobie?

Kryję twarz w dłoniach, a potem spoglądam w lustro, pod bezlitosnym blaskiem świetlówki. Sińce wokół moich oczu bledną. Wyglądam, jakbym miała żółtaczkę. Widzę ciemne plamy w zagłębieniach przy grzbiecie nosa i pod dolnymi powiekami, ale nie wyglądam już jak dziwołag. Gdyby miała korektor, mogłabym je zatuszować. Ale nie mam. Nie pomyślałam, żeby poprosić o to Ninę.

Wyglądam na wychudzoną i postarzałą. Na policzku odcisnęły mi się ślady po sztywnych szpitalnych prześcieradłach.

Myślę o tym, jaka jestem w środku. Od niemal dekady czuję się jak szesnastolatka. Wciąż mi się wydaje, że mam długie włosy, i próbuję je zakładać za uszy w chwilach stresu, chociaż przecież dawno je obciąłam.

W mojej głowie James wciąż żyje. Nie potrafię uwierzyć, że odszedł.

Czy pozwoliliby mi zobaczyć jego ciało?

Drżąc, przeczesuję splątane włosy mokrą ręką. Ocieram wnętrze dłoni o szare dresowe spodnie.

Potem odwracam się i opuszczam łazienkę.

Gdy wchodzę do pokoju, zauważam, że coś się zmieniło. Początkowo nie potrafię stwierdzić co – moja książka wciąż leży na łóżku, a klapki pod nim. Dzbanek z wodą jest napełniony do połowy i stoi na szafce, a karta pacjenta sterczy, krzywo wetknięta w uchwyt w nogach łóżka.

Potem wreszcie to widzę.

Strażnik zniknął.

Podchodzę do drzwi, wyglądam przez wzmocnianą drutem szybę. Krzesło stoi na swoim miejscu. Na stoliku obok stoi kubek z parującą herbatą. Ale strażnika nigdzie nie widać.

Fala adrenaliny zalewa mnie i sprawia, że jeżą mi się włoski na karku. Moje ciało wie, co zamierzam zrobić, jeszcze zanim mój mózg w pełni to sobie uświadomi. Moje palce sięgają po klapki, nakładają je na stopy. Moje ręce zapinają ciemnoniebieskie guziki w kształcie kwiatków w swetrze Niny. Wreszcie zgarniam te dwa zmięte dziesięciofuntowe banknoty, wciąż leżące na szafce.

Serce wali mi jak oszalałe, gdy delikatnie napieram na drzwi, spodziewając się, że w każdej chwili usłyszę okrzyk: „Stój!”. Albo pielęgniarkę pytającą: „Czy wszystko w porządku, skarbie?”.

Ale nikt nic nie mówi.

Nikt nic nie robi.

Wychodzę z pokoju i idę korytarzem, mijając inne sale. Moje klapki skrzypią na linoleum.

Mijam dyżurkę pielęgniarek – nikogo tam nie ma. W małym biurze siedzi kobieta, odwrócona plecami do szyby, zajęta papierkową robotą.

Skrzyp, skrzyp, skrzyp. Przechodzę przez podwójne drzwi i wychodzę na główny korytarz, gdzie powietrze mniej pachnie lizolem, a bardziej jedzeniem z kuchni znajdującej się na końcu. Przyspieszam odrobinę. Widzę znak z napisem „Do wyjścia” i strzałką wskazującą tuż za róg.

Gdy skręcam, serce niemal zamiera mi w piersi. Pod męską toaletą stoi policjant i mamrocze coś do krótkofalówki. Przez moment się waham. Prawie zawracam, żeby pobiec do pokoju, zanim odkryje, że zniknęłam.

Ale nie robię tego. Biorę się w garść i mijam go, skrzyp, skrzyp, skrzyp, podczas gdy moje serce wali mi bang, bang, bang w rytm kroków. Mężczyzna nawet na mnie nie patrzy.

– Przyjąłem – mówi, gdy go mijam.

A potem skręcam za róg i jego już nie ma.

Idę dalej, nie za szybko, nie za wolno. Z pewnością ktoś mnie zatrzyma. Z pewnością nie można tak po prostu wyjść ze szpitala.

Widzę znak z napisem „Wyjście”, wskazujący na korytarz, wzdłuż którego stoją rzędy łóżek poroizolowanych parawanami. Jestem prawie na miejscu.

A potem, gdy już mam przejść przez ostatnie drzwi dzielące mnie od lobby z windami, zauważam postać za wąską szybą.

To Lamarr.

Wstrzymuję oddech i niemal bez zastanowienia cofam się tyłem do najbliższego zasłoniętego parawanem łóżka, modląc się, żeby osoba w nim leżąca spała.

Ukradkiem zaciągam za sobą zasłonki. Mam serce w gardle. Stoję tam i czekam, nasłuchując. Słyszę, jak otwierają się i zamykają drzwi prowadzące na główny oddział, a potem rozlega się stukot jej obcasów klik-klak, klik-klak na posadzce wyłożonej linoleum. Kroki zatrzymują się przy dyżurce pielęgniarek, niemal naprzeciwko wydzielonej salki, w której się ukrywam. Ręce mi się trzęsą, gdy tak stoję i czekam, aż gwałtownym ruchem odsunie zasłonkę, aż zostaną odkryta.

Ale Lamarr rzuca tylko jakąś uprzejmą uwagę do przełożonej pielęgniarek i słyszę, jak oddala się korytarzem, klik-klak, klik-klak, w stronę toalet i mojego pokoju.

Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu...

Nogi mam jak z waty. Drżą tak bardzo, że przez moment wątpię, czy będę w stanie się na nich utrzymać. Ale muszę. Muszę się stąd wydostać, zanim ona dotrze do mojego pokoju i zorientuje się, że zniknęłam. Nagle zaczynam żałować, że nie ułożyłam poduszek pod kocem, by markowały zarys mojego ciała, ani nie zaciągnęłam zasłonek w oknie.

Biorę kilka głębokich wdechów, próbując się uspokoić, po czym odwracam się, aby ewentualnie przeprosić osobę leżącą na łóżku za mną.

Gdy ją widzę, serce mi zamiera.

To Clare.

Clare – z zamkniętymi oczami i złotymi włosami rozsypanymi na poduszce.

Jest bardzo blada, twarz ma nawet bardziej poharataną niż ja. Na jednym z jej palców tkwi klips podłączony do monitora, jeszcze więcej przewodów niknie pod kocami.

Mój Boże. Och, Clare...

Wiem, że to szaleństwo, ale nie mogę się powstrzymać. Zbliżam dłoń do jej twarzy i odsuwam pasmo włosów z jej ust. Gałki oczne drgają jej pod powiekami, a ja wstrzymuję oddech, ale po chwili Clare z powrotem pogrąża się w stanie, w jakim się znajduje – sen? śpiączka? – a ja wzdycham z ulgą.

– Clare – szepczę bardzo cicho, tak żeby nikt nie usłyszał, ale może mój głos przeniknie do jej snów. – Clare, to ja, Nora. Przysięgam, że odkryję prawdę. Dowiem się, co się wydarzyło. Obiecuję.

Clare nie reaguje. Gałki oczne przesuwają się pod jej powiekami, a ja przypominam sobie Flo podczas seansu spirytystycznego, niewidzącym wzrokiem szukającą czegoś, czego nikt z nas nie mógł zobaczyć.

Czuję się tak, jakby serce miało mi pęknąć.

Ale nie mogę się teraz zatrzymać. Możliwe, że już mnie szukają.

Ostrożnie, ukradkiem, wyglądam zza zasłonki. Korytarz jest pusty, dyżurka pielęgniarek pozostawiona bez obsługi, najwyraźniej wszystkie zajmują się pacjentami. Ich przełożona też zniknęła.

Wyślizguję się, zaciągając za sobą zasłonki, a potem niemal rzucam się do drzwi prowadzących do oświetlonego lobby.

Naciskam guziki wind nie raz, ale pięć, dziesięć, piętnaście razy.

Naciskam raz za razem, jakby to mogło sprawić, że winda przyjedzie szybciej.

Wreszcie rozlega się nagły zgrzyt, potem dźwięk dzwonka i rozsuwają się drzwi na samym końcu. Prawie wbiegam do środka. Natykam się na sanitariusza z kobietą na wózku inwalidzkim. Mężczyzna gwizdże przez zęby piosenkę Lady Gagi. Proszę, proszę, żeby tylko mi się udało...

Winda zjeżdża na parter, a ja się odsuwam, by przepuścić sanitariusza przodem, po czym ruszam w stronę głównego wyjścia, kierując się znakami. Za biurkiem w recepcji siedzi kobieta. Ze znużeniem przegląda tygodnik „Hello!”.

Nagle jej telefon zaczyna dzwonić. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie przyspieszyć kroku. Nie podnoś słuchawki. Nie podnoś słuchawki.

Podnosi.

– Halo, recepcja?

Idę za szybko, wiem, że tak, ale nie potrafię się opanować. Z pewnością wyglądam na pacjentkę. Jak to możliwe, że kobieta nie widzi, że mam na nogach japonki, na litość boską? Normalni ludzie, odwiedzający, nie noszą japonek w listopadzie. Nie w połączeniu z szarymi spodniami od dresu i niebieskim kardiganem.

Zatrzyma mnie, wiem to. Powie coś, zapyta, czy wszystko w porządku.

Banknoty, które wciąż ściskam w dłoni, są wilgotne od potu.

– Naprawdę? – mówi ostro recepcjonistka w momencie, gdy się z nią zrównuję. Owija przewód telefonu wokół palca. – Tak, tak, w porządku. Będę uważać.

W uszach słyszę swój puls. Ona wie. Nie mogę tego znieść.

Ale kobieta nie podnosi wzroku. Kiwa głową. Może to nie o mnie rozmawiają.

Jestem już prawie przy drzwiach. Widzę znak informujący o konieczności używania środka do odkażania rąk przy wejściu i wyjściu. Czy powinnam się zatrzymać? Czy będę się bardziej rzucać w oczy, jeśli się zatrzymam, czy jeśli wyjdę od razu?

Nie zatrzymuję się.

Kobieta w recepcji wciąż rozmawia.

Jestem już w drzwiach obrotowych. Przez chwilę wyobrażam sobie, że zatrzymają się w pół obrotu, że zostanę uwięziona w trójkącie powietrza, tylko z wąską szparą prowadzącą na zewnątrz. Taką, przez którą da się przecisnąć rękę, ale nie uciec.

Ale nic takiego się nie dzieje. Drzwi obracają się gładko.

Zimne powietrze uderza mnie niczym błogosławieństwo.

Jestem wolna.

Wydostałam się ze szpitala.

Uciekłam.

Czuję chłód na twarzy. Czuję się kompletnie zagubiona. To miejsce jest dla mnie zupełnie obce i nagle zdaję sobie sprawę, że gdy zostałam tu przywieziona, byłam nieprzytomna. Nie mam pojęcia, któredy przyjechałam ani jak się stąd wydostać.

Zaczynam drzeć, wystawiona na mróz po upale szpitalnego ogrzewania. W powietrzu wirują płatki śniegu. Rozglądam się, jakby czekając na cud, i dostrzegam jeden, pod postacią znaku z napisem „taxi” i strzałką.

Powoli skręcam za róg, wciąż się trzęsąc. Tam, przy znaku z informacją „Kolejka zaczyna się tutaj”, stoi jedna taksówka, z zapalonym światłem. Za kierownicą siedzi mężczyzna, przynajmniej tak mi się wydaje, trudno to stwierdzić przez zaparowane szyby.

Podchodzę bliżej, kuśtykając – japonki zaczynają obcierać wewnętrzną stronę gołej stopy – i pukam w okno. Szyba opuszcza się z trzaskiem i ze środka uśmiecha się do mnie pogodna brązowa twarz.

– Co mogę dla ciebie zrobić, moja droga? – pyta mężczyzna. Jest Sikhem. Ma na głowie czarny turban ze spinką, na której widnieje logo firmy taksówkarskiej. Jego pendzabski akcent połączony z akcentem z Newcastle stanowi zbijającą z tropu mieszankę. W pierwszej chwili mam ochotę się roześmiać.

– Ja... muszę się dostać do... – nie mam pojęcia, gdzie się udać. Z powrotem do Londynu?

Nie.

– Muszę się dostać do Szklanego Domu – mówię. – To posiadłość tuż pod Stanebridge. Zna pan tę wioskę?

Mężczyzna kiwa głową i odkłada gazetę.

– Tak, znam. Wskakuj, moja droga.

Ale ja stoję w miejscu. Zastygam z dłonią na klamce.

– Przepraszam, a ile to będzie kosztować? Mam tylko dwadzieścia funtów.

– Normalnie dwadzieścia pięć – mówi on, spoglądając na sińce na mojej twarzy. – Ale dla ciebie dwadzieścia.

Dzięki Bogu. Zdobywam się na uśmiech, chociaż mam wrażenie, że moja twarz jest skuta lodem, gotowa popękać w każdej chwili.

– Dzi-dziękuję – mówię. Tym razem się nie jąkam, po prostu zęby szcękają mi z zimna.

– Wsiadaj, moja droga, bo zamarzniesz. Wskakuj, no już – mówi on.

Wsiadam.

Gdy jestem w środku, wreszcie otula mnie kokon ciepła. Wnętrze samochodu pachnie starym plastikiem, sosnowym odświeżaczem powietrza i stęchłymi papierosami – zapach każdej taksówki na świecie. Mam ochotę zwinąć się w kłębek na siedzeniu, zasnąć i już nigdy się nie obudzić.

Próbuję zapiąć pas, ale drżą mi palce. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem wyczerpana, jak osłabione są moje mięśnie po pobycie w szpitalu.

– Przepraszam – mówię, podczas gdy on zerka na tylne siedzenie, żeby się upewnić, czy zapięłam pasy. – Przepraszam, już prawie mi się udało...

– Nie martw się, moja droga. Bez pośpiechu.

W końcu klamra zamyka się z kliknięciem, a ja opieram głowę o zagłówek, czując, jak całe ciało boli mnie ze zmęczenia.

Kierowca odpala silnik.

Zamykam oczy.

Odjeżdżam.

*

– Hm, moja droga... Proszę się obudzić, proszę pani.

Otwieram oczy, zdezorientowana i zaspana. Gdzie jestem? Nie w domu. Nie w szpitalu.

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że tkwię na tylnym siedzeniu taksówki, która właśnie się zatrzymała.

– Jesteśmy na miejscu – mówi kierowca. – Ale nie mogę podjechać pod sam dom. Droga jest zablokowana.

Mrugam i przecieram zaparowaną szybę. Ma rację. W poprzek podjazdu stoi blokada drogowa – dwie aluminiowe barierki połączone policyjną taśmą.

– W porządku. – Trę kąciaki oczu i grzebię w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy. – Proszę. Dwadzieścia, zgadza się?

Mężczyzna bierze pieniądze.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę, moja droga? – pyta. – Wygląda na to, że dom jest zamknięty.

– Nic mi nie będzie.

Czy rzeczywiście? Cóż, muszę sobie poradzić. Musi istnieć jakiś sposób, żeby dostać się do środka. Policja zapewne zabezpieczyła budynek, ale nie wierzę, że zamienili go w Fort Knox, nie na takim odludziu. Nie ma tu nikogo, kto mógłby się kręcić po miejscu zbrodni.

Gdy wysiadam z samochodu, taksówkarz ma niewesołą minę. Obserwuje mnie, stojąc na jałowym biegu, podczas gdy okrążam blokadę. Nie chcę, żeby to robił. Nie chcę, żeby zobaczył, jak potykam się na porytej koleinami drodze w moich żalonych japonkach. Zatrzymuję się, wspierając dłońmi o barierkę, i próbując powstrzymać drżenie, macham do niego stanowczym gestem.

Opuszcza szybę. Jego oddech unosi się białym obłoczkiem w mroźnym powietrzu.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Mogę zostać, jeśli chcesz. Zabiorę cię do Stanebridge, jeśli w domu nikogo nie będzie. Nie policzę ci za to. I tak będę tamtędy wracał.

– Nie, dziękuję – wołam. Zaciskam zęby, żeby nie zaczęły mi szczekać z zimna. – Wszystko w porządku. Dziękuję. Do widzenia.

Taksówkarz kiwa głową, wyraźnie niezadowolony, ale po chwili dodaje gazu. Patrzę, jak wóz znika w zapadającym zmierzchu. Czerwone tylne reflektory podświetlają padający śnieg.

Jezu, ten podjazd jest naprawdę długi. Zapomniałam, jak bardzo. Przypominam sobie, jak wracałam z przebieżki, gdy natknęłam się na Clare. Jaką miałam wtedy zimną

skórę i zmęczone, obolałe nogi.

To jednak było nic w porównaniu z tym, co czuję teraz. Co się stało z moimi mięśniami przez tych kilka dni w szpitalu? Nie jestem nawet w połowie drogi, a nogi drżą mi tak, jakbym biegła za mocno i za szybko. Moje stopy krwawią w twardych, plastikowych klapkach, ale są tak odrętwiałe z zimna, że nie czuję bólu. Wiem, że są poranione, tylko dlatego, że widzę smugi czerwieni mieszającej się ze śniegiem.

Przynajmniej błoto zamarzło, więc nie muszę walczyć z grudami lepiącymi się do butów. Ale gdy natrafiam na wyjątkowo głęboką koleinę, rozlega się trzask, a moja stopa przebija się przez cienką warstewkę lodu i łąduje w kałuży lodowatej błotnistej wody.

Z mojej piersi wyrywa się stłumiony okrzyk, a potem pisk, gdy z bólem wyciągam stopę, kalecząc ją o ostre odłamki. To cienki, żałosny dźwięk, jaki mogłaby wydać mysz schwytana przez sowę.

Tak mi zimno. Tak bardzo mi zimno.

Czy to, co robię, to głupota?

Nie wiem. Ale muszę iść dalej. Nie ma już sensu wracać. Nawet gdybym zdołała zatrzymać kogoś na drodze, dokąd bym się udała? Z powrotem do szpitala i czekającej na mnie z kajdankami Lamarr? Uciekłam. Zbiegłam. Muszę doprowadzić tę sprawę do końca. Nie ma już odwrotu.

Zmuszam moje stopy do ruchu, stawiam jedną przed drugą. Obejmuję się ramionami, żeby zapewnić sobie odrobinę ciepła. Dziękuję Bogu i Ninie za granatowy kardigan – jedyną rzecz, która ratuje mnie przed hipotermią. Znowu zerwał się wiatr. Niski jęczący skowyt hula między drzewami i szarpie gałęziami, strząsając z nich śnieg.

Jeszcze jeden krok.

I następny.

Nie potrafię stwierdzić, jak blisko jestem. Dom jest pusty, więc nie prowadzi mnie blask świateł. Straciłam poczucie czasu, nie wiem, jak długo idę w tym przenikliwym zimnie. Wiem tylko, że muszę iść dalej, bo jeśli się zatrzymam, umrę.

Jeszcze jeden krok.

W miarę, jak zbliżam się do celu, w mojej głowie pojawiają się obrazy. Flo – z twarzą wykrzywioną strachem i ze strzelbą przy piersi. Przerażona Nina, jej poplamione krwią dłonie, gdy próbowała zatamować krwotok.

James. Umierający James, leżący w kałuży własnej krwi.

Już wiem, co próbował mi powiedzieć. „Es... Leo?”

To było słowo „SMS”. Pytał mnie, dlaczego go tu sprowadziłam. I dlaczego pozwoliłam mu umrzeć w taki sposób.

Przyszedł do mnie. Przyszedł do mnie, bo go o to poprosiłam.

Ale czy to ja go o to poprosiłam?

Nie jestem już pewna. Boże, jak mi zimno.

Z trudem zachowuję jasność umysłu.

Przypominam sobie zapis SMS-ów, które pokazała mi Lamarr, i nie jestem już pewna, czy wtedy zobaczyłam je po raz pierwszy, czy wcześniej znałam ich treść.

Czy poprosiłam Jamesa, żeby przyjechał?

Nie wiedziałam, że Clare za niego wychodzi, dopóki nie powiedziała mi

w samochodzie. Nie wiedziałam. Więc niby dlaczego miałabym do niego wcześniej napisać?

Muszę się tego trzymać. Muszę się trzymać tego, czego jestem pewna.

To musiała być sprawka Flo. Była jedyną osobą, która mogła kontrolować wszystko – to ona zapraszała gości, wybrała ten dom, wiedziała o strzelbie.

Ona była w domu, gdy te SMS-y zostały wysłane z mojego telefonu.

Wiedziała, że idę pobiegać.

Znowu wracam myślami do jej dziwaczego zachowania, do tej bezbrzeżnej, wybuchowej, przerażającej miłości do Clare. Czy to możliwe, że uznała, iż straci Clare przez Jamesa? Nie mogła znieść faktu, że stanie między nimi? A kto w tej sytuacji byłby lepszym kozłem ofiarnym niż ja, była dziewczyna Jamesa, była najlepsza przyjaciółka Clare?

A potem... potem zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Że zniszczyła nie tylko swojego rywala, ale i przyjaciółkę. Że zrujnowała życie Clare.

I nie mogła dłużej tego znieść.

Tak strasznie mi zimno. Jestem taka zmęczona. Na poboczu leży powalone drzewo. Mogłabym na nim usiąść, tylko na chwilę, tylko żeby nogi przestały mi się trząść.

Docieram do niego z trudem i siadam na szorstkim, pokrytym mchem pniu. Przyciskam tułów do kolan, rozpaczliwie próbuję ogrzać nogi własnym oddechem.

Zamykam oczy.

Chciałabym móc zasnąć.

Nie.

Ten głos dociera spoza mnie. Wiem, że nie jest prawdziwy, a jednak go słyszę.

Nie.

Chcę spać.

Nie.

Jeśli usnę, umrę. Wiem to. Ale już mnie to nie obchodzi. Jestem taka zmęczona.

Nie.

Chcę spać.

Coś jednak nie pozwala mi usnąć. Coś wewnątrz mnie nie pozwala mi odpocząć.

Nie jest to pragnienie życia – o to już nie dbam. James nie żyje. Clare jest ranna. Flo umiera. Została tylko jedna rzecz – prawda.

Nie umrę. Nie umrę, bo ktoś musi to zrobić. Ktoś musi odkryć prawdę na temat tego, co się wydarzyło.

Podnoszę się. Kolana trzęsą mi się tak bardzo, że ledwie jestem w stanie ustać, ale łapię równowagę, opierając się o zwałone drzewo.

Robię krok.

Potem następny.

Będę szła dalej.

Nie przestanę iść.

Nie wiem, ile czasu mi to zajmuje. Jest już całkiem ciemno. Minuty zdają się zlewać ze sobą, rozmazywać w śniegu, który pokrywa zamrożone błoto. Jestem zmęczona, tak zmęczona, że nie mogę myśleć.

Twarz mam zupełnie odrętwiałą, a oczy łzawią mi od wiatru, ale w końcu podnoszę wzrok i widzę go. Szklany dom.

Nie przypomina już wspaniałej złotej latarni, którą ujrzałyśmy tamtego pierwszego wieczoru. Pograżony w mroku i milczący, jest niemal niewidzialny na tle drzew.

Księżyc wspiął się na niebo i odbija się w oknie sypialni od frontu, w której spał Tom. Otacza go mroźna aureola i wiem, że w nocy robi się jeszcze zimniej.

Brak światła to niejedyna różnica. Drzwi frontowe są zaklejone policyjną taśmą, a stłuczona szyba na piętrze została zasłonięta jakąś metalową kratą, taką, jakie widuje się w opuszczonych domach w podejrzanych dzielnicach.

Z bólem pokonuję kilka ostatnich metrów po żwirze i przystaję, gapiąc się na pustą szklaną ścianę przede mną. Teraz, gdy już tu dotarłam, nie jestem pewna, czy potrafię to zrobić – wejść do środka, zobaczyć miejsce, w którym umierał James. Ale muszę. Nie tylko ze względu na Jamesa, nie tylko dlatego, że to jedyny sposób, by odkryć prawdę na temat tego, co się wydarzyło. Ale również dlatego, że jeśli nie znajdę schronienia, zamarznię na śmierć.

Frontowe drzwi są zamknięte i nie ma żadnego otwartego okna, przez które mogłabym się dostać do środka. Podnoszę kamień i patrzę na ogromną szklaną ścianę salonu. Widzę zimny, wygaszony kominek i płaską czerń telewizora. Wyobrażam sobie, że ciskam kamieniem w gigantyczną tafłę – ale nie robię tego. Nie z powodu hałasu i zniszczenia, z jakim by się to wiązało. Po prostu nie sądzę, żeby szyba dała się stłuc w taki sposób. Warstwa szkła jest podwójna, może nawet potrójna. Żeby rozwalić tę na piętrze, trzeba było strzału ze strzelby; jestem całkiem pewna, że mój mizerny kamień tylko by się od niej odbił.

Odrzucam go i powoli okrążam dom. Kompletnie nie czuję stóp i co chwilę się potykam. Widzę krew sączącą się między palcami. Nawet nie chcę myśleć o tym, jak się stąd wydostanę – nie na piechotę, to jedno jest pewne. Mam straszliwe przeczucie, że w radiowozie. Albo jeszcze gorzej...

Tył domu też nie wygląda obiecująco. Próbuję podważyć szklany panel długich, przesuwanych drzwi do salonu w rozpaczliwej nadziei, że nie są zamknięte. Ale szyba ani drgnie i tylko zdzieram sobie resztki paznokci. Spoglądam na spadzisty bok budowli. Czy dałabym radę wspiąć się na balkon, na którym paliła Nina?

Rozważam przez chwilę tę możliwość, patrząc na cynkową rynnę. Ale potem wracam do rzeczywistości. Kogo ja oszukuję. Nie ma mowy, żebym była w stanie wspiąć się po tej śliskiej powierzchni, nawet gdybym miała buty do wspinaczki i uprząż, a nie klapki na zdrętwiałych palcach. W szkole zawsze jako pierwsza poddawałam się w trakcie wspinaczki po linie. Wisiałam żałośnie przez chwilę, po czym spadałam na gumową matę jak worek kartofli, podczas gdy inne dziewczyny docierały na samą górę i uderzały dłonią w drewnianą belkę nad głową.

Tutaj nie ma gumowej maty. A cynkowa rura jest bardziej śliska i zdradziecka niż lina z węzłami w sali gimnastycznej. Jeśli spadnę, to koniec – będę miała szczęście, jeśli tylko złamię sobie kostkę.

Nie. Przez balkon się nie uda.

W końcu, niemal z rezygnacją, próbuję kuchennych drzwi.

A one po prostu się otwierają.

Czuję mrowienie na karku: szok, niedowierzanie, euforię. Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że policja nie zamknęła tych drzwi. Czy to możliwe, żeby poszło mi tak łatwo?

Drzwi są zaklejone taśmą policyjną, ale kucam i przechodzę pod nią. Prostuję się, niemal pewna, że zaraz rozlegnie się alarm albo pojawi się jakiś policjant. Ale dom jest ciemny i cichy, poruszają się tylko płatki śniegu wpadające do środka razem z wiatrem.

Wyciągam rękę, żeby zamknąć za sobą drzwi, ale nie udaje mi się tego zrobić. Uderzają o framugę i z powrotem odskakują. Próbuję znowu i nagle coś zauważam. Języczek zatrzasku jest zaklejony kawałkiem taśmy klejącej, która nie pozwala drzwiom porządnie się zamknąć.

Nagle rozumiem, dlaczego tamtej nocy wciąż się otwierały, dlaczego nie były zabezpieczone, mimo że je zamykałyśmy. Zamek tylko unieruchamia klamkę, nie pozwala, by obracała zatrzask. Ale jeśli sam języczek zatrzasku jest wepchnięty do środka, klamka jest bezużyteczna. Drzwi wydają się zamknięte, gdy się za nie szarpie, to tylko pozory.

W pierwszym odruchu chcę zerwać taśmę, ale zdaję sobie sprawę, jakie to by było głupie. Przedemną, ukryty niewinnie we framudze drzwi, znajduje się niezbity dowód na to, że ktoś chciał, aby James umarł. Ktokolwiek umieścił tu tę taśmę, był mordercą. Ostrożnie, żeby jej nie naruszyć, dociskam drzwi, a potem dodatkowo podpieram je krzesłem.

Wreszcie rozglądam się wokół.

Kuchnia wygląda na nienaruszoną. Nie wiem, czego się spodziewałam: może proszku do zdejmowania odcisków palców, tej srebrzystej substancji na każdej powierzchni. Ale gdy tylko o tym pomyślę, zdaję sobie sprawę, że to byłoby bezcelowe. Żadne z nas nie zaprzeczało, że przebywało w tym domu. Nasze odciski są wszędzie, czego miałyby to dowieść?

Marzę o tym, żeby wspiąć się na górę, położyć w jednym z łóżek i zasnąć. Ale nie mogę. Nie mam zbyt wiele czasu. Pewnie już odkryli, że mój pokój jest pusty. Wiedzą, że nie zaszłabym daleko o własnych siłach, bez pieniędzy, butów i płaszcza. Szybko uda im się odszukać taksówkarza. A gdy go znajdą...

Przechodzę przez kuchnię, w ciszy słyszę tylko człapanie japoniek. Nabieram powietrza w płuca i otwieram drzwi prowadzące do hallu.

Ktoś tu posprzątał, przynajmniej do pewnego stopnia. Większość krwi zniknęła, podobnie jak odłamki szkła, chociaż czuję małe drobinki trzeszczące pod plastikowymi podszwami. Zabezpieczono ślady na ziemi, na ścianach, widzę skrawki taśmy z notatkami, których nie mogę odczytać w ciemnościach. Nie śmiem zapalać światła. Nie ma tu zasłon, które mogłabym zaciągnąć. Moja obecność byłaby widoczna po drugiej

stronie doliny.

Tu i ówdzie zostały plamy, ciemne, rdzawe plamy czegoś, co niegdyś było Jamesem.

To jest najdziwniejsze. Jego już nie ma, a jego krew wciąż tu jest. Klękam na miękkim parkiecie, usianym drobinami szkła wdeptanymi w drewno i nasiąkniętym krwią. Opuszkami palców dotykam krwi zgromadzonej w rowkach między klepkami. To był James. Kilka dni temu to wszystko znajdowało się wewnątrz niego, utrzymywało go przy życiu, sprawiało, że jego skóra rumieniła się, a serce biło. A teraz leży tutaj, zmarnowane, a jednocześnie jest to wszystko, co po nim pozostało. Gdzieś tam jego ciało jest poddawane sekcji. Potem zostanie pogrzebane lub poddane kremacji. Ale jakaś jego część zostanie tutaj, w tym domu.

Wstaję, zmuszając zziębnięte, zmęczone nogi do działania. Idę do salonu i biorę narzutę z jednej z sof. Na stole wciąż stoją brudne kieliszki po winie. W resztkach alkoholu pływają niedopałki. Skręcone przez Ninę papierosy napęczniały i zmieniły się w mokre, białe robaki. Ale wózek spirytystyczny został zabrany, kartki zniknęły. Nie potrafię stłumić drżenia na myśl o policji odczytującej te obłąkańcze gryzmoły. Co miało znaczyć to długie, zapętlone MORDERRRRSTWO? Czy ktoś napisał to celowo? Czy to po prostu wypłynęło z podświadomości grupy, niczym potwór morski wyłaniający się na powierzchnię czyichś najgłębszych lęków, a potem zanurzający się z powrotem w głębinie.

Narzuta śmierdzi zatęchłym papierosowym dymem, ale owijam się nią, zerkając na puste kołki nad kominkiem. Odwracam od nich wzrok. Ledwie potrafię znieść myśl o tym, co zamierzam zrobić. Ale muszę. To moja jedyna szansa, by dotrzeć do sedna tego, co naprawdę się wydarzyło.

Zaczynam u szczytu schodów. Staję tam, gdzie wszyscy tłoczyliśmy się tamtej nocy, zbici w ciasną grupkę. Flo stała po mojej prawej i pamiętam, jak wyciągnęłam dłoń do strzelby. Clare i Nina stały po drugiej stronie, Tom za nami.

Cisza, ciemność i moje własne dudniące serce tak bardzo przypominają mi scenę z tamtej nocy, że niemal robi mi się słabo. Oddycham przez nos, powtarzając sobie, że to się już wydarzyło, że James więcej nie wejdzie po tych schodach. Zabiliśmy go – my wszyscy, w naszym pijackim histerycznym napadzie strachu. Wszyscy trzymaliśmy tę strzelbę.

Zmuszam się, żeby odtworzyć w pamięci kolejne sceny. Ciało Jamesa staczające się po schodach. Nina i ja zbiegające za nim. Tym razem schodzę powoli, przytrzymując się poręczy. Na schodach wciąż leży szkło z rozbitego okna, a ja nie ufam moim kłapkom w ciemnościach, gdy pod stopami mam śliskie odłamki.

Tutaj Nina próbowała ratować Jamesa.

Tutaj ja klęczałam w jego krwi, gdy usiłował coś mi powiedzieć.

Czuję wilgoć łez na policzkach. Ocieram je dłonią. Nie ma czasu na żal. Godziny płyną, a gdy nadejdzie świt, przyjedzie po mnie policja.

Co wydarzyło się dalej?

Skrzydło salonowych drzwi, które Tom zdjął z zawiasów, żebyśmy mogli zanieść Jamesa do samochodu, leży na ziemi.

Drzwi frontowe nie są zaryglowane; bez trudu otwieram je od środka. Wiatr wieje tak mocno, że uchylone stalowe skrzydło niemal uderza mnie w twarz, a śnieg próbuje wedrzeć się do domu niczym żywa istota, wyssać tę odrobinę ciepła, która pozostała w pomieszczeniach.

Mrużę oczy i wychodzę w białą zadymkę, mocno otulając się narzutą. Staję w miejscu, gdzie wtedy czekałam na Ninę. Przypominam sobie, jak Tom zawołał coś do Clare, a Clare odpaliła silnik.

Przypominam sobie, jak zauważyłam jej kurtkę przewieszoną przez balustradę.

Wyciągam dłoń, udaję, że ją podnoszę.

Trzęsę się z zimna, ale skupiam się na tym, żeby przypomnieć sobie tamtą noc, kształt czegoś małego i okrągłego w kieszeni kurtki.

Wyciągam dłoń, ostre igiełki śniegu sprawiają, że łzawią mi oczy.

I nagle sobie przypominam. Przypominam sobie, co trzymałam w dłoni.

I już wiem, co zmusiło mnie do biegu.

To był nabój. Nabój do strzelby. Brakujący ślepak.

Myśli kotłują mi się w głowie tak samo jak tamtej nocy. Przypominam sobie je wszystkie, jakbym patrzyła na topniejący śnieg, spod którego wyłania się znajomy krajobraz.

Nabój, który znalazłam, mógł zostać przypadkiem zabrany ze strzelnicy. Ale nasze szkolenie nauczyło mnie wystarczająco dużo, żebym potrafiła odróżnić ostry nabój od ślepego. Ostre naboje do strzelby bardziej ciężą w dłoni, są wypakowane kulkami śrutu, przez co nabój zdaje się cięższy, niż sugerowałyby to jego rozmiary. Nabój, który znalazłam tamtej nocy, był leciutki. To był ślepak. *Ten* ślepak. Ślepy nabój, który powinien być w strzelbie.

To Clare je podmieniła.

A teraz odjeżdżała w noc z Jamesem umierającym na tylnym siedzeniu samochodu.

Dlaczego? Dlaczego?

Wtedy nie miało to dla mnie sensu i teraz wciąż tego nie rozumiem. Ale wtedy nie miałam czasu, żeby się zastanawiać. Miałam tylko jedno wyjście: dogonić ich i skonfrontować z Clare.

Teraz mam czas. Odwracam się powoli, wchodzę z powrotem do domu, po czym rygluję za sobą drzwi. Idę do salonu, siadam i chowam twarz w dłoniach, próbując to wszystko zrozumieć.

Nie wydam się stąd aż do świtu, chociaż...

Wstaję zeszywniała z zimna i podnoszę słuchawkę telefonu.

Wciąż nie działa, słychać tylko syki i trzaski. A zatem utknęłam tu, chyba że zechcę raz jeszcze przejść tę oblodzoną, porytą koleinami drogę w całkowitych ciemnościach. Nie jestem pewna, czy dałabym radę.

Wracam na sofę i ciaśniej otulam się narzutą, na próżno próbując rozgrzać zziębnięte członki. Jestem taka zmęczona. Ale nie mogę spać. Muszę zrozumieć, co się

stało.

Clare podmieniła nabój.

Zatem to Clare zabiła Jamesa.

Ale to przecież nie ma sensu. Clare nie ma motywu. I jest jedyną osobą, która nie mogła wysłać tych SMS-ów z mojego telefonu.

Muszę myśleć.

Wciąż wraca do mnie pytanie „dlaczego”; dlaczego Clare miałyby zabić Jamesa tuż przed ich ślubem?

A potem nagle czuję chłód w sercu. Przypominam sobie słowa Matta. James i Clare mieli problemy.

Odrzucam tę myśl niemal natychmiast. To niedorzeczne. Owszem, Clare uważa, że jej życie musi być idealne, owszem, ma niewiarygodnie wysokie standardy, ale na litość boską, była już wcześniej rzucona. Potrafiła żywić głęboką urazę, wiem o tym, bo siedziałam obok, gdy zakładała Rickowi konta na każdej stronie pornograficznej i zapisywała go do wszystkich newsletterów dotyczących viagry, jakie tylko mogła znaleźć. Jednak z pewnością by go nie zabiła.

Jest jedna wielka różnica.

Kiedy Rick rzucił Clare, nie miała takiej przyjaciółki jak Flo.

Myślę o słowach Flo tego pierwszego popołudnia: „Ona jest moją opoką i zrobiłabym dla niej wszystko. Wszystko”.

Wszystko?

Przypominam sobie, jak zareagowała, gdy postanowiłam wcześniej pójść spać. Jak eksplodowała, oskarżając mnie o sabotaż. „Zabiję cię, jeśli zniszczysz to wszystko”, obiecała. Nie potraktowałam poważnie jej słów. A może powinnam.

Ale przecież chodziło tylko o wieczór paniński. Co mogłyby zrobić mężczyźnie, który planował porzucić jej najlepszą przyjaciółkę przed ołtarzem?

I kogo najłatwiej byłoby zrobić, jeśli nie podłą była przyjaciółkę, która kiedyś skradła prawowitą własność Clare, a potem zniknęła na dziesięć długich lat.

Ale wszystko wymknęło się spod kontroli.

Przypominam sobie o ich identycznych strojach i nagle uderza mnie myśl: a co, jeśli to kurtka Flo wisiała na balustradzie? Może Clare wzięła ją przez przypadek?

Flo. To Flo sięgnęła po strzelbę.

To Flo powiedziała nam, że nie jest naładowana.

To Flo zorganizowała cały ten weekend, przekonała mnie, żebym przyjechała, zaaranżowała to wszystko.

I Flo mogła wysłać te SMS-y.

Czuję, jakbym została schwytana w sieć. Im bardziej walczę, żeby się wydostać, tym bardziej się w nią zaplątuję.

James nie żyje.

Clare umiera.

Flo umiera.

A Nina siedzi gdzieś tam w pensjonacie, na skraju załamania, i wraz z Tomem mierzą się z pytaniami, na które nie znają odpowiedzi, z podejrzeniami, których nie mogą

od siebie odsunąć.

Proszę, niech ktoś mnie obudzi z tego koszmaru.

Zwijam się w kłębek na sofie i przyciągam kolana do klatki piersiowej. Muszę myśleć, muszę zdecydować, co robić, ale jestem tak skołowana i wyczerpana, że tylko drepczę w kółko.

Mam wybór: czekać na policję i spróbować im wyjaśnić, co tu robię, opowiedzieć o ślepym naboju i kurtce Flo i liczyć na to, że mi uwierzą.

Albo odejść o świcie, w nadziei, że się nie zorientują, że tu byłam.

Ale dokąd miałabym się udać? Do Londynu? Do Niny? Jak miałabym uciec?

Oczywiście policja i tak mnie znajdzie, ale lepiej, żeby nie znalazła mnie tutaj.

Czuję, jak kleją mi się powieki, a drżące ze zmęczenia członki odprężają się powoli, spazmatycznie, podczas gdy zapadam w sen. Nie mogę się skupić. Pomyślę o tym wszystkim jutro.

Ziewam głęboko i zauważam, że przestałam się trząść. Pozwalam, żeby japonki spadły mi z nóg, czuję, jak od ziewania łzawią mi oczy, ale jestem zbyt wykończona, żeby zetrzeć cienką strużkę spływającą po moim policzku.

Potrzebuję snu.

Pomyślę o tym... jutro...

*

Jest noc. Noc, gdy to wszystko się wydarzyło. Kucam w hallu, w kałuży krwi Jamesa, skąpana w złotym świetle.

Czuję metaliczny zapach, mam krew na dłoniach, pod paznokciami.

On podnosi na mnie wzrok. Jego ciemne, lśniące wilgocią oczy są szeroko otwarte.

– SMS... – mówi ochryłym głosem. – Leo...

Wyciągam dłoń, by dotknąć jego twarzy, ale on nagle znika. Krew znika. Światło znika.

Budzę się. Jest ciemno, a serce wali mi jak oszalałe.

Przez chwilę leżę w bezruchu, próbując zrozumieć, co mnie obudziło. Nic nie słyszę.

Potem odwracam głowę i zauważam dwie rzeczy.

Po pierwsze, na zewnątrz, tuż za szklaną ścianą salonu, widzę ciemny kształt, którego wcześniej tam nie było. I jestem pewna, że to samochód.

Po drugie, słyszę dźwięk dobiegający z kuchni. Powolne, przerywane szuranie.

To dźwięk krzesła przepychanego po łupkowych płytkach przez kogoś, kto napiera na kuchenne drzwi.

Ktoś jest w domu.

Siadam prosto, narzuta spada mi z ramion, serce wali, przyprawiając mnie o mdłości.

Przez chwilę myślę o tym, żeby krzyknąć, rzucić wyzwanie intruzowi. Potem zdaje sobie sprawę, że to szaleństwo.

Ktokolwiek tu jest, z jakiegokolwiek powodu przyszedł, nie jest to przyjaciel. To nie policja. Policjanci nie zakradaliby się tu w środku nocy przez tylne drzwi. Nie. Istnieją tylko dwie możliwości: albo to jakiś przypadkowy włamywacz, któremu się poszczęściło, bo natrafił na otwarte drzwi, albo jest tu morderca.

Naprawdę bardzo bym chciała, żeby to był włamywacz. To świadczy o tym, jak popieprzone stało się moje życie. Ale w głębi serca wiem, że to morderca. Przyszedł tu po mnie.

Wstaję bardzo, bardzo ostrożnie, otulając się narzutą, jakby miękka czerwona wełna mogła mnie przed czymś ochronić.

Pociesza mnie tylko fakt, że intruz też nie będzie chciał zapalać świec. Może w ciemnościach uda mi się go uniknąć, ukryć się, uciec.

Kurwa. Dokąd miałabym pójść?

Okna w salonie wychodzą na ogród, ale jestem pewna, że są zamknięte – próbowałam je otworzyć od zewnątrz, a pamiętam, że Flo zamykała je tamtego ostatniego wieczoru. Miała kluczyk. Nie mam pojęcia, gdzie go położyła.

Słyszę, jak ktoś cicho stąpa po kuchennych płytkach.

Walczą we mnie dwa silne impulsy. Pierwszy namawia do ucieczki – wystarczy wybiec z salonu, pobiec na górę, zamknąć się w łazience, zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby się stąd wydostać.

Drugi każe zostać i walczyć.

Jestem biegaczką. Uciekanie wychodzi mi najlepiej. Ale czasami nie można już dłużej uciekać.

Stoję, z zaciśniętymi pięściami, krew szumi mi w uszach, oddycham ciężko. Ucieczka czy walka. Ucieczka czy...

Odłamki szkła leżące na podłodze w hallu trzeszczą pod butami intruza. A potem kroki zatrzymują się.

Wiem, że morderca jest tutaj, nasłuchuje. Czeka na znak mojej obecności. Wstrzymuję oddech.

A potem pozostałe skrzydło salonowych drzwi otwiera się szeroko.

Ktoś stoi w progu, ale nie widzę kto. Czarny kształt majaczy na tle połyskującej stali frontowych drzwi.

To mógłby być każdy – jest opatulony w płaszcz, a jego twarz skrywają cienie. Ale kiedy postać się porusza, widzę błysk blond włosów.

– Witaj, Flo – szepczę. Gardło mam tak ściśnięte, że ledwie jestem w stanie mówić.

A ona zaczyna się śmiać.

Śmieje się i śmieje, a ja przez dłuższą chwilę nie mam pojęcia z czego.

Potem rusza w moją stronę i wkracza w smugę księżycowego blasku. Pod jej butami chrzęści szkło.

Wtedy zacznę rozumieć.

To nie jest Flo.

To Clare.

Przytrzymuje się ściany i zauważam, że jest równie osłabiona, jak ja. Najwyraźniej nie była w tak ciężkim stanie, jak udawała, gdy widziałam ją w szpitalu, ale nie jest z nią najlepiej. Porusza się jak ktoś dwukrotnie starszy, jakby została pobita do krwi i wciąż nie doszła do siebie.

– Dlaczego wróciłaś? – słyszę. – Dlaczego nie mogłaś po prostu sobie odpuścić?

– Clare? – pytam ochryplym głosem. To nie ma sensu. Nic nie ma sensu.

Clare powoli dociera do sofy i pada na nią z jękiem. W bladym, stłumionym przez chmury blasku księżycy wygląda fatalnie. Gorzej niż ja. Twarz ma pociętą, a na jej skroni widnieje ogromny, opuchnięty siniec.

– Clare... dlaczego?

Nie potrafię tego zrozumieć.

Ale ona nie odpowiada. Z bólem sięga po tytoń Niny, wciąż leżący na stole razem z bibułkami, a potem wydaje cichy okrzyk ulgi, gdy zapada się między poduszki, i zaczyna powoli, skrupulatnie zwijać papierosa. Ma rękawiczki, ale dłonie i tak trzęsą się jej z zimna. Rozsypuje tytoń dwukrotnie, zanim uda jej się zapalić papierosa.

– Nie paliłam od lat – mówi, zaciągając się. – Boże, tęskniłam za tym.

– Dlaczego? – pytam znowu. – Dlaczego tu jesteś?

Wciąż nie mogę zmusić mojego mózgu, żeby zaakceptował to, co się dzieje. Clare jest tutaj, a zatem to ona musi być morderczynią. Ale dlaczego? Jak? Nie ma mowy, żeby wysłała tego pierwszego SMS-a. Jako jedyna nie mogła tego zrobić.

Powinam uciekać. Powinam schować się za sofą, uzbrojona w nóż do chleba. Ale nie dociera to do mnie. To Clare, wciąż upiera się mój mózg. Jest twoją przyjaciółką. Gdy Clare podaje mi papierosa, biorę go, jak we śnie. Zaciągam się i przytrzymuję dym w płucach, aż drżenie członków ustąpi i poczuję lekkość w głowie.

Oddaję Clare papierosa, ale ona wzrusza ramionami.

– Zachowaj go, mogę skrócić następnego. Boże, jest zimno. Chcesz herbaty?

– Dzięki – mówię, wciąż pogrążona w tym dziwnym, onirycznym stanie. Clare jest morderczynią. Ale to niemożliwe. Nie wiem, co robić, więc szukam ucieczki w auto-matycznych, grzecznościowych reakcjach.

Clare wstaje z bólem i kuśtyka do kuchni. Po paru chwilach słyszę kliknięcie czajnika i bulgotanie wody, gdy zaczyna wrzeć.

Co powinam zrobić?

Kończę papierosa i odkładam ostrożnie niedopałek na stolik. Nie ma popielniczki, ale już się tym nie przejmuję.

Zamykam oczy i pocieram twarz dłońmi. Gdy to robię, wraca przebłysk wspomnienia, jak obraz wyświetlony na wewnętrznych stronach moich powiek: James, jego krew, jaskrawa niczym farba w blasku światła.

Wciąż czuję w nozdrzach ostry zapach z mojego snu, schrypnięty głos Jamesa

rozbrzmiewa w mojej głowie.

Słyszę cichy dźwięk dobiegający od strony drzwi i widzę, jak Clare sunie z kubkami w dłoniach. Odstawia je na stolik, a ja sięgam po jeden, podczas gdy ona opuszcza się na sofę i wyciąga opakowanie tabletek z kieszeni. Przełamuje dwie kapsułki i wsypuje do herbaty, jej palce w wełnianych rękawiczkach poruszają się trochę niezdarne.

– Środki przeciwbólowe? – pytam, żeby cokolwiek powiedzieć.

Kiwa głową.

– Tak. Powinno się połykać kapsułki w całości, ale ja nie potrafię. – Bierze łyk i wzdryga się. – Boże, obrzydliwe. Nie jestem pewna, czy to przez te leki, czy może mleko się zepsuło.

Biorę łyk swojej herbaty. Rzeczywiście smakuje ohydnie. Herbata zawsze smakuje ohydnie, ale ta jest jeszcze bardziej obrzydliwa niż normalnie. Mimo cukru, który wsypała do niej Clare, jest kwaśna i gorzka. Ale przynajmniej gorąca.

Przez chwilę sączymy w milczeniu, aż w końcu pytam:

– Co tu robisz, Clare? Jak się tu dostałaś?

– Przyjechałam samochodem Flo. Pożyczyła go moim rodzicom, a oni zostawili kluczyki u mnie w szafce, żeby Flo je odebrała. Tylko że... ona tego nie zrobiła. – Nie. Nie zrobiła. Bo... Clare podnosi wzrok. Jej oczy nad krawędzią kubka lśnią, szeroko otwarte w mroku. Jest taka piękna. Nawet teraz, omotana w stary płaszcz, z twarzą pociętą, posiniaczoną i bez makijażu. – A co ty tu robisz?

– Wróciłam, żeby spróbować sobie przypomnieć – mówię.

– I udało ci się? – pyta tak beztroskim tonem, jakbyśmy rozmawiały o tym, co wydarzyło się w starym odcinku *Przyjaciół*.

– Tak. – Patrzę jej prosto w oczy. Gorący kubek grzeje moje odrętwiałe dłonie. – Przypomniałam sobie o naboju.

– O jakim naboju? – Jej twarz nie zdradza emocji, ale coś czai się w jej spojrzeniu...

– O naboju w twojej kurtce. Znalazłam go, w kieszeni twojej kurtki. – Potrząsa głową, a ja nagle czuję, jak ogarnia mnie wściekłość. – Nie pogrywaj ze mną, Clare! To była twoja kurtka. Wiem, że tak. Jeśli nie, to po co byś tu wróciła?

– Może... – Spuszcza wzrok na kubek, a potem znowu patrzy na mnie. – Może po to, żeby ochronić cię przed tobą samą?

– Co to, do cholery, ma znaczyć?

– Nie pamiętasz, co się stało, prawda?

– Skąd wiesz?

– Pielęgniarki. Plotkują. Zwłaszcza gdy człowiek śpi... albo wydaje im się, że śpi.

– No i co z tego?

– Nie pamiętasz, co się stało w lesie, prawda? W samochodzie?

– O czym ty mówisz?

– Złapałaś za kierownicę – wyjaśnia cicho. – Powiedziałaś mi, że nie możesz żyć bez Jamesa, że spieprzył ci ostatnie dziesięć lat życia. Powiedziałaś mi, że o nim śniłaś. Że nigdy nie przebolełaś tego, co się wydarzyło, nie pogodziłaś się z tym, co ci napisał

w tamtym SMS-ie. Zjechałaś z drogi, Lee.

Jej słowa zalewają mnie jak fala. Czuję mrowienie policzków, jakby dała mi w twarz. Wreszcie fala ustępuje, a ja z trudem łapię powietrze.

Bo to prawda. Gdy wypowiada te słowa, urywki obrazów przewijają się przed moimi oczami. Dłonie na kierownicy, Clare walcząca ze mną jak demon, moje paznokcie wbijające się w jej skórę.

– Jesteś pewna, że pamiętasz to, co się stało? – pyta bardzo łagodnym głosem. – Widziałam cię, Lee. Trzymałaś dłoń na lufie strzelby. To ty skierowałaś ją w stronę Jamesa.

Przez chwilę nie mogę wydusić z siebie słowa. Siedzę tam, łapiąc powietrze, ściskam w dłoniach kubek z herbatą, jakby to była broń. Potem potrząsam głową.

– Nie. Nie, nie, nie! W takim razie po co byś tu przyjechała? Dlaczego nie doniosłaś na mnie policji?

– Skąd wiesz, że tego nie zrobiłam? – pyta ona cicho.

O Boże... Słabo mi z przerażenia. Biorę długi łyk herbaty, zęby szczękają mi o krawędź kubka, a ja próbuję myśleć, próbuję zebrać do kupy wszystkie wątki.

To nie jest prawda. Clare próbuje namieszać mi w głowie. Żadna osoba przy zdrowych zmysłach nie siedziałaby tutaj, popijając herbatę z kobietą, która zamordowała jej narzeczonego i sprowadziła jej samochód z drogi.

– Nabój – powtarzam uparcie. – W kieszeni twojej kurtki był nabój.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Słyszę, jak głos jej się łamie. – Proszę, Lee, kocham cię. Boję się o ciebie. Cokolwiek zrobiłaś...

Nie mogę myśleć. Boli mnie głowa. Czuję w ustach ten paskudny smak. Biorę kolejny łyk i próbuję go spłukać, ale smak tylko się nasila.

Zamykam oczy. Widzę Jamesa umierającego w moich ramionach. Czy ten obraz zostanie pod moimi powiekami do końca życia?

„SMS...”, mówi James, łapiąc powietrze, „SMS, Leo”, a krew plami jego usta.

I nagle, pośród oparów wspomnień i splątanych podejrzeń, coś zaskakuje w moim mózgu.

Wiem, co chciał mi powiedzieć James. Co próbował mi powiedzieć.

Odstawiam kubek.

Już wiem, co się wydarzyło. I dlaczego James musiał umrzeć.

Boże, byłam taka głupia! Nie mogę uwierzyć, jak bardzo głupia. Nie zauważyłam tego przez dziesięć lat. Siedzę tam, nieruchomo, rozważając wszystkie co by było gdyby. Jakże inaczej mogły potoczyć się sprawy, gdybym tyle lat temu zauważyła, co miałam przed oczami.

– Lee? – Clare spogląda na mnie z troską. – Lee, wszystko w porządku? Wyglądasz... nie wyglądasz za dobrze.

– Nora. Mam na imię Nora – mówię ochryłym głosem.

Przez dziesięć lat. Przez dziesięć lat treść tego pieprzonego SMS-a była wryta w moim sercu, a ja tego nie zauważyłam.

– Lee – zwracam się do Clare. Bierze łyk herbaty i gapi się na mnie nad krawędzią kubka. Z konsternacją ściąga piękne, wąskie brwi. – Lee – powtarzam. – Przepraszam, ale to jest twój problem, nie mój. Załatw to. I nie dzwoń do mnie więcej. J.

– Co?

– Lee.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– *Lee*. On nigdy nie nazywał mnie Lee. James nigdy nie nazywał mnie Lee.

Przez moment patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem. A ja raz jeszcze przypominam sobie, jak świetną aktorką zawsze była. Wciąż jest. To nie James powinien robić karierę na scenie, tylko ona. Jest niesamowita.

W końcu odstawia swój kubek na stół i krzywi się ze smutkiem.

– Jezu, to było dawno temu, Lee.

To nie jest przyznanie się do winy. Nie do końca. Ale znam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że mogę to tak potraktować. Już nie próbuje protestować.

– Dziesięć lat. Wolno łapię – zauważam z goryczą. Jestem rozgoryczona, nie tylko dlatego że moje gapiostwo zrujnowało mi życie. Gdybym zorientowała się trochę wcześniej, James mógłby wciąż żyć. – Dlaczego to zrobiłaś, Clare?

Wzdrygam się, gdy wyciąga do mnie dłoń i zaczyna mówić:

– Słuchaj, nie twierdzę, że to, co zrobiłam, było w porządku. Byłam młoda i głupia. Ale Lee, tak było lepiej. Spieprzyłabyś życie wam obojgu. Słuchaj, poszłam się z nim zobaczyć tamtego popołudnia. Ten koleś srał po gaciach. Nie był gotowy na to, żeby zostać ojcem. Ty nie byłaś gotowa, żeby zostać matką. Ale wiem, że żadne z was nie miałyby odwagi, żeby podjąć tę decyzję.

– Nieprawda – protestuję. Głos mi drży.

– Chciałaś, żeby to się skończyło. Oboje chcieliście.

– Nieprawda! – tłumię szloch.

– Możesz zaprzeczać, ile wlezie – mówi ona cicho – ale ty odeszłaś, a on ci na to pozwolił. Wystarczyłby jeden SMS, jeden e-mail, jedna rozmowa telefoniczna, a cała prawda wyszłaby na jaw. Ale nie potrafiliście się zdobyć nawet na to. Prawda była taka, że on chciał to zakończyć. Był po prostu zbyt wielkim tchórzem, żeby sam zerwać. Zrobiłam to, co było dla was najlepsze.

– Kłamiesz – mówię w końcu. Głos mam zdławiony i schrypnięty. – Nie dbasz

o mnie. Nigdy cię nie obchodziłam. Po prostu chciałaś Jamesa, a ja stałam ci na drodze.

Pamiętam. Pamiętam ten dzień w sali gimnastycznej, gorące słońce wlewające się przez wysokie okna i lakoniczne słowa Clare: „Będę *miała* Jamesa Coopera”.

Ale to ja go zdobyłam.

– Dowiedział się, prawda? – Patrzę na jej bladą twarz, jej potargane włosy, srebrnobiałe w świetle księżyca. – O SMS-ie. Jak?

Wzdycha.

A potem mówi coś, co wreszcie brzmi jak prawda:

– Sama mu powiedziałam.

– Co takiego?

– Powiedziałam mu. Dyskutowaliśmy... na temat szczerości i małżeństwa. Powiedział, że zanim się pobierzemy, chciałby coś z siebie wyrzucić. Zapytał, czy może mi coś powiedzieć i czy mu wybaczę? A ja powiedziałam, że tak, cokolwiek, absolutnie. Powiedziałam, że go kocham, że może powiedzieć mi wszystko. A on przyznał, że na tym przyjęciu, na którym spotkaliśmy się po latach, jego przyjaciel był mną zainteresowany. Faktycznie spędziliśmy cały wieczór, flirtując, pamiętam to. Dałam temu kolesiowi mój numer telefonu. A James znalazł karteczkę w jego kieszeni i zachował ją dla siebie. Przyjacielowi powiedział, że nie jestem nim zainteresowana, i sam do mnie napisał. Skłamał, że dostał mój numer od Juliana, i zapytał, czy chcę się z nim umówić na drinka. – Wzdycha i patrzy przez okno. – Powiedział, że gryzło go to przez wszystkie te lata. Że nasz związek zaczął się od kłamstwa, że tak naprawdę miałam być z jego kumplem. Ale wyjaśnił, że nie kierowały nim wyłącznie egoistyczne pobudki, że po części zrobił to ze względu na mnie. Julian był kobieciarzem i James nie mógł znieść myśli, że uwiedzie mnie, przeleci, a potem porzuci. Myślał, że będę wściekła, gdy się dowiem. Ale gdy mi o tym opowiadał, potrafiłam myśleć tylko o tym, że kłamał i oszukiwał, żeby mnie zdobyć, że dla mnie złamał własne zasady. Wiesz, jaki jest James... jaki był. – Kiwam głową, a ruch sprawia, że wszystko wokół wiruje. Wiem, co ma na myśli. James był pełen sprzeczności – anarchista ze sztywnym kodeksem etycznym. – To było dziwne – Clare mówi teraz powoli. Mam wrażenie, że prawie o mnie zapomniała. – Myślał, że jego wyznanie sprawi, że będę kochać go mniej. Ale tak się nie stało. Wręcz przeciwnie, pokochałam go jeszcze bardziej. Zrozumiałam, że to, co zrobił, zrobił dla mnie, z miłości do mnie. I zdałam sobie sprawę, że ja też skłamałam z miłości do niego. I pomyślałam... że skoro ja mogę mu wybaczyć...

Rozumiem to. Rozumiem tę jej pokręconą logikę. I pragnienie, żeby w każdych okolicznościach udowodnić swoją wyższość: ty zrobiłaś dla mnie to, ja zrobiłam dla ciebie coś gorszego. Kocham cię nawet bardziej.

Ale co do Jamesa całkowicie się pomyliła.

Próbuję sobie wyobrazić jego minę, gdy wyznała mu, co zrobiła. Czy próbowała się przed nim usprawiedliwiać, tak jak przede mną? Nie był gotowy, by zostać ojcem – miała absolutną rację. Ale ten argument by go nie przekonał. Dostrzegałby tylko okrucieństwo tego aktu.

– Co mu powiedziałaś? – pytam w końcu. Ze zmęczenia kręci mi się w głowie, czuję się dziwnie oddzielona od własnego ciała, mięśnie mam jak z waty. Clare wygląda

równie kiepsko. Jej kruche nadgarstki sprawiają wrażenie, jakby w każdej chwili mogły pęknąć.

– Co masz na myśli?

– Nie mogłaś powiedzieć mu całej prawdy, boby do mnie zadzwonił. Co mu powiedziałaś?

– Och... – Pociera skroń i odgarnia z twarzy pukiel włosów, który opadł jej na twarz. – Nie pamiętam. Powiedziałam coś o tym, że... że poprosiłaś mnie, abym mu przekazała, że chcesz pobyć trochę sama. Że uważasz, że spieprzył ci życie, i nie chcesz go widzieć. Nie powinien do ciebie dzwonić. Ty się z nim skontaktujesz, gdy będziesz gotowa.

A ja oczywiście nigdy tego nie zrobiłam. Wróciłam do szkoły tylko na egzaminy i ignorowałam go z uporem. A potem się wyprowadziłam.

Po części mam ochotę przyłożyć mu za to, że był taki głupi, że tak łatwo dał się zwieść. Dlaczego nie przewyciężył skrupułów i po prostu do mnie nie zadzwonił? Ale znam odpowiedź. Z tego samego powodu, dla którego ja nie zadzwoniłam do niego. Duma. Wstyd. Tchórzostwo. I coś jeszcze, coś na podobieństwo nerwicy frontowej. Doświadczyliśmy czegoś, z czym kompletnie nie byliśmy w stanie sobie poradzić. Oboje byliśmy porażeni tą sytuacją. Łatwiej było po prostu żyć dalej i nie oglądać się za siebie, nie myśleć za dużo, nie czuć za dużo. Łatwiej było się po prostu odciąć.

– Jak zareagował? – pytam w końcu. Gardło mam obolałe i zachrypnięte, więc biorę kolejny łyk herbaty. Na zimno smakuje nawet gorzej, ale może cukier i teina pomogą mi nie zasnąć do rana, do przyjazdu policji. Jestem taka zmęczona. Tak bardzo, bardzo zmęczona. – To znaczy potem. Gdy się dowiedział.

Clare wzdycha.

– Chciał odwołać ślub. A ja błagałam go i zaklinałam. Powiedziałam, że zachowuje się jak Angel z *Tessy D'Urber-ville*. Wiesz, jak wtedy, gdy Angel sam przyznał się do cudzołóstwa, ale nie mógł znieść, gdy Tessa powiedziała mu o tym, że urodziła dziecko Aleca. – Analizowaliśmy tę powieść, przygotowując się do egzaminów. Wciąż pamiętam, jak James żarliwie potępiał Angela przed całą klasą. „To pieprzony hipokryta!”, krzyknął i został odesłany do dyrektora za przeklinanie przy nauczycielu. – Powiedział, że potrzebuje czasu do namysłu, ale żeby mógł w ogóle zacząć rozważać możliwość przebaczenia mi, najpierw musiałabym wyznać ci prawdę. Więc powiedziałam mu, że zaprosiłam cię na wieczór paniński, żeby ci o wszystkim opowiedzieć. – Clare śmieje się niepewnie, jak ktoś, kto dopiero po dłuższym czasie zrozumiał pointę dowcipu. – Właśnie dotarła do mnie ironia tej sytuacji. Zawsze uważałam, że wieczory panińskie są absolutnie beznadziejne, a James poświęcił mnóstwo czasu, żeby mnie namówić na mój. I ostatecznie to on przekonał mnie do tej imprezy, ale z zupełnie innego powodu, niż sądził. Gdyby wciąż o tym nie gadał, pewnie nawet nie wpadłabym na to wszystko.

Teraz rozumiem. Wszystko już rozumiem.

Clare nigdy nie potrafiła przyznać się do winy, zawsze musiała ją zrzucić na kogoś innego. Zawsze to ktoś inny musiał przyjąć cios.

Czy James znał ją naprawdę? Czy po prostu kochał jakąś rolę, którą przed nim odgrywała? Bo ja, znając Clare od dwudziestu lat, wiem od razu, że jego plan nie miał

najmniejszych szans powodzenia. Prędzej piekło by zamarzło, niż Clare przyznałaby się do czegoś takiego. Nie tylko dlatego, że nie miała ochoty kajać się przede mną, ale ponieważ wszyscy dowiedzieliby się o tym. Nie mogła oczekiwać, że to przemilczę. Wszystko wyszłoby na jaw. Dziesięć lat kłamstw i oszustw oraz upokarzający fakt, że Clare Cavendish musiała się uciec do czegoś takiego, żeby zdobyć mężczyznę.

Musiała mieć świadomość, że James postawił sprawę na ostrzu noża. Nie mam pojęcia, co powiedział Mattowi, ale było jasne, że skoro był gotów poruszać ten temat z innymi ludźmi, sytuacja musiała być naprawdę poważna. I nie chciał niczego obiecać Clare. Powiedział tylko, że *może* będzie w stanie jej wybaczyć, jeśli się przyzna.

Znając Jamesa, nie sądzę, żeby jej wybaczył.

Nie. Clare miała wszystko do stracenia, a nic do zyskania.

Miała dwie możliwości: powiedzieć prawdę i pokazać światu swoją prawdziwą twarz albo odrzucić ultimatum Jamesa i stracić narzeczonego. Ale wtedy prawda i tak wyszłaby na jaw. Tak czy inaczej, wizerunek, który budowała tak pieczołowicie przez wiele lat – wizerunek dobrej przyjaciółki, kochającej dziewczyny i troskliwej, honorowej osoby – ległby w gruzach.

Wiem, jak trudno jest porzucić przeszłość i zacząć od początku – a Clare miała wspaniałe, szczęśliwe i pełne sukcesów życie. Musiała spojrzeć na wszystko, co do tej pory osiągnęła, zbudowała i wygrała, a na drugiej szali położyć kłamstwo.

Wyjawienie prawdy mogło ją zniszczyć. Albo mogła zabić Jamesa i wyjść z całej sytuacji zwycięsko, jako tragiczna, inspirująco dzielna wdowa, gotowa rozpocząć nowe życie.

James musiał umrzeć. Clare dokonała jego egzekucji z żalem, ale to było konieczne.

Za to mój udział w tym wszystkim stanowił karę. Nie wystarczyło, żeby James zginął. Ktoś musiał ponieść odpowiedzialność za jego śmierć. I to nie mogła być Clare, nawet gdyby spowodowała tę śmierć przypadkiem.

Nie, trzeba było zrzucić winę na kogoś innego. Padło na mnie.

Dlaczego ja? Niemal zadaję to pytanie, ale rezygnuję. Bo przecież wiem.

Ukradłam jej faceta. Dziesięć lat temu stanęłam między Clare Cavendish a jej prawowitą własnością. Sprzątnęłam jej Jamesa sprzed nosa, gdy była za bardzo chora, żeby walczyć o swoje. A teraz zrobiłam to znowu, wyłaniając się z przeszłości, niczym ręka z grobu, żeby stanąć między nimi ten ostatni raz.

Nie opuszczę tego domu, wiem o tym.

Clare nie może sobie na to pozwolić.

Serce tłucze mi się w piersi, czuję coraz większe zawroty głowy. Wstaję chwiejnie, z kubkiem w dłoni. Ale zataczam się i upuszczam go.

Clare wyciąga rękę, próbując go złapać, ale kubek już się turla po stoliku kawowym.

Gdy fusy wylewają się na szklaną powierzchnię, widzę... widzę biały osad na dnie kubka. Nie cukier – cukier zdążył się już rozpuścić. Ale coś innego. Coś, co sprawiło, że herbata smakowała jeszcze gorzej niż zazwyczaj.

Już rozumiem. Rozumiem te zawroty głowy. Rozumiem, dlaczego Clare

powiedziała tak wiele, pozwoliła mi zejść tak daleko. I rozumiem, Boże, rozumiem, dlaczego ciągle ma na dłoniach te rękawiczki.

Clare patrzy na kubek, a potem na mnie.

– Ups – mówi i uśmiecha się.

Przez chwilę nic nie robię. Stoję, gapiąc się na kubek, czując bezwład ogarniający moje ręce i nogi oraz mętlik w głowie, który sprawił, że wcześniej nie zauważyłam działania narkotyku. Co to jest? Środki przeciwbólowe? Leki nasenne?

Próbuję wziąć się w garść. Próbuję złapać równowagę.

A potem zataczam się w kierunku drzwi.

Nie jestem szybka. Poruszam się powoli, koszmarnie powoli.

Ale gdy Clare rzuca się za mną, poturbowane członki nie chcą jej słuchać. Zahacza stopą o dywan i upada, uderzając biodrem o ostrą krawędź stolika. Jej krzyk odbija się echem w hallu i jeszcze bardziej miesza mi w głowie.

Próbuję odryglować frontowe drzwi. Jeszcze dwie godziny temu zamek wydawał się taki nieskomplikowany. Teraz moje palce ślizgają się na nim. W końcu udaje mi się i wypadam na zewnątrz, zrywając policyjną taśmę. Zalewa mnie cudownie zimne, świeże powietrze.

Nogi i ręce mam jak z gumy, jest mi niedobrze i kręci mi się w głowie.

Ale właśnie do tego jestem stworzona. Do biegania. Mogę to zrobić.

Stawiam pierwszy krok. Potem następny. I jeszcze jeden, i kolejny. A potem pochłania mnie las.

Jest niewiarygodnie, nieopisanie ciemno. Ale nie mogę się zatrzymać.

Czuję zimne powietrze na policzkach. Pnie drzew stanowią czerń na tle czerni. Wyłaniają się niespodziewanie z lodowatego mroku, a ja lawiruję między nimi, uchylam się przed gałęziami, biegnę z rękami wyciągniętymi przed siebie, żeby chronić twarz.

Paprocie i jeżyny czepiają się moich goleni, rozdierają skórę, ale nogi mam tak odrętwiałe i zziębnięte, że prawie nie czuję ich smagnięć, tylko ciernie wpijające się w nogawki opóźniają mój bieg.

Raz jeszcze przeżywam swój koszmar. Tylko że tym razem to nie Jamesa próbuję ocalić, lecz siebie.

Za plecami słyszę huk zatraskiwanych drzwiczek samochodu i ryk silnika. Przednie reflektory rozbłyskują między pniami drzew, omiatając las, podczas gdy samochód zawraca powoli i zaczyna jechać porytą koleinami drogą.

Podjazd wije się szerokimi łukami, żeby trasa nie pięła się pod górę zbyt stromo. Leśna ścieżka prowadzi na przestrzał do głównej drogi. Jeśli pobiegnę wystarczająco szybko, uda mi się wyprzedzić Clare. Ale co potem?

Nie mogę teraz się nad tym zastanawiać. Zaciskam zęby i zmuszam roztrzęsione mięśnie, żeby pracowały mocniej, szybciej.

Chcę żyć.

Nabieram prędkości. Docieram do miejsca, w którym ścieżka staje się bardziej stroma. Moje mięśnie już nie muszą pracować tak ciężko, wystarczy, że będą kontrolować mój szalony pęd. Przeskakuję nad złamaną gałęzią i borsuczą norą – ciemną dziurą widoczną pośród śniegu – a potem z raptownością, która odbiera mi dech, uderzam w drzewo.

Padam na czworaka, w głowie dzwoni mi z bólu. Z nosa leje mi się krew – widzę,

jak kapie na śnieg, podczas gdy dyszę i dyszę, a gdy dotykam swetra Nory, cały jego przód jest nią przesiąknięty. Potrząsam głową, próbując odpędzić mroczki sprzed oczu.

Nie mogę się teraz zatrzymać. Muszę dostać się do drogi, zanim Clare mnie odetnie. Wstaję, przytrzymując się pnia, próbując przezwyciężyć zawroty głowy. Podejmuję bieg.

W moim umyśle pojawiają się obrazy, nagłe błyski, jak krajobraz oświetlany przez piorun.

Clare w kaloszach, wyslizgująca się z domu wcześniej rano, żeby wysłać te SMS-y z mojego telefonu, z miejsca na wzgórzu, gdzie był zasięg. Zostawiająca ślady na śniegu, żebym je zauważyła.

Clare czekająca, aż Nina pobiegnie do domu, i odjeżdżająca w noc. Po co? Żeby zaparkować cicho w zatoczce i poczekać, aż James wykrwawi się na śmierć?

Clare z twarzą bladą w świetle księżyca, zaszokowana, gdy wyskakuję z lasu tuż pod jej koła, krzycząc, żeby się zatrzymała, żeby mnie wpuściła.

Odruchowo nacisnęła hamulec, a ja wgramoliłam się na miejsce pasażera. Gdy zatrasnęłam drzwi, zerknęła na mnie, a potem na Jamesa – żadne z nas nie miało zapiętych pasów – i bez słowa wyjaśnienia wcisnęła gaz do dechy.

Przez chwilę nie rozumiałam, co zamierza zrobić. Skierowała auto prosto na drzewo, które wyłoniło się z ciemności.

A potem uświadomiłam sobie, co się dzieje.

Chwyciłam kierownicę, wpijając paznokcie w jej skórę, próbując odzyskać kontrolę nad samochodem.

A potem zapadła ciemność.

Muszę dotrzeć do tej drogi przed nią. Jeśli zaparkuje w poprzek ścieżki i mnie odetnie, będę zgubiona.

Wszystko mnie boli. Boże... wszystko tak bardzo mnie boli. Ale tabletki, które podała mi Clare, mają jedną zaletę: stłumiły ból na tyle, że mogę biec dalej, wspomagana przez strach i adrenalinę.

Chcę żyć. Nigdy nie wiedziałam, jak bardzo, aż do teraz.

Chcę żyć.

A potem, sama nie wiem kiedy, wypadam na drogę. Leś-na ścieżka wypływa mnie na asfalt tak nieoczekiwanie, że zataczam się, próbując wyhamować na tyle, aby nie stanąć na drodze samochodu. Stoję tam, z rękami na kolanach, dysząc, łapiąc powietrze i zastanawiając się, w którą stronę powinnam się udać.

Gdzie jest Clare?

Nagle dociera do mnie hałas, ryk silnika wozu podskakującego na koleinach, pokonującego kolejne zakręty. Jest niedaleko. Zbliży się do głównej drogi. A ja nie potrafię już dalej biec. Zmusiłam moje ciało, by przekroczyło wszelkie możliwe granice.

Muszę pobiec albo umrzeć.

Ale nie mogę. Nie mogę. Ledwie trzymam się na nogach.

Biegnij! – krzyczę w myślach. Biegnij, ty pieprzona ciamajdo! Chcesz umrzeć?

Samochód Clare dotarł do drogi. Widzę błysk przednich reflektorów rozświetlających noc tuż za zakrętem.

A potem rozlega się potworny pisk opon i huk, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam.

Pisk gumy, zgrzyt metalu, samochodu uderzającego w samochód; dźwięk zdaje się odbijać echem w nieskończoność w leśnym tunelu, dzwoni mi w uszach. Stoję tam, z oczami szeroko otwartymi z przerażenia, gapiąc się w stronę, z której dobiega.

Zapada cisza. Słysząc tylko syk chłodnicy w nocnym powietrzu.

Nie mogę już biec. Ale zmuszam się do chodu, chociaż nogi wciąż mi się trzęsą. Zgubiłam klapki. Asfalt jest pewnie zimny jak lód, ale ja nic nie czuję.

Dociera do mnie czyjś szloch i trzask krótkofalówki. Potem widzę upiorny, błękitny blask oświetlający drzewa, migoczący jak płomień. Uderza mnie w oczy tak gwałtownie, że prawie się potykam.

Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. Zmuszam się, by iść dalej. Wychodzę zza zakrętu, żeby zobaczyć, co się stało.

Do moich uszu dociera roztrzęsiony głos kobiety. Rozmawia przez coś. Przez telefon? Gdy podchodzę bliżej, widzę, że to policyjne radio.

To Lamarr. Stoi przy otwartych drzwiach radiowozu. Krew zalewająca jej twarz wydaje się czarna w migającym świetle policyjnego koguta.

– Centrala. Potrzebne natychmiastowe wsparcie i karetka – podaje lokalizację i nasłuchuje odpowiedzi. – Przyjęłam – mówi w końcu, a potem dodaje: – Nie, ja nie jestem ranna. Ale drugi kierowca... Po prostu przyślijcie karetkę. I straż pożarną, ze... ze sprzętem do cięcia metalu, odbiór.

– Lamarr... – mówię ochryplym głosem, ale ona mnie nie słyszy. Nogami mam tak ciężkie, że nie sądzę, abym była w stanie zrobić jeszcze jeden krok. Przytrzymuję się drzewa przy poboczu drogi. – Lamarr... – wołam. Mój głos przypomina roztrzęsioną smużkę na tle syczenia silnika i trzasków radia. – Lamarr!

Odwraca się i spogląda w moją stronę. Pozwalam, by kolana ugięły się przede mną, i padam na mokry od śniegu asfalt. Nie muszę już dłużej biec.

– Nora! – słyszę jak przez mgłę. – Nora! Chryste, jesteś ranna? Jesteś ranna, Nora?

Nie potrafię znaleźć słów, żeby jej odpowiedzieć. Lamarr podbiega do mnie. Czuję jej silne dłonie, gdy podtrzymuje mnie i powoli opuszcza na ziemię.

To już koniec. Już po wszystkim.

Nora – łagodny, ale uporczywy głos przenika do mojego chaotycznego, niespokojnego snu niczym hak i wyciąga mnie z powrotem na jawę. Znam ten głos. Do kogo należy? Nie do Niny. Jest zbyt niski. – Nora – słyszę znowu.

Otwieram oczy.

To Lamarr. Siedzi na krześle przy moim łóżku. Jej ciemne oczy błyszczą, a zaczesane gładko lśniące włosy odsłaniają rzeźbione czoło.

– Jak się czujesz?

Unoszę się lekko i widzę, że ma na szyi kołnierz ortopedyczny. Nie pasuje do jej jedwabnej bluzki.

– Byłam u ciebie wczoraj – mówi. – Ale mnie wygonili.

– Pani też leży w tym szpitalu? – pytam chrapliwym głosem.

Podaje mi wodę, a ja piję z wdzięcznością. Kręci głową, jej ciężkie złote kolczyki kołyszą się delikatnie.

– Nie. Nie jest ze mną aż tak źle. Wczoraj rano odesłali mnie do domu. I całe szczęście, bo moje dzieciaki nie znoszą, gdy nie nocuję w domu. Najmłodszy ma dopiero cztery lata.

Ona ma dzieci? Ta informacja jest jak gałązka oliwna. Coś w naszych relacjach się zmieniło.

– Czy ja... – zaczynam, a potem przełykam i próbuję jeszcze raz: – Czy już po wszystkim?

– Dla ciebie tak, jeśli o to pytasz – odpowiada Lamarr. – W tej chwili nie podejrzewamy już nikogo poza Clare.

– Jak się miewa Flo?

Może to sobie wyobraziłam, ale mam wrażenie, jakby po twarzy Lamarr przesunął się cień. Niby nic się nie zmieniło w jej spokojnym obliczu, a jednak w pokoju nagle coś się pojawiło, jakby strach.

– Ona... jakoś się trzyma – mówi wreszcie.

– Czy mogę ją zobaczyć?

Kręci głową.

– Jest... jest ze swoją rodziną. Lekarze nie pozwalają w tej chwili na żadne odwiedziny.

– A pani ją widziała?

– Tak, wczoraj.

– Więc dzisiaj ma się gorzej?

– Tego nie powiedziałam. – W oczach Lamarr widzę troskę. Wiem, co próbuje przede mną ukryć. Wiem, jakiego tematu unika. Pamiętam, co mówiła Nina na temat przedawkowania paracetamolu, i dociera do mnie, że skutki destrukcyjnych działań Clare wciąż rozchodzą się niczym kręgi na wodzie.

Myślę, że ze wszystkich jej czynów ten był najbardziej okrutny. To, co zrobiła Jamesowi, co próbowała zrobić mnie... przynajmniej miała powody. Ale jedyną zbrodnią Flo było to, że kochała swoją przyjaciółkę.

Nie wiem, kiedy Flo zaczęła sobie uświadamiać prawdę. Kiedy zaczęła się zastanawiać nad znaczeniem SMS-a, który Clare kazała jej wysłać z mojego telefonu, gdy przyjechałam na miejsce. Brzmiał wystarczająco niewinnie: „James, to ja, Leo. Leo Shaw”. Nie wiem, co powiedziała jej Clare, pewnie wymyśliła jakąś głupotę. Dowcip na wieczór panieński.

Być może zaczęła coś podejrzewać, gdy Nina nawiązała do tego, co w przeszłości łączyło mnie z Jamesem; może zaczęła się zastanawiać, dlaczego akurat Clare chciałaby odgrzebywać ten temat. Potem, gdy Lamarr zaczęła zadawać pytania na temat telefonów... i SMS-ów... musiała zrozumieć, że coś jest nie tak.

Nie przypuszczam, żeby odgadła całą prawdę. W każdym razie nie od razu. Próbowала odwiedzić Clare w szpitalu, ale nie pozwolili jej. Clare znajdowała się w zbyt ciężkim stanie, zresztą policja nie chciała, żeby świadkowie przebywający w pensjonacie kontaktowali się z nami; Nina powiedziała, że musiała walczyć jak tygrys, żeby się ze mną zobaczyć, i puścili ją dopiero po tym, jak przesłuchali ją ze sto razy. Podejrzewam, że na tym etapie Clare wciąż udawała na wpół przytomną i czekała, żeby się przekonać, jak rozwinie się sytuacja między mną i Lamarr.

A więc Flo tkwiła w pensjonacie, zdenerwowana i zdezorientowana. Nie była w stanie zapytać Clare, co powinna mówić. Kłamała. Potknęła się o własne kłamstwa. Zastanawiała się, co zrobiła, do czego doprowadziła. Zaczęła wątpić w motywy Clare. Wpadła w rozpacz.

– Czy wie pani... – Przelykam z trudem, próbując odpędzić myśli o Flo leżącej gdzieś w tym szpitalu, walczącej o życie. – Czy wie pani, co się wydarzyło? Czy Clare pani powiedziała?

– Clare jest w zbyt ciężkim stanie, żeby odpowiadać na pytania – mówi Lamarr ponuro. – Przynajmniej tak twierdzi jej adwokat. Ale mamy wystarczająco dużo dowodów, żeby zbudować sprawę. To, co nam opowiedziałaś, raport toksykologiczny potwierdzający obecność środków odurzających w twoim organizmie i co najważniejsze, zeznanie Flo wystarczy. Ona nawet nie próbowała zadzwonić po karetkę, wiesz?

– Co pani ma na myśli?

– Gdy James umierał. W rejestrze jej połączeń nie ma dowodu na to, że próbowała zadzwonić po pomoc. To powinno dać nam do myślenia, ale byliśmy zbyt zajęci szukaniem gdzie indziej – wzdycha. – Oczywiście, gdy już dojdiesz do siebie, będziesz musiała złożyć oficjalne zeznanie. Ale teraz nie musimy się tym przejmować.

– Myślałam, że to Flo – mówię w końcu. – Gdy znalazłam kurtkę Clare z nabojem w kieszeni. Myślałam, że to kurtka Flo. Myślałam, że to ona podmieniła naboje. Po prostu nie mogłam zrozumieć, dlaczego Clare miałaby zrobić coś takiego. Wreszcie miała to, czego chciała: idealne życie, idealnego narzeczonego. Dlaczego miałaby z tego wszystkiego zrezygnować? Dopiero gdy zastanowiłam się nad tamtym SMS-em, naprawdę się nad nim zastanowiłam, zdałam sobie sprawę, że James nigdy nie nazywał mnie Lee. Nie popełniła drugi raz tego błędu. Ale powinnam była to zauważyć.

– Ona zrobiła już kiedyś coś takiego – przyznaje Lamarr. Jej głęboki głos jest jak miękki ciepły koc otulający chłodne słowa. – W każdym razie coś podobnego. Dogrzebanie się do tej sprawy zajęło nam trochę czasu, ale był pewien profesor na jej

uniwersytecie... Został wyrzucony za wysyłanie niestosownych e-maili do studentek studiów licencjackich. Wiadomości implikowały, że dostaną lepsze oceny, jeśli się z nim prześpią, i że czeka je kara, jeśli komuś o tym powiedzą. Wypierał się tego do końca, ale nie było wątpliwości, że studentki otrzymały takie e-maile, a gdy zbadano jego komputer, wiadomości odnalazły się w usuniętym folderze, wszystkie, chociaż niewprawnie próbował je zniszczyć. Teraz wydaje się nam całkiem oczywiste, że Clare była w to zamieszana, chociaż wtedy nikt jej nie podejrzewał. Nie była jedną z szantażowanych studentek. Ale kilka tygodni wcześniej profesor wyraził obawę, że jedna z jej prac może być plagiatem, i zagroził, że zgłosi to wyżej. Oczywiście w wyniku skandalu, jaki nastąpił, o oskarżeniu zapomniano. Ale jedna z jego współpracowniczek pamiętała o tej sprawie. Powiedziała, że zawsze się zastanawiała...

Zamykam oczy, czując, jak łzy spływają mi wzdłuż linii nosa. Nie wiem, dlaczego płaczę. Nie z ulgi. Nawet nie z żalu po Jamesie. Może po prostu z frustracji i ze wściekłości na to całe marnotrawstwo, ze wściekłości na siebie, że nie zorientowałam się wcześniej, że byłam taka głupia.

Ale co by się stało, gdybym zauważyła? Czy to ja leżałabym ranna na drewnianej podłodze, zasypana kawałkami mlecznego szkła?

– Zostawię cię – mówi Lamarr cicho i wstaje. Słyszę skrzypienie krzesła. – Wrócę jutro z kolegą. Złożysz oficjalne zeznanie, jeśli będziesz gotowa.

Nic nie mówię, tylko kiwam głową, wciąż zaciskając powieki.

Po jej odejściu zapada cisza, przerywana tylko przez motyw muzyczny z opery mydlanej, sączący się przez ścianę. Wsłuchuję się we własny oddech.

A potem spokój zakłóca pukanie do drzwi.

Otwieram oczy, myśląc, że to Lamarr po coś wróciła. Ale na zewnątrz stoi mężczyzna. Serce fika mi koziołka, ale potem zdaję sobie sprawę, że to Tom.

– Puk, puk – mówi, wsuwając głowę przez szparę w uchylonych drzwiach.

– Wejdź – zapraszam go ochryplym głosem.

Ma taką minę, jakby nie był pewien, czy jest tu mile widziany. Wygląda blado i w niczym nie przypomina zadbanego światowca, którego poznałam kilka dni wcześniej. Jego koszula w kratę jest wymięta i poplamiona. Ale z wyrazu jego twarzy wnioskuję, że ja muszę wyglądać jeszcze gorzej. Podbite oczy zmieniły barwę na żółto-brązową, ale wciąż szokują, jeśli ktoś widzi je po raz pierwszy.

– Cześć, Tom – mówię. Naciągam szpitalną koszulę na ramię, a on obdarza mnie sztywnym uśmiechem kogoś, kogo chwilowo opuściła ogłada towarzyska.

– Słuchaj, muszę zrzucić coś z serca – wypala w końcu. – Myślałem, że to ty. Po tym całym gadaniu o twojej przeszłości z Jamesem, gdy policja zaczęła wypytywać o twój telefon i te SMS-y, po prostu założyłem, że... – urywa. – Ja... naprawdę mi przykro.

– W porządku. – Wskazuję na krzesło przy łóżku. – Usiądź. Nie przejmuj się tym. Policja też myślała, że to ja, a ich nawet przy tym nie było.

– Naprawdę przepraszam – powtarza łamiącym się głosem i siada niezgrabnie, obejmując kolana dłońmi. – Ja po prostu... nigdy bym nie pomyślał... – milknie, a potem wzdycha. – Wiesz, Bruce nigdy jej nie lubił. Kochał Jamesa. To znaczy, naprawdę go

kochał, mimo że mieli swoje wzloty i upadki. Ale nigdy nie przepadał za Clare. Gdy zadzwoniłem do niego zeszłego wieczoru i wszystko mu opowiedziałem, stwierdził: „Jestem zaszokowany, ale nie jestem zaskoczony. Ta dziewczyna nigdy nie przestawała grać”.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, podczas gdy rozważam słowa Bruce’a, sąd człowieka, którego nigdy nie spotkałam, nad jedną z moich najstarszych przyjaciółek. I zdaję sobie sprawę, że ma rację. Clare nigdy nie przestawała grać. Nawet jako dziecko wcielała się w jakieś role – dobrej przyjaciółki, wzorowej uczennicy, idealnej córki, wspaniałej dziewczyny. I nagle zdaję sobie sprawę, że może dlatego tak trudno mi było dopasować tych innych ludzi do życia Clare, którą znałam. Bo dla każdego z nas była zupełnie inną osobą. Zastanawiam się, co się z nią stanie. Czy ława przysięgłych wyda wyrok skazujący na kogoś tak czarującego, dobrego, tak pięknego?

– Zastanawiam się... – zaczynam, ale milknę.

– Nad czym?

– Wciąż zastanawiam się nad tym, co by się wydarzyło, gdybym się nie zgodziła? Gdybym nie przyjęła zaproszenia na ten weekend panieński. Prawie je odrzuciłam.

– Nie wiem – mówi powoli Tom. – Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy z Niną dokładnie o tym samym. Ja sądzę, że i tak głównym celem był James. Ty byłaś tylko wisienką na torcie.

– Chcesz powiedzieć... – próbuję to przetrwać, a on kiwa głową.

– Myślę, że gdyby ciebie tam nie było, padłoby na kogoś z nas.

– Padłoby na Flo – poprawiam go ze smutkiem. – Ostatecznie to ona wysłała tego pierwszego SMS-a.

– Clare z łatwością nagięłaby prawdę. Zaczęłaby opowiadać o tym, że bała się Flo. Że Flo była zazdrosna o Jamesa, że zachowywała się irracjonalnie. A najgorsze jest to, że pewnie byśmy ją w tym poparli.

– Widziałeś Flo? – pytam.

– Próbowałem. Nie wpuszczają nikogo. Myślę... Nie jestem pewien... – Urywa. Oboje wiemy, co chciał powiedzieć. – Dzisiaj wieczorem wracam do Londynu – mówi w końcu. – Ale byłoby świetnie, gdybyśmy pozostali w kontakcie. – Wyławia portfel i wyciąga z niego grubą, lśniącą wizytówkę, z nazwiskiem *Tom Deauxma* oraz numerem telefonu i e-mailem.

– Przepraszam. Ja nie mam wizytówki, ale jeśli masz długopis...

Podaje mi swoją komórkę, a ja wklepuję do niej swój adres e-mailowy i patrzę, jak odsyła mi pustą wiadomość.

– Proszę – mówi, wstając. – Cóż, czas na mnie. Dbaj o siebie, Shaw.

– Będę.

– Jak dostaniesz się do Londynu?

– Nie wiem.

– Ale ja wiem – rozlega się głos przy drzwiach. Widzę Ninę opartą o framugę, z niezapalonym papierosem w ustach. Mówi jak detektyw z taniej powieści. – Pojedzie ze mną.

Dom. Takie krótkie słowo, a jednak gdy zamykam za sobą drzwi mojego małego mieszkanka, zalewa mnie fala ulgi, która wydaje się zbyt ogromna, by dało się ją opisać tymi trzema literami.

Jestem w domu. W domu.

Odwiozła nas Jess. Przyjechała po mnie i Ninę aż z Londynu i zabrała do domu. Gdy dotarliśmy na moją ulicę, zaproponowały, że wejdą na górę, pomogą mi wnieść walizkę na trzecie piętro, ale podziękowałam.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy zostanę sama – wyjaśniłam i była to prawda. Wiedziałam, że one cieszą się na to samo – że wreszcie zostaną same. W trakcie długiej jazdy obserwowałam czułe gesty, jakie między sobą wymieniały. Dłoń Niny spoczywającą na udzie Jess, Jess muskającą kolano Niny, gdy zmieniała bieg. Ale nie czułam się wyrzucona poza nawias – nic z tych rzeczy.

Po prostu wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo Kocham moją własną przestrzeń.

Flo zmarła kilka godzin po tym, jak odwiedził mnie Tom. Trzy dni po przedawkowaniu. Nina miała rację. Miała też rację co do tego, że Flo na sam koniec zmieniła zdanie. Ja się z nią nie zobaczyłam, ale Nina odwiedziła ją i słuchała jej płaczu. Flo snuła plany na przyszłość, mówiła o tym, co zrobi, gdy wyjdzie ze szpitala. Rodzice byli przy niej, gdy umierała. Nie wiem, czy odeszła w spokoju. Nina nie chciała o tym mówić, więc podejrzewam, że nie.

Wzdycham głęboko i rzucam walizkę na podłogę. Jestem zmęczona i zeszywniała po długiej jeździe. Zaschło mi w gardle.

Nalewam wody do ekspresu i wkładam do niego papierowy filtr. Otwieram szklany słoik z kawą i wącham zapach zmielonych ziaren. Mają już tydzień, ale wciąż są na tyle świeże, żeby wprawić moje zmysły w euforię.

Odgłosy, jakie wydaje ekspres, to dźwięk domu. Zapach parzącej się kawy to zapach domu. W końcu zwijam się w kłębek na łóżku, podczas gdy moja nierozpakowana walizka wciąż leży na dywanie, i biorę długi, powolny łyk. Zimowe słońce wpada przez rattanowe żaluzje, a za oknem słychać szum samochodów, zbyt odległy, by mógł przeszkadzać. Przypomina raczej dźwięk morskich fal uderzających o brzeg.

Myślę o tamtym szklanym domu, stojącym daleko, w nieruchomym lesie. Myślę o przelatujących obok niego ptakach i leśnych zwierzętach przemykających cicho przez ogród. Myślę o jego pustych szklanych ścianach, przez które sączy się światło księżycy. O taflach szkła odbijających ciemne kształty drzew.

Najwyraźniej ciotka Flo postanowiła sprzedać dom. Tak powiedzieli Ninie rodzice Flo. Za dużo przelanej krwi, za dużo wspomnień. Ponoć zamierza też spalić wózek spirytystyczny, gdy tylko policja go jej zwróci.

To jedna rzecz, której nie rozumiem. Ten seans.

Wszystko inne było koniecznością. Wszystko inne było częścią planu. Ale tabliczka ouija i tamta przyprawiająca o gęsią skórkę wiadomość?

Wciąż widzę te litery, zapętlone i wijące się po kartce.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim muszę podziękować moim drogim przyjaciółom z Vintage za to, że dopingowali mnie na każdym kroku tej drogi (i taktownie nie pytali za często, jak mi idzie). Aby oddać sprawiedliwość każdemu, kto na to zasługuje, potrzebowałabym tyle miejsca, że powstałaby z tego książka telefoniczna, jednak szczególne podziękowania należą się wszystkim z Harvill, włącznie z Alison Hennessey, moją genialną redaktorką (i Królową Zbrodni), która jako pierwsza rzuciła hasło „wieczór paniński” i wprawiła wszystko w ruch, oraz Liz, Michałowi i Rowenie z działu redakcyjnego, Bethan i Fionie z promocji, Jane, Monique, Samowi i Penny z działu prawnego, wszystkim z działu sprzedaży (jest was zbyt wiele, żeby was tu wymienić, ale kocham was wszystkich!), Simonowi z działu produkcji, fantastycznemu zespołowi grafików, zwłaszcza Rachael, Vicki i reszcie wspaniałej ekipy marketingowej.

Na podziękowania zasługują też Clara, Poppy, Susannah, Parisa, Becky, Christian, Dan, Lisa, Ceri, Alex, Fran, Rachel, Clara (znowu) i wszyscy inni, których nie mogę tu wymienić – wiedzcie, że was kocham i tęsknię za wami. Zwłaszcza za utalentowanym, mającym anielską cierpliwość, skromnym i ogólnie wspaniałym działem promocji.

Jak zawsze dziękuję moim pierwszym czytelnikom, Meg, Eleanor, Kate i Alice, za brutalną szczerość i wsparcie w koniecznych proporcjach oraz za zadawanie wszystkich właściwych pytań.

Dziękuję pisarzom i przyjaciółom, którzy oderwali się od własnych problemów, żeby rozważyć moje: przez internet i na żywo.

Za pomoc techniczną jestem ogromnie wdzięczna Samowi, Jonowi, Richardowi i Lornie, którzy wspierali mnie w kwestiach policyjnych, medycznych i związanych z bronią palną. Nie muszę mówić, że wszelkie ewentualne błędy są moją winą (przepraszam za to, że potraktowałam niektóre ich rady tak swobodnie).

Ogromnie dziękuję Eve i Jackowi z agencji literackiej Eve White – za troskę i wsparcie.

I wreszcie dziękuję mojej drogiej rodzinie, zwłaszcza Ianowi i dzieciom. Dziękuję, że pozwoliliście mi bębnić w klawiaturę w pokoju obok, choć tak często wolelibyście robić co innego. Kocham was wszystkich.